







HESSY O'GRADY.

Hessy O'Grady.

NOWA BIBLIOTEKA UNIWERSALNA.

HESSY O'GRADY

POWIEŚĆ ORYGINALNA

NA TLE STOSUNKÓW OBECNYCH W IRLANDYI.

Stypisat

EDMUND NAGANOWSKI.

Poi vidi genti, che di fuor del rio
Tenean la testa, ed ancor tutto 'l caso.

(Dante. — L'Inferno, XII).

W KRAKOWIE

NAKLADEM KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO & K. J. HEUMANNA

(nagrodzonej najwyższą nagrodą na Wystawie krak. 1887 r.)

1889.



201869

I.

— No, czegoż wam jeszcze potrzeba, matko Kirwan? Przecież nie wy sama jedna macie zająć miejsce na pokładzie „Smoka!“ Dałem wam kwity na wszystkie manatki i zapasy; dostaniecie przy wylądowaniu w Nowym-Yorku czek na pięć funtów, czyli więcej jak dwadzieścia pięć dolarów!!... I czegoż tam jeszcze?

— Kiedy to ja, z przeproszeniem pana, radabym zostać w kraju, w którym się urodziłam, gdzie nieboszczyk... .

— Zostawcie nieboszczyka z nieboszczykami, jeżeli wam żyć miło. Któż z wami końca dojdzie! Przed dziesięciu dniami prosiliście i błagali o kartę przejazdu do Ameryki, jak o zbawienie. Kiedy ją macie i podpisaliście ugodę, to sprawa skończona. Nie mam czasu!

— Myślałam, że mnie wezmą do domu pracy... Kumoszka Flynn chce mi dać kącik w chałupie i łyżkę kukurydzy do śmierci!

— Kumoszka Flynn! Kumoszka Flynn! Długo wy na nią czekać nie będziecie w Ameryce! Święty Mojżeszu! Ci ludzie nigdy nie mogą zrozumieć dobrodziejstw, jakie im świadczy rząd, który też ma więcej pieniędzy niż rozumu! No, ale z wami rzecz skończona. Jeżeli mi stąd nie pójdziecie, zawołam konstablera i oddam was pod opiekę policyi, aż do chwili podniesienia kotwicy. A teraz, za drzwi! Hoła! John!

Matka Kirwan wybuchnęła głośnym płaczem.

— Niech Bóg miłosierny poruszy sumienie wasze, panie! Toć to grzech wielki nie mieć litości nad takim stworzeniem, jak ja; wysyłać biedną, starą kobietę do innego świata! Wymusiliście podpis, wy mądrzy gentleman, na głupiej. . .

Reszty dokończyła przed Johnem, na ulicy.

Pięć dni jeszcze upłynąć miało, zanimby parowiec „Smok“ opuścił wody irlandzkie. Agenci spółek emigracyjnych żywo się krzątali około ostatnich przygotowań: po licznych, tymczasowych biurach w Waterford wydzielano wychodźcom po trochu nędznej odzieży, kilka kwart grochu, ryż, ziemniaki, suszone ryby i po dwa funty wędzonki na dorosłą osobę. Ale najważniejsze czynności odbywały się w biurze centralnem przy ulicy św. Katarzyny.

W domu narożnym mieściły się kancelarye plenipotenty dóbr, lorda Grosvenor. Tuż obok, na małej, niezabudowanej przestrzeni, stała budka drewniana, oklejona jaskrawymi plakatami, na których pod szablonową ryciną, przedstawiającą olbrzymi parowiec i spokojne fale oceanu, wydrukowano anons następujący:

Irlandzko-Amerykańska Spółka Emigracyjna.

WSPANIAŁY PAROWIEC TRANSATLANTYCKI

„S M O K“

opuszcza port waterfordzki

w piątek 16-go kwietnia.

Wolny przejazd!!!! Wspaniałomyślna zapomoga!!!!

dla wychodźców

z baronii Cappoquin i Tramore.

Dla innych cena miejsca na pokładzie: £. 4. 4. 0.



Szczegółów udziela się w biurze.



Obok tych plakatów były i kolorowane rysunki, wyobrażające dwa lądy, pomiędzy którymi „Smok“ stał na kotwicy. Na jednem wybrzeżu wychudłe i półnagie postacie ludzkie wyciągają ramiona i wołają frenetycznie: „Zabierz mnie! Zabierz mnie!“ Na drugiem — zamożnie ubrani panowie, i eleganckie damy, i dzieci w pojazdach, i służba, wywijając rękoma, jeszcze głośniej (sądząc z nabrzmiałych, czy tłustych policzków, i z szeroko otwartych ust), wołają: „Przybywajcie! Przybywajcie!“

Ponieważ był to poniedziałek targowy w miesiącu, a ulica św. Katarzyny wychodzi przy owym narożniku, na targowisko, więc prawie każdy farmer, lub robotnik i każda zamiejska kobieta zatrzymała się przed budką, czytając z wolna ogłoszenie, albo słuchając czytających. Odchodząc, ludzie ci spoglądali niechybnie ku oknom kancelaryi plenipotenta oczyma, w których niepodobna było niewyczytać głębokiej nienawiści.

— Przekleństwo! — ozwał się młody włościanin do towarzysza. — Czy też prawda, że Tom O'Grady wziął kartę?

— Bigorra! *). Czy Tom się zapisał, nie wiem; ale to pewna, że ten dyabeł saksoński będzie miał sporo ludzi we ezwartek. Grosvenor myśli, że mu włóczęgi szkockie złoto kopać będą w skałach zamorskich! Ha! Ha! Kapitan Gandy nie zna chłopców! Pozna się on z nimi, skoro tylko spróbuje osadzić swoich przybłędów na naszej ziemi!

— Cicho! Patrz. . .

W tej chwili we drzwiach narożnego domu ukazał się wysoki i otyły mężczyzna, o szorstkich rysach twarzy, ubrany po cywilnemu, ale z pewną wojskową fantazyą w kroju obcisłej kurtki i czapki bez daszka. Długie buty i szpiceruta, którą miał w rękę, kazały się domyślać, że czekał tak na przyprowadzenie

*) „Bóg świadkiem“! z angielskiego: „By God“!

swego wierzchowca. Ale, popatrzysz na lewo i na prawo domu, majestatyczny jegomość kroki swe zwrócił ku sąsiedniej budce.

— Cóż? Jakże tam dzisiaj?

— Nikt jeszcze z świeżych nie przyszedł — odpowiedział powstając z wysokiego stołka urzędnik.

John stanął przed wejściem budki z ulicy, aby nikt nie przerwał konferencyi nagle.

— Wiele pan wydałeś kart naszym ludziom? — zapytał znów wojskowy.

— Dwadzieścia trzy wogóle, kapitanie Gandy. Lord Grosvenor płaci dotąd za pięciu mężczyzn dorosłych i ośmiu chłopaków, za ośm kobiet i dwoje dziewcząt.

— Lord Grosvenor zapłaci spółce za trzy razy tyle ludzi, panie Grubb, i jak ci wiadomo, dostaniesz po 10 szylingów za każdą głowę. Tylko energii, energii, więcej energii! Musimy oczyścić obie baronie z jego robactwa.

— Może dziś przy targu znajdzie ich więcej. Stosownie do życzeń pańskich, kapitanie, dałem po dwa funty szterlingów panom Fort, Dary i Dobson. Nie wątpię, że ci wytrawni agenci nasi potrafią . .

— Byle tylko ostrożnie, Grubb, ostrożnie! Whiskey i porter doskonale przekonywują, nie ma co mówić; kanalia gotowa na wszystko — póki żłopie; ale ostrożnie! Bierze podpis przy świadkach i kiedy bydlę wie jeszcze, że dyszy. Cóż z Powerami?

— Wszyscy troje opatrzeni.

— Więc podpisali?

— Podpisali kapitanie.

— Bardzo dobrze. A Galgey?

— Podpisał w sobotę wieczorem i całą noc przeleżał w rysztołu.

— Mniejsza o to. Cóż się dzieje z temi sierotami, Hogan?

— Wzięłyby karty, mówią, gdyby ta krewna ich: stara Kirwan, poszła z niemi. Nie chcą być same, zanim się zawłoką do stanu Nebraska, gdzie mają przyjaciół. Stara Kirwan wiele mnie kosztowała mozołu; ale nakoniec położyła krzyżyk, przed Johnem, na rejestrze. Nachodzi mnie teraz codzien i chce zostać.

— Zostać! Ha! Ha! — zaśmiał się szyderczo plenipotent. — Strzeż się tylko, panie Grubb, żebyś nie stracił sierót! Wybornie. A O'Grady? Przyszli tu wszyscy?

— Obaj synowie są w téj chwili u Dobsona i odbierają wiktuały. Patryk zdecydował się dość rychło. Tom poszedł za przykładem starszego brata i wziął kartę, nie mówiąc ani słowa.

— Ale stary O'Grady! — zawołał gniewnie plenipotent. — Stary O'Grady nie może zostać! Wolę, żeby pięciu innych gniło na farmach, jak ten jeden dziad uparty w Tramore. Dwadzieścia sześć akrów najlepszej łąki w baronii! . . .

— Panie plenipotencie, stary poszedłby z synami, gdyby nie ta córka! Podobno O'Grady, ma jakieś plany, w których dziewczę ważną ma do odegrania rolę.

— Niech dyabli porwą starego żebraka i jego szczenię! — wybuchnął Gandy i wybiegł na ulicę.

W kilka minut później koń jego pozostawiał za sobą kłęby kurzawy na drodze do Tramore,

II

Po bitwie pod Waterloo, kupiecki statek „Strzała“ przyjął na pokład transport wracających żołnierzy angielskich, zabłąkał się przy gęstej mgle aż do wschodniego wybrzeża Irlandyi, bu-

rzą gnany, rozbił się we wspianiałej lecz niebezpiecznej zatoce tramorskiej. I nie ma miesiąca, dziś, jeszcze, by dzielni wiosłarze ratunkowych czółen nie oddawali przysługi, jakiej brakło podówczas, okrętom i parowcom, przypadkowo zapędzonym przed Tramore.

Rząd angielski, zawsze skwapliwy do łożenia sum wszelkich, gdzie chodzi o ubezpieczenie handlu i żeglugi na brzegach brytańskich, dotąd nie wydał konsensu na budowę portu w Tramore, jaki własnym kosztem urządzić chcą mieszkańcy hrabstwa Waterford. A powodem tego jest chciwość angielskich domów handlowych, które zazdrośnóm patrzą okiem na każdy objaw rozwoju przemysłu w Irlandyi, tak korzystnie położonej pomiędzy W. Brytanią i Ameryką.

Ztąd też Tramore, jak wiele innych miejscowości nadmorskich na wyspie, zamiast być miastem portowém, jest poprostu osadą rybacką. Ponieważ jednak jego morska woda słynie ze swój „mocy“, więc w porze letniej przybywają tam goście z całego kraju, a nawet czasami i ze Szkocyi i używają powszechnie przez lekarzy zalecanych kąpielei w zatoce. Kolój żelazna łączy Tramore ze stolicą hrabstwa, odległą o cztery polskie mile. Kapitałiści waterfordzcy pobudowali nad morzem okazałe rezydencye dla swych rodzin, wille dla zamożnych gości i szeregi mniejszych kamienie dla stałych mieszkańców. Osada rybacka cofnęła przed zajazdem marmurów i cegły swe nędzne chatki gliniane, przenosząc je cokolwiek ku południowi, na wysokie skały nadmorskie.

Kościół parafialny katolicki wznosi się na pagórku, zamieszkałym przez kupeów i kramarzy miejscowych; kościół parafialny angielski, zbudowany w stylu gotyckim, na innym pagórku, wpośród rezydencyi arystokratycznych.

Bracia chrześcijańscy uczą bezpłatnie dzieci ubogie w szkołkach zabudowanych ubogo, tuż obok swego klasztoru — i żyją

sami na łasce Boga i rodzin katolickich. Oprócz tego jest w Trammore hotel katolicki i hotel protestancki, klub narodowy i klub angielski, są tam piekarze i rzeźnicy katolicy, od których nie kupi bułki lub mięsa szewe protestancki; są protestanckie modniarki, które idąc do kąpieli, za nie w świecie nie używałyby budki i bielizny „katolickiej“. Jedni spacerują na „promenadzie protestanckiej“, inni po bulwarze, „O'Connell“ itd.

Mieszkańców ma Trammore zimą 500, latem 8 do 10,000.

Wszystkie grunta w osadzie należą do lorda Grosvenor, wyjąwszy tych, na których stoi pałac. „Pałacem“ zowią wszyscy protestanci i katolicy — wspaniałe mieszkanie kapitana Gandy. Może się nam uda otrzymać kiedyś wstęp do tego Eldorado tramorskiego.

O sześć mil dalej ku północy, idąc brzegiem morza, rozłożyło się inne miasteczko kąpielowe — własność również szlachetnego lorda Dummore. Tu znów osiedli tylko i wyłącznie arystokraci kraju, arystokraci protestanccy i arystokraci katolicy. Ani jedni, ani drudzy nie żyją z arystokracją kupiecką w Trammore, nie żyją sami z sobą i pomiędzy sobą. Nie chcą nawet kolei żelaznych do Waterford, tém mniej do Trammore. Używają pojazdów, mając na to. Ktoś odważny wynajął tam dom obszerny przed kilku laty i otworzył hotel z kawiarnią. Zbankrutował rychło, bo z rezydentów nikomu na myśl nie przyszło upić się... w hotelu, a gdy w braku kolei żelaznej i tramwajów, właściciel urządził własny omnibus pomiędzy Waterford i Dummore, kapitan Gandy usłuchał rozkazu arystokracji protestanckiej i podwyższył cenę domu. Równocześnie arystokracja katolicka (lud mówi: „pogańska“), wysłała artykuł do „Kuryera“ z Dummore, w którym nazwano biednego oberżystę „parrnellittą“, „fenianem“ — a hotel jego „jaskinią pseudo-patryotów“. Ażeby nie wyjść z torbą i o żebraczym kiju, lub z drugiej strony, nie mieć wkoło siebie tajnych i rzeczywistych policyantów, człowiek

odważny zostawił dom i długi nad morzem. . . . i uciekł za morze.

W połowie drogi pomiędzy Tramore i Dummore, między morzem a szosą waterfordzką, stała przed rokiem lepianka, otoczona dokoła rumowiskiem z jakichś kamiennych budynków. Nieco dalej, pięć czy sześć starych topoli kazało się domyślać, że do niedawna osłaniały zburzone dziś ściany. Naokół roztacza się szeroka płaszczyzna, zarosła trawą i zielskiem, zaniedbana i opuszczona.

Ale w ów dzień 12-go kwietnia 1878 roku, kiedy Grubb kończył raport do dyrektorów spółki emigracyjnej, wśród topoli stała kamienna chata pod strzechą słomianą, której ściany bujnym pokryte były bluszczem. Za chatą, obszerna obora, przy niej, z jednej chlewik dla trzody, z drugiej drewniane schronienie służyło do pomieszczenia drobiu. Przystęp do chaty ze wsząd otwarty; reszta zabudowań otoczona była murem kamiennym, wysokością dorosłego człowieka. Wstęp do podwórza otwierały stare, żelazne wrota. Poza podwórzem rozciągał się ogród warzywny, gdzie na przestrzeni jednego akra widać było przygotowania do uprawy zagonów.

Od owych kilku topoli, wogóle rzadkich w Irlandyi, osada Marcina O'Grady nosiła nazwę „Topole“. Obejmowała ona, jak nas już powiadomił kapitan Gandy, dwadzieścia sześć akrów łąki, służącej na pastwisko dla bydła i nierogacizny rzeźników waterfordzkich i handlarzy. Jak na niej gospodarował O'Grady i z jakim zyskiem, dowiemy się niebawem.

Kwietniowe słońce, które nieraz w Irlandyi uprzedza czerwiec, chyli się zwolna i leniwo ku zachodowi. Pogodny błękit nieba, zarumieniony ostatnią dnia krasą, zapowiada noc spokojną i wolną od tych szalonych wiehrów, jakie zwyczajnie w tym miesiącu przebiegają nad wschodniem wybrzeżem wyspy, rozpędzone na atlantyku.

W otwartém okienku chaty, otoczoném ciemną zielenią bluszczu, ukazuje się dwoje szafirowych, dużych oczu, rzucających niecierpliwe spojrzenia w rozmaitych kierunkach. W chwili, gdy ich właścicielka wspięła się na dłoniach, jakoby dalszą chciała przejrzeć przestrzeń, u rogu chaty i w bezpośredniém pobliżu okienka, chłopiec szesnastoletni nieśmiało zawołał przytłumionym głosem:

— Hessy!

— Oh! to ty! Czy widziałeś gdzie mego ojca Thady? *).

— Bądź spokojna! Ojciec twój mnie tu właśnie przysyła i każe ci powiedzieć, że nie wróci do domu, jak około 10-téj tego wieczora.

— Gdzieżeś go widział?

— Obaj z Tomaszem wracali z miasta, kiedym ich spotkał; Tom mówił, że ja za niego prędkiej tu dobiegnę, do Topoli — a że oni śpieszyć muszą do Michała Myles!

— Do Michała Myles! . . .

— Tak, do tego, co to. . .

— Już wiem, Thady. Żeby choć Pal przyszedł rychło, bo ja sama z Maryanną nie spędzę bydła z pastwiska!

— Ty Hessy!

— Albo co? Bo to ja nie potrafię? Albo my z Maryanną nie pracujemy za troje i czworo, odkąd ta migracya pokutuje w mieście?

— Biedna Hessy! Ale wiesz? . . . mam plan!

— Jaki?

— Słuchaj. Matka Kirvan nie chce jechać do Ameryki, bo ją ciotka moja, Piotrowa Dogherty, bierze do siebie. Ale Gandy może starowinę zmusić, bo podpisała zgodę. Jeżeli je-

*) Hessy, zdrobniące z Ester; Thady, imię szczególniej często używane w połudmowej Irlandyi, zamiast Thaddeus (Tadeusz).

dnak Kirwanowój uda się zostać u ciotki, wtedy ja mam z domu ustąpić i pracować w sadzie pana Peet.

— Tego kwakra, z tamtój strony pastwiska, Thady?

— Właśnie. O szóstój wieczorem będę wolny codziennie. W sobotę rano mam sprzedawać jarzyny i owoce w Tramore. Więc, jeśli zgoda, przyjdę tu każdego wieczora, i będę ci pomagał we wszystkim!

— O, jabym tak rada była!... tylko Thady, ty będziesz zmęczony...

— Co też ty mówisz, Hessy!

— Ale ojciec?

— Ojciec O'Grady...

W tój chwili Hessy spostrzegła szybko zbliżającego się jeźdźca. Zaledwie Thady miał czas skoczyć poza róg chaty, gdy kapitan Gandy stanął na spienionym koniu przed drzwiami i zawołał:

— Hola! Jest tam kto w domu?

Nie otrzymując natychmiast odpowiedzi, plenipotent zsiadł z konia i prowadząc go za sobą pod otwarte jeszcze okienko, powtórzył pytanie.

— Nie ma tu dziś nikogo, proszę pana, oprócz mnie i Maryanny w kurniku, — odpowiedziało małe dziewczę, ukazując się równocześnie w progu chaty.

— Gdzie jest O'Grady?

— Ojciec mój, proszę pana, nie wrócił z miasta i nie wróci rychło.

— Kroćset tysięcy dyabłów! — wrzasnął kapitan. Tymczasem Hessy już się cofnęła do chaty, drzwi jednakże zostawiając otwarte.

— Chodźno tu dziecko, — rozkazująco odezwał się Gandy, wsiadając na konia. — Powiedz staremu O'Grady, że dłużej, jak do popołudnia, jutro czekać na rentę nie będę. Jeżeli nie za-

płaci wszystkich zaległości — rozumiesz dziecko, wszystkich! wtedy fora z domu i z farmy!

Hessy, łkając i zanosząc się od płaczu, usiadła na progu. Kapitan Gandy wbił koniowi ostrogę, aż ten dęba stanął i zatoczywszy się w miejscu, galopem popędził do Tramore.

Thady, który sam niewidziany, widział i słyszał wszystko, przybiegł do ciężko strapionej dziewczynki i podnosząc ją z progu, pocieszał jak mógł.

— Hessy! Hessy! biedna Hessy, nie płacz, nie płacz! Może ojciec O'Grady znajdzie sposób jaki, może już wie, co ma zrobić; może dlatego nie ma go w domu! Hessy! cicho już, cicho!

— Oh!... jutro w południe! o! o!... Thady! Thady! cóż my poczniemy! Mój biedny, drogi, stary ojciec!... Thady, jak ja mu to powiem.

Już i Maryanna stała przed chatą. Szlochając głośno, energiczna dziewczyna puściła wodze zaciekłości swój, nietylko przeciwko panu Gandy, lecz wszystkim plenipotentom kraju:

— Tacy to oni zawsze! A ten Gandy, skąd się tu wziął? Ho! ho! wiem ja dobrze; a kto to był pisarczykiem u notaryusza jakiegoś w Dungarvan? Gandy? O nie! Nibyto nie Gandy dorobił się łaski lorda Grownera przez... Ho! ho! Mogłabym powiedzieć, ale nie chcę! Mylady Growner wie dobrze, że to nie Gandy (o nie!) — tylko kto? Ha! Biedne dziecko! Bigorra! Albo to Brygida, co to służy u jego żony za mamkę (jabym w takim domu nie służyła, gdyby mi tam pełen fartuch złota dawali co miesiąc), nie mówiła ostatniej niedzieli, po nabożeństwie, w szynku pani Clancy (Józefowej Clancy — nie tamtęj przy policyi), że wróci nocą — to pijany, jak bestya, poniewiera żonę (nieszczęśliwe stworzenie) i... Ho! ho! żeby lord Growner mnie się poradził, tobym ci ja obmalowała tego kapitana Gandy! On to niby kapitan!... (John, stary John

Malony wie, gdzie to kapitaństwo!) A dziecko skarżyć to umie, opasły złodziej! Głupie ciele!...

— Thady, trzeba nam spędzić bydło, tak już późno! — odezwała się nakoniec dziewczeczka, która przez cały ten czas, zakrywając twarz rękoma, zdawała się waleczyć z zupełnym zwątpieniem.

— Chodźmy, Hessy, — rzecze Maryanna, biorąc z poza drzwi batóg i drewniaki. — Może nam Thady Kennedy pomoże trochę!

Wszyscy troje udali się w tę stronę farmy, gdzie się pasło bydło. Było to pastwisko oddalone od chaty o dobre ćwierć mili, i odgrodzone od reszty gruntów ułożonymi na pewną wysokość kamieniami. Ogrodzenia takie widać po całej południowej Irlandyi, gdzie hodowanie bydła stanowi najważniejszą część zajęć rolnika. Gdy przyjdzie zamienić pastwisko, farmer przenosi kamienie i układa je w inném miejscu.

Hessy szła w milczeniu, zajęta bezwątpienia rozwiązaniem trudności, jakby najlepiej przygotować ojca na dzień następny. Maryanna rozpytywała chłopca o wiadomości z okolicy: kto jeszcze podpisał registr emigracyjny? co pocznie ten i ów, lub ta i owa — jeżeli, pozostając w baronii, wystawi się na bezwzględna surowość plenipotenty? i t. p. Thady odpowiadał, jak i co wiedział, aż doszli do pastwiska. Odwaliwszy kamienie u przejścia, Maryanna z pomocą chłopca wyprowadziła krowy i woły — razem nie więcej, jak trzynaście sztuk bydła. — Gdy Hessy rozpatrując się dokoła zaczerwienionemi od płaczu oczami, nagle zawołała:

— Gdzie jest Nina? Widzieliście Ninę?

Ale ulubioną jałoszki nigdzie widać nie było. Thady wrócił do pastwiska, i tam jej nie było! Obiegł łąki, wyszedł na waterfordzką szosę i przejrzał zarosłe rowy, ale ani śladu Niny nie znalazł!

Po wydojeniu dwóch krów, należących do farmy, Maryanna i Hessy wyszły z chłopcem ku wybrzeżu do chaty stróża królikarni, który mógł spostrzec zabląkane bydłę z tej strony Topoli, gdyby przypadkiem tam zaszło, lub (czego się Maryanna obawiała), gdyby je kto uprowadził. Ale młody Havanagh zapewnił, że w ciągu całego południa ani jeden człowiek, ani żadne zwierzę nie było na królikarni.

Ponieważ niepodobieństwem byłoby, żeby jałówka sama odbiegła z pastwiska, przeto Maryanna radziła poczekać aż do powrotu ojca O'Grady, który będzie najlepiej wiedział jak sobie postąpić, aby odszukać uprowadzoną widocznie faworytkę córki. Thady byłby chętnie powrócił do Topoli i został przy Hessy i Maryannie tego wieczora, ale na prośbę ciężko strapionej dziewczki obiecał stawić się rychło nazajutrz, a tymczasem opuścić ją przy ostatnim zakręcie drożyny i pośpieszyć do domu.

— Lepiej mi będzie samój być z ojcem, — rzekło dziewczę, — choć Bóg wie tylko, jaka to noc będzie! Nieszczęście z wszystkich stron!... Dziękuję ci Thady za pomoc i... za to, żeś tu był. Dobranoc.

— Tylko nie płacz tyle, Hessy! — odparł chłopiec. Zobaczysz, że wszystko się dobrze ułoży; bo nawet ta strata biednej Niny każe mi domyślać się, że trzeba ci będzie poświęcić coś dla zachowania więcej. Dobranoc, Hessy, śpij spokojnie małeńka! Dobranoc Maryanno!

Thady ucałował swoją przyjaciółkę i od zakrętu pobiegł wzdłuż kopców w stronę Tramore.

Z powrotem do chaty, gdy Maryanna zajęła się w kuchni przygotowaniem wieczery, Hessy w wielkiej izbie postawiła na stole dzbanek piwa i kubek blaszany, talerz z chlebem, masło, noże i łyżki; poczem do kominka wysunęła wygodniejsze krzesło, z którego ojciec łatwo mógł dosięgnąć tytoni i fajkę, leżące na gzymsie.

Już było dobrze po 10-tój i noc ciemna na dworze, kiedy Hessy usłyszała szczekanie psa, i zbliżające się kroki ojca. Wybiegła naprzeciw, jak zwykle, kiedy ojciec wracał późno, ale ten już był w sieni.

O'Grady, którego w okolicy zwano „ojcem O'Grady“, mógł w istocie uchodzić za dziada maleńkiej Hessy, gdy ją w tej chwili podniósł z podłogi i trzymając w ramionach, ucałował. Wysoki, lecz pochylony, z twarzą bez zarostu, jak większa część irlandzkich rolników, włosy miał zupełnie białe, choć jeszcze gęste. Piękną w swym wieku miał twarz O'Grady: czoło szerokie i nie zaniskie, nos krótki, prosty i dobrze osadzony między ciemnymi oczami, które umiały wyrażać gorącą miłość rodzicielską przy ogólnem usposobieniu nerwowém farmera. Pewne drżenie dolnej wargi przypisać możemy o tyle chwilowemu wzruszeniu, o ile zapewne wrodzonej porywczosci charakteru, uwydatnionej pod wpływem okoliczności.

Wieczera przeszła, a ani ojciec, ani córka nie przerwali milczenia: O'Grady nie spostrzegł nawet, że Hessy, ledwie dotknęła jęczmiennój kaszy.

Biedne dziecko rzuciło trwożliwe spojrzenie na zadumanego starca, który, wbrew nawyknienu, pozostał przy stole i zdawał się zapomnieć ulubionój fajki. Nareszcie Hessy przemówiła głosem, który usiłowała uczynić pewnym.

— Ojezulek nie siądzie w fotelu?

— I owszem, Het! Ale na ciebie czas już, czas, małeńka! Idź spać, Het, bo to już po 11-tój!

— O, jabym oka nie zamknęła, ojezulku! Czy Tom śpi z Patrykiem na pokładzie?

— Tom nocuje dziś w Tramore, Het.

— W Tramore?...

— Chodźno tu maleńka, — odparł O'Grady, niby nagle zdecydowany. — Będziesz miała Ninę, jak nam tylko Pan Bóg trochę pomoże. . . tak, tak tę samą Ninę.

— Och! ojezulku, mnie wcale o Ninę nie idzie! Gdzie się ona podziała?

— Słuchajno, Hessy. Wiem, że tu był Gandy, bośmy go z Tomaszem spotkali. Otóż nie bój się, moje dziecko! Wszystko się urządzi jak najlepiej, dałby Bóg tylko zdrowia i dobrego urodzaju z ziemniaków, które zaraz po niedzieli zaczniemy sadzić na naszym gruncie, za zeszlóroczném pastwiskiem.

— Ale, ojezulku, jutro w południe. . .

— No, tylko nie płacz, maleńka: nie ma czego! Tom jutro rano sprzeda Ninę panu Peet, który nam ją wróci, jestem pewien, za parę szylingów w dodatku, skoro będziemy ją mogli odkupić. Nina da zawsze. . . cztery, cztery i pół suwerena. Byłem u Michała Myles i on mi pożyczył trzy funty. Możeby zebrać razem z jakich ośm funtów: to więcej jak połowa zaległego długu. Gandy nie może nas wyrzucić z osady, odebrawszy jutro tyle.

— Chwała Bogu! — zawołało dziewczę. — Ale, ojezulku, ten Myles. . .

— Wszystko będzie dobrze, Het! Zmów teraz pacierz i idź spać, bo trzeba będzie ci wstać rychło i zanieść niektóre rzeczy bratu do Tramore. Niech cię Bóg błogosławi, mój aniołku najdroższy!

W pół godziny potem głęboka cisza zaległa w chacie ojca O'Grady. W maleńkim alkierzyku, obok wielkiej izby, w białej pościeli łóżeczka spoczywało dziewczętko snem zdrowia i spokoju. Starzec zbliżył się, pochylił, złożył długi pocałunek na czystém czole śpiącej, i wychodząc z alkierzyka, szepnął do siebie:

— Mój Boże! czasami bym pragnął, żeby to dziecko nie było tak bardzo podobne do nieboszczki! . . .

III.

Kiedy wskutek „czarnego głodu“, w r. 1846, setki tysięcy biednej ludności irlandzkiej znalazły się bez dachu, bez chleba i bez opieki W. Brytanii, wtedy jeneralny zarządca dóbr księcia Devonshire, Trench *), pierwszy wprowadził system t. zw. „emigracyi wspieranej“. Aż do owego czasu emigrował, kto miał na to, a nie widział już przyszłości w ojczyźnie. Irlandczyk trzyma się do ostatniego ziemi matczynej: uczeiwy, czy nie uczeiwy, przenosi wszelką nędzę nad wychodźstwo. W tej instynktowej, że tak powiemy, miłości irlandzkiego celta do zielonych brzegów „Świętego Erynu“ leży siła całego narodu, której nie mogli skruszyć nieprzebierający w środkach mężowie stanu angielscy.

Trench wykazał księciu najprzód, a później i innym wielkim właścicielom irlandzkim, rzeczywistą korzyść wspieranej przez nich emigracyi. Prawodawstwo brytańskie ustanowiło bowiem, iż każdy obwód podejmować winien swych ubogich. Delegaci obwodu, częścią wybrani od ludu, częścią będący nimi „ex officio“, tworzą ciągłą komisją, pod nazwą „Stróżów ustaw dotyczących ubogich“, zasiadają dwa razy tygodniowo w obwodowym „domu pracy“ zwanym również „Unią“. Ubodzy unii utrzymywani są z podatków reszty mieszkańców; im więc liczniejsi „pauprowie“, tém większy na obwód spada ciężar podatkowy. Kiedy więc w dobrach księcia Devonshire cała nieledwie

*) Brat żyjącego dotąd dublińskiego arcybiskupa anglikańskiego.

suma podatków na ubogich zaległa na samym właścicielu i drobnych kramarzach, lub innych mniejszych przemysłowcach kilku okręgów, w hrabstwach Limerick, Kildare, Kerry i Cork — Trench słusznie wyrachował, że taniójby wysłać było zrujnowanych mieszkańców raz na zawsze z dóbr całych, aniżeli utrzymywać ich rocznie po uniach. Nadto księżę, a stopniowo i inni właściciele, odzyskałby nakoniec osady i zupełną swobodę następujących kontraktów.

Plany Trencha zostały przyjęte z zapędem. Rok 1846—47 stanowi słynny epizod w dziejach Irlandyi: emigracya ludu przygotowała więcej, niż inna jaka okoliczność, rewolucyą roku następnego. Trench zmuszony był opuścić wyspę, bo na życie jego czychano w każdym hrabstwie.

Właściciele wspierali wychodźstwo ludu aż pod rok 1879 t. j. kilka miesięcy przed rozpoczęciem wypadków opowiedzianych powyżej. Gdy jednak lud znalazł sposób położenia końca takiemu wynarodowieniu kraju (sposób, który w dalszym poznamy ciągu tej powieści), właściciele udali się do rządu, nagłając, aby tenże wziął na siebie „obowiązek“ i odpowiedzialność systemu Trencha.

Stało się to w r. 1881; rząd, jak wiadomo, ustąpił autonomistom irlandzkim i wydał im pierwszy grosz sprawiedliwości, ustąpił zatrwożonym o irlandzkie wybory stronnictwom brytańskim, i uczynił ustawę agrarną dostatecznie elastyczną; ustąpił wreszcie właścicielom i dodał artykuły ustanawiające „emigracyą wspieraną przez państwo!“

Pomimo głębokiej odrazy ludu do opuszczenia ziemi, o której wie, że z prawa Bożego, i z praw tradycyi, i z praw naturalnych należy do niego, nie ma tygodnia, żeby pod rubryką „Exodus ludu irlandzkiego“ nie znalazł w pismach całych setek.

I tak, w południe samo, w piątek dnia 16 kwietnia 1878 roku, miasto Waterford przedstawiało obraz niezwyčajnego ruchu. Ulice prowadzące do rzeki, która tam jest przy swém ujściu, przepełnione były tłumem mieszczan i ludzi zamiejskich. W porcie tłum był gęstszy i więcej jednolity.

Parowiec „Smok“ podniósł kotwicę i czekał tylko na podniesienie kładek i odwiązanie lin, łączących go z lądem. Kapitan statku wydawał głosem zachrypłym rozkazy, niecierpliwie się na nieskończony jeszcze ruch dźwigni, spuszczejących skrzynie i paki.

Na pokładzie kajutowym znajdowało się kilka osób, kobiet i mężczyzn, odbywających podróź do Ameryki w interesach, lub może dla przyjemności. Zaopatrzone we wszelkie potrzeby i wygody, osoby te przechadzały się wzdłuż balustrady, lornetując część parowca przeciwległą, czyniąc uwagi nad niektórymi szczegółami smutnej sceny, lub wymieniając pożegnania z przyjaciółmi z nad brzegu rzeki.

Przy wstępie do przedniej części okrętu stał kapitan Gandy, w towarzystwie poborey biletów i Grubba. Plenipotent twarz miał zachmurzoną; na przekór wysileniom własnym i najlepszym chęciom interesowanego urzęduika Spółki, liczba wychodźców z dóbr Grosvenorskich nie doszła do 14 osób, gdy co najmniej 60 powinno było (według obliczeń i przygotowań) opuścić baronie Cappelquin i Tramore.

Na przednim pokładzie, gdzie zamiast kajut, jedyne pomieszczenie ofiarowała podróżnym długa i niska galerya podpomostowa, widok był rozdzierający serce!

Około dwunastu mężczyzn i blisko tyle kobiet, największa część z nich z okolic miasta Cork i z przeludnionych baronii hrabstwa Limerick, tworzyło ściśnione grupy, w których napróżnobyś szukał twarzy, rozjaśnionej nadzieją, lub choćby spokojnej obojętnością. Kobiety głośny zawodziły płacz i w języku

gaelickim wyrażały najrozmaitsze uczucia nieokrzesanego może, lecz szczerego i serdecznego przywiązania do ziemi, którą za chwilę miały opuścić na zawsze. Wiele z nich siedziało skulonych na kręgach lin i powrozów, tuląc jakim takim łachmanem jedno, lub dwoje niemowląt od chłodu i wiatru; inne w ramionach swych podnosiły dzieci starsze, wołając:

— Patrz! patrz! mój skarbie, patrz, póki ci oczy starczą na Eryn zielony i na ten lud nasz święty, którego już nigdy nie zobaczysz!

Mężczyźni, jak kobiety, byli z małymi wyjątkami wszyscy młodzi, lub w pełnej sile wieku. Stali oni na pomoście i żegnali swych przyjaciół i krewnych na brzegu, jedni językiem celtyckim, inni po angielsku; jedni, puszczać wodze skargom i narzekaniom; inni, liczniejsi, niewyborowemi słowami wyrażając wieczną nienawiść Anglii i Anglików, właścicieli i urzędników, protestantów wogóle.

— Ha! saksońskie tyrany! Wyszaliście z nas, jak pijawki, wszystko, coście mogli, musha*). Teraz będziecie się rozpierali po naszej nieszczęśliwej ziemi, i tam, gdzieby wszystkim tu nam można pracować i żyć, jak chrześcianom, wy psy, trzymać będziecie i tratować pod kopytami koni ziemię, którąśmy po dziadach i pradziadach krwawym zlewali potem!

— Sprowadźcie tu teraz swoich Saksonów i Szkotów! — wołał inny, — ale Bóg Wszechmoeny nie pozwoli nigdy waszemu robaictwu rozplenić się w świętej Irlandyi!

Kilkunastu kapłanów, stojących na wybrzeżu, którzy towarzyszyli wychodzącym swym parafianom aż do waterfordzkiego portu — usiłowało poskromić wybuchy wściekłości, jakie nurtowały w ludzie.

*) Musha, gaelickie: Tak jest.

— Agra! *). Nie zapomnijcie nas w Ameryce! — zawołał ktoś z pomiędzy tłumu na lądzie. — Każdy z was powinien tam zebrać koło siebie dziesięciu mścicieli. . . .

W téj chwili powstał krzyk na pomoście, krzyk kobiet i dzieci. Kapitan parowca, słuchając rady plenipotenty, rozkazał majtkom sprowadzić kobiety do galeryi, by tym sposobem zmniejszyć obraz nędzy, jaki widocznie wzburzał coraz gęstsze masy ludu na lądzie. Równocześnie, dwóch konstablerów wprowadzało na pokład człowieka zupełnie pijanego, w którym ledwie jakakolwiek spostrzedz było można przytomność umysłu.

— To Hugo Mac-Grath! — szepnął Gandy, blady ze złości, z zaciśnionymi pięściami. — Nie umknął ptaszek!

— Ale na Tomasza O'Grady i starą Kirwanową nie ma już co czekać! — dodał Grubb.

— Opłacą oni za to w sądach hrabstwa!

Dzwonek sygnałowy brzęknął raz ostatni. Plenipotent, Grubb i poborca biletów zeszli z pomostu. Dwoch pierwszych otoczyła natychmiast protekcyjna eskorta constablerów i tajnych policyantów.

Przy samym brzegu stał Marcin O'Grady, trzymając za rękę maleńką Hessy. Maryanna została w tyle, pomiędzy kobietami. Patryk wołał z pokładu, pomimo warczenia kół:

— Jeżeli mi Bóg da życie, ojeze; to wrócę za trzy lata, żebrak, czy nie żebrak! Bądźcie zdrowi! Bądź zdrową Hessy! Pamiętaj, com ci mówił o Michale. . . Bóg z wami!

Obok O'Gradych, stał inny starzec, ledwie pokryty łachmanem, podpierając wiekową kobietę, widocznie swą żonę. Staruszka trzymała w ręku wysoko czepek swój biały, zamiast chustki, ale półbezprzytomna, w boleści swój nie była zdolną powiać nią na znak pożegnania, ku odpływającemu synowi.

*) Agra — przyjaciel.

Przez zapłakane oczy duszę swą wpatrzyła w smutne oczy swego ukochanego tak głęboko, z taką miłością i z takim niezmiernym żalem, że szorstki porucznik parowca, patrząc na nią z wysokiego mostku, otarł łzy na uboczu i mruknął do siebie:

— Biedactwo! Biedactwo! to pogrzeb żywcem, żywcem!

Parowiec cofnął się i wracając, wypłynął na środek rzeki Suir. W jednej chwili, podróżni przedniej jego części i tłum nadbrzeżny, wychodźcy i pozostali rzucili się na kolana.

Kapłani wyszli naprzód i z uroczystą modlitwą, powtarzaną po obu stronach, błogosławili znakiem Odkupienia straconych synów kraju. Poczém wszyscy powstali. Z piersi blisko tysiąca ludu wydarł się okrzyk jeden i złączył z okrzykiem wychodźców:

— „Erin Go Bragh! Erin Go Bragh! Erin Go Bragh*!)....

Tylko dwoje staruszków w zbolałych piersiach nie znalazło siły do wtórzenia okrzykom. On — patrząc na szybko znikający parowiec — nie widział i nie słyszał niczego do koła; ona — gdy „Smok“ zniknął już z zamglonego jój wzroku — stała tak jeszcze z ręką podniesioną na znak ostatniego pożegnania. . . .

IV.

— A teraz przyspieszcie kroku! Zanim noc zapadnie, zdążycie obie do Topoli. Bydło już będzie w oborze; chyba stary Jan nie był bez butelki; w takim razie zbudźcie go i pomożecie mu. Trzeba mi koniecznie zajść do Tramore i zobaczyć, jak stoi sprawa twego brata.

*) Niech żyje Eryn!

— Zabierz mnie z sobą ojezulku kochany!

— Nie, nie, moje dziecko. Zdaleko dla ciebie i zapóźno. Zresztą, ja sam jakoś potrafię dojść do niego niepostrzeżony; we dwoje byłoby trudniéj.

— Więć to ja już nigdy nie zobaczę Tomasza!

— Nigdy? Zobaczysz go jutro, Het. Wstaniesz rychło i pójdziesz sama, albo z Thadym.

— A czemu to nie ze mną? — odezwała się Maryanna, — toż i jabym rada widziała waszego syna, ojeze O'Grady, zanim...

— Ktoś musi pilnować domu i gospodarstwa, dosyć już zaniedbanego od kilku dni. No idźcież już, idźcież! Nie czekajcie na mnie, bo może nie wrócę, aż po północy... Cóżto?

Wszyscy troje stali w téj chwili na szosie, w miejscu, gdzie schodziła do niéj polna ścieżka, wiodąca do Topoli. Po drugiéj stronie szosy rozciągało się, na niedługiej przestrzeni, gęste zagajenie. Ztamtądto Marcin O'Grady posłyszał szelest i szybkie kroki kogoś zbliżającego się. Niebawem, z pomiędzy krzaków wyskoczył na drogę człowiek niskiego wzrostu, lecz niezwykle silnéj budowy ciała. Potężna pierś jego wznosiła się i spadała, jak po nadmierném zmęczeniu. Zdjął z głowy szeroki, filcowy kapelusz, wy dobył z niego dużą chustkę czerwonego koloru i otarł twarz z potu.

— Ach, to wy Michale! — zawołał O'Grady, patrząc zdziwiony. Hessy z Maryanną wyszła na ścieżkę ku Topolom.

— Wiecie już?... Słyszeliście?...

— Cóż takiego? — zapytał O'Grady. — Cóż się stało? Wyglądasz, jak gdybyś...

— Ja? Nie dziwnego!... Biegłem, jak opętany... przez bagno... zagajenie... Grubb... Gandy...

— Cóż z nimi?

— Zamordowany!

— Kto?

— Grubb!

— Grubb!!

— Zamiast tamtego!... chłopcy... chłopcy nie mieli szczęścia! Grubb i kapitan szli razem... wracali z ratusza do biura. Padł strzał, ranił kapitana. Gandy się obrócił, Grubb wyjął z kieszeni rewolwer. Ktoś inny zaszedł go z tyłu i... pchnął mu nóż pod łopatkę. Krzyk! Gandy puścił się za jednym z chłopców, tym co miał nóż; ale wrócił sam! Policya przyszła — zapóźno. Grubb, konając, szepnął: „Tomasz“ i nie więcéj. Zdechł!

— Boże! Boże! — zawołał O'Gracy, opuszczając ręce. — Jedno przekleństwo więcéj nad krajem!

Myles nie odpowiedział. Milcząc przez czas jakiś, poszli obaj drogą wiodącą do Tramore. Nareszcie O'Grady, jakby prowadząc głośno dalszą z samym sobą rozmowę, w te się ozwał słowa:

— Póki się ludzie nie nauczą cierpieć bez skargi, dopóty będą bezsilni! Skoro tylko poczną wyrzekać, to już pewnoś, że z siebie samych do niczego nie są zdolni.

— Są zdolni! — zawołał Myles. — Alboż to nie dowodzi siły i poczucia siły, że żaden czyn niesprawiedliwy i nie-ludzki ze strony obcych nie uchodzi u nas bezkarnie!

O'Grady smutnie pokiwał głową.

— Ze strony obcych, — powtórzył, — ale kto ukarze zbrodnie nasze własne, popełniane przeciwko nam samym, przeciwko najświętszej sprawie naszej?

— Ej! — przerwał Myles na pół szyderezo, — jużto wy O'Grady, nie wiele o téj sprawie mózgu sobie suszycie. No i nie dziw!...

Starzee przystawał, spozrzał głęboko w oczy towarzyszowi i nie mówiąc słowa, ruszył gwałtownie ramionami. Widocznie jednak gorące jego usposobienie potrzebowało się wyrazić sło-

wem, gdyż po uczynieniu kilkunastu kroków, wybuchnął głośnym żalem.

— Albo ja to nie wiem, od dawna, że tak o mnie myślicie, wy niedowarzeni! o mnie i nas wszystkich, którzy się trzymamy starój Irlandyi. Ta wasza „Młoda Irlandya“, jak ją nazywacie, to niewiara i nieprawość, to mord i grabież, to zbrodnia i czyste pogaństwo! Nie takim, jak ty, był ojciec twój, Piotr Myles! Nie takim ty sam byłeś, Michale Myles! Powiedz sam, od czasu jakieś wrócił z Ameryki, czy choć raz modliłeś się szczerze i ze spokojném sumieniem do Boga, który sądzić będzie nas wszystkich?

— Gdzie niebo nie pomaga, tam dyabeł pomoże!

— Milez szalony smarkaczu! nie bluźń! Bij się w piersi i proś Boga, aby ci przebaczył! — zawołał starzec głosem, który wśród nocnej ciszy odbił się powtórzoném echem o pobliskie skały nadmorskie.

Zbliżali się w téj chwili do miasteczka. Myles postępował cokolwiek z tyłu ze spuszczoną głową. Gdyby to było za dnia i gdyby O'Grady zwrócił uwagę na swego towarzysza, możeby zaniepokoił się, śledząc jego oczy, bo Michał nie mógł pohamować wyraźnej gry swych namiętności na rozpłomienionój twarzy. Pohamował się przecież w dalszej rozmowie:

— Nie obrażajcie się, sąsiedzie O'Grady! Toż młodość nie świętość, nie męczeństwo!

O'Grady dobre miał serce; nie odpowiedział wprawdzie, ale zwolnił kroku, aby się zrównać w drodze z Michałem.

— Jeden wyraz zaniepokoił mnie bardzo w ustach umierającego Grubb'a, — przemówił znów ten ostatni. W chwili, kiedy padał na bruk, śmiertelnie raniony, wybełkotał imię... imię tylko swego mordercy.

— I jakież to imię? — zapytał starzec chłodno, zapominając, iż je raz już słyszał od Mylesa.

— No... ja tam nie byłem; ale jeden z „chłopców“ przysięga, że Grubb wspomniał imię waszego syna „Tomasz“!

— Czemu Michale mówisz: „imię mojego syna“?

— O! bez myśli! bez myśli! Wszak kiedy „chłopcy“ czekali na swoich, obaj wasi synowie już byli na morzu!...

O'Grady mileżał, a Myles twarz swoją odwrócił od niego, by nie ukazać uśmiechu dzikiego zadowolenia.

Weszli w pierwszą ulicę od wybrzeża, zwaną Pomostem. O'Grady postępował coraz wolniej. Dotąd nie przyszło mu na myśl zapytać towarzysza, co by go sprowadzało o tej porze do Tramore; nagle, postanowił jednak pozbyć się go wszelkim kosztem. Kiedy więc doszli pod najbliższą latarnię, rzekł niby obojętnie:

— Moja droga prowadzi mnie dalej jeszcze, a ty dokąd?

Myles się zająkał w odpowiedzi; ale był przygotowanym:

— Ja... ja do szwagra. Conolly stracił córkę; biedactwo zmarło tego rana, idę do niego na czuwanie*).

— Idź więc, idź, a powiedz szwagrowi i żonie jego, że Marcin O'Grady z Topoli doda przy pacierzu modlitwę za spokój duszy małej Anusi!

Rozłączyli się u stóp pagórka Donerail. Myles wrócił ku Pomostowi; O'Grady wszedł na pagórek i zmęczonym, lecz szybkim krokiem udał się w stronę, gdzie przez noc ciemną odbłyскиwały światła w chatach rybackich. Szedł tak przez dobre pół godziny, ścieżką dobrze sobie znaną wśród skał nadmorskich. Od czasu do czasu ciężkie westchnienie dobywało się jękiem z jego piersi; czasami wyszeptał jakie półzdanie i po-

*) W Irlandyi zachował się pomiędzy ludem obyczaj pozgonnych czuwań. Kapłani katolicycy surowo potępiają tę pozostałość pogańskich obrzędów. Rodzina i przyjaciele nieboszczyka spędzają całą noc przedpo-grzebową na tańcach, jedzeniu, piciu i zabobonném zagadywaniu duchów.

trząsał głową, lub ręką potarł oczy, jak gdyby wierzyć własnym nie chciał myślom, które tak gromadnie nachodziły mu głowę.

— Nareszcie! — zawołał, otwierając chrustową furtkę nędznej lepianki. Janie! Z izby wyszedł człowiek niskiego wzrostu barczysty, z twarzą ogorzałą od słońca i morskich wiechrów. Poznać w nim rybaka odrazu.

— Czy śpi już?

— Któż, Marcinie? — zapytał rybak z pewnym zdumieniem.

— Tomasz, mój młodszy.

— Tomasza nie ma tu, anim go nie widział od...

— Janie? cóżto? Nie ma tu mojego syna?

— Na świętego Patryka! Marcinie, cóż się wam... możebyście weszli i spoczęli... Brygido! żona śpi już; ale poczekajcie!

O'Grady, błądy jak trup, oparł się o mur lepianki, patrząc przed siebie szklannemi oczyma. Kiedy jednak rybak mówić przestał i wrócił do izby zbudzić żonę, starzec porwał się, chwycił za laskę, która mu z rąk dopiero co wypadła i bez słowa wyszedł śpiesznie z zagrody. Gdy rybak stanął przed furtką, zobaczył na drożynie pagórka wysoką postać, nieco przygarbioną, którą oswobodzony z pod chmur księżyc oblewał strumieniem światła.

V.

Wszędzie ciekawości starożytnego Erynu, najpierwsze zajmują miejsce jego okrągłe wieże. Uczeni archeologowie i historycy nie zdołali dotychczas określić z zupełną pewnością, w jakiej epoce dziejów wyspy wieże te zostały pobudowane.



Panuje zgoda jednakże nad jednym szczegółem: że pobudował je lud jakiś obcy, w ciągu pewnego peryodu czasu, w którym mocy jego i władzy podlegał kraj cały. Nie są to budowle duńskie, ani saksońskie, wznoszą się nawet w okolicach, gdzie ani jedni ani drudzy nie postali nogą.

Giraldus Camkrensis, dziejopisarz i dworzanin Henryka I, który opisywał wyspę Szmaragdową podczas pierwszego najazdu Anglii, wspominając o „wielec dziwnych wieżach okrągłych“, twierdzi, iż niektóre z nich służyły jako świątynie do obrzędów religijnych; inne zaś, wznosząc się na wysokich pagórkach, w zanedbanu, „dawały świadectwo barbarzyństwa“. Dlaczego dziejopisarz tak sądził, niewiadomo; chyba w XII już wieku utylitaryzm charakteryzował saksonormanów Albionu.

Wież tych nie brak w głębi wyspy; lecz mnogość ich uderza szczególnie wzdłuż i naokół wybrzeży. Jedne z nich stoją na pagórkach, i te są najwyższe; inne, mniej wzniosłe, rozsiane są po równinach.

Istniały one za czasów patryarchalnych druidów: świadczą o tém olbrzymie głazy, znajdujące się w ich wnętrzu, noszące wyraźne ślady dawno minionych czasów; pismo rżnięte w charakterach, znanych pod nazwą „Ogam“ *), a przypominających słabo pismo runiczne ludów skandynawskich i północno-germańskich. Wysokość ich rozmaita: od 15—30 łokci; przeciętnica ma na zewnątrz około 6 lub 8 łokci. Wewnątrz są one nierównie wyższe, ile, że fundamenta ich, zapuszczone bardzo głęboko, zostały widocznie pokryte na zewnątrz istic kopcami. Budowla ich opiera się dotąd czasowi; niezmierne głazy, silnie spojone, pokrywają się z każdym stuleciem dzikszą roślinnością; jeżeli szczyt ich jest sklepiony, to wiatr napędził na płaskie

*) Do których klucz częściowy znalazł nasz rodak, kapitan Renzyński, weteran żyjący w Londonderry.

sklepienie dość piasku i nasienia, by dziś wysokie krzewy ugięły się pod jego skrzydłami; jeżeli zaś (co można spotkać częściej), wieże są górą otwarte zupełnie, to z wewnętrznych ich szczelin wylatują za dnia stada kruków, a po nocach puszczyki przerywają ciszę zachrypłymi głosami.

O'Grady doszedł do szczytu pagórka, z którego prowadziła ścieżka do Tramore. Szedł ręczo, pośpiesznie; od czasu do czasu rzucając głośne słowo przez ciszę nocną. Nagle zatrzymał się, stanął jak wryty! Wokoło niego żaden przedmiot nie mógł być przyczyną przestachu, czy wielkiego zdumienia.

Marcin O'Grady przywiódł sobie na pamięć spotkanie z Mylesem. Jeden wyraz, jedno imię razido pamięć jego niby piorunem! Grubb, umierając szepnął: „Tomasz“...

Księżyc sam jeden tylko patrzył na pooraną zmarszczkami twarz starca, nie mniej bladą, jak blade nad falami morza obłoki. Ani jeden muskuł nie drgał w tej twarzy; usta zaciśnięte, jak gdyby stalową siłą nerwów powstrzymywać musiały tłoczące się wyrazy, czy — jęki; O'Grady patrzył bezwiednie szklannemi oczyma na tarcz księżycową.

I stał tak przez długą chwilę. A kiedy spuścił oczy i dalej ścieżką postąpił, to krok jego utracił wszelką sprężystość; chód jego był raczej czołganiem się zgrzybiałego starca... Zanim doszedł, dowlókł się do Pomostu, było już blisko północy! Tu i owdzie promienie światła po domach, przedzierając się śmiało przez szczeliny okiennic, spadały na bruk uliczny, konając w sennie jasności księżycowej. Tu i owdzie, gdzie czerwone franki we drzwiach szklonych wskazywały szynkownię, jeden lub dwóch ludzi stało przy ścianie domu, ciągnąc swar pijany, lub wymieniając ostatnie słowa przy rozejściu.

O'Grady unikał owych promieni, unikał tych ludzi, ani twarzy swój ku nim nie zwrócił, lecz raczej zasłonił ją, wciśkając głębiej szeroki swój kapelus. Raz jeden tylko, gdy miał

zajść za róg ostatniego domu w ulicy, obrócił głowę, nie przystawając i wzrokiem przebiegł ulicę. Okropne to było spojrzenie... W oczach poznałby każdy — strach! Strach winnego, lub strach febryczny, dzikszys — obłąkańca!

A potém, wzdłuż wybrzeża, pod wysokim murem, od którego w téj chwili daleko odpłynęły fale oceanu, starzec przyspieszył z wyraźną trudnością kroku, szepeząc często, czasem głośnieję, czasem ledwie dosłyszanaą artykulacyą... Hessy! Hessy!! O Hessy... biedna kruszyna!...

I znów się zatrzymał, ale tym razem nie na to, aby słucać samego siebie, lecz, by rozpoznać ciemną grupę na białej drodze nadbrzeżnej. Nagle, cofnął się bliżej jeszcze pod głazy muru i, wracając, podążył ostatkiem sił napowrót w ulicę.

— Więc już?! Więc już!... Aleć... ja nie wiem — nie wiem! Przysięgam! Nie wiem! — W ten sposób O'Grady brocił się przed zupełném zwątpieniem. Lecz uciekać nie przestawał przed policyjnym patrolem. Z Pomostu podbiegł ciasnym zaułkiem, oddalając się od morza; wyszedł na płaszczyznę, rozłożoną ponad miasteczkiem; przeszedł ją i zaczął wstępować na ostatni taras, zarosły gęstą krzewiną. W samym środku wzniesienia czerniała ku niebu wysoka, starożytna wieża okrągła.

— Daléj już nie mogę, — wyrzekł półgłosem, — a może i nie ma wracać po co! Biedna kruszyna!...

Odgarniając laską gałęzie krzaczastych drzew, starzec znalazł po jednéj stronie wieży, drzwi dające wstęp do wnętrza. Drzwi te, a raczej wrota, niezém się nie zamykały. O'Grady znalazł się na drugim stopniu, prowadzącym w głąb; spuszczaając się ostrożnie i poomacku, doszedł nakoniec do ostatniego i du gruntu. W zupełnej ciemności, jaka tu panowała, natrafił jednakże odrazu na starożytny stół, czy ołtarz kamienny. Oparł się o niego dla wypoczynku; wkrótce jednak uczuł konieczną potrzebę snu; starzec wyczerpał wszystką swą energią, umysł

jego stęzał, że tak powiem, pod naciskiem wszystkich wrażeń dnia, i wszystkich okropnych wrażeń nocy i fizycznego osłabienia. Podeszedł więc do muru. Gdyby był zdolny do najmniejszej refleksyi, możeby go uderzyło, że kładł się na kilku złożonych derach, silnie trąjących zapachem stajennym — i że strudzona głowa jego opadła pół bezprzytomnie poza wysoką beczkę. . .

W niespełna godzinę potem, wewnątrz wieży przedstawiało widok dziwny! Dziewięciu ludzi siedziało naokoło kamiennéj płyty ołtarza, na stołkach, które zostały wydobyte z pod głazu. Jak wskazywało kilka innych stołków tam jeszcze ułożonych. Na historycznym gładzie była rozłożona mapa hrabstw południowej Irlandyi; a obok niej, kilkanaście rozrzuconych listów, w kopertach nie noszących pocztowych znaków, ani stępli. Słabe światło ręcznéj latarki, stojącej na krawędzi stołu, rzucało kilka niepewnych promieni na mapę, zostawiając twarze dokoła siedzących w półcieniu. Okalający mur wieży czerniał nieco wyraźniej tuż naprzeciw stołu, wyżej zaś noc panowała chaotycznie, między powietrzem, gładami, wilgocią, skrzydłami ptactwa; wyżej jeszcze, po nad otwartym wierzchołkiem — gwiazd kilka wpatrywało się z lazurowego nieba, w głąb odwiecznéj budowli.

— A to doskonale! — ozwał się monotonnym głosem jeden z ludzi. — Chłopcy budzą się, budzą. Sześć nowych centrów w dziewięciu tygodniach. . . to znak wcale nie zły. Trzeba je naznaczyć.

To mówiąc, dobył z kieszeni kamizelki czerwonego ołówka i narysował sześć wyraźnych kółek, obok innych, na mapie hrabstw Waterford i Kilkenny.

— Według doniesień Marka Donor'a — przemówił któryś inny, — chłopcy w obwodzie Limerick nie bardzo są skory do powrotu. Boją się, jak oto pisze (wskazując na rozrzu-

cone listy), utraty czasu — kiedy wiosenne roboty wymagają robotnika.

— Komu wola, niech sobie siedzi w domu! — zawołał pogardliwie cienkim głosem jakiś niedorostek.

— Pst! nie tak głośno! — mruknął jego sąsiad. — Mi-
nęły czasy, kiedyśmy mogli wrzeszczeć w tej wieży bezpiecznie.

— Być pewnymi, — dodał inny, — że ani sam dyabeł
nie przerwie naszych rozpraw i obchodów!... Świetne to były
czasy! Świetnych kilka tygodni! Od r. 1867-go, bracia-chłopey,
zaszedłem tu nie więcej, jak dwa razy...

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się niedorostek. — Przyszli-
ście tu, stryju Dowley'u, wypić resztki rumu z tej beczki!

— Toż komuby się innemu należały, jak bratu — szyn-
karzowi? — odparł Dowley. — Świetne czasy! Co tydzień od-
bierałem składki braci-chłopców, regularnie, jak komornik; na-
stępnej nocy ta oto beczka, dziś próżna niestety!... miała
znów swoją tygodniową miarę najlepszego XX porteru; naprze-
ciw stał straganik, a na nim dwie uciążliwe baryłki: jedna z ru-
mem, co to ha! druga z najczystszyim whisky z dystylacji pp.
Kinahau i Sp., w Cork. Kubki i kieliszki były, gdzie są jeszcze:
tu pod stołem. Świetne...

— Pst! Cicho! — przerwał jeden z dziewięciu.

Umilkli wszyscy, zatrzymując oddech przez parę sekund.

— Zdawało mi się, że posłyszałem głos jakiś tu blisko —
rzekł ten, który nakazał milczenie.

— Eh, cóż znowu! Ptactwo u góry, jak zwyczajnie. Toż
to ja nawykłem do ich krakania, kiedy podlecą w górę, ponad
wieżę, to zdawałoby się, że nie one krakają, ale ktoś chrapi
na murze, przy murze, pod stołem, za...

— Beczką! za beczką, ha! ha! ha! — dokończył śmiejąc
się pełnym gardłem niedorostek. — Przyznaj się, stryjasku,

że chłopcy z r. 1867 za tą „uczciwą“ beczką szukali najchętniej. . . .

— Milez! dzieciaku. — Słyszałem wyraźnie jakby ciężkie westeh. . . . — Mówca nie skończył. W tej chwili bowiem padł na stół kamyk jeden — drugi — trzeci.

— To centrum! — rzekł człowiek siedzący mniej więcej naprzeciw stopni, dochodzących do wyjścia z turmy. Równocześnie ten, który sam się nazwał „bratem szynkarzem“, otworzył usta, przygarbił się i naśladując doskonale krakanie wrony, odezwał się sześć razy.

Po stopniach spuścił się dziesiąty członek nocnego zebrania. Był to człowiek niskiego wzrostu, lecz niezwykle silnej budowy ciała. Przystąpił do stołu, sehylił się, wyciągnął stołek, siadł, i krótkim, suchym, dobitnym głosem rzekł jedno słowo:

— Wiecie?

— Wiemy, — odpowiedziało kilka głosów.

— Innéj rady nie było! — ciągnął dalej nowoprzybyły, wodząc okiem na okół stoła. — Tomasz O'Grady zawiódł. Dyabli wiedzą, gdzie teraz siedzi! Ale był na. . . był przy egzekucyi. Kiedym dał znak, Tomasz strzelił w powietrze — i uciekł! Macie oczy, macie uszy, nie spuszczaćcie zdrajcy z pamięci: patrzcie za nim! Nie było innéj rady! Grubb mierzył we mnie. Zaszedłem go. Dałem mu dziesięć cali pod łopatkę. . . Zdechł!

— A Gandy? Gandy?

— Wyrok pozostaje. . . tylko wybrać trzeba. . . wykonawcę!

Nastąpiło okropne milczenie. Każdy z obecnych patrzył przed siebie oczyma, w których przebijały dwa tylko uczucia: zgrozy i trwogi!

Niedorostek ocucił się najpierwszy z pół bezprzytomnego odretwienia. Zwrócił wzrok swój ku nowo-przybyłemu; stopniowo podnosił oczy od krawędzi stołu ku pierśm naczelnika, ku

szy. . . Nagle odwrócił twarz, potarł ręką czoło i drżeć począł widocznie na całym ciele.

Naczelnik powstał z miejsca. . . naprzeciw niego stał Marcin O'Grady.

VI.

Przez cały piątek deszcz padał rześisty. Poranek sobotni za to wyłonił się jasny i świeży z poza chmur, gnanych ku wschodowi ostatnim powiewem wiatru. Było już dobrze po piątą; słoneczko majowe zbierało gorącymi promieniami wilgoć wczorajszą, przyodziejając łąki przydrożne dziewiczą krasą, dobywając z ziemi coraz to piękniejsze dary matki przyrody. Powietrze przesiąknięte silnym zapachem majowego kwiecia, zdobiącego krzewy wzdłuż gościńca, dźwięczało tą dziwną „muzyką stworzeń niewidzialnych“, o której jeden z nowszych bardów kraju powiedział, że: jest niby zakonną modlitwą, niby zakonnym chorałem próśb i dziękczynienia“.

Przez przydrożne krzewy wyskoczyło na gościńiec czteronastoletnie dziewczę i stanęło na chwilę, z dziecięcym na koralowych usteczkach uśmiechem.

— O! jak tu pięknie! — zawołało, spuszczać wzrok z modrego błękitu niebios i wodząc nim dokoła. Po jednej stronie drogi, wybieloną w upale, wznosiły się tarasowo pola i łąki. Pierwsze, pokryte złotą zielenią wschodzących plonów; drugie, ciemniejące bujnemi trawy, strojne rozrzucenemi kępami pierwiosnków i milionami stokrótek. Po lewej stronie szosy ugory, poprzedzielane miedzami, na których oset krzaczysty pysznił się gorącą barwą żółtego swego kwiecia; poza tym pasem

ugorów, rozciągnięty, jak daleko dojrzyć, trakt piaszczysty, schodzący ku morzu.

— Pięknie! precudnie! Rozkosznie! — raz jeszcze zawołało samotne dziewczę, puszczać się w dalszą drogę.

Wody morskie, odstąpiwszy od wybrzeża, szklily się tysiącami zwierciadeł pod falami światła słonecznego. Barwy ich niepodobna rozpoznać tuż pod słońcem! Dopiero, gdzie przydłuższe smugi światła tracić poczęły rażącą jaskrawość; wody oceanu ciemniały, ciemniały, z białawego błękitu przelewając się w ciemno-zieloną płaszczyznę, bez końca.

I nie dziw, że dziewczę, choć obarezone sporym i nielekkim koszykiem, który niosło to lewą to prawą ręką, szło sobie wesoło i żwawo ku miasteczku! Czyby jednak nie sama świeżość i piękność przyrody wabiła ją do pośpiechu?... Dziewczę podskoczy od czasu do czasu, wyteży wzrok ku najbliższemu na prawo pagórkowi, gładkie jęj czoło sięgnie się nieznacznie, ale na to tylko, aby piękniej twarzyczkę jęj niewinną rozkraść głośnym rozśmiechem.

— Ej! Thady, Thady! zaspaleś, Thady!... Ach Thady! Jakaś mnie przestraszył!

— Dzień dobry! Hessa. Tyś sobie szła wygodnie szosą, a ja blisko ciebie, w rowie, zbierałem fiołki i brodziłem w błocie!

— To mówiąc, chłopiec, który podobnie jak jego towarzyszka, dźwigał koszyk dobrze wypełniony, wydobył z pod wieka dużą wiązkę skromnych kwiatków.

— O, to dla mnie! Dla mnie, Thady!

— Trzy pensy za wiązkę, proszę panienci! — odrzekł chłopiec z komiczną powagą sprzedającego.

— Za wiele, za wiele, — mój mależe! — mówi Hessa z protekcyjną miną mieszczanki.

— Zmieniam warunki! Trzy buziaki, Hessa, a fiołki twoje!

— Zgoda! Sześć, jeżeli chcesz: to nie nie kosztuje.

Zbliżali się do miasteczka. Na widok pierwszej willi, stanęli oboje pod mostem, nad którym krzyżowały się linie kolei żelaznej, i stawiając koszyki na ziemi, przystąpili do zwykłej rewizyi ich zawartości.

— Cóż masz dziś na sprzedaż, Thady?

— O! same przysmaki. Zgadnij ile mam przynieść dziś panu Peet?

Hessy popatrzyła w kosz towarzysza; na wierzchu jednak oprócz kapuścianych liści, nie dostrzegła niczego. Z pewnym więc wahaniem odrzekła:

— A co? Może... z jakich dziesięć szylingów!

— Jeszcze raz tyle i jeszcze pół tyle! Dwadzieścia pięć!

— Thady! Czy być może! A zarobku ile?

— Ile mi się uda wyhandlować, — odparł chłopiec nie bez wzruszenia ramionami, jak gdyby nie spodziewał się zysku dla siebie. I dalej ciągnął:

— Widzisz, maleńka, ze mną to zupełnie inaczej, jak z tobą! Ty sobie sprzedajesz na rachunek własny, a ja dla swego pana. Pan Peet zakazał mi surowo, bym się nie ważył kłaść ceny niższej lub wyższej, jak te, które sam naznacza każdego piątku wieczorem. Patrz tylko te kalafiory mają przynieść po trzy pensy za główkę; mam agrest — siedm pensów kwarta; mam młodą sałatkę — dwa pensy za główkę; są szparagi, czerśnie, są truskawki — po cenie bardzo wysokiej... bo to wszystko zbytki. Jeżeli zbiorę trzydzieści pięć szylingów, a jeszcze mi się coś zostanie w koszu, to mogę to sprzedać na własny rachunek, ale po cenie pana Peeta.

— A jeżeli nikt nie kupi?

— O! o to nie ma strachu! Pan Peet, kwakr, ma najparadniejsze jarzyny i owoce pięć mil dokoła Tramore! Najczęściej, kosz mój próżny — a tu panie i kucharki wołają:

„Thady! a pokażno, co tam masz jeszcze!“ A ty, Hessy, cóż tam dziś u ciebie?

— To samo, co zawsze, — odpowiedziało dziewczę, podnosząc koszyk. — Jaja, masło; jaj mam cztery tuziny, po półtora szylinga za tuzin, bo na targach podrożały; masła ośm funtów po szylingu. Sześć wiązek cebuli, trochę tego i owego, i pierwsze młode ziemniaki!

W ten sposób udzielając sobie wzajemnie przemysłowych informacji, doszli oboje do pierwszej willi, wynajętej na czas kąpielowego sezonu przez rodzinę zamożnego piekarza jakiegoś z Cork. Zbliżyli się do drzwi kuchennych. Hessy pozbyła się odrazu dwóch funtów masła i tuzina jaj, choć twardo musiała targować się o swoją cenę. Sama pani domu układała się z dziewczęciem.

— A może wasz honor, — zawołał pochlebiająco Thady — weźmie parę wiązek młodych szparagów, albo czereśni, albo sałatki. . .

— Ruszaj sobie, maleze! — odburknęła rubasznie otyła piekarka. — Jeszczeby też czego! Któż widział grzeszne łakomstwo takie! Czereśnie i truskawki! . . . Pewnie po szylingu za tuzin.

— Nie, proszę pani; tuzin truskawek kosztuje dwa pensy więcej.

— Jak? co? A chodzisz ty do świętej spowiedzi, łotrzyku! a spowiadasz ty się z takiego grzechu? Żeby dary Boże sprzedawać za tyle pieniędzy! Nie śmiać się!! Patrz mi prosto w oczy — mów czystą prawdę: Chodzisz ty. . . ty — ty nieuczciwy maleze, do świętej spowiedzi? Odpowiedz!

— Chodzę, proszę pani, ale pan Peet nie chodzi, a pan Peet nie weźmie mniej, jak czternaście pensów za dwanaście truskawek!

— To niechże ten twój pan Peet, żyd pewnie, albo szkot, schowa swoje truskawki aż do ostatniego dnia!... A tobie czego tu potrzeba? — dodała obywatelka, gdy maleńki chłopczek, trzyletni, wybiegł z poza kuchni i chwycił się matczynej sukni. — Idź do Brygidki, moja pieszcotko, mój aniołku, mój złoty ptaszku! — A ruszajże sobie, ty niechrześcijański chłopeze!

— Mamo! tłustanki! tłustanki... Pat mały chce tłustanki. Mamo! — wołał złotowłosa chłopczyca na widok ponętnego owocu, który mu Thady pod ukradkiem pokazywał, zamykając niby wieko swego kosza.

— Chciałbyś tłustanki! Ale mój ptasiuńciu, mój szczygiełku, mój ty kanareczku, tłustanki niedobre! brrr! niedobre. — A pójdziesz ty sobie! Ty... biegaj mi co tchu ztąd!

— Doble, Mamo! tłustanki dobre! Pat chce... — i dzieciak w płacz.

— Hej! Jakże ci tam? A nawróćże tu zaraz, ty... jakże ci tam — Peet!

Poczeiwa miaszczanka, która za ciężki uważała grzech wydać pieniądze na kilka marnych, choć ponętnych truskawek, kupiła cały ich tuzin.

— Trzy na teraz, mój aniołeczku; trzy jutro po nabożeństwie, jeżeli się dobrze zachowasz w kościele; trzy po jutrzejszym obiedzie; a trzy dla ubogiego jakiego chłopca, które dasz własną swoją kochaną rączusią!

— Mamo! mamó! — wołał Pat maleńki, gdy Hessy z Thadym opuściła najbliższe sąsiedztwo domu. — Mamo! Pat podaruje tłustanki ubogiemu kupcowi i jego siostryce, co...

Wspaniałomyślny „kanareczek“ dokończył w objęciach matki reszty zdania. Nasi zaś przyjaciele ponieśli dalej swe towary; chłopiec kołatał do każdego zamożniejszego domu, kiedy

dziewczynka zachowywała cenione „masło i jaja z Topoli“ dla swój własnej klienteli!

Przebiegły Thady, obeznany dobrze z tramorskimi rezydencyami tak zawsze do nich zachodził, żeby go dzieci lub młode panienki mogły spostrzec z pokoiów, w których się o tój porze znajdowały.

Hessy pierwsza pozbyła się wszystkich zawartości koszyka. Oboje usiedli w cieniu drzewa na miejskiem targowisku, aby zliczyć zarobione pieniądze. Trwało to dobrą chwilę, bo żadne z nich nie potrafiło objąć pamięcią większej sumy, jak dwanaście. Chcąc się zatem dowiedzieć, ile zebrała szylingów, Hessy układała swoje miedziaki w stożki; każdy stożek o dwunastu pensach, to jeden szyling!

— Aleś ty dziś bogatsza ode mnie, Hessy! — zawołał chłopiec po ukończeniu sumowań. — Trzydzieści szylingów, cztery i pół pensa! . . .

— Nie spodziewałam się tyle wcale, — odparła dziewczyna, — choć dwa funty masła sprzedalam po półtora pensa niżej ceny! Bogu dzięki! Widzisz, ty. . . ty — jakże ci tam — Oeet! jaja i masło, cebula i pietruszka, lepiej się rozchodzą, jak twoje szparagi i czereśnie!

— Poczekaj tylko, gosposiu! Choéby mi tu dwa razy tyle zostało, to sprzedam wszystko na pagórku!

— To prawda, Thady; ale jabym za nic w świecie nie poszła do „Pałacu!“ — rzekła Hessy poważnie.

— I jabym tam nogą nie stąpił, — mruknął chłopiec, gdybym sprzedawał na własny rachunek.

Oboje zamilkli. Jakie tam myśli krzyżowały się w młodych ich głowach? Szesnastoletni chłopak miał swoją ambicyą, miała ją czternastoletnia dziewczynka.

Żona dyrektora banku, która właśnie przechodziła ulicą, udając się na majową wotywę do kościoła, rzuciwszy okiem obo-

jętném (jeżeli nie wzgardliwém) na młodych przekupniów — pomyślała: Czy też to nie wstyd i nie hańba, że tak zdrów i silny chłopak, niby żebrak i kaleka, obrał najłżejsze zajęcie!...

Miłosierna córka pastora anglikańskiego, wychodząc z wypożyczalni książek z „Dziejami misyi Dra Adams'a nad jeziorem Te-kaw-bo-mo-ha-ma“ — obejrzała się za córką Marcina O'Grady, mówiąc do samej siebie: O, kiedyż nastąpi czas, gdy córki Amalekitów staną się, jako córki Zebedu i Sapphory!...

Thady, sierota, miał swoje ambicję: skarbić sobie zdaniem każdym zaufanie i łaski pana Peeta; uciulać po trochu tyle, żeby odkupić od swego chlebobdawcy biedną Ninę — straconą jałówkę — i zwrócić ją biednej, małej Hessy. Jakby się cieszył i pysznił, gdyby mógł po niedługim czasie przyprowadzić tyle żalowane bydło przed bluszczem okolone okienko w Topolach i powiedzieć: Patrz Hessy! to Nina? Przyszła do ciebie i znów do ciebie tylko należy!...

Hessy, jedynota sędziwego ojca, miała swoją ambicję: oszczędzać w domu mleczywa swego i jaj tak, żeby się nikt ani domyślał; pracować w ogrodzie warzywnym z niezmordowaną pieczołowitością około każdego zagonka cebuli, ziemniaków, marchwi, kalarepy; samej sobie żałować wszystkiego (bo ojczulek musi mieć wszystko, co dobre, zdrowe, wygodne...) — aby tylko zebrać z sobotnich zarobków i uciulać trzy złote suwereny, trzy funty, które ojciec pożyczył u Mylesa, na spłacenie połowy zaległej renty! O jakżeby się cieszyła, gdyby mogła czempnąć, czempnąć usiąść na kolanach biednego ojczulka i wśród pieszczot gorącego przywiązania, wsunąć mu do ręki trzy suwereny, pożyczone u Mylesa w ciężkiej potrzebie!...

Ale, jak ciężko chłopcu oszczędzić z lichego zarobku cztery funty, cenę Niny! zasług pobiera trzy szylingi tygodniowo i całe utrzymanie, wyjąwszy nocleg. Więc też te trzy szylingi należą się ciotce, Piotrowej Doghesty, która go do siebie przy-

garneła, żywiła przez długie miesiące!... Thady zarabia każdej soboty, z sprzedaży fruktów i jarzyn, około sześciu szylingów. To jeden szyling musi być wydany na prezent dla Hessy, a zanim się z pozostałych pięciu ułożą cztery funty... trzeba mu czekać dłużej jeszcze niż trzy miesiące! Cierpliwości, Thady!

I jak mozolnie przychodzi dzieweczce ochronić oszczędzone pieniądze od niebezpieczeństwa wydatków! Co sobotę, po wyprzedaniu wszystkiego z koszyka, Hessy odbywa sprawunki; trzeba ojcu mięsa na niedzielę i na czwartek, trzeba mąki na chleb, trochę herbaty dla ojca i cukru, trzeba dla ojca pół miarki wódki na uraczenie w niedzielę wieczór. (Ojczulek pocziwy do ustby nie wziął niczego przez rok cały, ale to rozkosz widzieć, jak go rozwesela szklanka gorącego ponczu w niedzielę!) Trzeba odłożyć na zasługi Maryanny, na mydło, na krochmal, na węgle... tysiące wydatków załatwia Hessy! A jakże tu z dwóch albo trzech pozostałych szylingów „upocić“, uciulać trzy funty, pożyczone u Mylesa?! Cierpliwości Hessy!

— Gdzie się spotkamy, Hessy? — zapytał Thady u stóp pagórka.

— W kościele. Będę blisko ołtarza Najświętszej Panny, skoro tylko pokończę sprawunki.

Jeden to, prócz niedzieli, bywał dzień w tygodniu, w którym córka farmera O'Grady mogła odwiedzić swój kościół parafialny. Nie zaniedbała nigdy pomodlić się tam każdej soboty, tém mniej w miesiącu, poświęconym szczególniejszej ezei Dziewicy.

Żona dyrektora banku już wychodziła z kościoła, kiedy dzieweczka, obarczona znów pełnym koszykiem, strudzona i spotniała, stanęła w przysionku, przed kropielnicą.

— Powiedz mi, dziewczynko, po co ty tu przychodzisz?

— Pomodlić się, proszę pani, w kaplicy...

— Czy tak? — przerwała surowo wielka dama, z bogato oprawną książką do nabożeństwa w ręku. — Czy tak? Albo też może po to, abys sobie mogła wypocząć! A wiesz ty, dziewczynko, że to grzech wielki! że to zbrodnicza obłuda! że to — świętokradztwo!

— Ja idę odmówić koronkę, proszę pani, a pomodlić się do Pana Boga.

— Idź więc, idź dziewczynko, — powie rozkazująco wielka dama, jak gdyby Hessy od niej oczekiwała pozwolenia wstępu. — Idź! A prosz Boga, aby cię oświecić raczył, ciebie i rodziców twoich, byś mogła wydobyć się z grzesznego zaniedbania, w jakie cię wprawia to leniwe zajecie twoje! Idź!

— Dobrze, proszę pani! — odpowiedziała Hessy, nie wiedząc, czy płakać, czy dziękować téj wielkiej damie w jedwabnej sukni, za przestrogi, których znaczenia i powodów nie zdołała zrozumieć.

I kiedy pani dyrektorowa banku, zadowolniona z saméj siebie, wracała na śniadanie z surowém obliczem, dziewczeczka nasza uklękła ze skupieniem przed przyozdobionym w kwiaty ołtarzem Matki Boskiej pocieszenia i zaczęła odmawiać koronkę, tak jak ją nauczyła Maryanna. W spokojnym a uroczystym półcieniu kaplicy, postać niewinnego dziewczęcia, wpatrującego się nabożnie w wizerunek Pocieszycielki Strapionych, przybrała ten wdzięk czysty miłej Bogu prostoty, jaki najwymowniej świadczy o złożonych w sercu wielkich skarbach wiary, nadziei i miłości. Usta dziewczęcia poruszały się zwolna, bo Hessy modliła się z wielką pokorą.

— Proszę Was z całego serca, Przenajświętsza Matko, żeby mi się udało oszczędzić trzy funty, które ojciec pożyczył w ciężkiej potrzebie i żeby Myles nie przychodził do Topoli, kłócić się z ojcem — i żeby, jeżeli tak się Wam podoba, a Pan Bóg łaskawy, ojciec mój miał dobry sprzęt ziemniaków tego roku.

bo ojciec mówi, że jak ten sprzęt będzie dobry, to Tom wróci — i żeby Pat mnie nie zapomniał w Ameryce — i żebym ja mogła zawsze pracować, a ojciec mnie kochał — i żebym była zawsze Waszą najpokorniejszą, małą sługą!

— Wiesz co?! — rzecze Thady, gdy oboje opuszczali miasteczko, a Hessy powierzyła mu swój ciężki koszyk, — wiesz co? Kiedym klęczał za tobą w kościele, to mi się zdawało, żeś ty jest moją siostrą, a ja twoim bratem. Jaka szkoda, że tak nie jest naprawdę! Chciałabyś być moją siostrą, Hessy?

— O! jakbym bardzo chciała, Thady! — odpowie dziewczę, patrząc towarzyszowi w oczy z pełnym uśmiechem — mnie zawsze się zdaje, żeś ty jest moim bratem.

— No, to szkoda, doprawdy szkoda, że tak nie jest!.. — zawołał chłopiec nie bez pewnej komicznej goryczy.

— Czemu? Albo to my się nie lubimy, jak brat i siostra?

— To prawda, Hessy; ale gdybym był twoim bratem, tobym zawsze był z tobą, pracowałbym z tobą i dla ciebie. . . .

— I dla ojca, Thady?

— Tak, i dla ojca twojego: rozumie się! Toby było doskonale! . . .

VII.

Przez nawpół przegniłe drzwi lepianki, zrywający się z coraz gwałtowniejszym zapędem wiatr jęczy wzdłuż pochyłych i czarnych ścian izdebki, świszczy po zakopconym suficie, nie pozwalając dymowi znaleźć ujścia w kominie. Oko, drażnione gryzącym śwędem, który tam panował swobodnie, nie łatwo przenikało szare jego zwoje, by dostrzec długi płomyk stojący na stole łojówki, osadzonej w kawałku drzewa. Stół złożony

z dwóch nieheblowanych desek, spoczywających na chwiejącym się straganie, stał pod szerokiém, lecz niskiém oknem, w którém miejsce większej liczby szyb zajęły słomiane wiechcie, lub stary materyał fileowy, przypominający upartą swą formą dawno gdzieś porzucone kapelusze. Wzdłuż przeciwległej ściany, na słabo do kruszącego się muru przymocowanej półce, stały samotne dwie gliniane miski: w jednej z nich zachowano kawał śniadego chleba; w drugiej, resztę kukurudzianej polewki. Opośdala leżały w nieładzie cynowe łyżki i łuczywo, resztki łojówek i rozmaitych przedmiotów, których pierwotnego przeznaczenia tak trudno odgadnąć jak niepodobna dopatrzeć się, czego by były resztkami.

W kącie, obok drzwi, widać zardzewiałą łopatę obok złamanych widel i wyżębionych grabi; w innym kącie, kupa starych worków, ułożona na posłaniu z liści, mehu i słomy. Na téj kupie czernieje jakaś ludzka postać, ludzka... bo od czasu do czasu ludzkie wydająca głosy. A zresztą, w izbie już nie ma niczego więcéj, niczego, oprócz — na samym środku gliniastej podłogi żelaznego garnka, napełnionego torfem i suchemi drzazgami w płomieniu, ponad którym wyciągnięte są dwie chude, pomarszczone ręce, ponad którymi, w chudéj i pomarszczonej twarzy, błysną czasami załzawione oczy skulonéj we dwoje staruszki.

Jeżeli z oczu sądzić o wieku téj kobiety, to jeszcze się nie doczołgała do zgrzybiałej starości; jeżeli wywiedła i głąboko poorana jéj twarz może świadczyć o latach przeżytych, to już chyba śmierć się uparła przy pozostawieniu jéj w téj lepiance, którą uparcie pomija zniszczenie.

— O! o! o! jęczy przeciągle głos ludzki z ciemnego kąta.

— Twardą będzie miał noc znów mój biedak! — mówi przed siebie kobieta, nie odwracając oczu od garnka. — Twardą noc i ciężką! Ha! długie godziny, długie cierpienia!... Jak

też ten wiatr huczy coraz głośniej! A to czerwiec, tak, czerwiec! Musi to być wiatr morski, z tamtej strony wody, z Am... ha! z tamtej strony.

— O! ooo! o!

— Nie jadł ani polewki, ani chleba; nie, od samego rana. Wykurzył fajkę, to i wszystko! Ha! może Michał przyjdzie! obiecał przyjść dziś nocą, przed północą; wieleż tam jeszcze do północy? może przyjdzie i przyniesie starowinie matce trochę mąki, biedakowi trochę tytoniu i herbaty, i mięsa kawałek. Ha! może nie przyjdzie! Zdaje mi się, że deszcz pada, ale nie słyszę; musi bardzo być źle na dworze, kiedy mnie tak kości łamają... Cyt! Michał?...

Wicher szaleje z rozkiełznaną wściekłością ponad lepianką i wokoło niej. Słysząc, jak się pastwi nad słowianym dachem, jak się boryka z temi kilku deskami, które miłośnierni ludzie tam przymocowali, aby zachować wiązanie.

— Nie, to jeszcze nie Michał! ale przyjdzie, ha! przyjdzie... wody mam dosyć tam przy drzwiach; jest ogieniaszek; naparzę herbaty... już jedenaście dni, jak nie piłam herbaty, ha! żeby też przyniósł masła, masła! toby mój biedak zjadł ośródkę chleba; zapóźno dziś na mięso, ale jutro... ha! toby nabrał sił trochę i wesodości; możeby znów pogawędził trochę ze mną! Toć już dziewięć dni, jak nie powie słowa do swiej starowiny!...

Wichry przeleciały dalej na hulankę! Ustąpiły deszczowi. Słysząc, jak ulewa biczuje rześniete słomianą strzechę lepianki, jak spada hałaśliwie na bliskie moczary. Krople pojedyncze zaczynają ściekać na stół pod oknem, niedługo ściekać będą na kupę worków pod ścianą...

— Wymodliłam, porodziłam, wychuchałam, wycaekałam, wychowałam... wychowałam pocziwie, ale mi go tam zrujnowali! Zrujnowali mi skarb mój, Michałka mego! A było ich

ośmioro! Wszystko pod ziemią, tylko ten jeden czasem tu przyjdzie. . . .

— Oooo! ooo! oh. . . .

— Biedak mój, biedak! . . . Piotr Myles z Ballyglanet; sto i pięćdziesiąt i dwa akry najlepszej roli w całym hrabstwie Kilkenny; Julia Gallagher przyniosła mu przy ślubie sto i pięćdziesiąt i dwie stare gwineje; takich już dziś nie biją; Julia kochała dzielnego Piotra, i Piotr kochał sprawną i rządzoną żonkę. . . Ha, no! . . .

„Za morze chodź ze mną, za morze, kochanie!
Dziewczyno moja, za morze — ze mną
Przez wichry, przez burze“. . . .

— Weseliście dzisiaj, weseli! śpiewacie, jak za dawnych. . . hm! aniście mnie nie usłyszeli! A jednak, ledwie mogłem otworzyć drzwi tym przekl. . . .

— Cyt! Michale; więc to ja śpiewałam! ha! w zapomnieniu.

— No, to przecież nikomu nie szkodzi, a wam pomaga czas spędzić! Jakże tam ojcze dzisiaj?

— Biedak stęka i jęczy, jęczy i stęka; nie wziął dziś nie do ust!

Michał Myles stał naprzeciwko matki, oparty o stół; oczy jego błękały się po ścianach izby, ale ani razu nie spoczęły na nędznym posłaniu. Matka odgarniała rękoma brudny dym torfu, usiłując rozpoznać słabym wzrokiem ukochane rysy jedynaka. Zadowolniona tak dalece, że spuściła nieco oczy, zaczęła śledzić ruchy Michała i zawiniątko, które dotąd trzymał w ręku.

— Przyniosłem wam dziś trochę więcej niż ostatnim razem, matko, — rzekł wreszcie Michał, rozwijając chustę. — Funt herbaty, dwa funty cukru, worek mąki, półtora funta masła, trochę baraniny i różne drobiazgi. A tu w tym papierze

jest dziesięć szylingów w drobnej monecie — na inne potrzeby, bo nie wiem którego dnia będę mógł tu zajrzeć.

Staruszka słuchała tych słów z wyraźną rozkoszą: za każdym wymienionym artykułem żywności, wychudłe jej ręce oddalały się dalej od żelaznego garnka, aż się jej udało pochwycić laskę syna, porzuconą na podłodze. Wsparła się na niej i podniosła: mocno zgarbiona, słaba, niegdyś wysokiego wzrostu. Ale gdy jej Michał podał pieniądze i dokończył zdania, chwilowy blask jej ocz przygasł odrazu. Przystąpiła do stołu, położyła rękę na ramieniu syna, i drżącym głosem spytała:

— Czemu tak mówisz, Michałku?

— Mówię prawdę, — odparł szorstko, uchylając ramię zpod ręki matki, — mam zajęcia dosyć w hrabstwie Waterford! Gdybym był w Cork, tobym mógł poświęcić częściej parę godzin i zająć tu piechotę, nie tłuc się koleją i wozem aż do. . .

— Michale, nie gniewaj się na starowinę matkę! Ale powiedz szczerze i otwarcie, czemu byś nam nie mógł znaleźć jakiego kącika gdzieś bliżej miasta Waterford, albo Tramore? . . . Bądź cierpliwy! . . . Słuchaj: toż ta chata nie jest rajem. . . daj nam choćby i — gorszą! . . . ale bliżej ciebie! gdzieby matce nie było tak samotno! . . . Słyszysz, jak biedak mój jęczy; to nie w porównaniu z tymi żałosnymi jękami, jakich matka słucha, kiedy upłynie dni dwa, trzy, cztery, pięć. . . a ty nie przychodzisz! Wtedy biedaczyna wie, że już. . . że już starowina jęgo w ciężkim smutku! Wtedy mi powie, że nas ten „dobry człowiek“ (biedak! czy też ciebie kiedy pozna! . . .) opuścił na zawsze! A potem już ust nie otworzy do rozmowy, choć wiesz, jaka to ta jęgo rozmowa! Gdzieś bliżej. . .

— Dosyć już, dosyć, matko, tego wyrzekania! Mówię wam i powtarzam: miejcie cierpliwość! miejcie cierpliwość! Myślałem kilka tygodni temu, że będę mógł wam dać dobre pomieszka-

nie przy sobie i sam się ustalić na porządnój fermie; nie poszczęściło mi się! Ale cierpliwości!

— Ha! nam starym jój nie brak! Bóg widzi. Ale Michałku... choćby szalas gdzie jaki, choćby jaskinią jaką w skałach tramorskich, nad morzem! Byle tylko bliżej ciebie! Bo to. Michale, starowina matula twoja...

O! jak bolesny ten płacz złamanej krzyżami i nędzą kobiety! Wyszła pierś jój podnosi się z hektycznym pośpiechem; łkanie, któreby chciała powstrzymać, wybucha nienaturalnym iscie głosem. Wyobraźmy sobie, że Piotrowa płacze... bo pomimo wszystkich oznak płaczu, żadna łza nie ukaże się w zboliałych jój oczach! Syn jój odstąpił od stołu, gdzie mdłe światło dogorywającej łójówki uwydatniało kamienne rysy jego twarzy i począł chodzić nieregularnym krokiem wzdłuż przeciwległej ściany.

— Starowina matka twoja... może umrzeć nagle... między „Ojeze-nasz“ i „Zdrowaś-Marya“... a wtedy, wtedy Michałku — chłopaczkę mój... któż cię błogosł...

— Milez, matko! — zawołał syn nagle i tak gwałtownie, że obłąkany starzec na nędzném posłaniu zrobił kilka konwulsyjnych poruszeń. — Milez, matko! jeżeli nie chcesz, abym was tu zostawił w tej chwili i...

— Przebacz! Przebacz! Już nie powiem nic więcej, już nie wspomnę o... o innéj chacie!... Ale ty kochasz matkę? Michałku, mów, odezwij się: wszak kochasz matkę? Powiedz, że kochasz, to mnie Bóg wspomóże, a Matka Boska obroni od... złych myśli, od czarnego zwątpienia! Powiedz, że kochasz matulę, a ja będę tak dalej siedziała tutaj i czuwać będę nad naszym biedakiem...

— Albo wy to nie wiecie, matko, że was szanuję i... że was... zem do was przywiązany! — odrzekł syn, nie bez pewnej czułości w głosie; a potem, niby dotknięty nagłą my-

ślą, podszedł do staruszki, objął silnemi ramionami, przycisnął do szerokiej piersi i na ustach, rozpalonych gorączką ostatnich wzruszeń, złożył krótki głośny pocałunek.

— Michałku, chłopaczku, skarbie mój! — zmienionym, cieńkim głosem zawołała, śmiejąc się Piotrowa, — mój, mój, mój znowu stary Michałek, Michałek ten... o! ten malutki, ostatni z ośmiorga... pamiętasz fermę Ballyglan?

— Pamiętam, matko; ale poco te przypomnienia! — odpowiedział syn, rozpoczynając na nowo chód swój po izdebce.

— O! my oboje żyjemy w Ballyglan, Michałku! Tylko, że on biedak nasz, szczęśliwszy czasami, bo taki pewny, że siedzi z przyjaciółmi i ze swoją Julią w wielkiej białej izbie naszego dworku! Ha! wszystko znów dobrze, kiedy Michałek kocha matulę! Teraz mi pomóż przygotować trochę wieszery; a wiesz, Michale (szepeąc do niego poufnie), wiesz, że mi się okrutnie chciało kapki herbaty; ano dalejże do pracy — rzeczce staruszka, dobywając z paczek herbaty i cukru; ty Michałku nastaw kociołek z wodą, rozdmuchaj ogień, a ja przyrządzę resztę.

W kwadrans później, ukazały się na stole trzy kubki, które Piotrowa wydobyła z pewnego rodzaju kryjówki nad posłaniem męża; półbochenek chleba i masło (upragnione masło!); w braku herbatnika, Michał zaparzył herbatę w kociołku. Wśród tych wszystkich przygotowań, gdy nikła postać staruszki, otulona i opasana łachmanami szalów, krząta się tu i owdzie po izdebce, schorzały biedak podniósł się na nędzném posłaniu, utopił ciemne swe oczy w twarzy Michała i rozpoczął z samym sobą żwawą, choć słabym i głuchym prowadzoną głosem rozmowę.

— Trzeba mi śpieszyć do domu. Julia i mój dobry przyjaciel czekają. A dobre przynoszą nowiny. Taniego dostałem

robotnika, taniego. Pogoda czekała na nich. We dwa dni skośmimy siano pod górą. . .

Matka usiadła w nogach posłania i podała starcowi kubek gorącej herbaty i kawałek chleba z masłem, zadawalniając się sama odrobiną suchej bułki. Michał oparł się o drzwi, obojętny na wszystko; wlał do swego kubka sporo wódki z podróźnej blaszanki i popijając, ścigał wyobraźnią inne zupełnie otoczenia. Staruszkowie prowadzą ożywioną rozmowę: wierna żona wdaje się całkowicie w każde, by i najwięcej fantastyczne marzenia o rzeczywistości, która śni na jawie uspiomy umysł „biedaka“...

Potém nastąpi chwila bolesnego rozłączenia, próśby płaczliwe o rychły powrót, szorstkie słowa obietnic i pocieszeń. . . a w końcu noc czarna otula starców w rozpadającej się lepiance, dając im sen pokrzepiający, najpożądany skarb dla nich, ludzi czystego sumienia.

Ta sama noc czarna osłania dalszą wędrówkę Michała Mylesa. Spieszno mu, bo przed zmrokiem jeszcze ma wziąć udział w walnej naradzie wszystkich centrów „Falangi Niezwy-ciężonych w Południowej Irlandyi“.

VIII.

Mijały tygodnie i miesiące, a władze nie zdołały odnaleść i przywieść do sprawiedliwości mordercy Grubba. Z rozkazu namiestnika kraju rozpisano wysokie nagrody: najprzód dla tego, któryby uwiadomił rząd o miejscu kryjówki zbrojcy; potém dla współników zbrodni, których ręce jednakże byłyby czyste od krwi przelanej; gdy i to nie pomogło, podwyższono obiecaną sumę, z deklaracją, że sam nawet morderca może ją otrzymać pod warunkiem, iżby naprowadził władzę na tych, którzy byli

głównymi instygatorami morderstwa i żeby przesiedlił się do tej miejscowości w cesarskich koloniach, jakie mu będą wskazane! . . .

W krajach europejskich, posiadających rządy dbałe o rozwój moralności publicznej, odezwa taka musiałaby być przyjętą ze zgrozą! Odezwa taka nie mogłaby plamić swym nagim cynizmem żadnego okręgu wyborczego w samej Wielkiej Brytanii. Sprawiedliwość żąda, byśmy tu zaznaczyli, jak na wiadomość o dekreecie wice-królewskim, powstał w izbie gmin głośny szmer oburzenia, któremu zaledwie położyły koniec sofistyczne wywody słynnego z parlamentarnej dyalektyki sekretarza stanu dla spraw irlandzkich. Ministrowi bodaj najwięcej pomogła ta okoliczność, że gabinet lorda Beaconsfielda, wsparty entuzjastyczną większością, nie miał czasu do stracenia nad „rozbierniem teologicznych i socyalnych skrupułów“. . . w kwestyi irlandzkiej, gdy kwestye preponderancyi ogólniejszych, a żywotnych interesów korony i rządu zajmowały całą jego uwagę! Przecież w cztery lata później miało się powtórzyć to samo; przecież główny nawet kierunek szatańskiej zbrodni, która przeraziła świat cały, podobnąż otrzymał obietnicę; przecież nawet „najliberalniejszy gabinet“ pana Gladstone'a zamknął usta interpelacyi kwestyą bieżącą egipskiego imbroglio i cyniczném oświadczeniem, jakoby „innéj rady nie było!“ . . .

Ale zabójca Grubb'a uszedł przed wszystkimi zabiegami władzy. Sierpień się kończył, a tu głucho zupełnie; chociaż policya była przekonana, iż nieledwie w każdej chacie drobnego fermera, jak w każdym dworku większego dzierżawcy, jak w każdej lepiance robotnika i w każdym sklepiku wioski i miasteczka, był ktoś, kto wiedział więcej od niej, mimo to, policya zawiodła oczekiwania rządu i zdrowej części społeczności szczerze narodowej.

A jeżeli kto wiedział więcej o zbrodni z 16-go kwietnia, aniżeli najwytrawniejsi szpiegowie policyjni, to Marcin O'Grady z Topoli! I jeżeli komu chodzić musiało o oddanie mordercy w ręce sprawiedliwości, to ojcu O'Grady! Onéj strasznej nocy, gdy skruszony pod ciężarem okropnego podejrzenia, wycieńczony trawiącą febrą zarówno rozpaczy i trwogi, jak fizycznego osłabienia, starzec (niby dziecko!) uległ potrzebie snu, onéj nocy, w starożytnej wieży św. Kolumbana, imię syna, wymówione głosem winowajcy, zbudziło go z nerwowego odrętwienia i przywróciło mu wszystką energią prawego człowieka.

Kiedy tak stali naprzeciw siebie, ojciec podejrzanego o zbrodnią morderstwa i przyznający się do niéj morderca, naczelnik sekretnego koła i starzec znany z chrześcijańskiej uczciwości, który bezwiednie opanował jego tajemnicę; jeden z nich, rozkazujący towarzyszom ścigać na śmierć zbiegłego członka, a drugi... ojciec wskazanej ofiary! — kiedy tak stali naprzeciw siebie, jakie myśli powstały w ich głowach?

Marcin O'Grady dziękował Bogu za nieskalaną cześć swego imienia, naczelnik „chłopców“ przeklinał nieszczęsną chwilę! Tamten podniósł czoło i uczuł rozkosz świadomości, że nie będzie zmuszony ukrywać żadnej krwawej tajemnicy przed niewinnemi oczyma swojej dziewczki, ten zaś zgrzytnął zębami pełen wściekłości, że zawiedzione plany jego... tak niespodzianie, jak niespodziewanie dostrzegł dnia tego ich zniszczenie!

Milezeli obaj. Milezeli wszyscy członkowie nocnego zebra-
nia. O'Grady opuścił wewnątrz wieży nie wymówiwszy słowa. Dopiero, gdy już był daleko, padł na kolana, odkrył głowę i złożył Bogu gorący akt dziękczynienia.

Czy dziwi się czytelnik, że w piersiach braci „niezwycię-
zonych“, że przedewszystkiém w piersi ich naczelnika nie powstała myśl przytłumienia na wieki w umyśle starca wrażeń odniesionych w głębokościach osamotnionej wieży? Czy podo-

ba, by koło tajemnego sprzysiężenia, wystawione na wszystkie niebezpieczeństwa odkrycia i zdrady, puściło z życiem tego, który usłyszał szczegóły jego ostatniego czynu i rozkaz zemsty na własnym swym synu? . . .

Ale właśnie w nieskażonej prawości ojca Tomasza leżała najsilniejsza dla naczelnika i towarzyszków jego rękojmia, iż przejęta tajemnica razem z nim zstąpi do grobu: czyby zginął gwałtowną śmiercią pod ich nożami, czy też czasby sam rozciął nie jego żywota. W duszy irlandzkiego celta jedno przekonanie panuje niemal nad wszystkimi: niechby zbrodnia była najpotworniejszą, jeżeli popełnioną została na pomszczenie krzywdy istotnej lub nawet wymarzonej, doznanej od wroga, brzydzić się nią można. . . . lecz zamilczeć o niej należy! Niechby zbrodniarz był istotą osławioną w swój nędzy moralnej, jeżeliby go wypadło wydać tym, których rządy i sądy mordują ludność miejscową, to unikać go można jak zarazy, odpychać go trzeba od chrześcijańskiego progu. . . . lecz między nim i wrogiem przeszłości i przyszłości biernie się zachować należy!

Przekonanie to i jemu podobne wyssały pokolenia rodowitych celtów irlandzkich z piersi matek. Jak okropnie musiał wróg zasłużyć na tle dzikięj nienawiści! . . .

W kilka dni po wypadkach, zaszłych dnia 16-go kwietnia, gdy O'Grady siedział w wielkiej izbie swęj kamiennęj chaty w Topolach, a Hessy zajęta była w warzywnym ogrodzie, dwóch wysokich ludzi weszło do sieni i zatrzymało się tam, ustępując trzeciemu, który dumnie i butno, bez poprzedniego oznajmienia się, wstąpił do izby.

— Dzień dobry O'Grady.

— Sługa pański, kapitanie! — odpowiedział zagadnięty, odwracając się od stołu, na którym kredą wykreślał pola swęj dzierzawy i zaznaczał grunta pod ziemniaki. Kapitan nie przy-

jął ofiarowanego sobie krzesła, podszedł do kominka i oparł plecy o gzyms.

— Nie dziwi was zapewne, Marcinie, że przybyłem w towarzystwie konstablerów? — zapytał, rzucając na fermiera przenikające spojrzenia, w których nie brakło wyrazu gorzkiego szyderstwa. O'Grady zadrżał widocznie, tak widocznie, że plenipotent spuścił oczy, by nie zdradzić swego nieukontentowania, lecz w tejże samej chwili, odpowiedział pewnym głosem:

— Nie, kapitanie; wcale mnie nie dziwi, że przyjąłeś eskortę, narzuconą ci przez władzę hrabstwa. Wiem, żeś pan odważny, żeś niechętnie przyjął tę opiekę nad sobą; ale w czasach tak niebezpiecznych. . . .

— I kiedy mam do czynienia z mordercami na każdej fermie dóbr. . . .

— Nie na każdej, nie na każdej, kapitanie! — odparł starzec, kładąc przycisk na swém zaprzeczeniu i patrząc plenipotentowi prosto w oczy.

— Słuchajcie, O'Grady. Przyjechałem tu dla dwóch rzeczy. Najprzód, aby wam powiedzieć i upewnić was bezwarunkowo, że jeżeli w najbliższym terminie, a więc w październiku, nie spłacicie reszty zaległości i nie uścicie się z całej tegorocznej kwoty czynszowej, to żadne was prośby, żadne wstawiania się księży, ani pastorów, żadne sądy i żadne lamenty nie obronią od natychmiastowej eksmisji! Kto tak jak wy. . . .

— Z przeproszeniem, kapitanie! — przerwał O'Grady namiętnie. — Przecież nie mówisz pan do niedowarzonego i niedoświadczonego młokosa! A znów nie może być, żebyś pan zapomniał, iż Topole są w mojej rodzinie od lat przeszło dwustu; że Briam O'Grady, który był właścicielem téj osady, jak wielu innych w kluczu tramorskim, wywłaszczony został przez Cromwellovskich „świętych“ komorników i otrzymał Topole, niby

wynagrodzenie, w wieczystą dzierżawę, w wieczystą, kapitanie, pod warunkiem opłacania rocznych czynszów.

— Cóż mi gadacie o Briamie, o Cromwellu i o wieczystych dzierżawach, zawołał śmiejąc się plenipotent. — A ileż tam jeszcze innych było kontraktów w waszej rodzinie, które dziś. . . .

— Tyle tylko zrobiły, że z dwiestu przednich akrów dzierżawy zostawiły nam dwadzieścia sześć! Tak dalece prawda, panie; ale dalej nas obcinać nie możecie!

— Nie, bynajmniej! Daleko nam łatwiej. . . wypędzić was! — zimno odparł Gandy. — Nie unście się, przyjacielu! Ot, tak pogadajmy sobie chłodno i rozsądnie.

To mówią, kapitan Gandy, który zresztą nie był weale człowiekiem chłodnego usposobienia, usiadł w skórzanym fotelu fermiera z mocnym postanowieniem, iż nie da się opanować rosnącej pasyi swego przeciwnika.

— Przyznajcie sami, że istnieje warunek, warunek corocznej opłaty czynszowej. Skoro więc warunek nie zostanie wypełniony, lord Grosvenor ma wszelkie prawo wyrzucić was i. . .

— Lord Grosvenor nie ma żadnego takiego prawa! Lord Grosvenor może tylko wystawić na sprzedaż prawa moje do fermy! Gdybym miał Topole na lat tylko dziesięć jeszcze, to lord Grosvenor musiałby, chcąc mię eksmitować, ogłosić, że kto po mnie chce objąć Topole, musi się wprzód ze mną ugodzić o cenę i wypłatę takiej sumy, jakaby sąd wyznaczył w zamian za moje ustąpienie. Lecz ponieważ to jest dzierżawa wieczysta — więc ani lord Grosvenor, ani sądy, ani nikt nie może ogłaszać sprzedaży. . . .

— Dlaczego nie?

— Dlatego, że moja cena praw do wieczystej dzierżawy musi przewyższyć o wiele wartość całej fermy!

-- Przypuściwszy. Ale kochany mój. . .

— Proszę mnie nie lżyć swoją obłudą, kapitanie Gandy!

— Cóż wam znów dzisiaj? Wpadacie w pasyą o nie. Ale mniejsza o to! Powiedzcie mi téż, gdzie to takie prawa, jakieście je tu wyłożyli?

— Gdzie takie prawo? Gdzie to prawo? — zawołał z oburzeniem O'Grady, wstając ze stołka, na którym dotąd siedział. — I pan mnie się pytasz, gdzie to prawo? Pan, irlandczyk, kość z kości gaelów, pan, kapitanie Gandy?

— Cóż w tém dziwnego? Chociażem ja irlandczyk, jak mówicie, to przecie lord Grosvenor nie jest irlandczykiem, jeżeli narodowość wchodzi tu w kwestyą... A należy wskazać prawo, gdzie napisane, z jakiego parlamentu i roku.

— Prawo to, mój panie, prawo, nakazujące sprzedaż interesu fermera na fermie, z której wychodzi, nie jest napisane... i pan to wiesz! Ale to prawo ma za sobą sankcya przeszłości, wiekowy obyczaj tego kraju. Jeżeliś pan zapomniął dziejów własnej ojczyzny, to pozwól, że ci przypomnę, jak prawo to powstało za króla Jakóba II, kiedy anglik i szkot zabrał na własność to, co należało do nas, a nie mogąc uprawiać sam ziemi, kiedy nie mógł sprowadzić między nas uprawiaczy ze stron, z których przyszedł, zostawił dawniejszych właścicieli na rozparcelowanych gruntach. Właściciele ci wrócili jako fermerzy, ale pod tym podwójnym warunkiem: wieczystej dzierżawy i praw do niej, któreby mogły być sprzedane, wedle...

— Gdzie to wszystko napisane?

— W pamięci każdego mieszkańca téj wyspy, kapitanie Gandy! — zawołał głośniejsze jeszcze zapytany. — W pamięci każdego mieszkańca, czyby on był prawym gaelem, czy brytańczykiem! W pamięci waszej, jak w pamięci lorda Grosvenora! W obyczajach ludu! W księgach sądowych, gdzie napisano nieraz, tysiąc, ale tysiące tysięcy razy w tych dwiestu la-

tach. jak taka a taka ugoda została zawartą na podstawie „Prawa Dzierżyciela“, prawa tradycjonalnego!

— Wszystko to dobrze, O'Grady, ale, widzicie... właściciele dzisiejsi żądają praw pisanych i opatrzonych podpisem monarchy. Mówią oni, że nie będzie dla nich żadnej gwarancji, jeżeli wierzyć mają obyczajom, tradycjom i podobnym... artykułom miejscowej wiary. Dlatego też, nie dziwcie się, jeżeli was upewnię, że lord Grosvenor wyrzuci was z Topoli, jeśli mi nie wypłacicie zaległości i czynszu w październiku.

— Lord Grosvenor tego nie uczyni!...

— Nie? Przekonacie się.

Plenipotent dobył z kieszeni pugilares, a z niego niebieską kopertę i takiegoż koloru zwitek papieru. Podając go fermerowi uśmiechnął się, splunął i rzekł:

— Otóż wyrok eksmisyi, otrzymany przeciw wam, temu dwa tygodnie. Gdybyście nie byli spłacili połowy dawnych zaległości, jużbyście tu nie byli.

— Przez świętego Patryka! kapitanie, to kradzież i czysty rozbój. Ha! nie dziw, nie dziw — że... młodzież...

— Otóżto! otóżto właśnie — zawołał kapitan, zapominając tym razem swęj przybranęj obojętności. — Przystępujemy do drugiego punktu. Ale, możeby lepiej wpuścić tu moich „obrońców“, którzy muszą być znużeni tak długim stanieniem w sieni.

O'Grady zanadto był zatopiony w swych myślach, by zwrócić uwagę na ostatnie słowa plenipotenta. Gandy otworzył drzwi i szepnął słów kilka; poczem obaj konstablerzy, ubrani po cywilnemu, lecz uzbrojeni w rewolwery, weszli do izby i usiedli opodal drzwi. Kapitan stanął przed kominkiem, oglądając z pozorną uwagą swą szpicrutę, zapytał niby obojętnie:

— A gdzie też jest wasz młodszy syn, O'Grady? Zdaje mi się, że...

Ale nie skończył zdania. Na pierwszą wzmiankę o synie, starzec odwrócił się od okna, przy którym stał, przystąpił do kapitana i, nie mówiąc ani słowa, utopił w jego twarzy swoje oczy tak groźne, że Gandy mimowoli zatrzymał się i ścisnął w rękę szpierutę; równocześnie obaj konstablerzy powstali ze stołków, na których siedzieli. Usta fermera drgały pod silnym głosem dziwnie zmienionym:

— Każ im usiąść! Kapitanie Gandy, patrz mi prosto w oczy... Nie chcesz? Nie możesz! Słuchaj jednak, panie plenipotencie! Czychano na twoje życie... zamordowano tamtego... pan przychodzisz tu z oskarżeniem syna mojego... o morderstwo! Wszak prawda?

— Prawda, — odpowiedział Gandy, usiłując powstrzymać się od wybuchu wściekłości.

Było coś w mowie tego starca, co go przekonało, że O'Grady miał ku niemu jedno tylko uczucie — niewysłowioną pogardę! Nie chcąc jednakże, by twarz jego zdradziła sprzeczne jego myśli, zmienił i stanął plecami obrócony ku oknu. O'Grady poszedł za nim i zatrzymał się przed nim. Tym sposobem, kiedy twarz plenipotenta zostawała w półcieniu, pełne światło dzienne uwydatniło surowe a namiętne oblicze starca. Stał ze spuszczonej rękoma, z głową podniesioną, choć nieco pochylony, z wzrokiem spozywającym na twardej rysach przeciwnika. Mówił powoli, dobitnie, bez goryczy.

— Kapitanie, ja nie wiem, gdzie jest syn mój, Tomasz, ale nie on zamordował Grubba, nie on pchnął nóż... z tyłu! On tobie życie ocalił! Nie dlatego, żeby spełnić obowiązek prawego człowieka, niestety!... ale żeby nie splugawić się zbrodnią! Odezwało się w nim sumienie... matka go wychowała troskliwie... uległ pokusie i przemocy złych towarzyszy, ale go ochroniła łaska boża!

— Co mi tam gadać o pokusach i łaskach! Schować to sobie dla księży. Ja sam widziałem Tomasza O'Grady, ścigałem go sam, potępił go głos umierającego i wyrok sędziów w śledztwie obdukcijném nad trupem! To wystareza!

— To nie wystareza! — krzyknął starzec, ale pohamował się natychmiast. Kto strzelił? Kto przebił Grubba? Stało się to w jednej i téj saméj chwili. Prawdziwy morderca widział podniesiony w górę rewolwer mego syna; gdy padł strzał i wy obaj obróciliście się, tamten spełnił swój czyn. Przecież pan pobiegłeś za moim synem. . .

— Tak, ale minutę zapóźno, kiedy Grubb padał na bruk! Widziałem waszego syna tuż przy Grubbie; gdyby mnie konający nie był przytrzymał chwilowo, wymawiając imię zabójcy — byłbym go miał w ręku! Człowiek, który strzelił, uczynił to dla natychmiastowego sprowadzenia policyi. Wiecie, kto on jest i że zeznanie jego przyjęli sędziowie.

— Wiem, — szepnął starzec, a nagła bladeść pokryła twarz jego. Spuścił oczy i załamując ręce, powtórzył cichym głosem: — Wiem, wiem, wiem. . . Michał Myles. . . wiem! — A po chwili milezenia dodał: — Ha! W Bogu nadzieja! . . .

Plenipotent poił oczy swe widokiem zgnębnego starca. Gandy nie wątpił na chwilę, że Tomasz O'Grady był winien morderstwa; chodziło mu o to tylko, by się przekonać, że i ojciec nie miał rąk czystych. Sprowadzenie winowajcy do sprawiedliwości pozostawił władzom; starał się, by uwięziono dzierżawcę Topoli. Kiedy jednak śledztwo tajemne wyświeciło fakt nieobecności Tomasza w Topolach przez cały tydzień, poprzędzający dzień zbrodni i pewność, że stary O'Grady nie był w Waterford w chwili śmierci Grubb'a, władze nie posiadały żadnych danych, któreby mogły usprawiedliwić choćby tymczasowe uwięzienie fermera. Gdyby on był człowiekiem mniej znanej prawości charakteru i zapatrywań, możeby się zgodzono na

krok taki; ale należało się liczyć ze stanem rosnącego wzburzenia między ludnością hrabstwa: wszelki krok nierozważny mógłby przyspieszyć wybuch, którego sobie mocno życzyły sfery protestanckie, ale któryby zaszkodził rządowi i stronnictwu rządzącemu więcej, niż zbrojne powstanie w Bengalu.

Ostatnie słowa Marcina zdawały się potwierdzać podejrzenia plenipotenty. Gdyby tylko mógł wpaść na trop kryjówki jego syna! Po procesie kryminalnym i po wyroku, łatwoby otrzymać dekret eksmitowania *per fas aut nefas!* Któryżby sąd w kraju śmiał się wystawić na oburzenie całego landlordyzmu, odmawiając takiego dekretu przeciwko ojcu mordercy?

Po krótkiej chwili obustronnego mileżenia, O'Grady, nagle tknięty myślą, przystąpił żywo do kominka zdjął wiszący na ścianie krucyfiks, objął go obu rękami i, klękając w pośrodku izby, zawołał:

— Na ten wizerunek Zbawiciela, na jego mękę, śmierć i zmartwychwstanie, na sąd duszy mojej i zbawienie moje, przysięgam ja, Marcia O'Grady, że syn mój, Tomasz, nie jest winien śmierci Grubb'a!...

Plenipotent odwrócił się niespokojnie ku oknu; mimo woli... ten bezsilny protest przejął go do głębi dziwnym uszanowaniem uczuć klęczącego starca. Konstablerzy powstał z miejsc: synowie téj samej ziemi i tego samego ludu zrozumieli uroczystą prawdę przysięgi, odkryli głowy. O'Grady mówił dalej głośno i śmiało:

— Przysięgam na duszę moję własną i na czystą, anielską duszę moję Hessy, moję córki, że prawdziwy morderca nigdy przezemnie nie będzie zdradzony, ani wydany! Tak mi Boże pomóż i wszyscy Święci! — Poczém się podniósł, zawiesił krucyfiks na ścianie i, nie zwracając uwagi na osłupiałych świadków téj dziwnéj przysięgi, wyszedł z izby.

Kapitan spojrział za nim, wzrok jego był niepewny; spojrział na konstablerów, a ci spuścili przed nim oczy. Opuścił chatę w pośpiechu, nie słysząc, jak jeden z nich szepnął do towarzysza:

— Teraz i ja bym przysiągł, że Tom nie zabił tamtego!

I kiedy Gandy opuszczał Topole, ojciec trzymał córkę w objęciu, powtarzając:

— Nadzieją i pracą, Het! Nadzieją i pracą, Bogiem, wiarą, i czystym sumieniem!...

IX.

Przygotowania, jakie O'Grady robił na swój osadzie, zmieniły dotychczasowy tryb życia i pracy pod Topolami. Około pięć akrów roli zostawało pod warzywa, bo zysk z ich sprzedaży musiał nietylko wystarczyć na utrzymanie domu, lecz pomóc fermerowi do zakupienia gospodarskich potrzeb. Dwanaście akrów pastwiska należało się bydłu własnemu Marcina i temu, które za opłatą wysyłali do fermy miejscy rzeźnicy, lub handlarze. Wierna Maryanna pozostała i nadal panią i nadzorczynią mleczarni, a nikt lepiej od niej nie potrafił ezuwać nad inwentarzem żywym i nieruchomym. Z pozostałych gruntów, rozłożonych na pagórkach, zarosłych krzewem, O'Grady wyznaczył pod kartofle ośm akrów i z pomocą trzech robotników zabrał się do ich uprawy. Słyszał tyle o szczęśliwych rezultatach tak zwanego „sposobu Trench'a“, plenipotentą dóbr w przyległym hrabstwie Tippevary, że, pomimo wrodzonej wszystkim celtom irlandzkim niechęci do wznowień agronomicznych, postanowił go spróbować u siebie.

Grunta te nie były tak kamieniste, by stawały zapory pługowi. Nasamprzód więc wysypał O'Grady cały obszar wapnem, wydając około 30 baryłek na jeden akr; zorał potem wszystko w zagony pięciu stóp szerokości. Na tych zagonach sadził ziemniaki, zagłębiając je na dwa lub trzy tylko cale pod powierzchnią i posypywał rolę guanem w proporcji sześciu centnarów do akra, przestrzegając, aby ani wapno, ani nasienie nie były bezpośrednio zmieszane ze sztucznym nawozem. W ten sposób wapno rozkładało dziką roślinność w roli i razem z nią stanowiło doskonałą nawóz.

Ukończywszy wszystką mozolną pracę, O'Grady śledził niespokojnie jej skutki. Wszakże od plonu tego siewu zależało tyle! Przekonany był, że twardy plenipotent użyje wszelkich środków, by go z osady wypędzić, jeżeli nie zdoła wypłacić się z należności. Wiedział, iż okropne podejrzenie; rzucone na syna, podejrzenie, wsparte wszystkimi pozorami, lecz najwięcej ucieczką Tomasza, uczyniło położenie jego tém niebezpieczniejszém! Cóż się stanie z maleńką Hessy!...

Starzec nieraz, wracając późno po zachodzie słońca z pagórków, zwracał się ku nim raz jeszcze, klękał, całował zroszoną ziemię i prosił Boga o błogosławieństwo swój pracy tém goręcej, im żywiój mu serce biło nadzieją.

Nadzieja nie zawiodła Marcina. Pod koniec sierpnia zebrał plon pierwszy z nowo uprawianej roli; zbiór ziemniaków wynagrodził mu obficie za znoje i zachody kilkumiesięczne i pozwolił nawet złożyć należne pieniądze w kasie plenipotentą.

Kapitana w biurze nie było, z czego O'Grady był serdecznie zadowolony; młody kasyer dał pokwitowanie, zaciągnął opłatę do książek i rzekł, uśmiechając się:

— Emigracya wam, widać, panie O'Grady, wyszła na dobre: polepszyło się pod Topolami od czasu, kiedy was opuścili synowie!

— Nie opuścili mnie oni, — odparł sucho fermer, — tak, jak nie porzuciło kraju tyle tysięcy ludu, których się rząd chce pozbyć raczej, aniżeli przyspieszyć potrzebne ulepszenia.

— Hm!... — mruknął urzędnik tylko i rozłożył gazetę na biurku; lecz po wyjściu Marcina dodał półgłosem: — Kapitanowi to wcale nie na rękę, że mu się Topole tak wyśliznęły! — A rzucając wzrok na zegar ścienny, szepnął po chwili: — Cóż robić!... zapłacił, a więc muszę służyć instrukcyi kapitana. Trzeba mi rozmówić się z Mylesem... chociaż, daję słowo, wolałbym, żeby sobie Gandy kogo innego był wybrał! No, a więc o godzinie dziesiątej... teraz dopiero po piątej — w szynku „Pod herbem miasta“.

* * *

Tymczasem Hessy położyła na stole, obok przygotowań do wieczery, list, który tego samego dnia przyniosła była z poczty w Tramore. Poznała pismo Patryka na kopercie; przekonała się z urzędowej pieczętki, że list oddany był w Nowym-Yorku. Hessy chciałyby go była otworzyć czémprędzej, ale wolała z ust ojca dowiedzieć się wieści o starszym bracie. Powróciwszy z Waterford, O'Grady ucieszył się niezmiernie, biorąc w rękę i otwierając pierwszy list od „biednego chłopca“! Pisał Patryk, że po szczęśliwem przybyciu do Nowego Yorku, postanowił szukać pracy w miejscu. „Wiesz, kochany ojeze, że do rolnictwa nigdy ochoty nie miałem. Cóż jednak mogłem robić? Po koniecznem zaprzestaniu nauk, jakich niepodobna Ci było opłacać nadal, pracowałem, jak wielu innych, na roli i już się zgodziłem z losem, jaki mi, zdawało się, Bóg przeznaczył... Mogłem być, jak brat mój, Tomasz, uciec ze szpon kapitana i Grubba, ale cóżby nam z tego przyszło i cóżbym z sobą pojechał w Irlandyi?...“ W dalszym ciągu donosił Patryk, jak mu

posłużyło szczęście w pierwszym zaraz tygodniu po wylądowaniu. Wyczytawszy w gazetach ogłoszenie, że pewna firma kupiecka potrzebuje ucznia do swego wydziału buchalteryi, napisał podanie i wręczył je osobiście naczelnikowi firmy. Ten pochwalił wprawdzie pismo, ale przyjąć młodzieńca nie chciał dla braku rekomendacyi poprzedniego pryneypała i dlatego także, iż Patryk choć młody, za starym mu się zdał, aby mógł zająć miejsce ucznia. Udało się jednakże aplikantowi zmiękczyć serce p. Williamsa, tak się nazywał przemysłowiec, i rozpoczął obowiązki swe „na próbę“. Próba trwała dwa miesiące. List wysłany został w dzień, w którym szef wydziału oznajmił Patrykowi, że pp. Williams i Syn uważać go będą odtąd za „regularnego ucznia“ i że mu wyznaczili pensyjkę początkującego — dwa dolary na tydzień.

Przerwał tu O'Grady czytanie wesołych wieści, aby się przypatrzeć rozpromienionej twarzyce maleńkiej Het i wyrzec z głębi serca ojcowskie: „Niech mu Bóg błogosławi“.

„A teraz — czytał dalej z listu — śpieszno mi dowiedzieć się, co tam słyhać u was, drodzy moi. Czyście zdrowi wszyscy i czy wam Gandy przestał dokuczać? O Tomasza bałem się bardzo, ale mi towarzysze podróży wytłómaczyli, że mu plenipotent nie złego zrobić nie może, jeżeli tylko zdołacie się wypłacić. A więc, jakże tam się powiodły plany wasze i prace? We dwóch wam pewno niepodobna było poradzić nowej robocie około ziemniaków! Ucałujcie odemnie mi s s Hessy... czy ja kiedy mogłem pomyśleć, że maleńka Het nie jest...“. Zaciął się w téj saméj chwili O'Grady, zakaszał i rzucając szybkie spojrzenie na dziewczkę, która równocześnie szeroko otworzyła piękne swe oczy i pochyliła się naprzód, jakby dla lepszego dosłyszenia niezrozumiałych wyrażeń, powiódł następnie okiem do końca stronnicy i po niejakiém wahaniu się przeczynał zakończenie listu.

„Skoro mi tylko panowie Williams podwyższą pensyą, postaram się, aby ci, ojeze, dopomóc do zapłacenia długu Mylesa; przekonany jestem, że, jak mi mówiłeś przy pożegnaniu, on jeden mógł cię być wyratować pożyczką. Zkąd on jednak ma na zawołanie pieniądze... tego pewnie my obaj nie rozumiemy... Powiedziałem siostrzytce naszej... nie wiedząc wtedy nawet... (tu znów przerwał na chwilę O'Grady), żeby się strzegła Michała... .

— Mój Boże! mój Boże! — mimowoli zawołał starzec, opuszczając ręce. — Trzeba mi jeszcze czekać trzy miesiące zanim będę mógł oddać, com winien temu człowiekowi. Ale, czyż ja wiedziałem, czy wiedziałem!

Hessy nie zrozumiała całej doniosłości tych słów boleści, jak nie rozumiała znaczenia kilku wyrażeń listu Patryka, jej się dotyczących. Ale o nie w tej chwili pytać się nie śmiała. Zresztą myśli jej po ostatnich słowach ojca w inną się nagle zwróciły stronę. Wstała, pobiegła na górę do swjej sypialni i niebawem wróciła, cała zarumieniona, trzymając w ręku sporo wypełniony woreczek płócienny. Zbliżyła się do starca, wciąż pograżonego w przykrém zadumaniu, objęła go jedném ramieniem za szyję, a chyląc główkę na skroń ojca, złożyła przed nim na stole cały swój skarb.

— Cóżto. Het! — co — to? — zapytał O'Grady, nie zdając sobie sprawy z zachowania się dziewczeczki.

— Same miedziaki i kilka drobnych sztuk srebra, ojezulku. Ale... tam jest tylko... .

Hessy wybuchła głośnym płaczem. Wszystkie jej oszczędność, ciągłe ciułanie groszy i odmawianie sobie najkonieczniejszych potrzeb, jak i najmniejszych i najmniej kosztownych ozdób ubogiej odzieży złożyło się zaledwie na jeden funt kapitału.

O'Grady, znając szczupłe dochody córki, na których tyle ciążyło tygodniowych wydatków, ledwie mógł uwierzyć, jak głę-

boko sobie spamiętała kilka mało zresztą znaczących słów najstarszego syna, gdy sobie tak wzięła do serca przestrogę jego i dług, zaciągnięty u Mylesa. Przywiązanie jój rozczuliło go do łez. Kiedy téjże saméj chwili weszła Maryanna z zapaloną świecą, otarł szybko zwilżone oczy i powiedział tylko :

— Niech ci Bóg błogosławi, maleńka, na każdym kroku, w całym twém życiu! Niech ci Bóg błogosławi i kocha, Het!...

— A zmiłowanie wszystkich świętych!... — zawołała Maryanna, widząc na stole dobrze sobie znany woreczek.

— To nic, nic, Maryanno, — rzekł zakłopotany fermer i dodał: — widzisz, nie wiedzieliśmy, jak ta panienka nasza potrafi oszczędzać! Zgadnij, ile tu pieniędzy?

— Zgadnij! — odparła Maryanna, nie bez dziwnego oburzenia. — Zgadnij! A na co mi zgadywać. Z tém, co się zostało pannie Hessy po dzisiejszym targu, jest tu akurat dziewiętnaście szylingów, dziewięć pensów i jeden „farthing“ *). Zgadnij! Chyba mam zgadnąć, po co to tu panienka przyniosła? Za siedm, albo ośm miesięcy, ach! toby tu więcej było. Tylko, żebym zmieniła wtedy ten ciężar na trzy żółte pieniądze, coby nikt się nie domyślił, przez ile to sobót dwie biedne niewiasty radziły i radziły nad każdą okruszyną soli w kuchni i nad każdym funtem mąki w spiżarni! A kiedy już o mące mowa, to wam, ojcze O'Grady, powiem, że drożeje a drożeje co tydzień; bo wszystek lud chce żyć mąką tylko i sprzedawać ziemniaki: jak tak dalej pójdzie, to się nie dokupimy chleba; choć znowu nie trzeba zapominać, że u nas się tu chleba piecze mało; bo prócz was samych, my go prawie nie jemy, a stary Jan narzeka, że mu pieczywo w Topolach za ciężkie, czemu nie dziwić się, bo biedaczyna prócz wódki niczego przełknąć nie może. A tak! więc. . .

*) Farthing: $4\frac{1}{2}$ pensa

Poczeiwa i rządną Maryanna byłaby w ten sposób przegadała wszystkie szczegóły domowego gospodarstwa, gdyby w tej chwili nie był zaszecekał pies, wierny stróż domu. Równocześnie zerwał się z krzesła O'Grady, otworzył okno i wychylił poza nie głowę. Hessy słuchała uważnie każdego szmeru. Maryanna postawiła lichtarz z świecą zapaloną na kominku i zabrała się do wyjścia do sieni, kiedy ją zatrzymał głos fermera:

— Któż tam? Czego wam potrzeba, kobieto?

Słychać było zwolna i ciężko zbliżające się kroki, stukanie laski pod zewnętrzną ścianą izby i głos niezrozumiały, narzekający.

— Otwórz drzwi, Maryanno! — zawołał Marcin. — Biedactwo, starowina jakaś... może się zbłąkała.

Wkrótce, na progu izby ukazała się postać staruszki, mocno zgarbionej i nisko pochyloniej, wspartej grubą laską, na której obie złożyła dłonie. Twarz, poorana głębokimi zmarszczkami, osłonięta ciemnem chustki, związanej na głowie, wyrażała niby nieśmiałość, zaczerwienione i krwią nabiegłe jej oczy patrzyły wprost na córkę fermera, a usta szeptały półtonem, który się zdaje wślaczać raczej słowa napowrót do piersi, aniżeli je wymawiać.

— Święci pańscy! — mówiła, — ha! to ona... tak... tak! Tyle już czasu!... Agnieszka! Agnieszko! słyszysz? Zjawienie? Nie! W Dunmore... biedactwo!

Oczy Marcina, otwarte szeroko, wpoily się w twarz żebraczkę. Usta drżały mu konwulsyjnie, jak gdyby przemówić chciały, lecz nie mogły.

Hessy, zmieszana dziwnym zachowaniem się staruszki, cofnęła się do kominka, patrząc z kolei to na ojca, to na Maryannę.

— Idźcie wy na górę! — wymówił wreszcie, prawie szorstko, O'Grady.

Hessy pierwsza wyszła.

Maryanna przeżegnała się, sięgnęła po lichtarz lewą ręką, prawą zaś dobyła z poza zegaru kawałek kredy święconej; poczem przeszła ku drzwiom, zatrzymała się za plecami żebraczki, przycupnęła i narysowała trzy krzyżyki na progu.

Pozostawiony sam na sam ze staruszką Marcin, zbliżył się do niej, ujął za rękę i poprowadził do krzesła przy kominku, w którym dogorywały węgle niewygaszonego po zgotowanej wieczery ognia. Staruszka opuściła się bezsilnie na krzesło, laska z rąk drżących wypadła. Marcin stanął naprzeciw, oczu nie spuszczał z oczu i ust siedzącej. Lecz ani oczy jej ani usta się nie otwały. Gdyby nie ciężki a pośpieszny oddech, mógłby sądzić, że życie uszło z wyniszczonego ciała. O'Grady dobył z szuflady stołu płaską fłaszeczkę, wpeł napelnioną koniakiem, wlał kilkanaście kropli w kieliszek, dodał wody z dzbanka i podał żebraczce:

— Wypijcie to, pani Myles, przekaście trochę chleba i mięsa, zaraz wam podam: bardzoście pani zmęczona!

— Wody! — wymówiła słabo.

— To już chyba mleka — odpał fermer w mniemaniu, że „pani Myles“ wyrzekła się palących trunków; znalazł garneczek mleka w szafce, zawierającej zapasy Maryanny, ukroił cienkich kilka kawałków chleba i mięsa i na jednym wszystko talerzu przyniósł do kominka. Ale staruszka mleko tylko wypiła, nie bez wyraźnego pośpiechu, połykając z trudnością, chciwie.

— Bóg zapłać! Kto wy? ... Boże, błogostaw! ... A! ... jeszcze nie! Jeszcze żyć będę... tak mi się pić chciało, od południa, z Kilkenny. Gdzie ona? Gdzie Agnieszka?

Wszystko to pośpiesznie, bez ładu, gorączkowo. Ani nie czekała odpowiedzi.

— Wy fermer? Ona sługa? A on gdzie?

Marcin nie wiedział kogo miała na myśli; nie wiedział, co odpowiedzieć. Staruszka wstała nagle z krzesła, uchwyciła laskę, oczy jój zabłyśły na chwilę. Chwila ta trwała okamgnienie. Pani Myles znów się pochyliła cała i zwolna postąpiła, a raczej poczołgała się na środek przestronnej izby. Siadła tam na podłodze, położyła laskę obok siebie, wyciągnęła wychudłe ręce i ramiona przed siebie i ku wielkiemu zdumieniu Marcina taką z kimś nieobecnym zawiodła rozmowę:

— Osierocili, samą zostawili! Aniołek, jedyny mój Michałek; Piotrowi czas! Nie patrz tak na mnie, Piotrze z Ballaglanu. o! o! Czy pamiętam! Ha! Julia Gallagher nigdy złej chwili swemu Piotrowi nie sprawiła. Piotr mój dzielny tulił do serca, słowa złego nie powiedział... ha! przeszła chmura: raz jeden! Młody, ubogi, pracowity, na panicza sam się kierował; Agnieszkę Julii i Piotrowi w opiekę dał.

— Kto? Kto? Kto? — zawołał O'Grady, podchodząc szybko do staruszki. Ona jednak nie przestała pół-bezwiednie patrzeć przed siebie i dalej mówić:

— Nie wedle ludzi, wedle Boga być musiało! Jan Leary sierota, a Agnieszka dom rzuci i do obcych się przygarnie. Jan Leary w mieście z książek się uczy, a Agnieszka w Ballyglanie czeka, cierpliwie wygląda. Ha! Piotrze; mój dzielny, czysta ona przed Bogiem, prawy on, Leary prawy. Raz jeden — przeszła chmura.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Staruszka nie przestała marzyć o przeszłości; O'Grady, wsparty o kominiek, oczu z niej nie spuszczał. Potem znowu:

— Litości! ludzie wy dobrzy! o! jeszcze nie narodzone — Piotrze! Nie obrażaj go więcej. . . Chryste! Aa! Boże w niebie miłosierny! Krwi tyle, Piotr z roztrzaskaną głową, a Julia prosi błogosławioną Panienkę, żeby nie żyło! O! o! umarło, nigdy nie widziało matuchy. . . Ha!

O'Grady gęste łzy ocierał z oczu. Staruszka nie płakała, lecz oczy jój rozszerzały się okropnie, krwią zaszkłe.

— Mizerak! Piotr Myles — niewinny. Wypędzili, zabrali wszystko, zabili istotkę, co nigdy nie żyła, zabili matkę na drodze, pod murem. Aniołek mój u obcych, gdzie Agnieszka? Ha!

Wstając z podłogi, staruszka obejrzała się w około i drząc poczęła na całym ciele. Potem się przywlokła do kominka, chwyciła Marcina za rękę, przyciągnęła bliżej ku sobie i tym dziwnym głosem swoim, tak płaczącym a spokojnym, zapytała:

— Wy... fermer? A ona... sługa? Gdzie, gdzie on, Jan Leary?

O'Grady znów nie wiedział, co odpowiedzieć. Sam tyleby rad się pytać! Tyle mu myśli krążyło w umyśle, tyle się krzyżowało sprzecznych wspomnień z przeszłości. A przed innemi, jedna myśl trwogą go napędiała i czoło zimnym mu zlewała potem: Hessy przestanie mu być — córką! Hessy, którą od niemowlęcia kochał całą swą gorącą duszą, otaczał bezustanną pieczę; Hessy, która była jego pieszczotką, ma się dowiedzieć, że jest sierotą, że rodziców nie znała nigdy, że... o! okropność! że ojciec przybrany stał się przyczyną śmierci jój matki, owój Agnieszki! A może ojciec zjawi się kiedy w Topolach, może dowiedzie praw swych do dziewczeczki... może da świadectwo niewinności dawniej zmarłej, zabierze dziecko swoje... i nie już Marcinowi nie zostanie w Topolach!

Wszystkie te myśli jednym stanęły obrazem przed wyobraźnią fermera; złamany, skruszony ich brzemieniem, ani na chwilę nie pomyślał, jakby mógł przeszkodzić wyjawieniom Julii Myles. Był środek jedyny: odmówić schronienia żebracze. Ale O'Grady, odpędził szybko ten środek okrutny: nigdyby go się nie chwycił!

Otworzył drzwi izby i zawołał przytłumionym głosem:

— Maryanno! — A potem, nie czekając, wyszedł na wschody, prowadzące do izb sypialnych.

Maryanna, która przestrzegała uparcie, by zawsze ostatnia w domu czuwała, opuściła pokoić Hessy (zwany „sypialnią braci“, a od przeszło roku zajmowany przez dziewczęcą panią domu) i spotkała w pół drogi ojca O'Grady.

— Cyt! ostrożnie, Maryanno — nie trzeba jój budzić! Uściel łóżko w alkierzu dla pani Myles.

— Dla... pani Myles? A gdzie... to, czy ta stara, to pani Myles?

— Cicho, cicho, Maryanno! Przecież nie zapomniałaś matki Michała! Tak, to ona. Zmieniła się, zbiedaczyła strasznie... nie wiele jój już godzin zostało! No, Bóg ją tu zesłał — dodał uroczyście. Jego wola niechaj się stanie!... Idź do alkierza, Maryanno!

IV.

Życie, bodaj jak wzburzone fale nie jest scenicznym dramatem. Nadzwyczajne wypadki nie wiążą się i nie zbiegają w ten sposób, by biograf, lub opowiadający, mógł z nich jednolitą a prawdopodobną utworzyć całość. Jeżeli z jednej strony zachodzą i mają miejsce świetne chwile i straszne zdarzenia, to z drugiej strony nierównie więcej jest w życiu dni, nie powiem spokojnych, niezamąconych, lecz przynajmniej obojętnych.

Tak też w ciągu dalszym naszego opowiadania za obowiązek sobie uważamy, pomijać szczegóły drobniejsze codziennego życia mieszkańców Topoli, choć bezwątpienia niejedna godzina, jaką Hessy O'Grady spędziła w alkierzu Julii Myles, pozostawiła w jój pamięci i wyobraźni, a nawet w sercu i w umyśle nie-

zatarłe ślady wrażeń, do których później dziewczę z nowemi komplikacyami, z ważniejszymi wstrząśnieniami i w poważniejszych chwilach mimowolnie wracało. Słabe to były wrażenia i to przeważnie czysto przedmiotowe. Staruszka schorzała, z umysłem często obłąkanym, w której pamięci krótkotrwały dobrobyt i szczęście małżeńskiego pożycia w jeden się zlewały obraz chaotyczny z okropną sceną okrucieństwa eksmisyi, ze śmiercią przedwczesną macierzyńskiego płodu, z nieodpłaconą nigdy miłością jedynaka, z długoletnią nędzą, głodem, troską i trwogą o „mizeraka“ męża, wreszcie ze śmiercią ostatniej istoty, dla której jęj własne życie ostatnią zdawało się mieć racyą... staruszka rzadko się odzywała, rzadko kiedy dawała wyraz swym bezustannym marzeniom o przeszłości. Tylko każdego poranku powtarzała jedno i to samo zdanie:

— Ja tu leżę, a Michałek mój nie wie! Ha! muszę iść dalej, on tu ztąd gdzieś niedaleko!

O wyjściu jęj z chaty mowy być nie mogło. Życiu jęj żadne nie zagrażało niebezpieczeństwo, prócz tego jednego, że wycieńczona nędzą i cierpieniem mogłaby, gdyby się pozbawiła czujności i pieczy innych, śmierć znaleźć wskutek wyczerpania ostatka sił. O'Grady z początku wahał się z daniem pozwolenia przybranęj córce, gdy go ta prosiła, by mogła wziąć na siebie odpowiedzialność za wygody „biednej pani Myles“. Ale rosnąca z dniem każdym apatya staruszki, rozechwiała wszelkie obawy.

Maryanna za to nie przestawała powtarzać, że należałoby dać znać Michałowi, a jeżeliby on matki nie zabrał do swęj porządnej i obszernej chaty, to możnaby o schronienie dla nięj uprosić Siostry Ubogich w Tramore, choćby i coś płacić przyszło. Maryanna nie była więc bez miłosierdzia; ale z obecności Julii Myles wróżyła nieszczęście Topolom.

O'Grady czuł konieczność uwiadomienia Michała o śmierci ojca i o miejscu pobytu jego matki; ale... miał powody, dla

którychby stronił od nędznika, który oskarżył Tomasza o spełnienie morderstwa.

Hessy chodziła, jak zwykle, każdej soboty do Tramore. Każdej soboty spotykała się z młodym Kennedy. Ale Thady rósł w łaski u swego pana. Thady otrzymał od rzetelnego kwakra obietnicę, że po Nowym Roku „będzie się mógł opatrzyć na całe życie“. Thady zmężniał; poczuł, że chłopcem być przestał, że przyszłość od niego samego w wielkiej zależała części. Tę zaś przyszłości nie odłączał od marzeń o szczęściu swjej przyjaciółki, córki ojca O'Grady. Spotykał ją tylko w miasteczku każdej soboty, lecz już jęj nie towarzyszył całemi godzinami. Z dwóch przyczyn: Thady zapasy swe rozwoził wózkiem zaprzężonym w muła i do okolicznych zapuszczał się często osad po zakupno, lub ze sprzedażą ziarna, nasion, roślin i szepców; Hessy przeciwnie, stałych miała odbiorców w granicach miasteczka i poza nie nie wychodziła. A potem... nieśmiałość pewna, przedzieliła oboje. Oboje dojrzewali rychléj i śpieszniéj, aniżeli rówieśnicy ich w odmienném położeniu i otoczeniu. Thady miał swe wysokie ambicje i od malca pozował na dorosłego; Hessy miała również główkę obarczoną różnemi odpowiedzialnościami, jakie, w zwykłym rzeczy porządku, nie bywają udziałem dziewcząt szesnastoletnich. A nadto wszystko, oboje porozumiewali się pomiędzy sobą nad swoją przyszłością. Thady usiłował odgadnąć projekt i obietnicę swego pryncypała: co tydzień na inny wpadał domysł, krytykował go, zapytywał Hessy o sąd jęj i zdanie, i kończył dyskusją założeniem jednego i tego samego problemu.

— No, więc przypuszczając, że tak będzie, cóż tedy zrobimy?

Dlaczego Thady w liczbie mnogiéj się wyrażał, o to mniejsza. Hessy jednakże na tém właśnie problemacie zahaczała s woje plany i projekta: póki plenipotent Gandy groził zemstą

eksmisyi za uciezkę Tomasza i niewypłacenie renty (o straszném oskarżeniu brata, biedaczka nie wiedziała) były powody, dla których Tomasz musiał się ukrywać. Ale teraz, po szczęśliwém usunięciu wszystkich trudności i obaw, Tom powinienby wrócić do Topoli i pomagać steranemu ojeu. Nikt jednak w Topolach nie znał miejsca ukrycia najmłodszego O'Grady. Ojciec mniemał, że znalazł pracę w Anglii lub Szkocyi. Maryanna powtarzała, że popłynął za innymi do Ameryki.

Nie mówiąc nic obojgu, Hessy napisała do starszego brata, uwiadamiając go o potrzebie odszukania Tomasza i wskazując prawdopodobieństwo pobytu tegoż w Ameryce. Czekala teraz na odpowiedź i każdój soboty zapytywała na poczie o list z Nowego-Yorku. Thady był przypuszczony do tajemnicy.

O przybyciu do Topoli starój pani Myles wiedział Thady również; ale zgodził się nie dać znać Michałowi, którego zresztą bardzo rzadko widywał. Czule serce dziewczyny wzdygało się na myśl pozostawienia schorzałej i ciężko zgnębionój starowiny na łasce syna, o którym zdanie miała swe własne.

W ten sposób przechodziły miesiące, a nie nadzwyczajnego nie zaszło w dramacie, który mimo to zbliżał się chyżo ku zawiązaniu niespodziewanych komplikacyi. Gdy jednak widnokrąg naszego opowiadania rozciąga się ponad dalsze sceny, aniżeli dotąd tu opisane, zadaniem jest mojem zwrócić uwagę czytelnika na dziwne zjawiska, jakie się na nim gdzieindziej ukazały, pod koniec marca następnego roku.

Było to blisko północy. Ulica Sackville w Dublinie, jedna z najruchliwszych i najpiękniejszych w irlandzkiej stolicy, ma sławę londyńskiego Strandu, lub wiedeńskiej Ringstrasse. O téj więc późnój godzinie nie brakło wzdłuż jój chodników licznych przechodniów, wychodzących z sal koncertowych, z teatrów, z kawiarni i klubów. Gdzie gęstsze latarnie gazowe rzesistém promieniały światłem, szeregi prywatnych pojazdów i doróżek

podjeżdżały przed bramy i odjeżdżały z hałaśliwym turkotem, rozlegającym się w dalszych i pobocznych ulicach. W okolicy teatru Gaiety tłum wychodzących był najliczniejszy przed bramą główną, zbity. Na granitowych stopniach przedsionka, prowadzącego do łóż pierwszopiętrowych i do krzeseł orkiestrowych, zgromadzenie było świetniejsze, dam młodych i pięknych, poważnych matron, wesołych podlotków w otoczeniu wyfrakowanych i wykrochmalonych ojeów, mężów, braci i kuzynów, paranteli aktualnej, prognostykowanej, problematycznej. Lekki powiew wilgotnego powietrza zbierał z tego bukietu strojów, klejnotów i dobrego wychowania woń zmieszana perfum i całego tonu — rozwiewał je naokół pomiędzy różnorodną rzeszę chłodnika i ulicy. Konstablerzy, komisyonerzy i okolicznościowi ochotnicy odbierali z przedsionka imiona kamerdynerów, groomów, stangretów, paziów i powtarzali głośno wzdłuż szeregu pojazdów: James! John! Filip! Marcin! Brown! Brown! Marcin! John! James! Filip! N-r 1074! N-r 6485! James! John! Filip! itd. po kolei, jeden wehikuł za drugim, bez pierwszeństwa, ale nie bez porządku. Wśród uwijającej się służby policyjnej, teatralnej i ochotniczej, wśród rozchodzących się na wszystkie strony i boki par małżeńskich i niemałżeńskich, od mostu O'Connela ku ulicy Zamkowej, przechodził człowiek jakiś, który z pewnością z teatru nie wyszedł. Most O'Connela znajduje się tuż obok wejścia do parteru i galeryi; ale człowiek ów nie wyglądał wcale, jak gdyby z jakiego niebądź wyszedł schronienia. A nie tyle nie wyglądał, ile odzieżą swą nie dawał podobnego świadectwa. Wysokie buty nie tylko były zbłocone błotem widocznie niestołeczném, ale i pokryte błotem zasuszoném, jak gdyby właściciel ich między pierwszą słotą i następną nie miał czasu, czy chęci ich oczyścić. Ponad butami nie można było dostrzedz innej części ubioru prócz długiej burki, ciężkiej, brunatnego koloru, z rodzaju używanych w północnej Ir-

landyi „ulstersów“. Burka ta wydawała silny zapach wilgości i zbytniego wystawienia na zmiany powietrza. Szeroki kapelusz filcowy zasłaniał twarz człowieka. Jeżeli chciał się przemknąć niepoznany, to wybrał chwilę i miejsce najodpowiedniejsze. Te liczne światła latarni gazowych i powozowych przemykały się po niezakrytych rysach jego całą gamą półcieni, wyzywając najbystrzejsze oko śledzących, jeżeli gdzie byli w pobliżu. Nikt też na niego nie zwracał uwagi, prócz młodej elegantki na chodniku, która mimowolny poczuła dreszcz w chwilowym sąsiedztwie tego uosobionego chłodu, i jednego z konstablerów, który podejrzliwie spojrział na śmiałego intruza. . . lecz w nadziei szylinga odebrał rozkaz jakiegoś dandysa i na zagłuszenie sumienia, pełnym zawołał gardłem: Nr. 2407!

Tymczasem człowiek ów zaszedł za narożnik teatru i wszedł na ulicę Zamkową, trzymając się ocienionych murów wysokich kamienie, przyspieszając kroku. Raz w raz obejrzał się poza siebie; to przystanął pod latarnią i bystrym okiem rekognoskował ulicę przed sobą, to się zatrzymał przed bramą domu i czekał, pókiby ktoś, kto szedł za nim, nie minał go i nie odszedł daleko. W ten sposób doszedł do czwartej z rzędu bocznej ulicy, zwaną ulicą Studzienną, od pompy publicznej, którą tam gmina w miejsce stariej studni wystawiła. Raz jeszcze zatrzymał się i obejrzał za siebie: nikogo nie było w bezpośrednim pobliżu; wyjrzał z za rogu kamienicy na ulicę Studzienną; ta zdawała się być zupełnie opuszczoną. Człowiek puścił się szybkim krokiem po lewej stronie ulicy. Mijał olbrzymie budowle, zaopatrzone w szerokie bramy wjazdne i w wąskie okna bez szyb, zasłonięte żelaznymi okiennicami. Były to po największej części wielkie składy zboża, sprowadzonego z Ameryki, czekającego na kupców z Anglii i Szkocyi, lub na dublińskich handlarzy. Po za tymi gmachami stały nieregularne budynki, oddzielone od ulicy obszernymi dziedzińcami. To stajnie i wozownie dla koni

i pojazdów téj arystokratycznej i zamożnej dzielnicy miasta. Nieznajomy zwolnił kroku: zbliżył się do rzędu domów mieszkalnych. Spojrzał bystro na drzwi pierwszej kamienicy i szepnął:

— Nr. 39. Musi to więc być na drugim końcu. Liczby nieparzyste po téj stronie.

W dwie minuty potem stanął przed wysoką kamienicą, oznaczoną n-rem 36. Spojrzał naokół — sam był na ulicy. Rzucał wzrok na kamienice: światła nie widział żadnego. Z kieszeni burki wy dobył klucz, zbliżył się do drzwi, otworzył je i zamknął, znalazłszy się w przestroniej sieni, do której światło latarni ulicznej, stojącej naprzeciw, bladymi wkradło się promykami przez zabrudzone szyby, umieszczone ponad drzwiami.

— A teraz przez drzwi po lewej stronie do pierwszego pokoju frontowego; ztamtąd do pokoju tylnego: znajdę lampę na kominku.

Powtarzając zwolna te słowa, jak gdyby przypomniawszy sobie daną instrukcję; nieznajomy doszedł omackiem do pierwszego pokoju i sięgnął do kieszeni po zapalki, aby przy chwilowém oświeceniu znaleźć drzwi następne i nie potknąć się o meble jakie tu stać mogły. W téj chwili usłyszał zgrzyt klucza w drzwiach od ulicy!

— Wielki Boże! — zawołał — czy mnie kto szpiegował i ścigał!...

Przemknął się potem między wielkim stołem i rzędem krzeseł, ustawionym wzdłuż ściany, wcisnął się w róg pokoju blisko okna, zatrzymał oddech i czekał.

Tymczasem nowy przybysz zasunął rygiel drzwi ulicznych tym samym kluczem, którym je otworzył — i pewnym krokiem, niby dobrze obznajmiony z rozkładem domu, wszedł do frontowego pokoju, bez światła, znalazł drzwi drugie, otworzył je i zamknął za sobą. Człowiek w pierwszym pokoju usłyszał potarcie zapalki, spostrzegł słaby rys światła w szczelinie, po-

między zawiasami drzwi. Nie wiedział widocznie, co miał począć. Wsunął rękę pod burkę, szukał czegoś w jednej z kieszeń ubrania i czekał z ręką ukrytą.

W niespełna pięć minut znów ktoś wszedł z ulicy, drzwi zamykając za sobą; przeszedł pokój frontowy i zniknął za przeciwległymi drzwiami. Nieco później — trzeci; potem czwarty; potem dwóch razem, potem siódmy, ósmy, dziewiąty... Mężczyzna ukryty naliczył ich w ten sposób szesnastu, a żaden z nich na niego nie zwrócił uwagi, żaden się jego obecności nie domyślił.

— Nie mam się czego obawiać! — rzekł sam do siebie pewnym głosem, — to „chłopey“!

Wyszedł z poza krzesel, przeszedł pokój i otworzył drzwi, wiodące do przyległego.

Pokój był próżny, oświetlony swobodnym płomykiem lampki petrólejowej, bez szkła. Ale inne drzwi zdawały się prowadzić dalej w głąb domu. Człowiek drzwi te otworzył — i znalazł się w sieni...

Ani śladu szesnastu mężczyzn, którzy w oczach jego przeszli! Podszedł ku drzwiom ulicznym i natrafił na drzwi pokoju frontowego. Przekonany, że w owym drugim, oświetlonym pokoju, nie spostrzegł trzeciego wyjścia, powrócił do niego. Zaledwie próg przestąpił, usłyszał kroki za sobą i głos:

— Kto tu?

Człowiek sięgnął ręką do zanadza.

— Ktoś jest? Czego ci tu trzeba? — powtórzył szorstko wysoki, chudy mężczyzna, z wspaniałą czarną brodą, wytwornie ubrany, z cylindrem na głowie. W ręku trzymał porcelanowy lichtarz z zapaloną świecą.

Miasto wszelkiej odpowiedzi, zagadniony wy dobył rękę z zanadza, a w niej — list, zapieczętowany zielonym lakiem. Koperta zaadresowana była w tych słowach:

Anglo-Amerykańska Spółka Emigracyjna
Agentura Instytutu Filantropijnego w Boston S. Z. A.

486 wr. Mn. P, 901; *Almthgfigh 00076000.*

— Aha! -- wymówił półgłosem wysoki mężczyzna, przeczytawszy uważnie kabalistyczny wiersz czwarty adresu, i otworzył pismo. List widocznie nie wiele zawierał słów, bo w niespełna trzy sekundy mężczyzna skinął na swego towarzysza i razem z nim przeszedł pokój od drzwi, gdzie stali, ku oknu. Zatrzymał się, wpatrzył w podłogę i uderzył obcasem raz, potem szybko dwa razy i znów raz jeden.

Ledwie to uczynił, dało się słyszeć warczenie, jakby śruby pod podłogą. Po małej chwili trzy kwadratowe stopy podłogi wypadły i oczom dwóch ludzi przedstawił się ciemny otwór. Wysoki mężczyzna usiadł na podłodze, spuścił nogi w otwór i rzekł:

— Skoro zeskoczę, daj mi lichtarz, zgaś lampkę i chodź za mną!

Wkrótce człowiek, który w domu tym widocznie był zupełnie obcym, znalazł się pod posadzką. Ktoś zakręcił śrubę nad nim; usłyszał to samo warczenie, ale głosu żadnego; był sam i pozbawiony światła. Potarł o rękaw zapałkę: zobaczył ciasny, wilgotny, nieregularny kurytarz przed sobą; ponad głową, w miejscu, gdzie był skryty otwór, dwie żelazne sztaby przypierały grubo wypchany worek, spoczywający na sześciu ceglach, do wsuniętych i spojonych deszczek. Worek i cegły służyły bezwątpienia do zgłuszenia odgłosu próżni, jaki niechybnie musiałyby zwrócić uwagę chodzących na górze.

Jako tako zorientowany, lecz zdziwiony zniknięciem tego, który go tu sprowadził, przybysz nasz postąpił w głąb kurytarza ostrożnie, poomacku. Zaledwie jednak uczynił z jakich pięć

kroków, uczuł się pochwycenym silnie za ramię i usłyszał głos syczący mu w ucho :

— Stój! Ani kroku! Czekaj!

Lecz niedługo czekał.

Mignęło światło w pobliżu i zgasło. Ten, który stał na czatach, trzymając przybysza za rękę, wymówił głośno :

— Obcy z przewodniczącym!

To samo światło ukazało się i zgasło.

— All right! — wymówił czatujący.

Po raz trzeci ukazało się światło, lecz tym razem nie zgasło.

— Chodź za mną! — rzekł czatujący i pociągnął przybysza za sobą.

Temu ostatniemu zdawało się, jak gdyby, idąc, okrążał jakiś olbrzymi filar. I nie mylił się. Przy innej sposobności poznamy szczegółowo nieruchomość, oznaczoną liczbą 36 przy ulicy Studziennój; dla tego teraz nie będziemy się rozglądali dłużej w podziemiu, aniżeli konieczność każe.

Obydwaj przybysze zatrzymali się wreszcie. Jeden z nich uderzył czémś twardém w coś dźwięcznego metalicznie; otwarła się ogromna kłapa żelazna i przybysz zadrżał na całym ciele!...

XI.

W okrągłej zupełnie izbie, niemającej okna ani drzwi, prócz onój kłapy, przez którą teraz weszli obydwaj, częścią siedziało na prostych stołkach, częścią stało około trzydziestu ludzi. Jedna tylko świeca osadzona w porcelanowym lichtarzu, oświecała niebielone i nieregularne ściany téj dziwnej rotundy. Lichtarz stał na okrągłym, mahoniowym stoliku. Z łokciem wspartym na tym stoliku, siedział ów wysoki, chudy i wytwor-

nie ubrany mężczyzna, któregośmy spotkali na górze. Na stoliku obok lichtarza, leżała trupia głowa — nie więcej. Z wyjątkiem siedzącego przy stoliku i przybysza, wszyscy inni w tej izbie mieli twarze zamaskowane i pokryte głowy. Wszyscy byli zwrócenii w stronę otworu. Skoro zamknięto klapę, jeden ze zgromadzonych odezwał się przytłumionym głosem:

— Tomaszu O'Grady, czego żądasz od Niezwycięzonych Braci?

Przybysz wzdrygnął się i spojrział nieśmiało na siedzącego przy stoliku. Ten jednakże głowę miał odwróconą.

— Kary i przebaczenia!... — głucho wyrzekł zagadnięty.

Zaledwie wymówił te słowa, dwóch z zamaskowanych przystąpiło do niego. Uchwycili go pod ramiona i podprowadzili w sam środek zgromadzenia, które rozstało się, pozostawiając wolne miejsce wokoło niego i dwóch jego strażników.

— Przyszedłeś... — zaczął ten sam człowiek, który postawił zapytanie, gdy siedzący przy stoliku przerwał mu w ten sposób:

— Bracie centrum i wy bracia wszyscy, wybaczenie, że odebrawszy pismo względem Tomasza O'Grady, pismo, którego treść wam wiadoma, sprawę jego sam wam w należytem świetle przedstawię. Jeżeli jednak jest kto około tego centrum, komu się nie wydaje rzeczą godziwą, abym ja krok ten podejmował, ile, że choć jestem Numerem Pierwszym, to przecież władzy nie posiadam w sprawach, dotyczących karności pojedynczych kół; niechaj protest swój jawnie oświadczy, a ja w tej sprawie głosu nie zabiorę.

Powiedziawszy to, Nr. 1, spojrzął dokoła po zgromadzonych. Nikt nie przerwał milczenia. Po kilku minutach, ten który był nazwany bratem Centrum, przemówił:

— Bracie, Numer Pierwszy, masz głos. Mów — sądź —
każ — a w obecności naszój.

Numer 1 począł mówić głosem spokojnym, dźwięcznym, a zgromadzeni słuchali, zwracając od czasu do czasu głowy w stronę podsądnego. Tomasz O'Grady oczu nie spuścił z twarzy mówiącego.

— Centrum 877, w królestwie Munster, hrabstwie Waterford, baronii Cappoquin, z bracią połączonych baronii Cappoquin i Tramore — z jednéj strony; z drugiejj strony, Tomasz O'Grady, w świętém Braterstwie Niezwycięzonych, zwany do niedawna: Allan Mac-Allan. Wyszedł rozkaz usunięcia arcy-zdrajcy klanu Gaela, krwi z krwi i kości z kości klanu Gaela, tym obrzydliwszego nikezemnika, kapitana Artura Jana Gandy, zarządcy saksońskiego paniątka, lorda Grosvenor. Allan Mac-Allan losem wyznaczony na sprawę potrzeby. Dano mu rewolwer, przygotowana zabawa; zamówione schronienie — na moczarach hrabstwa Kerry. Allan Mac-Allan zawiódł nadzieje i słuszne oczekiwania braci: złamał przysięgę. Zamiast zalać ołowiem zgniłe serce arcy-zdrajcy, strzelił na oślep, ponad głowy motłochu. Śeigany jako podejrzany morderca przez ogary uzurpatora; śeigany jako zdrajca i krzywoprzysięzca przez braci w Munster, w Connaught i w Leinster, potrafił się przemknąć do królestwa Ulster i przez dziesięć miesięcy wlec przeklęty żywot w nadmorskich jaskiniach, w skałach, w zachodnio północnym Donegalu.

Numer 1, przerwał na chwilę: wydobyl z kieszeni surduta list ze złamaną zieloną pieczętką, spojrzal na adres, wyjął pismo z koperty i wśród nieprzerwanego milczenia tak dalej ciągnął:

— Centrum 486 na walném posiedzeniu w Raphoe, w hrabstwie Donegal, w królestwie Ulster, w połączeniu z Centrum 901 baronii Raphoe i bracią miasta i baronii — z jednéj strony;

z drugiej strony, Numer Pierwszy sam lub z bracią swego własnego Centrum 76, lub innych którychkolwiek, w stolicy Bractwa i Państwa. Jako pewien Tomasz O'Grady, niegdyś Allan Mac-Allan, szukany w Bractwie, przyszedł błagać o sąd i o karę. Jako uchwalono i postanowiono, aby Tomasz O'Grady, niegdyś Allan Mac-Allan, był sądzon i karan według wyroku tych, którzy świadomi są sprawy. Jako zdrajca w wyborze między baronią swego nawrócenia, a baronią stołeczną przyjął ostatnią i bezpiecznie do stolicy został przeprowadzony.

Mówca list spalił przy płomieniu świecy, założył ręce na piersiach, rzucił wzrok przenikliwy na bladą twarz podsądnego i równie spokojnie zapytał go:

— Czy jesteś winnym krzywoprzysięstwa i zdrady?

— Jestem. . . — odpowiedział ledwie zrozumiałym głosem Tomasz O'Grady.

— Powtórz słowa przysięgi!

— Ja, Tomasz O'Grady, odtąd w irlandzkim Bractwie Niezwyciężonych Allan Mac-Allan, przyjęty dnia tego do grona mścicieli brytańskiego uzurpatora, przysięgam na duszę moję i honor, na zbawienie méj duszy i na miłość, jaką mam dla wolnej Irlandyi, przez te znaki krzyża i śmierć, jako ani myślą, ani słowem, ani uczynkiem, ani wprost i otwarcie, ni pośrednio i z zastrzeżeniem nie odkryje żadnej żyjącej ludzkiej istocie żadnej rzeczy, należącej do spraw jakichkolwiek, jakie znam i jakie poznam w tém Bractwie. Tak samo przysięgam spełnić każdy rozkaz dany mi ustnie, lub na piśmie, przez któregokolwiek prawego i aktualnego członka Bractwa, w sposób, w miejscu i godzinie, jakie mi będą wskazane. Tak samo przysięgam, że wiem, iż rozkazy mogą się sprzeciwiać mojemu przekonaniu, méj woli i jakim bądź innym zobowiązaniom: jednakże spełnić je obiecuję, przyrzekam i jak wyżej przysięgam. Poddaję się z góry teraz — i przysięgam, że zawsze się poddam karze za przekroczenie ustaw

i artykułów Bractwa, za zdradzenie jakiegokolwiek rzeczy, będącej tajemnicą dla obcych, za niewykonanie, zaniedbanie, lub nienależyte spełnienie danych mi przez osoby prawe rozkazów. Przysięgam, że znam dokładnie ustawy i artykuły Bractwa. Tak mi w obietnicach, przysięgach i braterskim żywocie dopomóż Boże, amen! Niech żyje Irlandya! Zatrącenie wrogiem! Śmierć zdrajcom! *).

Gdy Tomasz wymówił ostatnie słowa strasznój przysięgi, Nr. 1 powstał i dobitnym głosem tak do zgromadzonych przemówił:

— Bracie centrum i bracia wszysey, dajcie zdanie: Wi-nien, czy niewinien?

Nikt nie odpowiedział. Ale wszysey dobyli nożów, podobnych formą do sztyletów i mało się od siebie różniących, otworzyli je i zwrócili ostrza najprzód w stronę podsądnego, potem w trupa głowę na stoliku. Jak gdyby nie wystarczyło tak wyraźne okazanie woli zgromadzenia, jeden po drugim z zamaskowanych przeszedł obok Tomasza, dotknął piersi jego końcem noża, zbliżył się do stolika i, kładąc ostrze na trupiej czaszce, wymówił głośno:

— Przysięgam, że winien jest i powinien umrzeć! Gotów jestem spełnić wyrok koła!

Ale jeszcze nie wszyscy członkowie wydali wyrok, gdy kilkakrotne uderzenie w klapę, zakrywającą wejście do tego lochu, zwróciło uwagę najbliższych stojących. Jeden z nich zbliżył się do otworu i wśród głębokiego milczenia reszty, zawołał:

— Cóż nowego w Bostonie?

— Wybiła pierwsza! — brzmiała odpowiedź.

— Kto jest pierwszym w armii?

*) Rota przysięgi tej jest autentyczną: czytano ją kilkakrotnie w ciągu procesu Careya o morderstwo ministrów w r. 1882.

— Jenerał!

— Otworzyć! — rzekł brat centrum.

Do lochu zstąpił człowiek zamaskowany, niskiego wzrostu, krępy, barczysty. Dwoje czarnych oczu objęło z poza maski jednym rzutem całe zgromadzenie i spoczęło na tym, którego członkowie zwali Numerem pierwszym. Nowo przybyły zbliżył się do stolika i szepnął siedzącemu przy nim słów kilka do ucha; Nr. 1 powstał natychmiast, zapiął surdut i zapytał nowo-przybyłego głośno:

— Czy brat odźwierny jest na swém stanowisku?

— Jest.

— Byłeś na górze.

— Nie byłem.

— Bracia, — dodał Nr. 1, przemawiając do wszystkich — ogary są na mym tropie. Bardzo to mi na rękę, bo łatwiej się o mém przybyciu dowiedzą wszystkie centra pozastoleczne. W kilku słowach tylko, bo czasu straciliśmy dużo, mogę wam zarysować plan najbliższych naszych czynności. Ale — wprzód trzeba nam pozbyć się winowajcy.

Ci, którzy w téj chwili spojrzeli na Tomasza, spostrzegli dziwną zmianę w całej jego postawie i twarzy. Stał przechylony naprzód, z głową podniesioną, z oczyma wpojonemi w zamaskowaną twarz nowo-przybyłego członka. Silny i przyśpieszony oddech podnosił mu pierś; na twarzy ukazywał się i zniikał żywy rumieniec.

— Bracie Centrum, — ciągnął dalej Nr 1, — niechże Tomasz O'Grady. . .

— Tomasz O'G! . . . — zawołał nagle nowo-przybyły i nie dokończył.

Nr. 1 obrócił się ku niemu:

— Czy znasz go, bracie? — zapytał.

— Nie znam, — odpowiedział spokojnym już głosem i dodał: — Nazwisko nienawróconego.

— Mniejsza o to! — rzekł Nr 1. Chciał coś potem powiedzieć, ale, jak gdyby po namyśle, przystąpił do Centrum i z niem półgłosem miał krótką naradę. Poczém skinął na dwóch towarzyszków Tomasza, wskazał ręką klapę i dał rozkaz:

— Zaprowadźcie go do tylnego pokoju na drugim piętrze. Niechże go brat odźwierny zaopatrzy w żywność i będzie za niego odpowiedzialnym kołu!

Wpół nieprzytomny Tomasz ruszył z miejsca, na którém dotąd stał prawie nieruchomy. Oczu nie spuścił jednak z nowoprzybyłego. Przechodząc obok niego, schylił się i głośno mu nad uchem zawołał:

— Znam cię, Michale Myles! Zdrajco podwójny, zemsta moja!

Towarzysze odciągnęli go silném szarpnięciem rąk naprzód, i wraz z nim zniknęli w podziemném przejściu.

XII.

Między osobami, które wychodziły z teatru Gaiety, w chwili, gdy Tomasz O'Grady mijał rzęsiście oświecony przedsionek teatru, było kilku panów, obrażonych na otyłego szwajcara świątyni. Po kilka razy zbliżał się on ku jednemu z nich i z niskim ukłonem zapytywał:

— Czy mam kazać kamerdynera, mylordzie?

— Nie, przyjacielu — odpowiedział mylord.

Otyły szwajcar, cofając się z obecności pańskiej i za każdym razem wtył prostując swą wygalonowaną powagę, myślał: Hm! Cóż u dyabła! Uwzięli się odbyć posiedzenie w przedsionku

zamiast czekać do jutra i radzić w ratuszu, jak przystało: Czas przecie zamknąć bramę, albo choć te drzwi — niech tam sobie konferują, w bramie, w portyku. Służba stosowanego kapelusza kończy się w dwadzieścia minut po zapadnięciu kurtyny — tu już blisko pół godziny po czasie... ho! corps de ballet cały już wyszedł, z trabantami — ani jednego maszera*) w moim departamencie!... Hm! a może mylord kamerdynera nie ma! Ci homerulerzy, to żal się Boże! No, nie moja to sprawa, niech tam sobie korporacya sadza kogo chce na mayorowskiem krześle... ale ten już z pewnością kamerdynera nie trzyma:

Po kilku minutach refleksyi otyły szwajcar z mniej czolo-bitnym ukłonem zaryzykował ofiarowanie swych usług powtórnie:

— Czy stangret waszej mości, mylordzie, wie o której godzinie mylord oczekuje swój *brougham*?

— Nie, mój drogi! — rzucił niedbale dygnitarz stołeczny, opierając się na ramieniu sąsiada i o coś go pytając.

— *Very vell my lord!* — mruknął szwajcar, odwracając się tą razą na obeasach, bez ukłonu. Stangret nie wie, bo stangret na księżycu. Mylord fiakrem się kontentuje... jeżeli ma na to! A to mi dopiero lord mayor! Widział to kto! A lichoby go ztąd wyniosło. Tamci mu kadzą — a jakże! Chcą coś wyłudzić: pensa więcej na municypalnych podatkach, dla agitacyi! Hm! toż i ulica już niby prawie pusta. Piechotę chyba nie pójda, bo wyfrakowani, wylakierowani... na takie błoto! Zobaczymy tylko: co to dziś? środa! Ah! kiełbaski, oczywiście. Mistress Dowdy ma dziś kiełbaski. Jeżeli „Belfast-sausages“, to mniejsza z tém, nie im nie będzie. Ale jeżeli „Cambridge“, to wióry, wióry! Ano to ja im zabrzęknę...

Panowie, stojący wokoło kominka, najmniejszj nie zwrócili uwagi na brzęk kluczy portyera. Zirykowało to powagę po-

*) *Masher* w nowym żargonie angielskim odznacza dandysa półświatkowego.

teżnych łydek w jedwabnych pończochach. Poszedł do kominka z miną baranią:

— Czy mogę już odejść, mylordzie?

— Ale i owszem, mój kochany — odparł mylord, zapalając cygaro.

— Eee... bo to — będę musiał zamknąć bramę...

— Z pewnością, Dowdy.

— To ja pójdę; może został służbowy konstabler, każe mu zawołać f... f.. fiakra!

— Poczekaj tylko; chwilkę jeszcze, mój Dowdy!

Cóż poradzić? Dowdy czekał, przeklinając w duchu homerulerów i posłów narodowych. Mógł był usiąść w swym wygodnym fotelu blisko drzwi i zdrzymnąć się; ale bał się tym sposobem dłużej folgować konferencyi „tych ludzi.“ Zamykał więc i otwierał szufladę swego stolika z wymownym łoskotem; podglądał, czy okna zamknięte; przymknął i zasunął jedną połowę wielkich podwoi; w końcu, z energiczną desperacją zakreślił dwa kurki żyrandoli, pozostawiając trzy tylko płomienie. Gdyby to był uczynił weześniej, możeby sobie był oszczędził złego humoru, bo jeden z późnych gości zawołał w tej chwili

— Wiecie, panowie, która godzina?

Pięć czy sześć zegarków odpowiedziało na to pytanie:

— Dwunasta!! Dowdy, zawołajże tam fiakra!

— Zaraz, panie, powiem konstablerowi.

— Sprowadźże i mnie fiakra.

— Owszem, panie hm!.. *konstabler* go sprowadzi!

— A to i nam, Dowdy, spiesz się!

— Z miłą chęcią!... ahm!.. polecę kon-sta-ble-rowi,

— A krzyknij też i na mojego Marka — dodał wreszcie lord mayor dubliński.

Tego już było zawiele kapiącemu tuszą i złotymi szychami cerberowi; jak-to? żeby on miał krzyżeć z ulicy na Marka... on!

— Przepraszam, mylordzie — rzekł, stając w progu i lewą rękę przykładając do ucha. — Przepraszam, mylordzie, bardzo przepraszam, ale na starość to i...

Chciał uzalić się na słuch niedopisujący...

— Mój kochany Dowdy, i owszem! Biedaku, czemuś nas nie wyprosił odrazu? Tak późna godzina nie dla ciebie.

To mówiąc, wyjął z kieszeni kamizelki suwerena i chciał nim wynagrodzić cierpliwość szwajcara, gdy ten, czerwony i siny z gniewu, wytoczył się jak mógł najprędzej z przedśionka na stopnie i, krztusząc się, zawołał:

— Hallo! Janie, Piotrze, czy jak ci tam, lord mayor chce jechać do domu! Trzy fiakry dla pięciu ludzi! Spieszcie się!

I z ulicy wybiegł aż do parterowego wchodu. Stanął tam, wysapał się i wrócił.

— Biedaku!... a ty parnellowska gadzino! Biedaku!... mój kochany Dowdy (przedrzeźniając), a to mi pan całą gębą. Ściele się do nówek waszej gości, mylordzie-mayorze dubliński — *dzisiaj* — piekarczyku wczoraj, a jutro... ha! co to?

— Czy odjechał już lord-mayor? — zapytała w téj chwili młoda dama, wyglądająca z po za firanek stołocznój jednokonki. Doróżkarz zatrzymał konia tak zręcznie, że szlachetne zwierzę przednie nogi ledwie nie na szlifach złożyło szwajcara.

— Już?! Już! to dobre! Lord-mayor tu nie mieszka moja... hm!... piękna!... hm!... moja kochana...

— Kiedy odjechał?

— Oho! jeszcze go łatwo dogonić, moja hm!...

— W którą stronę?

— Aaa!... no, to szkoda! Gdzieżby, tylko do pani mayorowej, do ratusza! ha! ha! hm!..

— Pędź do ratusza! — zawołała młoda dama i iskry posypały się pod kopytami konia, zanim szwajcar, poznawszy fatalną pomyłkę, zdążył uchylić kapelusza.

— Któż mógł wiedzieć, że lord-mayor tu, a lady mayoress tam; on karetą z kamerdynerem, ona fiakrzną, jak... hm!... Ale co to wszystko może znaczyć? Chyba mistress Dowdy odgadnie przy kiełbaskach!...

Tymczasem jednokonka dopędziła karetę lorda mayora przed samym zakretem w dziedziniec ratusza. Widząc, że doróżkarz powstrzymywał konia, zamiast z równym dalej jechać pośpiechem, Marek — nie muij od szwajcara w Gaiety dbały o swe wygody — zawołał z kozła, w tył przechylony:

— Dokąd to, *cabby*?

— Za wami!

— Czy lord mayor jest w karecie? — zapytała głośno młoda dama.

Marek głowę odwrócił i zeszywniał na kozle. Jakoś nie wypadało mu odpowiedzieć na to śmiałe zapytanie, tuż pod oknami prywatnych apartamentów mayorostwa.

Dosłyszał jednak właściciel karety; poznał nawet głos młodej damy, bo gdy pojazd stanął przed wysokimi schodami peronu ratusza, wyszedł i zawrócił natychmiast do jednokonki.

— Wie już wasza mość, mylordzie? — szepnęła dama pytając i niecierpliwie, podawszy rękę mayorowi.

— Zapewne pani masz na myśli demonstracyą w Irish-town? Wiemy także, o czém pani, kochana miss Farrell, nie, wiesz może: Davitt uwięziony!

— Nie może być!...

— Tak jest, niestety! Wrócił do Dublina ostatnim pociągiem; na dworcu czekał na niego superintendent policyi Mallow z sześciu detektywami i pokazał mu *warrant*. Davitt sam był, nikt się go dzisiaj nie spodziewał. Nikt go nawet, prócz policyantów, nie poznał. Odwieźli go do Kilmanham.

— Któż was uwiadomił?

— Człowiek jakiś z prowincyi, który przybył tym samym pociągiem. Nie wiemy jego nazwiska; ale wierzymy mu, bo dokładnie opisał nawet ubranie Davitta.

— Kiedy was uwiadomił?

— Zaraz po odwiezieniu Davitta poszedł do hotelu Europejskiego i opowiedział wszystko Sextonowi. Sexton wpadł do mojej łoży pod sam koniec sztuki...

— Muszę się przekonać, zanim słońce wejdzie!

— Zdaje mi się, że trudno wątpić. Ale... za pozwoleniem! Marek!

— Mylordzie!

— Przynieś mi ostatnią pocztę z biblioteki; listy tylko, bez gazet! Jeżeli Davitt wyjechał tego wieczora z Irishtown, to niezawodnie dał mi znać.

Marek podał tacę z całym stosem listów najrozmaitszych rozmiarów. Lord mayor przeglądał adresy pospiesznie i odrzucał na tacę, dopóki nie znalazł koperty biura telegraficznego. Spojrzał na stempel i wyjął depeszę.

— Irishtown! Otóż to! Godzina piąta, minut dziesięć. Do lorda mayora w Dublinie. Ratusz. Powodzenie niesłychane. Przeszło 40,000 ludzi. Entuzjazm olbrzymi. Liga doskonale ufundowana. Będę w Dublinie ostatnim pociągiem dziś wieczór. Proszę uprzedzić posłów, Brennana i miss Farrell. — *Davitt*.

— Fatalność! — zawołała miss Farrell — opadając w głąb fiakra.

— Wyjaśni się to jutro... musiał Davitt powiedzieć coś, co obiecywało dobrą zapłatę policyjnym reporterom! Sam akt ligi agrarnej jest w każdym słowie konstytucyjny.

— Fatalność! — powtórzyła nieprzytomnie miss Farrell. W samym zawiązku! Tegośmy nie oczekiwali! a do tego... Czy wiesz, mylordzie, dlaczego za toba pędziłam?

— Żeby się podzielić dobrą wieścią z Irishtown.

— Jaknajgorszą — z Dublina: Dermott wylądował tu o dziewiątej!

— Dermott! Nie może być!...

— Dałby Bóg, żeby nie było! Mylordzie mayorze, cóż zrobimy, jeżeli generał stanął w Irlandyi?

— Zkąd to pani wiesz?

— Byłam u Eganów. Kuzynka moja ma być naszą wiceprezydentką. Około jedenastej wpadł Egan do salonu: Dermott w Dublinie! — zawołał — blady jak płótno. Człowiek jakiś poznał generała doskonale; znał go bardzo dobrze w Ameryce; przyszedł i powiedział Eganowi. Dałby Bóg, żeby tak nie było.

— Kochana miss Farrell — rzekł mayor spokojnym głosem — jutro przed południem będziemy wiedzieli. Moje ręce są wprawdzie związane, związane podwójnie... pani to wiesz, ale lepiej w każdym razie być przygotowanym!

Cała ta rozmowa odbyła się częścią po angielsku, częścią po francusku. Doróżkarz ani słowa dosłyszeć nie mógł z swego kozła, umieszczonego wysoko, z tyłu, ponad dachem *cab'u*. Marka lord mayor odesłał. Po ostatnich słowach jego, miss Farrell spuściła gęstą woalkę i szepnęła:

— Co na to wszystko brat powie! Jadę do biura wysłać mu depeszę. W parlamencie zacznie się praca na seryo! Każdy poseł powinienby być Briareuszem! Dobranoc, mylordzie!

XIII.

Tego samego wieczora i w téj saméj niemal chwili, kiedy lord mayor dubliński konferował z kilku posłami w przysionku teatru, a Tomasz O'Grady błąkał się w kamienicy przy ulicy Studziennéj, w kancelaryi podsekretarza stanu, na zanku, znaj-

dowało się dwóch ludzi, wiecee się od siebie różniących. Jeden z nich wysoki i średniej tuszy, z twarzą pełną szlachetnej dystynkeyi, brunet, miał oczy duże, ciemno - niebieskie, skierowane ku drzwiom, naprzeciw biurka, przy którym siedział. Jedną ręką bawił się bezmyślnie łańcuszkiem od zegarka, w drugiej trzymał ołówek i od czasu do czasu rzucał nim notatki na podłużnej karcie papieru, nosząc nagłówek „Gabinet Podsekretarza Stanu dla Irlandyi. Zamek Dubliński“ Poza fotelem wesoło wzbijały się w kominku płomienie węgla. Na biurku, prócz kilku dobrze wypchanych portfeli, kałamarza, dwóch świec woskowych i owiej karty podłużnej papieru, nie więcej nie było. W pośrodku za to, między dwoma wyniosłemi i ciemno - aksamitnymi firankami, okna zasłaniającemi, stało olbrzymie biuro mahoniowe, z wysoką drabiną półek, opatrzone licznemi szufladami. Na półkach, ustawione rzędem ogromne foliały, oprawione w czerwoną skórę marokańską, nosiły zielone etykiety z nazwiskami pojedynczych hrabstw Irlandyi w złożonych literach. Biuro zasłane było plikami papierów częścią luźnemi, częścią związanemi czerwonemi taśmami. Obok biura, pod ręką stał maledunki, okrągły stolik, a na nim hebanowe pudro z złożonemi antabkami i takimże na wierzchu odbiciem mniejszej pieczęci irlandzkiej. Zwyczajny brukselski kobierzec, ciemnej barwy, zaścierał cały pokój. Naprzeciw wielkiego biura, wpół odsłonięta i podtrzymana grubymi sznurami z jedwabiu portyera ukazywała przez drzwi szeroko otwarte nierównie większy pokój, słabo oświetlony, a w nim na środku, biuro podwójne. Obrócony plecami do portyery siedział i pisał coś pilnego jeden z dyżurnych urzędników podsekretaryatu.

Podsekretarzem był Burke, jeden z najwytrawniejszych rutyistów w całym wyższym sztabie służby rządowej, mąż prawego i otwartego serca, szczery katolik, nieobdarzony wprawdzie bystrą przenikliwością umysłu, ale spełniający każdą li-

terę prawa, każdą sylabę tradycyjnej nawet rutyny zamkowej z skrupulatną wiernością i z zamiłowaniem. Burke nie miał przyjaciół; może dlatego, że ich nie szukał, ani pragnął być poszukiwanym. Nie miał podówczas nieprzyjaciół — tak przynajmniej sam sądził — człowiek zaś każdy skory jest do odkrycia swych istotnych lub wymarzonych nieprzyjaciół. Mówię oczywiście o przyjaciółach i nieprzyjaciółach politycznych: w życiu prywatnym, Burke był, by powtórzyć głos prasy, jaki się później odbił echem w najdalszych krajach cywilizowanego świata, „człowiekiem powszechnie lubianym, szanowanym i poważanym“. Innemi słowy: Burke był w życiu prywatnym *persona obscura*; miał trzy siostry ubogie, dla nich pracował, dla nich zapewne pozostał bezżennym. W chwili, w której go tu spotykamy, liczył lat trzydzieści ośm, choć wyglądał starzej i głos miał słaby.

Wprost naprzeciw niego, obok drzwi dębowych, zamkniętych, siedział człowiek wzrostu niskiego, krępy, barczysty... z twarzą, którąbyśmy nazwali piękną, gdyby jakaś dziwna gra mięśni wargowych ust mu nie wykrzywiła, gdyby oczy nie błąkały się błyskawicznie; ocienione czarnymi rzęsami, wyrażając jakiś nieopisany fałsz zupełny, ciągły, ogólny w całej istocie człowieka.

Podsekretarz stanu popatrzał na zegarek, wziął kartę papieru, na której pisał i nie patrząc na człowieka przy drzwiach, odezwał się, mówiąc powoli i dobitnie:

— Doniesienie pańskie jest bardzo niezupełne. Być może, że wartość jego dla rządu jest nieocenioną, lecz tak samo być może, iż się pan mylisz.

— Nie może być — przerwał niecierpliwie głos siedzącego przy drzwiach.

— Zechciej mi pan nie przerywać. Najlepiej będzie, że ja teraz panu całość doniesienia twego powtórzę... tak, jak ja je

zrozumiałem. Jeżeli będzie coś w mém przedstawieniu rzeczy, co byś pan chciał zmienić, to proszę powiedzieć.

Tu, wysoki urzędnik zamyslił się na chwilę, poczem tak mówić począł:

— Nasamprzód, co się tyczy pańskiej osoby, powiadasz pan, żeś przebywał przez lat ośm w Stanach Zjednoczonych Ameryki. W stosunkach czysto interesowych, przy wspólnej pracy, a później w klubach irlandzkich w Bostonie, Filadelfii, Nowym Yorku i w Chicago; spotykałeś się z ziomkami, tajemnie lub otwarcie należącymi do skrajnych sekcji Klanu Na Gael. W ten sposób poznałeś między innymi, Brennana i Egana, którzy tu w Dublinie osiedlili się od mniej więcej półtora roku. Znałeś dobrze i poufale amerykańskiego generała Dermotta i sądzisz, że prawdziwe nazwisko jego...

— Jestem przekonany, że Dermott nie jest kim innym, jak Janem O'Brien!

— Jesteś pan przekonany, że generał Dermott i Jan O'Brien, kryminalista osądzony na śmierć za zdradę stanu i morderecze spiski, następnie transportowany do Nowej Zelandyi, z kąd uszedł — są jedną i tą samą osobą. Poznałeś pan niektórych członków sekcji Szermierzy...

— Przy jednej okazji tylko — przerwał siedzący przy drzwiach — nie mógłbym się podjąć ich identyfikacji dzisiaj!

— Ale — ciągnął dalej podsekretarz — naczelnika téj sekcji nie znałeś pan.

— Nie, nie znałem. Anim go nigdy nie widział! — wtrącił żywo denuncyant.

— Jednakże wiadome panu jego nazwisko: O'Donovan Rossa, wszakże tak?

— Tak słyszałem, z pewnością twierdzić nie mogę.

— Po mniej więcej ośmiu latach pobytu w Stanach Zjednoczonych, postanowiłeś pan wrócić do Irlandyi. Czy mogę zapytać o powód tego postanowienia?

— Zarobiłem trochę gotówki i chciałem odkupić fermę naszą w hrabstwie Kilkenny, a przynajmniej wspierać rodziców, którzy oprócz mnie nikogo innego w świecie nie mają, ktoby ich ratował od głodu.

— Czy żyją rodzice?

— Żyją.

— Czy razem mieszkanie?

— Nie... bo...

— Mniejsza o to. Sądzę, że się panu dość dobrze wiedzie, co? Jesteś w służbie kapitana Gandy.

— Kapitan Gandy oddał mi w roczną dzierżawę swoją własną fermę, Knyveton, blisko Cappoquin. Ale... czynsz bardzo wysoki i...

— Koniec końcem masz pan pracy nie mało w Knyveton!

Podsekretarz wymówił ostatnie słowa z naciskiem i zatrzymał wzrok na twarzy denuncyanta. Denuncyant zbladł, zacisnął zęby, spuścił oczy i milczał. Burke ciągnął dalej:

— Wspomniałeś pan, że kapitan Gandy z wdzięczności ofiarował ci tę dzierżawę. Czy możesz mi dać powód téj wdzięczności?

— Uprzedziłem kapitana o grożącym mu niebezpieczeństwie.

— Jakiem?

— Zaraz po powrocie z Ameryki, dowiedziałem się przypadkowo o spisku na jego życie. Miano go zamordować po jarmarku w Kilkenny. Poszedłem do pałacu w Tramore i uprzedziłem go.

— W liście, któryś mi pan przyniósł od kapitana, znajduję wzmiankę o dawniej znajomości między wami — o znajomości przed wyjazdem twoim do Ameryki.

— Tak w istocie, kapitan mi nieraz mówił... Ja sobie przypomnieć nie mogę, bym go kiedy był widział. Miałem lat szesnaście, kiedy opuścił Irlandyę. Kapitana wtedy nie znałem. Chyba on mnie znał w naszej fermie... miałem dziewięć albo dziesięć lat, gdy nas wyrzuciono...

— Bardzo dobrze! — rzekł obojętnie podsekretarz stanu. Teraz przychodzimy do właściwego doniesienia. Nie wiele ono zawiera. Mówisz pan o założeniu koła „Chłopców Księżycowych“ w hrabstwach południowych. Któż jest... założycielem?

— Nie wiem.

— Wspomniałeś pan o ukrywaniu znacznych zapasów broni — strzelb, noży i prochu. Czy wiadome panu miejsce jakie...

— Nie, ale znajduję.

— Liczę na pana. Może to być rzecz bardzo ważna. Pogłoski również o przybyciu emisaryuszów z Ameryki i o przygotowaniach do rewolucyjnego wybuchu są zbyt ważne, byśmy ich nie słuchali... ale faktów nie ma dotąd żadnych, żadnych.

— Wszystko się znajdzie, *your honour* — rzekł denuncyant — pod jednym warunkiem: muszę mieć zaręczenie, że władze kroków moich śledzić nie będą! Inaczéj nie mogę się złączyć z „chłopcami“.

— Owszem. Władze pozostawiają ci wolne pole. Tylko w razach niespodzianych możesz zapotrzebować pewnej legitymacji... Oto karta.

To mówiąc, podsekretarz wstał, zbliżył się do wielkiego biura, otworzył jedną z bocznych szufladek i wyjął z paczki bilet składany. Wewnątrz cała jedna strona wypełniona była

pieczęcią i podpisem. Lewa strona biletu zawierała te słowa, drukowane niebieską farbą :

„Służba Tajna. — Zamek Dubliński.

Od tego dnia . . . miesiąca . . . roku . . . p.
został zaproszony do oddania usług swoich Podsekretarzawi Stanu.

Podsekretarz Stanu życzy sobie, aby osoba
tegoż tajnego agenta nie była
molestowaną przez żadnych
jakichkolwiek agentów
władzy.“

Burke wypełnił blankiet biletu pełną datą i nazwiskiem :
„Michał Myles.“ Poczém wręczył ją denuncyantowi, dodając :

— Najlepszy z niej użytek możesz pan zrobić odrazu.
Śledź tego generała Dermotta, jeżeliś się nie omylił i sądzisz,
że dziś wieczorem wyładował.

— Jestem tak pewien, jak swój własnej tutaj obecności.
Widziałem go w porcie, w dziesięć minut po moim przyjeździe
z Irishtown.

— Możesz się pan oddalić. Co do... wynagrodzenia...

— Dwadzieścia pięć funtów.

— Tak! Panie Vaughan!

— *Yes, sir!* — ozwał się głos z przyległego pokoju.

— Proszę o dwadzieścia pięć funtów w banknotach —
tajna służba.

— *Yes, sir.*

Po kilku minutach, Michał Myles znalazł się w opuszczo-
nych ulicach stolicy. Stał przy rogu ulicy Sackville, obejrzał
się dokoła, wrócił na Zamkową, a z téj przeszedł na studzienną.
O sto kroków za nim podążał wzdłuż chodnika cień kogoś, idą-
cego ostrożnie, przy ścianach kamienic.

Szlachetna *) pani Gandy spoczywała na kanapie w swoim saloniku, umebLOWanym niedawno przez pp. Maple i S-kę, podług jej własnych, mozolnie skombinowanych rysunków. Pani Gandy odwiedziła, pod koniec ostatniej jesieni, swych krewnych w Londynie, liczących się do arystokracji. Czyniła to z obowiązku co dwa lata, między zaś jedną wizytą i drugą oczekiwała w Tramore wzajemnych odwiedzin tychże szlchetnych członków rodziny. Żaden z nich się nie ukazywał. Najbiedniejsi kuzynowie i bezposadne kuzynki tłómaczyły się odległością miejsca. Inni składali winę na podagrę, która w irlandzkim klimacie wszelką przyjemność zakłóca i bezustanną dręczy torturą. Inni, cierpiący na serce, nie śmieli życia statkom powierzyć parowym i żaglowym. Siostry rodzone nigdy się na odwiedzenie „kochanej Horacyi“ zdobyć nie mogły: dwie były zamężne, uszczęśliwione macierzyństwem, a zatem pełne trosk około ząbków, szczepienia ospy, rozmaitych cierpień i konwalescencyi; najmłodsza siostra, pozostające w stanie panięńskim, przyjęła pieczę nad zdrowiem złamanego wiekiem ojca, ośmdziesięcioletniego sir Roberta Craigenfort. Brat młodszy spędzał kawalerskie życie między Grenlandyą i Przylądkiem Dobrej Nadziei: starszy — był posłem w parlamencie, wybitnym między filarami toryzmu, a zatem narazonym na Bóg wie jakie niebezpieczeństwa w barbarzyńskiej Irlandyi.

Rodzina przyjmowała szlachetną Horacyą z otwartemi rękami w Londynie i w Craigenfort; przepomniała jej „waryacki“ wybór męża, przestała oddawna wyrzucać jej ponizienie swęj osoby, swych afektów i prospektów; rodzina darowała Horacyi błąd i winę, — zapomniła o wszystkim — a nawet o mężu Horacyi, plenipotencie kuzyna, lorda Grosvenor. A ponieważ Horacya była usposobienia nader tkliwego i słodkiego, przeto

*) *Titre de courtoisie* córek wysokiej szlachty.

nie chciano jęj martwić kategorięczną odmową zaproszeń do Tramore, ani nie było tego najmniejszej potrzeby! Szlachetna pani Gandy spędzała każdy drugi sezon (aż do późnej jesieni) w łonie familii, przyjmowała ze słodkim i cokolwiek smutnawym uśmiechem wszelkiego rodzaju „zobaczymy“ — „bardzo mi będzie trudno“ — „czemu nie... owszem“ i t. p. gotowe odpowiedzi... i wracała do Tramore. Dwa pokoje gościnne z gabinetami były w czasie jęj obecności w pałacu zawsze gotowe dla „gości z Anglii.“ Umebłowane były *ad hoc*; przypominały gościnne pokoje w Craigenfort. Służba je między sobą przezwala po swojemu: „Expectation“ i Disappointment.“

Wycieczki kapitanowej odbywały się regularnie. Nawet przyjsie na świat jedynaka, Roberta, nie przerwało ich — przed osmnastu laty — ile że Robert, który od niemowlęstwa był z natury cichym, wspaniałomyślnym, nieco nawet „miękkiego“ matczynego serca, urodził się w jesieni tramorskiej. Ztąd zwykła kapitanowa mawiać, że Bereio jęj nigdy nie sprawił najmniejszej przykrości, nigdy nie zawiódł w niezem — nigdy, ani przed ani po przyjsieiu na świat.

Wycieczki kapitanowej trwały z początku po kilka tygodni; później zwykły się przeciągać; ostatniego roku, kasztelanka tramorska spędziła po tamtęj stronie cieśniny pół lata i całą jesień. Kapitan nie protestował. Rozumiał przecież, [że utrzymywania ścisłych stosunków z rodziną nie mógł żonie odmówić. Wymagały tego najprostsze konwenanse, wymagało usposobienie Horacyi, wymagała przyszłość Roberta. Mówiono cichaczem, że niemniej zrozumiale tłómaczyła te długie nieobecności żony męzowska przeszłość... Jakkowiekbądź, w ciągu lat dwudziestu familia szlachetnej Horacyi Gandy rozrosła się i rozmnożyła, rozsiadła się w różnych hrabstwach Anglii, Walii i Szkocyi. Ażeby choć przelotnie zwiedzić poważniejszych jęj i znakomitszych członków, na to potrzeba było przecież czasu:

Robert chował się i kształcił w Eton, jak przystało na chłopaczka przyzwoicie urodzonego. Robert był słabowitym, matka nie zachęcała go do przepędzania wielkich wakacyi w wilgotnej Irlandyi; od dwunastego roku, Robert ani postać w Tramore. Był ulubieńcem dziadka Craigenfort, któremu całemi godzinami czytywał naprzemian „Timesa“ i Hansarda „Parlamentarne Debaty.“ Pieściła go ciocia Craigenfort, z którą każdego wakacyi odwiedzał chorych i ubogich okolicy. Familia go nazwała „biednym Robertem“ (nazwiska ojca nikt nie wspominał), i polecała mu mieć staranie o zdrowie, nie zaziębiać się, trzymać się ciepło, nie biegać szybko po schodach, jeść surowe befszyki i zażywać chininę z rozczyznem Dra Bravais.

Szlachetna pani Gandy spoczywała na atlasowej, gorąco-żółtej barwy kanapie. Arcykapłan estetyki salonowej, Oskar Tame (którego londyńskich prelekyi chętnie słuchała kapitanowa), mógłby w tym saloniku nowe znaleźć natchnienia. Przemagał tu kolor żółty „starego złota“ w atlasowych, z egzotycznymi deseniami na obiciach mebli. Salonik był niemi przepelniony; chodź tu niepodobna, ani siedzieć nawet, ani leżeć: stać chyba, a wtedy chcąc niechcąc trzebaby się o coś oprzeć, co zręcznie pod łokieć lub rękę się nasuwało; przedewszystkiem zaś wypadało tu... spoczywać: kształty fotelików, rozetek, otomanek umodelowała sztuka jedynie dla przyjęcia estetycznie ułożonych kształtów spoczywających. Łatwo pojąć, jak głębokich refleksyi i studyów nastreżwały zaproszenia kapitanowej: „to drink tea at five o'clock!“ Zaproszenia te były dla wielkiego świata tramorskiego tém, czém dla londyńskiego, w czasie sezonu, są fioletowe bilety lorda szambelana, oznajmujące zaszczyt wysoki: „Jej królewska wysokość księżna Walii przyjmuje we czwartek, w imieniu Najjaśniejszej Pani, w Marlborough-House. Herbata w ogrodzie o 5-ój.“ W imieniu „krwi“, przyjmowała w Tramore szlachetna Horacya Gandy. Jój bursztynowo-zielonkowate

bilety stanowiły do pewnego stopnia dyplomy... jeśli nie szlachectwa, to szlachetności; były łącznikiem pomiędzy ambicją kolonialną i dumą, a butą matki-ojczyzny. Którażby śmiertelna w hrabstwie zaniedbała stosunki raz zawiązane z córką sir Roberta Craigenfort, teścia jednego księcia, jednego margrabiego i dwóch wice-hrabin, z kuzynką połowy Izby lordów!

Kapitanowa wizytowała rzadko. Raz, lub najwyżej dwa razy w roku obiadowała z lordem-namiestnikiem hrabstwa. Lord-namiestnik sam przybywał na te urzędowe obiady z Anglii lub z Monaco. Raz do roku ukazywała się na chwilę na jednym z urzędowych balów wice-namiestnika, p. Piotra Smith, byłego kapelusznika, mieszkającego obok pałacu w marmurowym zameczku, zwanym „Villa Marina.“

Kapitanowa była w Irlandyi chronicznie cierpiącą. Wiedziało o tém hrabstwo. Za to, z słodkim uśmiechem i z niezrównanym wdziękiem, nie szczędziła kapitanowa zaproszeń do pałacu. A tych wiele pożądaných i cenionych zaproszeń; były trzy rodzaje. Jedne :

— Moja droga pani Roberts, kiedyż mnie znowu odwiedzisz. Wiesz co, kochanko, przyjdź z córką, .. no! pierwszego lepszego dnia, kiedy mnie sobie przypomnisz — przed *lunch'em*. Drugie :

— Czemuż się tak rzadko widzujemy, łaskawa majorowo (z drugiego pułku waterfordzkich dragonów)! Przecież nie potrzebujesz osobnych zaproszeń! Ot, przyrzecz mi, że oboje z majorem będziecie u nas każdego wtorku n. p., co? Przyjeżdżajcie przed pierwszą wczas na *lunch*, .. będziemy wam bardzo radzi! Trzecie, drukowane, chromolitografowane po brzegach, na biletach *écaille*, bursztynowo-zielonkowatych :

„Szlachetna pani Horacya Gandy przyjmuje u siebie w pałacu, w Tramore, każdej środy. Szezęśliwa będzie, jeżeli pani lub pan..... zaszczyci ją swem towarzystwem i pić z nią będzie herbatę o godzinie 5 -ej.“

Bilety te, raz przysłane, dawały prawo picia herbaty o godzinie 5-éj“ w pałacu każdej środy podczas obecności kapitanowej w Tramore. Dzierżyły je obok margrabiostwa w Curragh i żony anglikańskiego biskupa w Waterford, rodziny większych właścicieli ziemskich, o których pochodzeniu nie-celtyckiem nie było cienia wątpliwości; posiadała takż bilet pani rektorowa parafii tramorskiej, pani sędzina hrabstwa z córkami, siostra irlandzkiego rzecznika spraw kuzyna Groszenera i w końcu żona komendanta obwodowej policji konnej. Według okoliczności, bilet pałacowy niby cudowne objawienie spadał do rączek goszczących latem w Tramore artystek teatru Galety w Dublinie. Bilet taki nadzwyczajny miał barwę błękitną.

Refleksye i studia głębokie, jakich powodem był każdy bilet kapitanowej, zrozumie odrazu każda łaskawa czytelniczka. Bo, pominawszy nawet, że tekst zaproszenia drukowany był w cieniu i poprzez łądygi i liście słoneczników, między pazurkami papug, ibisów i tym podobnych symbolicznych rewelacyi estetycyzmu, wiedziała dobrze każda zaproszona, iż w salonie pałacowym trzeba jéj być harmonijném uzupełnieniem czegoś, czémś wzajemnie uzupełnioném w otoczeniu i atmosferze.

Powiedzieliśmy już, że obicia mebli były atlasowe, *old gold*, bogato, egzotycznie deseniowane. Odbijały one przepysznie od ram mebli hebanowych, delikatnie punktowanych złotem. Japońskie stoliki, niziutkie, czarno lakierowane z barwistemi kwiatami, stały tuż obok drobniotkich kozetek, istnych pieścidełek gustu i komfortu. Indyjskie z indyjskimi roślinami wazony stały na wysokich koszykach do kwiatów o ledwie dostrzegalnych nogach. Mnóstwo fotografii i akwarelowych miniatur wyglądało wyzywająco z najciekawszych ramek, dziwacznie porozstawianych tu i owdzie na stolikach, gabinecikach, konsolkach i etażerkach. Były tam ramki z błękitnego pluszu, opatrzone takiemiż firaneczkami, z poza których wyglądała fotografia królewskiej lub

teatralnej wysokości. Portretów ani portrecików familijnych tu nie było; ale za to wszelkie znakomitości estetyczne należą znalazły gościnność. Jedne z nich rozglądały się po salonie z miniaturowej sztalugi; inne twarzyczki tylko wychyliły kokieteryjnie z poza kapturka koronkowego lub aksamitnego, przytwierdzonego do ramki. W białym marmurowym kominku czerwieniły rozżarzone główne, prócz ciepła tylko i niepewnych blasków nie z nich do salonu nie wydając, w przeciwległej niszce, przetworzonej na alabastrową grootę, ocienionej smukłymi palmami, słodko szemrał deszczyk wonnej fontanny, rozpryskując się cichuteńko w niezliczone tysiące perłowych kropelek. ponad porfirowemi główkami najad, zanurzonych w alabastrowej kąpieli.

Dywanu niepodobna było rozróżnić pod indyjskimi i perskimi kobierezykami, zaścielającymi podnoża tyłu wytworności umeblowania. W pobliżu okna (dającego widok na morze, lecz teraz zasuniętego wspaniałą, złotawego koloru adamaszkową kurtyną i naprzeciwko kanapki-tronu szlachetnej Horacyi stał duży fortepian, skrzydło, arcydzieło Collarda; przy nim maleńka biblioteczka nut. Obicie ścian papierowe, naśladujące kordowańską skórę, otaczało cały salonik kapitanowej przepysznyymi widokami gajów i ogrodów. Pomiedzy zaś gałęziami druidowych dębów i ponad gąszczem krzewów, zręczny artysta-tapicer potrafił genialnie umieścić na niewidzialnych podstawkach ptaki wypchane: słowiki i turkawki wśród pawie i maltańskich puszczyków. Pewna nieokreślona woń delikatna napełniała salonik: woń roszącą fontanny, wschodnich ziarek na główniach w kominku i umiejętnie perfumowanego oleju słabo płonących lamp, ustawionych tu i owdzie, mdlejących raczej, aniżeli oświetlających żywo, poprzez szkła bladawych kolorów, zakryte osłonami, przedstawiającymi: z roślin — akacje, kwiat lotusowy i orchidy, z ptaków — puszczyki, ibisy i pawie, ... a wszystkie

w formach tak wdzięcznych i złudnych, że zdjąłbyś cienistą gałąź z téj lampy, podałbyś palec puszczykowi, siedzącemu na tamtéj!...

Szlachetna pani Horaeya Gandy spoczywała więc na swéj kanapce, ścigając okiem zmęczoném kalejdoskopijną perspektywę swego kącika w wielkiém zwierciadle w ramach marmurowych, tworzących całość z kominkiem, gzymsem i fantastyczną plecionką kominkowych etażerek. Wzrostu małego, szczupła, drobniutka, o cerze czystéj, która nie znała różu ni pudru, szatynka z oczami jasno-niebieskimi, z włosami ułożonymi w dostatnie sploty na wierzchu głowy, wysoko z karczka podczesanymi w górę, drobniutko utrefionymi nad czołem i skroniami, szlachetna Horaeya Gandy miała na sobie szlafroczek popołudniowy — *tea-gown*, tryumf Worth'a — kaszmirowy, koloru niepewnego, jakibym porównał z jak najciemniejszym kolorem niedojrzałej brzoskwiwi. Daremnieby się kto kusił o opisanie szczegółowe, z jakim wymysłem sztuki szlafroczek ten był razem powłoczystą draperyą *au classique* i jaknajwierniejszą maską niewieścią wdzięków niewieściech! Wystarczy powiedzieć, że z ramion spływał powłoką, nie kryjąc bynajmniej, lecz uwydatniając figurę; że pieścił biust, pozostawiając go w niewoli nie swoich tajemnic. Z ramion opadały greckie rozcięte rękawy, podszyte eterycznym błękitem perskiego jedwabiu; nie obnażały przecież, bo, rozpadając się z drobnych fałdzików ponad łokciem, ukazywały rękę ujarzmioną aż do zgięcia kaszmirem, rozplywającym się w kosztowną białą koronkę Honiton. Podobnyż szeroki kołnierz okalał białą szyję kapitanowéj. Ozdób żadnych — prócz *biżuterii*. Brosza była szmaragdowa: z rubinowemi oczkami żabka, przygrywająca na brylantowéj mandolinie. Brzeskwiniowozielone, atlasowe pantofelki i błękitne z perskiego jedwabiu pńczoszki — niezbędnie dostrzegalne w estetycznej pozie —

uzupełniały strój... na który oczy wypatrzećby można, lecz którego pióro profana aniby dotknąć powinno!

Mniej za to geniuszu opisowego potrzeba na uprzytomnienie sobie raz widzianej szlachetnej Horacyi. Duże, jasno-niebieskie oczy spoczywają w tej chwili na welinowej kartce poematów Lee-Hamiltona. Lat blisko czterdziestu trudno, niepodobna się domyślić w tych miękkich rysach twarzy, nad którą nie cięży umysł głęboki, a jednak dostatecznie ucharakteryzowanej zadowoleniem — dlatego może bynajmniej nie wstrętném samolubstwem. Zadowolenie z samej siebie w tym świecie rozczarowań wylało na twarz kapitanowej dużo słodyczy. Kapitan nie był ideałem jej dziewiczego romantyzmu — to prawda; ale kapitan przestał być oddawna jej nierozłącznym towarzyszem — nie śmiał się, czy nie chciał, czy nie mógł sprzeciwić w niczem... nawet ani w zbyt kownych gustach, ile, że Horacya Gandy, née Craigenfort, zaopatrzoną była w więcej, niż wystarczające dochody majątku osobistego, jakie miały się skończyć z jej życiem. Nosek z cieniem podejrzenia o... zadartość, usta pełne i rumiane, ząbki, które wypadało mieć cokolwiek na baczności przy zbyt serdecznym śmiechu; dolna część twarzy ruchliwa, troszeczkę nerwowa — oto jedne po drugich rysy, jakie się składały na ani piękną, ani niepiękną — lecz poważną a miłą Horacyi twarzyczkę.

XIV.

O trzy kwadranse na piątą. drzwi przyległego buduaru otwarły się na rozcież, niewidzialna ręka ściągnęła kwiecistą pertyerę i do salonu weszło dwóch panów w liberyi czarnej, tak zwanój „guziczkowej“, wnosząc między sobą ujęty za antaby

stolik, nie wyższy nad dwie i pół stopy, zastawiony srebrną zastawą do herbaty. Tak stolik, jak cała zastawa były w stylu królowej Anny; naczynia srebrne, bogato cyzelowane złotem, formy niziutkiej, pękatej; filiżanki porcelanowe i podstawki, były, jak się wyraził londyński agent kapitanowej „oddechem“ — *haleine de Sévres*. W ślad za paziami ukazała się wysoka, chuda, z przyprawionemi lokami i ogromnym na jedwabnym sznurze wachlarzem, miss Wyatt — panna do towarzystwa kapitanowej, wszechwładne faktotum w pałacu, lecz poryweza i uparta, jak rokoszanin Sir Thomas Wyatt, od którego rodowód swój wywodziła. Cała jój postawa — teraz nawet gdy usiadła... ponad „five o'clock“ stolikiem — uosobiała godność i dumę podupadłej rodziny. Miss Wyatt zwykła przydywować przy środowój herbacie w głębokiém milezeniu.

— Miss Wyatt, czy mogę prosić o łyżeczkę śmietany? — zawołała n. p. któraś z nowicyuszek Pałacu i w estetycznym salonie.

Miss Wyatt spojrzała tylko bardzo wymownie na blednącą równocześnie śmiertelnicę i podała paziom srebrną amforę z gestem Elżbiety, przebaczącąj Dudleyowi.

Panna do towarzystwa sprawowała swe funkcyje srodowe w pobliżu kominka, chroniąc od gorąca surowe oblicze olbrzymim wachlarzem. Panowie stanęli za jój fotelem. Mick patrzył na biszkopty, Dick spekulował nad ciastami. Kapitanowa przewracała bezmyślnie dalsze kartki w tomiku Hamiltona.

Z uderzeniem piątej na buduarowym zegarze, słyhać było w oddaleniu otwieranie drzwi i szelest sukni. Pięć minut później, salon kapitanowej był w komplecie estetycznym — miss Wyatt zwinęła wachlarz i rozpoczęła majestatycznie umiejętnę przygotowanie pomarańczowój Pekoe.

Obok szlachetnej Horacyi, siadła na chwilę rektorowa. Przedewszystkiem bowiem przyszła w imieniu swego męża,

pastora, podziękować kapitanowej za przysłane mu tego południa 25 funtów na sprawienie nowego pulpitu przed ołtarzem.

— Ależ, kochana moja pani Foppin! Proszę nie wspominać!...

Zaczem pani Foppin podziękowała ponownie i przeniosła się na taburet, pod konsolką, na której tronovalo jakieś indostajskie bożyszcze. Rektorowa należała do środowego towarzystwa *ex officio*; nosiła zawsze jedną i tę samą suknię — *café au lait* z proletaryuszowego jedwabiu. Lady Pinfop, żona wielce wielbego lorda biskupa, rozmawiała półgłosem z panią Paliser, najbogatszą wdówką w południowej Irlandyi, wychwalając dobre dzieła parafialne swego syna — wielbego i szlachetnego Dawida Pinfop, wikaryusza parafii tramorskiej, znenawidzonego przez rektorową Foppin.

W tém wielkiem kole kolonialno-parafialnych sympaty i... litości, miała kapitanowa swoje wybrane kółko. Uwielbiana przez młode, sentymentalne panienki, nawzajem uwielbiająca młodość i światową prostotę — pani Horacya miała i w Tramore przecież swój świeatek. Leżała teraz na swój kanapce, a wkoło niej siedziały na taburetach i o kanapkę wsparte klęczały na kobiercykach ubóstwiającej ją dziewczęta — córki do- brych rodzin, wszystkie piękne — bo kapitanowa nie ośmielała innych. Toalety tych panien zdawałyby się być żywcem wykro- jonemi z sielankowych obrazów mistrza Watteau. Rozmowa har- monizowała z tonem zewnętrznym.

— Napisalaś coś pani od ostatniej środy? — zapytała miss Burnett, wpatrzona w koronkowy kołnierzyk Horacyi.

— Kilka strofek, Adeleiu. Próbowałam parafrazować Ode do Smutku Browninga — ale niepodobieństwo.

Ach! — rzekła szesnastoletnia miss Izabella Neville — ja go nie mogę doścignąć; czuję, że powinabym wznieść się

ponad tyle ziemskości! Zapomnieć o życiu i poziomości jego otoczenia! Stać się duchem!

— Cóż ten podlotek tak jęczy?... o duchu! — rzekła ciekawie, głośno, lecz do siebie saméj, pani Paliser, znużona apologią Dawida.

— Bella nie słyszała Oskara! — wtrąciła tłómacząc ją, siostra. Lesbia Neville spędziła dwa tygodnie w Dublinie, przed wyjazdem arcykapłana do Ameryki, i słyszała kilka jego odczytów.

— Wiesz co, szanowna lady Pinfop — rzekła nagle nadobna wdówka, nie dzieląca bynajmniej estetycznych iluzji kanapkowego koła — mówiono mi, że ten Oskar Tame ożenił się...

— Cicho! na Boga! — przerwała żona biskupa. — Nie mówże im pani tego! Czy podobna?

— Ależ bezwątpienia! Podobno jeszcze na statku wziął rozbrat z koronkowemi żabotami, pończochami, trzewikami i pluszami, kazał sobie obciąć włosy i ubrał się w garnitur od Stoltza.

— Okropność!

— Nieprawda? Z poetyckiego Adonisa, zmienił się powierzchnownie na masztalera. Ciekawa tylko rzecz, czy połowa estetycyzmu spadła mu z głowy z trefionymi kędziorami?

— Ale ta wiadomość o o...

— O małżeńskim zakończeniu farsy! Podobno najprawdziwsza, pisały o tém dublińskie pisma, zaręczał kapitan statku, na którym zaszła fatalna transmogrifikacya! Wystaw sobie, mylady Pinfop, oblubienica czekała w porcie na oblubieńca...

— Ach! to coś... to więc coś niskiego?

— Nie estetycznego! Państwo Tame żyją w Brooklyn. On zarabia po kilka dolarów dziennie odczytami o zwyczajach i manierach europejskich; ona daje lekcy muzyki.

Pani Paliser, piękna i bogata, nie była lubianą w niewieściech kołach hrabstwa. Ale obawiano się jój sarkazmów. Lady Pinfop, cierpliwa i łagodna, jak przystało na towarzyszkę życia biskupa, znosiła z ewangeliczną rezygnacją satyry wdówki, odbijając je wysławianiem mężkich i duchownych zalet wikaryusza. Ale pani Paliser to miała do siebie, że starannie oszczędzała osoby, z któremi rozmawiała. Znieść tylko nie umiała narzuconego sobie przedmiotu konwersacyi. Gdy i teraz więc mylady powróciła do opisu prezentów, jakie w dzień urodzin otrzymał Dawid od panien (wszystkich na wydaniu, przeważnie córek duchownych) i pań z okolicy, pani Paliser przywołała pania, oddała mu filiżankę i kazała sobie przynieść album, leżące na przeciwległym stoliku. Otworzywszy je, tak często przerywała poufny szept dostojnej matrony uwagami nad tym i owym portretem, że ta dała za wygraną — a obawiając się jakiego wybuchu pięknej okrutnej nad seryą córek i siostrzeńców biskupich w pośrodku albumu (lady Pinfop posyłała do pałacu wszystkie świeże fotografie Pinfopów bliskich i dalekich) skinęła wachlarzem na miss Monsell, siedzącą wśród innego grona i zrobiła jój miejsce na otomance. Ale miss Monsell, która była wyrocznią swego rodzaju, nie przyszła sama, w ślad za nią podążyły inne panie i uformowały przy otomance swoje koło, współzawodniczące do pewnego stopnia z kołem kapitanowej.

Miss Monsell czytywała dzieła przyrodnawców, studyowała rewelacye mikroskopistów, umiała rozprawiać nad możliwościami hipotezami i niemożliwymi; nie był jój obcym żaden szczegół podróży naukowej statku „Challenger“ — znała kontrowersyę Huxleya z Blairem, umiała na pamięć niemal Strausso-we tezy o batybiuszu, opowiadała cuda o książkowych wymo-

czkach i ich organizmie, recytowała na zawołanie sprawozdanie z ostatniej sesji Brytańskiego Stowarzyszenia, słowem zajmowała słuchających tak żywo, że gdy czasami przerwała dla ulżenia płucem, to ze wszech stron wołano: „O! prosimy jeszcze, kochana miss Monsell, prosimy, błagamy!“ Kiedy zwykłym porządkiem rzeczy skończyć swe rewelacyjne musiała wykłady, dziękowano jej z wylaniem, zapraszano z kilkunastu stron równocześnie — na herbatę, na trzy dni, na obiad, na koncert, na cały tydzień. Młodziutka jakaś istotka, otumaniona cudowną erudycją znawczyni wszechrzeczy, zapytała ją razu pewnego, kiedy będzie koniec świata?... W zamian taką otrzymała odpowiedź, że wyrzekła się koła Monsellowego uroczyście i wstąpiła skruszona do grona kapłanek Horacyi!

— Przeczytajże nam, najdroższa pani, te ostatnie wiersze Hemptena!

— Ach, nie! lepiej swoje własne! — zawołała Izabella.

— Otóż ani jednych, ani drugich — odrzekła, uśmiechając się kapitanowa — ale coś, co więcej warte!

— O! a!

— Znalazłam tę perełkę przed herbatą. Uprzytomnijcie sobie, moje ptaszki, eteryczne wyżyny Edenu dusz, a raczej t e h ó w... nie krępujących się węzłami tej ziemi!

Kapłanki uprzytomniły je sobie odrazu. Jedna zamknęła oczy, inna otwarła je szeroko i utopiła w lampie papuziej; inna brwi zmarszczyła i oczy ręką zasłoniła, jak gdyby olśniona wizją; czwarta westchnęła; piąta zanurzyła główkę w kaszmirowej draperyi kapitanowej; szósta wpatrzyła się w jej szmaragdową żabkę.

— A teraz słuchajcie! — rzekła Horacya głósikiem, obiecującym... zachwyt empiryczny — słuchajcie Hamiltona: „Excelsius!“

To mówiąc, otworzyła tomik w miejscu zakładki i mocno wzruszona (boć wiedziała, jaki pokarm czekał jój estetycznego ducha) — czytać poczęła:

„W świat niezmierny! Daléj i daléj
Wybiegaj myśli, przeleć przestrzenie!
Wyżéj i wyżéj — pnij się, goń, szaléj
W krainach cudów!

Ztrać marzenie.

Świata i ludzi — życia i końca:
Póki jaśniejee wieczny żar słońca,
Póki cię fale unoszą daléj —
Wyżéj i wyżéj — pnij się, goń, szaléj!“

Wkoło kanapki głębokiego milczenia żadna nie przerwała kąpielniczki. Pięły się wyżéj i wyżéj do cudów krainy...

O! nie dla ciebie, nie twoją strawą
Człowieczych żądzy codzienna żmija;
Nie dla cię ziemia, co dłońią krwawą,
Targana — cierniem owoc swój zwija!
Dla ciebie, myśli, wolność — nie troska
Polotnych natechnień rozkosz pół-boska!
Wyżéj wylatuj! pnij się, goń, szaléj...
Póki cię fale“ ...

Horacya przerwała. W dolnych pokojach krzyk rozległ się niewieści!...

— Cóżto? — rzekła kapitanowa, patrząc na wachlarz panny Wyatt, poza którym można było wyobrażać sobie przyprowione loki. Miss Wyatt drzemała. Jednakże całe towarzystwo w salonie słuchało. Kąpielniczki estetycyzmu słuchały równieź, a może nie powróciły jeszcze z krainy cudów.

— E, to bezwątpienia któraś z tych irlandzkich wieśniaczek, farmerka jakaś. Słuchajcie dalej:

„Póki cię fale unoszą daléj!
Błogosławiony duch twój, co może
Ponad tém nizkiém życiem paść“ ...

Huk wystrzału rozdarł ciszę salonu! A równocześnie sły-
chać było wbieganie osób jakichś po schodach, głos kobiecy
przerażliwie odbijający się echem, głos mężki przeklinający,
bluźniący — bliżej i bliżej, teraz w buduarze, z krzykiem do
salonu wpadła raczej, aniżeli wbiegła niemłoda, lecz dziwnie
piękna kobieta. Z włosem rozpuszczonym, z skrawioną ręką,
rzuciła się na kolana przed drżącą i jak jak trup bladą kapi-
tanową.

— Ratuj mnie! ratuj! — wołała. — O!... on mnie chciał
zamord... mój Jan!

Raz jeszcze krzyk straszliwy rozdarł jój pierś! Z rękoma
wzniesionemi, jak gdyby zasłonić się chciała przed morderezym
ciosem, padła na twarz i zamilkła. W progu buduaru stał ka-
pitan Gandy, blady jak ściana, w prawém rękę konwulsyjnie
ściskał dymiący jeszcze rewolwer...

Pierwsza odzyskała przytomność pani Paliser, druga miss
Wyatt. Pani Paliser wstała z otomany, zbliżyła się do gospo-
dyni domu, pocałowała ją w czoło, jak dziecko i wychodząc
z salonu mimo wciąż nieruchomego kapitana, szepnęła:

— *Shocking!*

I wyszła, a za nią pospieszyły kapłanki Horacyi, lady
Pinfop, miss Monsell i panie *tutti quanti*. Wtedy to miss
Wyatt, która od chwili, kiedy się obudziła, nie spuściła oczu
z twarzy kapitana, podeszła ku niemu i chłodno zapytała:

— Czy życzysz pan sobie, żeby ta osoba pozostała w pań-
skim domu?

Horacya opuściła się na kanapkę. Mąż i żona odezwali
się jednocześnie — ona:

— Wielki Boże! Cóż to się stało!...

On ...

— Waryatka... trzeba wziąć... posłać.... zanieść do
jakiego pokoju.

Miss Wyatt zadzwoniła. Wkrótce z pomocą dwóch lokajów i klucznicy: nieznamą kobieta została przeniesioną do maleńkiego poboju w wieżycze, na drugiem piętrze. Panna do towarzysza dopilnowała, by zranionej obandażowano rękę i przywrócono ją do przytomności.

— Trzebaby komuś pozostać przy téj kobiecie — rzekła klucznica.

— Ja pozostanę! — odparła chłodno i szorstko miss Wyatt. Proszę mi pomóc rozebrać tę osobę i położyć do łóżka. Jack (do lokaja) mozesz iść teraz i kazać której dziewczynie przynieść tu szklankę wina, dzbanek gorącej wody, ogrzewaczkę i dwie flanelowe kołdry!

Nieznamą wodziła obłąkanym wzrokiem po otaczających ją kobietach i przedmiotach. Nie wymówiła ani słowa. Szeroko otwarte oczy jój błyszczały nienaturalnie.

Skoro tylko odeszła pokojówka, która przyniosła żądane rzeczy, miss Wyatt przy pomocy klucznicy obmyła twarz zranionej, rozebrała ją, wlała kilka kropel wina przez uparcie zaciśnięte zęby i położyła w łóżku. Poczém rzekła głosem stanowczym:

— Zapewne teraz zaśnie. Przyjdzie febra. Dobranoc pani! Proszę mi przysłać kolacyą do tego pokoju o dziewiątej. Dobranoc!

Klucznica odeszła. Panna do towarzystwa usiadła w fotelu, obok łóżka, wpatrzyła się w twarz nieznamomiej i czekała — na febrę.

Plenipotent mierzył ciężkim krokiem bibliotekę: — pokój długi, tapetowany, dwoma długimi rzędami szaf, sięgających sufitu, wypełnionych cennie oprawnemi książkami. W jednym końcu dogorywał zaniedbany ogień w przestronnym kominie; w naprzeciwległym znajdowało się jedyne tu okno, zajmujące niemal całą szerokość ściany. Na środku pokoju, w pobliżu okna,

stało mahoniowe biuro, antyk flamandzki, zakupiony przez kapitana za cenę wysoką u londyńskiego licytatora Quaritch'a. Długi stół dębowy, nakryty zieloném suknem, stał bliżej kominka. Między biurkiem i stołem zwieszał się gazowy świecznik nad szafką, zamykającą cały zapas cygar, tytoniu i fajek pana domu. Biblioteka była jego *sanctuarium*: żona tu nie wchodziła nigdy. Ważniejsze interesa własne i dotyczące dóbr Grosvenorskich załatwiał kapitan u siebie, w bibliotece; inne, wymagające mniej namysłu, należały do kancelaryi na dole, lub do centralnego biura zarządu, w Waterford.

Nie każdy człowiek w godzinie wielkiego wstrząśnienia moralnego prowadzi głośną z samym sobą rozmowę. Jedni — lymfatyczni świadczą ciałem, fizycznie, o zgrozie wewnętrznego ciosu, który ich obezwładnia. Inni uchylają się od niego, lub waleczą przeciw niemu całą swą naturą: świadomie — sercem i umysłem; bezwiednie — fizycznym organizmem. Gandy, choleryk z wysoko rozwiniętym zmysłem zwierzęcym, należał do ostatnich.

Cała jego natura i istota była rażoną, niby piorunem, tajemniczą zgrozą zaszłego wypadku. Gandy, oprzytomniawszy po wyjściu z salonu żony, oddał się sprzecznym w sobie żywiołom walki. Krok jego był ciężki, lecz szybki; ręce, to szarpały odzienię lub włosy, to chwyciły ze stołu lub biurka przedmiot jaki, porzucając go niebawem gdziekolwiek bądź.

— To nie duch! nie duch! — mówił głośno do siebie. A jednak djabeł tylko mógł ją tu nasłać! Z grobu przecież nie wstała! Przekleństwo! Żeby mi kto powiedział, nie mógłbym uwierzyć! Ale wszak tu — tu była! Tu, po tym pokoju się u nóg moich wlokła! Agnieszka O'Grady... Zostawiłem ją umierającą... w onéj chacie, blisko Clonmel... Sam ksiądz miał skrupuły z konającą...

— Boże w niebie! — jęknął głucho, — bezmyślnie, jak szalenie postąpiłem! A przecież ani czasu do zimnej refleksji nie miałem! Myślałem... chciałem dać jej umrzeć spokojnie! Wszak umierała! Toż umrzeć chciała!... Pioruny piekielne! Żeby całą mozolną karierę lat dwudziestu ten upiór przeklęty miał roztrzaskać!...

— Jakże to było? Jakże się to wszystko stać mogło? Ha! Kto tam?

Po poprzednim zapukaniu, wszedł do biblioteki stary kamerdyner Mitchell. Kapitan przyjął go był przed siedemnastu laty — przed ślubem z córką sir Roberta. Mitchell służył w wojsku, był w Krymie i miał kilka medali. Plenipotent wziął go dla jego marsowej postaci, dlatego, że nie był młodym i prezentował się z godnością.

— Proszę waszego honoru, miss Wyatt każe zapytać, czy posłano po doktora?

— Po szatana! — krzyknął Gandy, lecz zmiarkował się odrazu. Czy... czy ta kobieta, ta waryatka jest w niebezpieczeństwie?

— Miss Wyatt obawia się gwałtownej febry — maligny.

— Maligny! — zawołał Gandy. — Ha! to.. to czekaj tu, Mitchell! Nie — możesz iść! Ja się rozmówię z miss Wyatt... za chwilkę i pošlę telegram do miasta. Po odejściu kamerdynera, plenipotent chwycił się za głowę oburącz...

— A! Tego jeszcze potrzeba! W malignie wybełkocze wszystko i sto razy więcej!

— Jednak doktora tu nie trzeba! Pytania, ciekawość, wglądania w tę okropną sprawę dosyć już mają ochotników w domu!... A gdyby umarła!

— Miłosierdzie Chrystusa! O gdyby umarła naprawdę!...

Kapitan odsunął portyereę przed zagłębieniem okna, podniósł żaluzje i otworzył okno. Niebo iskrzyło się miliardami

gwiazd, księżyc jeszcze nie wszedł. Nagle, odchodząc szybko od okna, Gandy uderzył się ręką w czoło i zawołał:

— Głupiec! Waryat! Zjedzie komisya obdukcyjna, koroner z sędziami; pytać będą o wszystkie szczegóły: kto ona, zkaąd, dlaczego, kiedy? — zejda się ludzie... Ten kozioł stary — O'Grady!... Ja ją odrazu poznałem, choć bodaj kiedym o niej pomyślał przez te długie lata! Brat by jęj poznać nie miał! O duszo przeklęta! ciebie mi trzeba było wyrzucić za morze!...

Gandy stanął przed biurkiem. Otworzył wierzchnią płytę kluczykiem, jaki nosił przy brelokach zegarka; podniósł ją, wyjął kilka plik papierów z niegłębokiej kryjówki. Na spodzie ponad szufladami, których klamry znajdowały się na zewnątrz, ukazały się cztery rzędy mosiężnych guzów, podobnych do główek gwoździanych. Odrachował ośm w trzecim rzędzie, poczynając z prawej strony, nacisnął silnie dziewiąty. Wsunęła się odrazu między deseczki niewielka zasuwka i odkryła płytką kryjówkę. Jeden tylko zwinięty papier leżał w kryjówce. Gandy wyjął go, uporządkował biurko i poszedł do kominka.

— To niech zginie przynajmniej! — szepnął. Akt ślubny!... „Ja, Patryk O'Riordan“... tak, tak! Czemuż mi wtedy serce zmiękło! Czemużem nie czekał — minutę, dwie! Jakże to wszystko się stało! Boże sprawiedliwy!... „między Janem Arturem Gandy i Agnieszką O'Grady... kapitanem milicyi, kawalerem“... Dwużennym! Kryminalistą!... „i Agnieszką O'Grady, panną!“... Agnieszka O'Grady w jednym domu z Horaeyą! Pioruny! Ja nie wytrzymam już dłużej!...

Plenipotent rzucił dokument na węgle. Lecz widząc, że ogień zbyt był wolny i słaby pod czerniejącymi główniami, chwycił papier, podbiegł pod świecznik na środek pokoju i tam go zapalił. Potem z płonącym dowodem ślubu i czystości Agnieszki, zbliżył się znowu do kominka i spalił nikły papier do szczętu.

— To jedno! — wymówił, patrząc na zegarek. Siódma! Teraz — na górę!

Kapitanowa pisała listy w buduarze, tuż obok salonu, w którym przed półgodziną zaszła tragiczna scena. List do Craigenfort, listy do Londynu, listy do południowych miejscowości nadmorskich, listy do Szkocyi. Jeden z nich, zaadresowany do „Roberta Craigenfort Gandy Esq., Baliol College, Oxford“, zawierał streszczenie wszystkich innych. Oto, co donosiła matka synowi:

„Bercio, mój drogi! — *Impossible* spędzić ci wielkie wakacje w Tramore! *J'en suis enchantée!* Coś niespodzianego mogło mi jedynie przyjść na pomoc... i przyszło! Polityka — fenianizm, czy liberalizm — *qu'en sais-je!* Dość, że kapitan wpadł do mojego salonu, *en pleine sence*, z pistoletem w rękę, broniąc się przed kobietą, emisaryuszką bezwątpienia! *C'était terrible!* Kapitan zranił ją podobno — *on est venu me le dire* — ja sama widziałam krew... na kobiercu, w moim salonie! Obłąkana istota leży w którymś pokoju; Wyatt siedzi tam przy niej. Poleciłam Mitchellowi strzedz moich apartamentów i... *Eh, bien!* niepodobieństwo pozostać w tym kraju! Kapitan musi mieć protekcją policyi i daleko silniejszą eskortę konstablerów. *On va barraquer ici!*

„Będę w Craigenfort pod koniec tygodnia, *au plus tard*. Muszę się widzieć z tobą wkrótce po tém. Jeżeli ci nie pozwolą opuścić Baliol na parę dni, to ja sama tam wpadnę. *Condolez avec moi, et aimez bien votre petite maman.* H. G.

„P. S. Oczywiście, ani mi marzyć o skończeniu mojej elegii! Zmieniłam tytuł: „Skarga Natchnionéj“ — *plus á propos.*

H. G.“

Tymczasem miss Wyatt, dawszy zlecenie, by posłano po doktora, siedziała sztywna i spokojna przy łożu, na którym leżała nieznamoma kobieta. Światło lampy, stojącej na kominku,

przedzierało się z trudnością przez szczeliny parawanu, okalającego łóżko z tej strony, rzucając słaby promyk na obandażowaną rękę zranionej. Jednakże miss Wyatt mogła do woli śledzić każdy ruch pacjentki i ścigać grę nerwów na wychudłej twarzy. A twarz ta dziwnie była piękną. Krucze, w nieładzie masy włosów uwydatniały śmiertelną białość gładkiego czoła. Pod długimi rzęsami, para gorących, ciemno-fioletowych oczu szkliła się bezwiednie, bezzuciowo, wpatrzona w podwoje naprzeciw. Rysy bladej twarzy, regularne, niby wyrzeźbione z marmuru ręką ateńskiego mistrza, jak marmur były spokojne i jak marmur zimne — z wyjątkiem ust, spalonych wewnętrzną gorączką.

Miss Wyatt nie mogła sobie przypomnieć gdzie tę twarz widziała! starała uprzytomnieć sobie wszystkie postacie młodych kobiet, z jakimi się kiedykolwiek w życiu spotkała, żadna tą jedną nie była, nie było takiej ani po tej, ni po tamtej stronie irlandzkiej cieśniny! Któż ona? Zkąd się tu znalazła? Cóż ją tu sprowadziło?... Lecz nadewszystko, coż te usta chciały powiedzieć, gdy krew niespodzianym wybuchem z serca wyparta, umysł i wszelką świadomość zamięszała? „Jan ją chciał zamordować!...” Jakiż „Jan?” Kapitan — Jan Artur Gandy, ścigał ją z rewolwerem w rękę... on ją zranił — czyżby on ją chciał zamordować?... Ale, raz jeszcze, raz setny: Któż ona? kogóż to tak uderzająco przypomina?

Nareszcie chora poruszyła się gwałtownie i wydała jęk bolesny.

— Proszę leżeć spokojnie — rzekła miss Wyatt tonem najobojętniejszym w świecie i patrząc na parawan, jak gdyby trzy te wyrazy z niego odczytała. Chora podniosła się żywo z pościeli, zdrową ręką chwyciła się za gardło, jakby ją coś dusiło i łkając hysterycznie, wołała:

— O nie! To niepodobna! Janie, tyś mój zawsze — zawsze. Ja wiem, że ty do mnie jedną należysz!

Miss Wyatt dobyła z kieszeni tabliczki ze słoniowej kości, oprawione w srebrne okładki i znalazłszy ołówek, napisała słów kilka pospiesznie na odwrotnej stronie ostatniego rachunku z klucznicą. Chora, zanosząc się od głośnego płaczu, mówiła tonem zaklinającym, w zdaniach urywanych, niezrozumiałych, panna do towarzystwa spoglądała na nią wzrokiem lodowatym i od czasu do czasu rzucała notatkę na kościaną tabliczkę.

— Już dalej iść nie mogę, nie mogę — wołała nieznajoma w malignie. Dobry człowieku, zabierz mnie!... On tu? Nie może być! nie może!... Wielki pałac — mój jedyny Jan... mój dzielny... mąż mój! Ha! tak, to ja — widzisz, to ja — twoja Ag..., oh! oh.

W ten sposób, jęcząc, szlochając, chora zrywała się z łoża i znów na nie opadała bezwładnie. Wyobraźnia jęj błąkała się z szybkością błyskawiczną po najrozmaitszych miejscach: przywodziła do łoża najrozmaitsze osoby, wpatrywała się przez łzami zalane oczy w przedmioty, jakich w pokoju nie było, powołując naprzemian osoby one i przedmioty na świadków scen jakichś, coraz to innych i trudnych do zrozumienia.

Miss Wyatt słuchała z uwagą, usiłując własną przenikliwością i wyobraźnią jakoś połączyć i w pewną ugrupować rozumną całość porozywane ogniwa niezatartych widocznie wrażeń. Mitchell znajdował się za jęj fotelem już od kilku minut, ona nie słyszała go wchodzącego. Być zresztą może, że kamerdyner wszedł ostrożnie, bez szmeru, by nie wystraszyć pacyentki. Bądź jak bądź, miss Wyatt nie prędzej spostrzegła Mitchella, jak gdy chora, zwrócona do fotelu, z wyciągniętymi rękami, zawołała:

— Przyszedłeś! Przebacz mi... Janie! oh! nie gniewaj się!

— Mitchell!...

— Proszę mi wybaczyć pozorną śmiałość — rzekł kamerdyner, odpowiadając na krzyk przestachu, czy zdumienia wszechwładnej panny do towarzystwa. Pukałem do drzwi trzy razy, a nie otrzymując odpowiedzi, wszedłem.. w obawie, że tę kobietę pozostawiono samą. Czy, proszę pani, nie należałoby posłać po doktora?

— Po doktora? — odparła miss Wyatt, patrząc kamerdynerowi prosto w oczy, że ten się aż zmięszał. Po doktora? — powtórzyła bezmyślnie — czy nie posłano jeszcze? Ale z pewnością! Posłać natychmiast! Powiedzieć kapitanowi! Ona — w malignie!

Mitchell ukłonił się i wyszedł.

W kwadrans potem wszedł do pokoju kapitan. Głowę miał schyloną, twarz bladą. Zatrzymał się przy parawanie, przed kominkiem, tuż obok fotelu i tym sposobem zasłonił lampę. Głos jego brzmiał głucho, gdy zapytał:

— Jak się ma teraz?

— Przyszła gorączka — odparła miss Wyatt lakonicznie. Chora nie spuściła oczu ze ściany ponad fotelem. Usta jej były otwarte, lecz mileżące. Prócz jej przyspieszonego oddechu i prócz regularnego tyktaku zegarka na stole, nie chwilowej nie przerywało ciszy.

— Czy... czy... czy ma wszystko, czego potrzebuje? — zapytał następnie pan domu, wahając się, jak gdyby o coś mu innego chodziło.

— Wszystko, dopóki nie przyjdzie doktor.

— Czy go koniecznie trzeba?

Miss Wyatt podniosła głowę tak szybko, że loki jej niezwykłym ruszyły w koło siebie tańcem! Raz tylko spojrzała na twarz kapitana — potem maleńkie swe, siwe oczy spuściła aż do jego krawatu i odpowiedziała chłodno:

— Radziłabym przeczekać gorączkę — tę przynajmniej. Ale potem obecność lekarza jest do życzenia.

— Sądziś pani, że kobieta jest w niebezpieczeństwie?

— Tak.

— Poślę po Gordona w tej chwili...

— O której godzinie, jutro rano, przychodzi pierwszy pociąg z Corek?

— O wpół do szóstej. Lecz cóż...

— Masz pan, kapitanie, książkę tamtejszych adresów?

— Mam — ale...

— Przepraszam pana, kapitanie. Możesz usłuchać mojej rady, lub ją odrzucić. Nie sprowadzaj pan żadnego lekarza z Waterford.

Gorący rumieniec oblał twarz i czoło plenipotenty. Gandy wstrząsł się mimowoli.

Miss Wyatt wpatrzyła się obojętnie w desenį tapetów ponad parawanem i łóżkiem.

— Jakiż ma pani powód, dając mi taką radę? wycodził przez zęby mocno zirytowany kapitan.

— Ta... ta pani pozostaje pod wpływem dziwnej halucynacji. Przytomność opuściła ją zupełnie. Kilka chwil temu, wzięła Mitchella za kogoś — za kogoś, kto mógłby być tylko jej mężem, lub...

— Co mówiła?

— „Przyszedłeś! Przebacz mi... Janie! oh! nie gniewaj się“.

Wymawiając te słowa, miss Wyatt utopiła oczy w mosiężną główkę gwoźdźnia na parawanowej ramie. Powtórzyła je zupełnie tak samo, jak uczeń powtarza wiersz, którego chce się nauczyć na pamięć, bez względu na dykcję.

Kapitan zadrzał i oparł się o gzyms kominkowy. Umysł jego walczył z tysiącem sprzecznych rezolucyj.

Chora skłoniła głowę na poduszki i usnęła.

— Miss Wyatt — odezwał się wreszcie Gandy — pani nie masz wyobrażenia o... tém, do jakiego stopnia dochodzi w tym kraju rozdrażnienie, fanatyzm socyal... socyalny między ludem, wskutek najbliższego wyzwania!... Ja sam, miss Wyatt, nie mam najmniejszej idei o... o intencji téj — kobiety. Nie wiem, kto ona i kto ją tu przysłał! Plenipotenci dóbr mają w tym kraju śmiertelnych wrogów; życiu ich grozi ciągle niebezpieczeństwo!... Istnieją tu koła rewolucyjne, sprzysiężenia mor... mordercze, mające swych agentów i swoje agentki, tak miss Wyatt, swoje agentki — gotowe na wszystko!

Gandy teraz dopiero zwrócił oczy na fotel. Miss Wyatt siedziała sztywno, wpatrzona w twarz spiętej kobiety. Usta téj ostatniej poruszały się i ściały konwulsyjnie. Kapitan ciągnął dalej:

— Przypadek mnie ocalił... morderczy nóż wyrwałem... mam go — na dole. Czy... czy sądzisz pani, że — to obłąkanie, ta halucynacya, ta febra jest rzeczywistą?..

Głos, zadający to pytanie, drżał — dobyty z trudnością z zaschniętego gardła pytającego.

— Bezwątpienia — brzmiała odpowiedź.

— A!... W takim razie... Co za fatalne przeobrażenia w wyobraźni! W takim razie, ja pošę depesz.

— Bracie! Bratowo! Oh! dziecino moja!

Na głos chorój, Gandy zatknął się w mowie i blady jak płótno, cofnął się dalej poza parawan. Ani jeden nerw nie zadrgnął w twarzy panny do towarzystwa.

Co teraz zaszło, Gandy nigdy sobie nie mógł przypomnieć! Na dole zadzwoniono raz pierwszy na obiad. Brzęk dzwonka sprowadził piorunującą zmianę w dotychczasowém zachowaniu się chorój. Porwała się z łóżka, wyskoczyła z niego i jednym krokiem stawając przy oknie, otworzyła okiennice i podniosła

dolną ramę *). Miss Wyatt napróżno usiłowała, wpół ją ująwszy, oderwać od murów, których się na zewnątrz uczepiła, rozdzierając ciszę wieczorną przeraźliwymi krzykami:

— Na pomoc! Piotrze! Na pomoc!... Jan mnie morduje — tu! tu! Książd nie przyjdzie! zapóźno! Na pomoc! Gan — Oh! tu! tu!... Gandy!! Morderca!!

— Chodź mi pan pomódz! syczała Miss Wyatt.

Kapitan zakrył twarz obu rękami. Nie słyszał, jak do pokoju wbiegł Mitchell z klucznicą, jak obłąkana imię jego przeklinała i nazwisko! Nie widział, jak ją złożono w łóżku napowrót i trzymano silnie nogi i ręce! Nie czuł, jak go Mitchell wyprowadził, sprowadził na dół do biblioteki i posadził w fotelu!

Téj saméj nocy, kamerdyner plenipotenty siedział przy stole w swoim pokoju, schylony nad dziwaczném zajęciem. Jasný płomień lampy rzucał pełne światło na twarz jego marsową, ozdobioną potężnym siwym wąsem, lecz w téj chwili rażąco białą, odbijającą białość ogromnego arkusza papieru na stole. Za pomocą szpilek, Mitchell rozpiął arkusz tak gładko, że ledwie ślad pozostał słaby środkowego zgięcia. Zadowolniony z papieru, przechylił się nad stołem, wyciągnął ramiona i ręce, zniżył je i dwoma z każdéj strony palcami lekko pochwycił, podniósł i na arkusz sprowadził — pudełko od cygar. Usiadł potem, założył wskazujący palec lewéj ręki za podramię kamizelki, tenże zaś sam palec prawéj ręki, łokciem o krawędź stołu wspartéj, złożył na nosie w formie znaku zapytania i zamyslił się. Któżby odgadł jego myśli! Czyżby debatował z sumieniem nad rzetelnością palenia cygar swego pana? Czy może zapytywał gust i potrzebę: jakie dobrać z kolekeyi — hawanosa, londresa, czy wonne sultanidos? Czy wreszcie przygotowywał

*) Nie wiem, czy potrzeba zaznaczyć, że w Anglii okna składają się z dwóch ram, podnoszonéj i spuszczanéj.

Mitchell zewnętrzny wewnętrzny Mitchella — do aktu doskonałego używania? — bo i drzwi zaryglował i zapuścił story u okien, a łysinę nakrył starą furażerką...

Siedział tak, zadumany, przez dobrą chwilę. Myślał — pomrukiwał — szeptał:

— Pani pije herbatę, plac wolny od koczkodona. Kapitan czyta gazety, pali fajkę w bibliotece. Mitchell czyści lefoszówkę w sieni. Pozycya — hm! A teraz: Dzwonią u bramy. Mitchell wychodzi na werendę, patrzy przez szyby i widzi kobietę, czy dziewczynę — niewiastę. Wraca do sieni, dzwoni na Boba. Bob otwiera bramę, parlamentuje i staje przedemną — za nim niewiasta. Kto to? Niewiasta, co chce się widzieć z „mister“ Gandy. Nie ma tu „mister“, jest kapitan Gandy. Jakie imię i nazwisko?

— Blank!

— Jaki interes?

— Do samego pana!

— Fermerka?

— Nie!

— Kupcowa?

— Nie!

Bob przebiera palcami — żebraczka! Mitchell mówi: nie! Mitchell w prawo zwrot i melduje kapitanowi w bibliotece. Bob w lewo zwrot — do kuchni. Kapitan staje w progu. Mitchell z lefoszówką odchodzi do siebie. Hm!

Kamerdyner sapnął, strzygnął wąsami, założył palec prawej ręki za kamizelkę, lewą podparł się w bok i zmarszczywszy czoło, nastrzępiwszy brwi, wpatrzył się bystro z podełba w pudełko i myślał i pomrukiwał dalej:

— Pisk, wrzask, krzyk, rwetes, harmider! Mitchell wybiega na plac, do sieni. Niewiasta na wschodach — wrzeszczy: Żona! żona!... Kapitan za nią. Mitchell za kapitanem. Paff! Do trzystu kałmuków! Baba kwik! Kapitan ryk! Kobiety z kuchni.

z Bobem wyją. Mitchell komenderuje: Słepie z nogami do kuchni — marsz! Plac wolny i Mitchell na placu czeka. Schodzi kapitan sam, z jaszczurką w rękę, patrzy mi w oczy krocią tyśięcy błyskawicę, wchodzi do biblioteki, trzasnął drzwi — bum! A koczodon gdzie? a pani co? Pani listy pisze pod opieką „kochanego“ Mitchella; koczodon klucznicę wypędziła i siedzi przy chorój sama jedna, pod opieką luecypera — brrr! Mitchell choć kiepski święty, ale zawsze dobry katolik. Żal zostawić niewiastę luecyperowemu lejtnantowi!

Pokiwał głową.

— Ano! Cóż robić! Przyszła bez apelu. Złe jest. Święci Machabeusze! Żeby tak wszystkim się... ahem! ubrdało wyszukać sierżanta Mitchella — kroćset furgonów ezerkiesek! A toby mi było ciepło! Jednej dosyć! Takiego ot n. p. koczodona — łyp!... brrr! Ale to — to coś siarczyście gładkiego a rezolutne! Szkoda tylko, że jój się pod czepcem pomięszało! Tak to one wszystkie do serca biorą, żenią człeka, mężem robią. choć bez księdza i hajda! już ani się odezepić! Skaranie! Jużcić kapitan nie w chusteczce swój żony się narodził! Chwacka w nim dusza, łeb tęgı, sumienie jak koszary, wszystko się w niēm zmieści: żona saksonka, syn protestant i sto tysięcy djabłów, jak mu kto powie, że na Gromniczną połowy rent z dóbr nie będzie! Ale gorączka!... Trzysta piorunów! Ja sam jeden sobie z nim jakoś umiem radzić. Jużby on sobie dawno wątrobę wygryzł w wściekliznie, żeby nie ja! Ano trzeba mu pomóc! Darmo! Z niewiastami trudna sprawa. Trzeba zimnej krwi. Zatarasuj język za zębami, stul mordę, zamknij oczy i idź naprzód, na ślepo — jak piechur z bagnietem na kałmuków! Trzeba mu pomóc, albo go ten kołtuniasty koczodon omaluje tak, że go pięćkroć sto tysięcy regimentowych szczotek nie odszoruje na tym i na tamtym świecie!

Po takiej deliberacyi kamerdyner kapitański przysunął pudełko bliżej lampy, na środek białego arkusza, otworzył wieko, przewrócił dnem do góry i ostrożnie podniósł. Na papierze pozostało zgłiszcze spalonego papieru. Mitchell rzucił próżne pudełko na łóżko pod przeciwległą ścianę.

— Boć pewnie lepij — mruczał — że Mitchell dowie się czegoś, zamiast żeby kto inny wnięsał się do nieswojego interesu i broń Boże koczkodona się uczeplił! Już téż kapitan w regularnym szwadronie się nie chował! Ot — ochotnik! Porządku ani krzty! Po takiej potrzebie, dobrze spalić mosty i zatrzeć ślady; ale należy się sprawić czysto, jak należy, żeby ani dyabeł się nie dowąchał niezego, choćby i koczkodona na rekonosans zordynował! A nuże to list jaki, pisany mlekiem pod nosem, kiedy w mózgownicy dyabli gwarki bez oleju smażą!

Mitchell wpatrywał się uważnie w spalone, stalowego koloru szczątki. Żadnego jednak śladu pisma nie mógł odkryć. Brał jeden kawałek spalenizny po drugim, podważając go scyzorykiem, składał na otwartój dłoni, oglądał pilnie, a niedopatrzwszy się czego szukał, ścisnął rękę, ścierał nikłą pozostałość i rozdmuchiwał na stronę. Nabrawszy pewnej zręczności w traktowaniu drobnych szczątków, odetchnął, wyprostował się, usiadł, splunął i ostrzem scyzoryka delikatnie sprowadził pod obserwacyę większy kawałek.

— A! — sapnął w rękę, którą zasłaniał nozdrza i usta, broniąc szczątki od wichrów oddechu. A! ot tyle koczkodonowi z pazurów! Wyraźnie stoi: „Agniesz.“ to Agnieszka—Agnieszko. A dalej: „9 lat — Panną“. Tam do djabła! No i co więcj? „glan. Clonm.“ Glan — to niby koniec nazwiska; Clonm — to Clonmel! Ztąd nie tak daleko. Nic więcj — nie, tylko linie narysowane, jakby na karcie z książki rejestrowej. Papieru widać nie miał innego pod ręką. Nic więcj! Ano — ffff! łap, koczkodonie! Teraz ten ostatni jeszcze. Trudno powiedzieć, kto to

pisał — jakoś to nie niewieście pisanie, ani kapitańskie. Ho! a to co? to niby drukowane: „Przedemną“ — nie więcéj. A wyżéj? „ndy — Jan Artur, kawaler 2^a — ndy, to Gandy. On kawaler, ona panna. Nie w tém złego. Owszem, dowód.. Chryste Panie!!

Mitchell o mało stołu nie wywrócił. Wzdłuż górnego brzegu na spalonym papierze, odbijał czarniejszą barwą drukowanych, wielkich liter napis: „Swiadectwo Małżeństwa“. Skruszyć w rękę, rozetrzeć na proch ostatnie odrobiny fatalnego dokumentu, odpiąć ze stołu arkusz białego papieru, podrzeć na kawałki, zgasić lampę i rzucić się w ubraniu na nieodkryte łóżko, wszystko to było dziełem jednej minuty.

Dopiero około drugiej zrana, gdy kapitan, wróciwszy z Waterford, zatrzymał konia przed bramą, kamerdyner wstał, odryglował drzwi i wyszedł na spotkanie pana.

VIII.

W Topolach życie szło zwykłym, spokojnym trybem. Marcin O'Grady rychło rozpoczął pracę w polu około starannego przygotowania gleby. Zeszłoroczny urodzaj ziemniaków uwolnił jego umysł od gryzącej troski o przyszłość najbliższą; nadto nasunął mu nie jedno ulepszenie w osadzie i zachęcił do uprawy na większą skalę. O'Grady skorzystał z terminu ugody z rzeźnikami miejskimi, by im odesłać bydło i z wyjątkiem niewielkiego kawałka dla swych krów własnych, zorać całe pastwisko i zasadzić ziemniakami. Przysporzyło to pracy nie żartem, bo i o robotnika jakoś onéj wiosny daleko trudniéj było, niż za lat poprzednich. O'Grady nie raz głową smutnie potrząsał, gdy wracając z miejskiego targu lub jarmarku, rozmyślał nad stanem

rzeczy w hrabstwie i kraju. Ludzi zdatnych do pracy, silnych, młodych i zdrowych snuło się gromadami po miasteczkach i większych osadach; w bezrobociu to żyło, a na bezrobocie, jak dawniej, nie narzekało ani się garnęło do pracy, choć jej nie brakło nawet za dobre pieniądze. W osadach większych i mniejszych sami fermerzy zły przykład dali: zaniedbano rolę, tyle jej tylko uprawiając, ile koniecznie trzeba było dla domu, czeladzi i przychowku — niby dla oka. Mówiono, że dla saskońskich panów, dla adwokatów i dragonów pracować marnie, bo za każdy akr roli, zdobyty na moczarach, na skałach — za każdy łokieć drenów i za każdą piędź nowiny — zjedzie pleni-potent i podwyższy rentę; zjawi się jakie gryzipiórko hrabskie i doda podatku; a komendant obwodowy przyśle nadetatową rekvizycyą dla okręgowej dragonii! Co przed dziesięciu laty dawano w dziesięćcinie kościelnej anglikańskim pastorom, — to teraz w dwójnasób dawać przychodzi żółtym kołnierzom i spalsłym mięsojadom!). Mówiono jeszcze, że inne nadchodzą czasy — kiedy Eryn celycki będzie oczyszczony z brytańskiego robaetwa, kiedy zielony sztandar powieje nad zamkiem w Dublinie, — tą jaskinią krwiożerzych lampartów. — Irlandya będzie dla Irlandczyków, ziemia dla prawych potomków dawnych osadników, a od południa do skał Donegalu, od ujścia narodowej Shannon aż do wexfordzkich pagórków wyspa się we krwi dziedzicznych łupieżców obmyje i skąpie i wyłoni świeża, w świętej zieleni prastarych szczepów, klanów i septów — „Jedna Irlandya dla Irlandczyków!“.

Chodziły pogłoski o gotowości do czynów milionów braci w Ameryce. Wielki „Clan na Gael“ zebrał ogromne zasoby dla ratowania i oswobodzenia prawych synów ojczyzny. Który fer-

*) W Anglii i Irlandyi lud tak zawie żołnierzy z kontygentu krajowego (Beef-eaters).

mer nie miał dziedzicznego — albo przynajmniej ówierćwiekowego kontraktu, temu pracować nie przystało ani należało! Ten i ów nie pracował, a miał na przydziewek dla swoich i na uciechę. Co tam będzie na termin rentowy święto-Michalski, w jesieni — o to głowy nie frasować, bo...

Ludzie sobie tajemniczo dziwnych udzielali wiadomości: jak wzdłuż południowych wybrzeży daleko licznij tej wiosny uwijają się rybackie i kupieckie statki; jak ten i ów wrócił z Ameryki, hardy a zasobny; jak tu i owdzie zakopano w ziemi broń, prochy i jakieś piorunujące maszyny zamorskie; jako i sama dragonia nocnej ma służby więcej, niż dziennej — a kilka nowych ze Szkocyi sprowadzono pułków konstablerów.

Jakiś szal zobojętnienia na wszystko opanował całe włościaństwo w południowych i zachodnich obwodach. Tylko uciechy i zabawy — a bodaj gdzie praca i chrześcijański spoczynek. Księża po kościołach napominali do zastanowienia się i rozsądku, chodzili po chatach, nie szczędząc ostrego słowa, grożąc zemstą Bożą za grzeszne pijaństwo nieustanne, za rozpasanie w orgiach „czuwania“ i zabobonne praktyki. Księdza uszanowano, ale ani słów jego, ani gróźb. Powiadano, że z jaskiń nadmorskich w Kerry i w Donegal wyleciały straszne „bensze“, duchy i upiory, którym św. Patryk sam nie mógł się obronić, bo im Pan Bóg od czasu do czasu daje moc wielką nad szmaragdową wyspą, mianowicie wtedy, gdy w powietrzu wisi głód, mór, albo wojna. Kobiety i dziewczęta zbierały zwiędłe paprocie, paliły na środku izby i popiołem osypywały domostwa — jako zażegnanie złego. Pojawili się zewsząd mądrzy ludzie, których zwano „doktorami“, — a ci przepowiadali, że na dzieci przyjdzie mór wielki pod jesień, a matki rodzić przestaną, póki na Skale Kaszelskiej nie stanie dziesięć tysięcy chłopców pod dowództwem Fenu-

Ossyana, syna Fenna Mac Cum Hal, który znikł po krwawej klęsce pod Gabhra *) i wrócić ma do Erynu, jako zwycięzca.

Byli wprawdzie i inni ludzie, którzy jak Marcin O'Grady, nie dali się porwać wirowi powszechnego obłąkania, czy otumanienia. Ale i ci wierzyli, że coś niezwykłego się naprawdę gotować musiało, kiedy władze sądowe sfolgowały w surowych środkach przeciwko agitacyi posłów, a nawet wypuściły z więzienia fundatora ligi agrarnój. o której różnie gadano i różnie sobie obiecywano. Władze skierowały bazylijszkową baczność na podziemne prądy i knowania — a że się zachowywały spokojnie, na pozór obojętnie... to dowód zwykłej, pewnej taktyki. Zresztą rządowi w porę przyszły obie agitacye — jawna i tajna: obie się wzajemnie niszczyły i neutralizowały, a przedewszystkiem, w ogólnem rozprzężeniu umysłów odwracały uwagę ogólną od kwestyj, postawionych w parlamencie z zbytnią stanowczością przez posłów narodowych — od problematów zbliżającej się kampanii wyborezój i — ówczesnemu gabinetowi groźniejszój od irlandzkich, — agitacyi — liberalno-radykalnej w Szkocyi. Liga agrarna w zarodku swym obiecywała sobie najświetniejsze rezultaty, — złote owoce! Zadaniem jej było: wyswobodzenie Irlandyi z pod jarzma barbarzyńskiej niesprawiedliwości kolonistów, właścicieli obco-plemiennych... a oto nacelnik konstytucyjnej opozycyi w parlamencie W. Brytanii całą swą agitacyą oparł na fundamentalnem żądaniu, by rząd Anglii wyrzekł się ambicyi rządzenia ludami, które z wielorakich warunków same się rządzić powinny! Wielki koryfeusz liberalizmu głosił ohydę rządów muzułmańskich w Bułgaryi, — Anglia cała brzmiała echem mów jego, wystawiających okrucieństwa satrapów i ziem-

*) Około r. 400 po Chr. Od „Feen, Fenn, lub Fin Mac Cum Hala“, wodza słynnej milicyi, zwanój „Fianna Eirinn“, wywodzą pochodzenie swe fenianie. Fenn-Ossyan (a właściwie Oisín) zasłynął jako wieszcz w podaniach celto-gaelickich i szkockich.

skich potentatów na Wschodzie Europy pod pręgierz opinii ucywilizowanego Zachodu! Wielki agitator traktował tajemnie z posłami Irlandyi, — zobowiązania jego i obietnice ośmieliły ligę.

Lecz nagły ruch w organizacyach skrajnych klanu gaelkiego, szybko rozlewająca się na południu i zachodzie wyspy demoralizacya włościństwa i mieszczaństwa, stanowisko zajęte w ostatnich miesiącach przez anarchiczną prasę irlandzko-amerykańską, głuche wieści o wylądowaniu emisaryuszów Rossy o powstaniu nowych kół tajnych, wreszcie sam fakt przybycia do kraju jednego z najniebezpieczniejszych anarchistów — wszystko to sparaliżowało akcyę ligi, zaparło wszelkie drogi, uniemożliwiło jęj rozrost po obwodach, dla których najszczególniej została założoną! Równocześnie powstanie obu agitacyj, między którymi żadnego nie mogło być stosunku, a przepaść istniała bezdenna, dlatego było władzom na rękę, że w obydwóch działali ludzie, którzy do niedawna wspólnie i solidarnie stali na widowni politycznych wypadków kraju. Założyciel ligi agrarnej i dyrektor „Szermierzy“ razem stawali przed kratkami angielskich trybunałów, by otrzymać wyrok potępiający za szalone przedsięwzięcia i zamiary, których obaj mieli być wykonawcami. Nie rządu zadaniem i interesem głosić światu, jako długie w kazamatach cierpienia różne wywarły skutki na obu skazańcach: jeden nie potrafił oprzeć się rozpaczę i nigdy niewygasłemu pragnieniu piekielnej zemsty; drugi ocucił się z błędnego fanatyzmu, zamknął się w sobie, znosił sromotę położenia w dumnym milezeniu — i myślał o stosunku krzywd i potrzeb ojezycznej do środków i możności elastycznej konstytucyi państwa. Lecz złe najgorsze leżało w pośrodku, między obu prądami. W téj religijnej, narodowej i soeyalnej przepaści, jaka przedzielała i, daj Boże, nie przestanie przedzielać obu agitacyj w narodzie — znajdowało się i dotąd znajduje mnóstwo nieodpowiedzialnych i poniekąd niewidzialnych łączników, ludzi sympaty-

zujących tak z jedną jak i z drugą, desperantów dobrej wiary, lecz płytkiego rozumu, składających ofiary na rzecz „sprawy”, a nie troszczących się o cele i środki! Z takich składała się i składa ogromna większość klanu gaelskiego w Stanach i ogromna większość mało-miasteczkowego mieszczaństwa i włościan w Irlandyi. Wziąć z nią rozbrat — ani leżało w moey agitatorów konstytucyjnej agitacyi, ani było podobieństwem, ani pozwalały olbrzymie potrzeby ruchu, którego nie należało dłużej zwlekać wobec zbliżającego się przełomu w parlamentarném położeniu Anglii.

Marcin O'Grady żadnych nie miał wieści od młodszego syna. Przestał obawiać się o jego bezpieczeństwo, ufny w sprawiedliwość Boga. Z początku sądził, że Tomasz zdołał przemknąć się do zachodnich wybrzeży i ztamąd przemknąć na jaki kupiecki statek amerykański. Ale Patryk donosił z Nowego Yorku, że mimo najdokładniejszych poszukiwań, najmniejszego śladu brata nie znalazł w portach wschodnich. Rozpisywał się Patryk szeroko o swoim powodzeniu; każdy list jego oznajmiał mieszkańcom Topeli radość z rosnącego zaufania pryneypałów, którzy mu nawet obiecali, że „jeśli wszystko dobrze pójdzie, to z niego zrobią człowieka!“. W ostatnim liście, datowanym z Chicago, pisał Patryk o niespodziewanej promocyi swój na agenturę tamtejszą i o wysokiej pensyi dziesięciu dolarów tygodniowo, jaką odtąd pobierał. To też jedyném jego marzeniem było zaoszczędzić jaki taki kapitalik, przybyć po upływie dwóch lat jeszcze do ojczyzny i starać się o otrzymanie dla ojca nowej ugody, na trwałych zasadach, któraby Topole oddała faktycznie na własność rodziny O'Gradych. Patryk unosił się nad organizacją ligi agrarnej i przepowiadał wielkie jój zdobycze. Z listem przybył maleńki pakiecik z złotemi koleczykami dla „miss Hessy“ i sznurkiem bursztynowych paciorków dla Maryanny. Obiedwie

dary swe schowały do sposobniejszej chwili: — Maryanna do niedzieli, Hessy do powrotu „biednego Thady“.

Bo „biedny“ Thady już od święta Trzech Króli był w Dublinie. Jozasz Peet miał tam brata, współnika w przemyśle o tyle, że co obaj osobno zarabiali — Jozasz na warzywach i zbożu, a Achazyasz na kwiatach i nasionach — to do wspólnych wkładali banków i przedsiębiorstw. Achazyasz Peet przełakł się ostatnimi czasy groźnej konkurencyi innych handlarzy, którzy nie mogąc podkopać dobrej reputacyi firmy kwakerskiej, tém ją rujnować poczęli, iż urządzili na ogromną skalę wypożyczalnię kwiatów i rzadkich roślin, ściągając do siebie kundmanów, którzy na surowych obyczajów Achazyaszu wymóc nie mogli podobnej usługi. Achazyasz Peet należał do najwięcej a raczej najkwaśniej melancholicznej szkoły swój sekty. Sprzedawał kwiaty i najkosztowniejsze, nie pytając, na jaki obrócone będą użytek; ale gdy rodzina jaka wysłała lokaja z żądaniem roślin egzotycznych i rzadkich doniczkowych kwiatów „na wieczór dnia tego a tego, dla dekoracyi stołu w jadalni i salonów“ — Achazyasz Peet wręcz odmawiał. Nie pomagały próśby — pobożny kwakier przywodził cytaty z Pisma św., rozkazującego używać dary Boże ku chwale Bożej, nie zaś dla grzesznej próżności światowej. „Jakoż napisano — mawiał — w Lewityka księdze, w rozdziale XIX, w wierszach 23 i 24: a gdy przyjdziecie do onego kraju i drzewa wszelakie posadzicie dla pożywienia — uważaj bracie: dla pożywienia! — wtedy owoce ich mieć będziecie za nieobrzezane... wszelkie owoce drzew święte będą, by chwaliły Pana!“. Taktyka konkurentów zmusiła go w końcu do częściowej modyfikacyi swych urzędzeń. Poradziwszy się Jozasza, postanowił nadal mieć w swym handlu pomocnika, któryby rozumiał ogrodnictwo, miał osobny wydział (najrzadszych roślin i kwiatów) pod swym zarządem i z nich wypożyczał kundmanom sam, biorąc na swą własną duszę od-

powiedzialność za nieposłuszeństwo zakonowi. „Niechże tylko będzie — pisał do brata, prosząc go o wyszukanie odpowiedniego kandydata — mężem wedle sumienia, nie schodzącym ani w prawo ani w lewo, szukającym Pana wedle rozumienia swego. Taki, choćby i od Amalekitów, godzien jest obcowania z Achazyaszem, bratem i przyjacielem Jozeasza. A wždy Pismo nie tak, jako my rozumie, przecz zbawion będzie, bo napisano: jako bydlę zbawisz mnie zasię i zbawion będę“.

Skutkiem takiej okoliczności znalazł się Thady w handlu, przy ulicy Zamkowej, w Dublinie. Pożegnanie z przyjaciółką i towarzyszką lat dziecięcych, z „malańką Hessy“ — jak ją nazywał wyrastający na herkulesa młodzieniec — było wielce z obu stron różne. Hessy długo, długo potem nie mogła sobie wytłómaczyć, dlaczego tak była nieśmiałą, kiedy ten wielki Thady trzymał ją za obie ręce i pytał; „czy długo o nim pamiętać będzie?“. Hessy gniewała się na samą siebie, że niby krasna lalka stała tak przed Thadym zapłoniona cała, jakby zawstydzona, że już go chyba nie dorosnie — olbrzyma! A potem!... tyle mu miała do powiedzenia! tak chciała wbić mu w pamięć, żeby szanował zdrowie, a z „chłopcami“ nie miał do czynienia — no! i żeby w tém wielkiem mieście nie spanoszał i nie zapomniał Tramore, i... matki Kirwan i... ciotki i... pana Peet i — Maryanny i Niny... no, i siebie samęj przecież! Zamiast tego wszystkiego, rozplakała się, kiedy ją pocałował na samym początku pożegnania, na szosie do Waterford — a im więcej ją pocieszał, im częściej dla utulenia żalu całował... tym ona więcej tylko płakała i płakała! Koreiło to bardzo malańką Hessy.

Ale ani Thady nie był kontent z siebie. Toż jako dorosłemu mężczyźnie — myślał — trzeba było coś powiedzieć przy pożegnaniu. Należało przecież zaręczyć się z malańką, kiedy żenić się niby jeszcze nie czas! A zamiast tego, on tylko bąkał,

sam już nie wiem o czém, okazała minęła... no! i pożegnał się po głupiemu, ni to tak, ni siak!

Pewnego wieczora, w parę miesięcy po oném rozstaniu, Hessy wracała do Topoli z chaty Piotrowej Dogherty. Thady był ulubieńcem swój ciotki, która go była w dom przygarnęła, gdy chłopieczyna w pierw ojca utracił, a potem i matka mu na służbie umarła. Ciotka nie źle się miała. Zwano ją „Piotrową“ po ojcu jój, nie zaś mężu, bo za mąż pójść nigdy ponoś ani nie marzyła. Tak przynajmniej zwykła sama mawiać. gdy i w dojrzałych latach dochodzili do jój chaty różnego wieku wielbiciele... Wiedziano jednak, że Piotrowa dlatego się panięństwa nie wyrzekła, aby nie stracić prawa do swój dziedzicznej zagrody, która acz niewielka, wystarczała fermerce i umożliwiała liczne jój czyny miłosierne. Bo trzeba wiedzieć, że Piotrowa, choć niby to skąpa i zawsze kwaśnego humoru, słynęła w okolicy z dobrego w gruncie serca. Stary O'Grady, który ją wielec szanował, był jednakże zdania, że gdyby się nie nazywała Piotrową Dogherty, to niktby łaskawości jój ani miłosierdzia nawet nie doświadczył! A chociaż miłość chrześcijańska nienawidzi przesądzenia o czyjéjs doskonałości, taki bodaj sam sobie o niej wyrobił sąd ksiądz proboszcz Dooley z Tramore, który ilekroć na ubogich kwestował, albo na potrzeby świątyni składki zbierał, od Piotrowej jedną i tę samą otrzymywał odpowiedź:

— Bez obrazu, ojcze *) Dooley, z wszelkim dla was szacunkiem — nie dam nic! Nazywam się Piotrowa Dogherty, a ot Doghertych cała kupa w hrabstwie, co bezemnie aniby szmaty nie mieli na cielsku, ani łyżki strawy w gębie!

Ta więc „kupa Doghertych w hrabstwie“ była przyczyną i panięństwa Piotrowej i jój kwaśnego humoru, i surowej oszczęd-

*) Zwykła forma przemawiania do księży katolickich w W. Brytanii i Irlandyi.

dnosci. Była ona, jako córka ostatniego Piotra, głową rodziny. Co więc dopóki się trzymała zagrody, stanowiącej resztkę przypomnienia dawnego septu O'Doghertych, dopóty też, choć w kobiecie, pozostawały wszystkie prawa i godności naczelnika klanu. Różne są te prawa i godności; nie wszędzie już dziś w Irlandyi przestrzegają ich całości naczelnicy i pojedynczy członkowie. boć nieraz ani to podobieństwem przecież przy rozrzuceniu septów i rozchwianej, patryarchalnej jedności celto-gaelów! Ale Piotrowa pilnie baczyła, by jój oddawali septmani, co się jój należało, jako głowie. Septmani jój byli, z nader nielicznymi wyjątkami, wyrobnikami, albo żebrakami... bo wyłączeni z osad dziedzicznych, eksmitowani z zagród dzierżawnych, uciskani wszędzie, mieli tylko do wyboru: hrabski dom praey, przymusową emigracyę, lub głodową śmierć przy drodze. Piotrowa pozostała wierną obowiązkom głowy, o ile tylko na to jój pozwalała jój własna chudoba: ratowała swoich, karmiła, przyodziewała, przytulała w zagrodzie, ale w zamian wymagała feudalnego spełniania obowiązków. Septmani uprawiali jój rolę i opatrywali gospodarstwo; nikt z nich nie mógł przyjmować służby u kolonistów, bez upoważnienia głowy; nikt nie mógł opuszczać kraju, ani jakiegobądź przyjmować pomocy od obcych. Z najstarożytniejszych homagiów wymienić i te należy, niemniej surowo przez Piotrową wymagane: nikt się z septu do innego hrabstwa przenieść, ani na dłużej jak na sześć miesięcy wydalic nie ważył; kto zaś związki zawarł małżeńskie bez porady i pozwolenia głowy, ten aktem samowolnym rozcinał wszelkie węzły i przestał należeć do „Dogerthych z septu O'Dogerthych“.

Thady, jako sierota i septman, od niemowlęctwa prawie pozostawał przy ciotce, aż go Jozasz Peet w służbę przyjął i Piotrowej obiecał, że byle się dobrze sprawiał, to do chleba przyjdzie. Thady ustąpił starój Kirwanowój, która po mężu, jako

„septwoman“, miała prawo szukać uciezki pod egidą głowy. Jakoż i sam kapitan Gandy, chociaż człek krewki i pewien pomocy dragonów, musiał uszanować godność i powagę Piotrowej. Wysłał on ostatniego roku swego pisarza z biura plenipotenckiego w Waterford, dając polecenie zagrożenia Piotrowej akeją w sądach, za przyjęcie Kirwanowej, która winna hrabstwo z innymi opuścić. Na to pisarz taką dostał odpowiedź:

— Panie pisarzu, kuszlamachrij*), a daleko ztąd do granie hrabstwa? Patrz: tam — pagórek Tirnan-Og; na zachodzie — góry Commeragh, co kryją grób Bryana O'Dogherty; tam dalej — jezioro Cailin-Ruadh, gdzie Bryan Boru O'Dogherty zatopił trzy tysiące tułowów normandzkich; a tu morze i Ballytullagh, moja zagroda. Panie pisarzu, ztąd widać granice hrabstwa! *Kusza dhu asthore**)*, powiedz tym, którzy cię tu przysłali, żeby sądów nad moimi w innym hrabstwie szukali!

Hessy rzadko zachodziła do Ballytullagh. Cierpka rubaszność Doghertowej razila i raniła prostotę i łagodność dziewczęcia. Pod innym względem również rozmowa ciotki Tadeusza, nieraz wielką sprawiła przykrość jego przyjaciółce. Piotrowa była z niego dumna, jak zresztą przystało przybranjej matee. ale nadzieje, jakie sobie robiła o jego przyszłości, bynajmniej się niepodobały téj, która może lepiej znała usposobienie i niejedne marzenia meobecnego. Nie dość, że ciotka sobie przyszłość siostrzeńca ułożyła — lecz (co się maleńkiej Hessy bardzo wydawało dziwném!) plany swe powtarzała natrętnie w ciągu każdych odwiedzin, jakie albo sama składała w Topolach, lub z Topoli przyjmowała. Thady — według życzeń i pragnień Piotrowej, miał pozostać w Dublinie przynajmniej przez lat pięć; po powrocie, gospodarowałby w Ballytullagh, a możeby z oszczę-

*) Gael. Kochanku mego serca.

***) It. Kochanku najmilszy.

dzonym jakim takim kapitalikiem wziął dzierżawę osady Knyveton, pod Dunmore, „skoro tylko tego Mylesa bense ztamtąd wyniosą!“. W każdym razie na niczém mu brakować nie ma — „bo w całej kupie Doghertych nikt mu nie wart buty ściągać!“. Więć też ożeni się, jak przystało na chrześcianina — powtarzała Piotrowa z naciskiem — „nie z byle tam jaką maworny*), ale z córką rzetelnych rodziców, bigorra choćby same-mu przyszło sprawić jój buty i łachy, choćby pół wieku czekać na taką!“.

Hessy nie rozumiała, dlaczego przed nikim innym, jeno przed ojcem O'Grady i przed nią samą, Piotrowa tak zapalezywie i przy każdej sposobności, projektowała dla swego wychowanka. Zdumiała się razu pewnego więćej, niż kiedybądź poprzednio, gdy na zapytanie o wieści o Thadym, taką jój głowa Doghertych dała odpowiedź:

— Pewnie, że mu tam dobrze! Czemuby źle być miało!... Weź, moja panienko, te gazety panu O'Grady, a przynies mi albo przyslij „Narodową“. Arrah!**) o Thadym nie myśl źle, ale ani dobrze; bo zły on, czy dobry — już on po Tramore chodźć z cebulą nie będzie!

Wracając z gazetami do domu, Hessy starała się odkryć sens jaki w tych słowach, rzuconych tonem opryskliwym i nawet u Piotrowej niezwykłym. Czy może pani Dogherty gniewała się, że Thady jój nieraz chusteczkę kupił, albo paczkę łakoci w Tramore zamiast pieniądze te złożył na poczcie, w banku oszczędności? Hessy zarumieniała się jak wiśnia ze wstydu i ciężkiego zmartwienia, na myśl, że może ją pani Dogherty podejrzewała o przymilanie się do jój siostrzeńca o te nawet srebrne kolezki, które w téj chwili twarz jój zdobiły! Bo ten Thady

*) Gael. Luba, łatwo zdobyta.

**) Gael. Tak, tak!

był też już taki natrętny, że przez cały miesiąc, co sobotę i każdą niedzielę, przynosił jej te koleczki i prosił a prosił, żeby je przyjęła! Hessy odmawiała — boć dobrze wiedziała, jak dobrym był Thady, który własną pracą Ninę przecież wykupił! i miałaby serce i sumienie stroić się w świecidełko, śliczne wprawdzie, kiedy jemu mozolnie pewnie przychodziło ciuć grosz do grosza! Sama Maryanna, aż go wyłajała, że robi upominek ze szpilek, któremi trzeba uszy przekłuwać — bo to pewna wróżba i znak niechybny, że tak przyjaźń jego przekłutą będzie! Kto chce zachować kochankę, przyjaciela — ten im nigdy nie powinien sprawiać podarunku z noża, nożyc, lub wszelkich przedmiotów kłujących!

Słońce już zaszło poza pagórek, na którym ciemniały to pole osady, kiedy Hessy, głęboko zadumana i z ściśnioném sercem zeszła z gościńca na ścieżkę wiodącą do chaty. Na gościńcu spotykała znajomych — fermerów z żonami i córkami, wracających pieszo lub podwodami z Waterford, gdzie przez dwa dni, odbywała się wystawa bydła. Ojciec O'Grady poszedł do miasta z ciekawości; może więc już wrócił. Hessy przyspieszyła kroku na ścieżce. Myśli jej biegały od pani Piotrowej do Tadeusza, od Tadeusza do Piotrowej. Czy on już zapomniał może o swój przyjaciółce? W wielkiem mieście, to może i łatwo zapomnieć! Hessy pomyślała chwilkę — i sama sobie odpowiedziała, że onaby nie zapomniała! A może on tam znalazł inną przyjaciółkę... tak, to być może, to pewnie jest! Po powrocie do Ballytullagh, może już ani nie zapamięta biednej Hessy! Pięć lat!... Czy Hessy pamięta, co się działo w Topolach przed pięciu laty? Pamięta! To może i Thady sobie przypomni „maleńką“ — zwłaszcza, jeżeli mu pomoże, pokaże wszystkie chusteczki, jakie jej podarował w ciągu ostatnich dwóch lat, (wszystkie złożone w pudełku, poprzekładane zasuszonymi fiołkami,

różami i lawendą) i te nieszczęśliwe kolezki, które tam własną ręką założył w miejsce obrączek, jakie przedtém nosiła!

Hessy uprzytomniła sobie „wielkiego olbrzyma“, patrzącego to na nią, to na chusteczki, to na kolezki — i mimowoli głośnym parsknęła śmiechem.

XVII.

— Hallo! miss O'Grady!... — zawołał ktoś, spieszący pod pagórek tuż za nią. Hessy odwróciła się i krzyknęła, jak gdyby przerażona...

— Ah! dobry wieczór panu, panie Myles!

— Dobry wieczór, miss Hessy. Sliczny wieczór, nieprawdaż?... Panienska pewnie nie z miasta wraca?

— Nie; byłam u pani Dogherty, w Ballytullagh.

— A!... u pani Piotrowój; bardzo to zacna podobno kobieta... Ale, jeżeli panienska pozwoli, to pójdziemy razem do Topoli.

— Ojca nie ma jeszcze w domu, panie Myles, przynajmniej...

— No, przynajmniej jest w domu moja matka — przerwał Myles, rzucając z ukosa przenikliwe spojrzenie na dziewczę, któremu towarzystwo jego było widocznie niemiłe — ja dziś do ojca O'Grady nie mam interesu... to jest, nie konieczne dzisiaj — dodał z naciskiem po niejakiem zawahaniu.

— Pani Myles będzie panu bardzo rada — rzekła Hessy, by coś powiedzieć.

— Panienska sądzisz?

— O! jestem pewna! — zawołała Hessy z całą prostotą. Wiedziała bowiem dobrze, jak głębokie było przywiązanie zła-

manej wiekiem i biedą staruszki do jedynego syna. Michał raz był tylko odwiedził matkę, od czasu jej przybycia do Topoli. Marcin O'Grady myślał wtedy, że syn ją zabierze do swjej własnej zagrody; ale Michał prosił, by mogła czas jakiś jeszcze pozostać pod opieką Maryanny i córki, dopóki do sił nie wróci i będzie mogła obejść się bez starań, którychby on przy pracy poza domem dać jej nie zdołał z należytą troskliwością. Ofiarował nawet wynagrodzić Maryannę i na jej ręce składać tygodniowo po kilka szylingów... lecz Marcin niczego przyjąć nie chciał. Pomimo wielkiego wstrętu do mordercy Grubb'a i oskarżyciela Tomasza, O'Grady wołał znieść czasem jego obecność w elacie (z której sam się wtedy oddalał), aniżeli powierzyć tajemnicę swoją i swjej pieszczotki przypadkowemu odkryciu w Knyveton!... Nadto, Marcin powodował się również niezuciem ludzkości: znając charakter Michała, był przekonany, że stariej Julii lepiej pozostać spokojnie w Topolach, gdzie obecność jej najmniejszej nie sprawiała różnicy.

— Dobrze to wiedzieć — ciągnął dalej Myles, patrząc bystro w twarz ciągle zakłopotanej dziewczeczki — że jest ktoś przecie w Topolach, komu będę miłym gościem!

— O! pani Myles zawsze pana wygląda z taką niecierpliwością!

— A nikt inny prócz matki? — zagadnął Michał, pozerając wzrokiem wiotką i wysmukłą postać pięknej Hessy.

Hessy nie odpowiedziała i nie podniosła oczu z ścieżki.

— Miss Hessy — odezwał się Michał po chwili — czy mówił kto kiedykolwiek panience coś... co złego o mnie?

— O panu? — zapytała, nie podnosząc oczu — czemu pan mnie pyta?

— O! tak tylko... no, przypomnij panienka sobie!

— Czy co złego, czy dobrego, nacóżbym ja panu miała mówić?

Michał zagryzł usta i zamilkł. Zbliżali się wtedy do chaty, więc zapóźno było przeciągnąć dłużej ten przedmiot rozmowy. Hessa, widząc Maryannę, wychodzącą z obory, zawołała, pytając, czy ojciec już wrócił?

— A gdzieby tam wrócił tak rychło! — odparła Maryanna, podpierając niewybredną kibić obu rękoma i mierząc Mylesa od stóp do głów wyzywającym wzrokiem. — A choćby i wrócił, toby do chaty nie wszedł teraz; powinnaś panna to wiedzieć i ktoś inny także! Ale niektórzy ludzie takię już są natury, że choć im się pokazuje, co się o nich... co się im pokazuje, to nie widzą — zupełnie tak samo, jak to głupie bydło, co ślepie wlepi w płot, a niczego w nim nie wysłepi! Ho, ho! toć ja nie o pannie Hessa mówię; ani o Janie starym (choć, arrah, Bóg widzi, że i on częściej do głupiego wołu podobny, niż do siebie samego!)

— Idę do matki — przerwał Michał, wchodząc do chaty — nikomu tu w drodze być nie myślę, a długo się nie zatrzymam.

Hessa siadła na przyźbie i chusteczką twarz gorącą chłodziła. Maryanna zaszczepiła wrota podwórzowe i na kłódkę zamknęła, prowadząc dalej raz zaczęty dyskurs:

— Jabym z takim nie szła, choćbym do domu nigdy zająć nie miała! O'Grady dobrzeby zrobił, żeby osobną norę dał wybić do alkierza, a drzwi do domu zachował od jego cienia! Kiedy już biedna stara ma tu czekać na Dhana Dżu*), to niechby synal stronił od chaty, bo przed takim to i potępieńcy strach mają. Choć znowu, z drugiej strony, niech sobie starowina żyje! Tylko, że jakże żyć ma, kiedy to pokarmu bożego tyle tylko weźmie, ile nowonarodzone... Święta Brygido! a moje

*) Dhan Dżu: posłaniec śmierci. W legendzie ludowej jest on Bacheusem „czuwać“.

prosięta!.. A missy też ani przypomni, ani się spyta o prosięta — aż same wolają o ospę... Ale bo to, jak złe w co wlezie, to i najporządniejsza niewiasta o swoich zapomni! Choć znowu, z drugiej strony...

I poszła Maryanna do kuchni po szkopek z zaprawioną ospą, zostawiając Hessy, zajętą otworzeniem bramy, którą już na noc była zamknęła.

Tymczasem, w alkierzu stał Michał przy okienku, naprzeciw krzesła, w którym otoczona poduszkami, siedziała jego matka. Kto nie znał staruszki przedtém, niżejmy ją spotkali po raz pierwszy w opuszczonej lepiance, na moczarach pod miastem Cork — tenby się zdumiał, widząc ją tak siedzącą, z białym czepecem na głowie, w chędogięj wełnianej odzieży! Twarz jęj, choć na wiek zbyt mizerna i głębokiemi pokryta zmarszczkami, nabyła pewnego spokoju, który jęj wrócił dawną szlachetność rysów; oczy jęj, choć wpadłe i krwią zaszłe, straciły jednak ów przestraszający blask pożerającej gorączki, jaki znamionuje nędzę w walce z zwątpieniem i głód — w oczekiwaniu pokarmu!

Staruszka powracała zwolna do sił, a w miarę jak nabierała zdrowia, wracała także energia umysłu, znikaly i słabyły symptomy nieprzytomności władz moralnych. Stała się więcęj milezącą, mniej często zdradzała tok myśli swych i marzeń o krótkotrwałém szczęściu w smutnej przeszłości, w której jednak żyć nie przestała wyobraźnią. Mawiała nieraz Marcinowi i Maryannie, że po okropnej burzy, jaka jęj życie rozbiła, nie jęj nie pozostało prócz --- syna, swego najdroższego klejnotu! Michał był dla nięj wszystkiem: początkiem spokojniejszych dni i końcem, do którego kierowała ostatnie marzenia i sny gasnącego żywota! O'Grady szanował miłość macierzyńską i Boga prosił przy pacierzach, by oszczędzić raczył matce boleść najgłębszą! Maryanna, zmuszona czasami słuchać długich opowia-

dań Julii o ukochanym Michale, litowała się nad nią i w monologach tylko, otoczona czworonożną gromadą, folgowała sobie w komentarzach własnych nad tém, co od staruszki słyszała.

— Ha, no! Michałku, moje życie, nie mówmy już o tém, kiedy ci się zdaje, że to niepodobna. Nie będę już marzyła o Knyveton — nie będę; chyba, że Bóg pobłogosławi pełném zdrowiem, kiedy będę mogła chodzić i ruszać się przez dzień cały bez zmęczenia! Ano — wtedyby grzechem było siedzieć tu w Topolach na łasce Marcina O'Grady.

— Zapewne! odparł syn obojętnie. Pocóż tu było przychodzić!

— Niech cię Bóg błogosławi, Michałku! Gdyby nie Topole, dawnobyś matuchę opłakał! Toż po jego śmierci, po śmierci biednego ojca i po pogrzebie, jaki mu tam biedakowi dała unia, cóż mnie tam było robić? Niech Bóg najświętszy zachowa biedne ludziska od tyle nieszczęścia!... Ale, kiedy on poszedł, a o tobie ani przedtém ani potém długo nie słyszałam, w wielkiej nędzy niemal sama już do unii zawlec się musiałam.

— Tuście przyszli! ha! toć lepiej niż w domu pracy!

— Cyt! Michałku — nie... oj nie! Słuchaj tylko. Jednego wieczora wybrałam się z naszej lepianki. Nie było co zamykać, to i zostawiłam otwartą — dla biednych podróżnych. Widzisz, złotko moje, matuńcia rozum straciła!... zaczęła się o kiju na cmentarz, gdzie pochowali dada*) i prosiła Pana Jezusa, żeby jój dał umrzeć na dada grobie!

— Pocóż to teraz przypominać! przerwał Michał z niechęcią. Staruszka oczy otarła perkalowym fartuchem, popatrzała na syna z czułością i dalej mówiła:

— Prawda, prawda mój chłopaczku! Jeszczem ci o tém nigdy nie mówiła, na cóż więc zasmucać ci serce teraz, kiedy

*) Ang. wyrażenie pieszczotliwe, odpowiadające naszemu Tatku.

to już minęło! Jenó widzisz, Michałku, co mi bardzo smutno, ój bardzo!... to, że nie wiem, gdzie dad leży... ementarz wielki... a on ani kupki ziemi, ani krzyżyka tam swojego nie ma!

— Dosyć już, dosyć matko! Przyszliście więc tu, do O'Gradyeh!

— Sama nie wiedziałam jak!... Coś mnie porwało z miejsca, oddzielonego dla nieboszczyków ubogich, więc tak szłam i szłam do późnej nocy. Może to matucha do synaczka tak szła!... bo się pytała co chwila, aż w ciemnościach zgubiła drózkę polną i tu się zabląkała.

— Więc to był niby przypadek?

— Pan Jezus przyprowadził, Michałku. Bo widzisz, kochanie, jużbyś ty, żeby nie Marcin, matuńci swojej nie miał! Jużby ona tak oto padła przy drodze — i z dadem się złączyła!

— Aleście przecie znali starego O'Grady?

— A znaliśmy oboje, kiedyś, dawno! Znaliśmy téż żonę jego nieboszczkę...

— Matkę Hessy...

— Matkę Hessy? — powtórzyła staruszka pytająco, patrząc zdziwiona na syna — albo to ty nie wiesz, Michałku, że... no! ale może to ja nie powinnam ci powiedzieć, kiedy nie wiesz!

— Powiedziecie, owszem, matko kochana! -- szepnął Michał ostrożnie, zbliżając się do krzesła.

— To już chyba inną razą, mój aniołku — rzekła staruszka i wyciągnęła ręce, chcąc niemi objąć schyloną głowę Michała. Tenże cofnął się jednakże.

— Czemu nie teraz, matko? Któż wie, kiedy ja tu znów zajdę! Praey w polu poddostatkiem; żeby nie kilku chłopców, przyjaciół — to sam nie wiem, jakbym sobie poradził!

— Przyjdź tedy jutro, Michałku, przyjdź wcześniej!

— Jutro? Nie mogę, matko, nie mogę! No — dodał, całując w czoło starszkę — przecież to nie tak długa zapewne historia, żeby się nie dała opowiedzieć w paru minutach!

— Ha! — odpowiedziała, wznosząc ręce i oczy — dawne to czasy... i nie wszystko już jasne w biednej pamięci! Ale, chłopezyku złotko, toż i ty pamiętasz Ballyglan — eh?

— Ballyglan? Juścić, że pamiętam. Zresztą i teraz znam dobrze naszą starą fermę, choć rola leży odłogiem. Nikt po nas tam nie osiadł; w domostwie — koszary konstabliarów, a na toku stoją konie ich i dragońskie. Cóż jednak ma Ballyglan wspólnego z tém, co mi macie powiedzieć?

— Ano wszystko, Michałku! Pamiętasz mistress Agnes? Miałaś wtedy lat może dziesięć...

— Coś sobie... o! wiem teraz! mieszkała z nami — smutną była zawsze, chyba, że przyjechał ktoś, pan jakiś...

— Tak, tak! Pan Leary

— Nazwiska nie pamiętam. Tylko to sobie o nim przypominam, że mi raz darował swoją własną wędkę, kiedy miał odjeżdżać.

— Cyt! cyt! Michałku, siądź tu przy mnie blisko — rzekła Julia z nagłą zmianą w głosie i twarzy. Tak, dobrze. Powiedzno tylko, a czy pamiętasz, jak ten pan wyglądał?

— Czy go koniecznie potrzeba w historii panny Hessy?

— Cyt! Ha!... Mistress Agnes i p. Leary — to rodzice przybranej Marcina!

Starszka wymówiła tych kilka słów ledwie dosłyszalnym głosem, z trudnością, jak gdyby mimowoli i z żalem, iż zdradziła tajemnicę O'Gradych. To też zaraz pochwyciła syna za rękę, niby w nim szukając obrony, jeżeliby źle uczyniła.

— Pamiętasz, jak wyglądał?

— Przy ojcu zdawał mi się bardzo chudy i wysoki... tak, tyle go sobie przypominam — miał czarne wąsy i brodę.

— Ten sam, Michałku, ten sam. Powiem ci więc, że... Posłuchajno, czy są już w izbie, bo mi się zdaje, że słyszałam drewniaki dziewczyny.

Michał zbliżył się do zamkniętych drzwi alkierza i przyłożył ucho do szczeliny; ale żaden szelest nie dochodził z wielkiej izby, prócz trzasku łuczywa i węgla w kominku, na którym Maryanna zastawiła przed chwilą przygotowania do wieczerzy. Wrócił więc do krzesła, usiadł przy nim na podłodze i pochylił głowę na kolana matki, aby lepiej dosłyszeć jej szeptu.

XVIII.

Marcin O'Grady siedział na ławie obok córki, pod ścianą domu, na której światło wschodzącej pełni księżyca igrało z listkami bluszczu i ostrokrzewia. Kwiecień się kończył; bywały w nim dni jasnego i ciepłego słońca, po których niespodzianie nastąpiły przymrozki, przed kilku dniami spadły ciężkie ulewy, a teraz pogodna wiosna przedwcześnie zapowiadała upały. Roboty w polu dawno już były ukończone. O'Grady śledził bacznie stan powietrza i pilnie doglądał swoich ziemniaków, którymi obsadził każdą niemal pięćdziesiątą fery. Plon zeszłoroczny utwierdził go w przekonaniu, że byle zachodu i starań nie żałować, to uprawa roli taka, jaką był przedsięwziął obficie się wynagrodzi i opłaci.

O'Grady był w mieście tego południa. Wystawa bywała mało go teraz wprowadzie zajmowała po zaprowadzeniu zmiany zupełnej w gospodarstwie; ale był ciekawy posłyszeć o wiel-

kich przygotowaniach do rozpoczęcia w hrabstwie agitacji agrarnej. Dowiedział się też ważnych rzeczy w mieście. Powracając więc, zbieżył z drogi, wstąpił na probostwo. Z księdzem plebanem, z wikaryuszami parafii i z kilku sąsiadami długą odbył naradę, po której zaszedł do dworku Jozeasza Peeta, zanim wrócił do Topoli i dowiedział się o Mylesowych odwiedzinach.

— A jakże się dziś ma mistress Julia, Het? zapytał dziewczeczkę.

— Coraz lepiej, ojezulku. Otworzyła sobie okienko w południe, a nawet przejść się chciała w koło domu.

— Bogu chwała! Tylko bądźcie z nią ostrożne, bo po tak wielkiej chorobie i z nikłymi siłami chronić należy biedactwo, jak niemowlę... A długo on już tu bawi?

— O! dłużej niż ostatnią razą. Będzie pół godziny, jak wszedł do chaty.

O'Grady zamyslił się, potem rzekł w pół do siebie:

— Widno, że coś ma w planie, kiedy matkę odwiedza. Zapewne znów się kędyś wybiera... A nie wątpić, że i oni teraz spokojnie siedzieć nie będą!... Był tu kto inny dziś, Hessy?

— Nikt nie był, ojezulku; tylko zaraz po południu, może w godzinę po waszém odejściu, zjawił się koło bramy jakiś obcy, podróżnik — i zapytał o drogę do Knyveton, do osady pana Mylesa.

— O! — niedbale wtrącił O'Grady.

— Powiedziałyśmy mu i pokazały. On poszedł, ale kilka się razy obejrzał na chatę i na mnie. Widziałam go potem raz jeszcze, kiedy szła do pani Piotrowej, pod miasteczkiem, przy stacyi policyjnej. Skoro mnie zobaczył, odwrócił się prędko i wskazał mnie ręką konstablowi, z którym rozmawiał.

— Wskazał ciebie, Het? zapytał O'Grady z zadziwieniem.

— Mnie, dadu, bo nikogo innego na drodze nie było.

— Hm! No, a widziałaś Piotrową Dogherty?

— Byłam u niéj, ojezulku, dobrą chwilę i przyniosłam dzienniki — odpowiedziała Hessy, rumieniając się na wspomnienie swéj wizyty w Ballytullagh.

— I cóż słyhać o Thadym?

Hessy podniosła kamyczek z ziemi i podrzuciła go z jednéj ręki do drugiey, odpowiadając z pozorną obojętnością:

— Pani Piotrowa nie mi nie powiedziała, dadu... a przynajmniej bardzo mało.

— Bardzo mało! Toż mi mister Jozeasz mówił, że brat jego Achazyasz chłopca się nachwalić nie może! Byle tylko nie mięszał się do złego towarzystwa! Słyszałem, że się tam pokazuje z ludźmi, na których policya nastawiła szpiegów.

— O dadu! Thady...

Wyjście z chaty Michała Mylesa przerwało serdeczną protestacyę dzieweczki. Téj saméj chwili, Marcin O'Grady powstał z ławy, i poprzędzając młodego człowieka, podszedł aż do podwórzowej bramy. Staął tam, zwrócił się ku nadchodzącemu i zakładając ręce na piersiach, spytał:

— Michale Myles, gdzie syn mój, Tomasz?

— W Dublinie — odparł zagadnięty bez zająknienia.

— Co on tam robi?

— Zostaje pod rozkazami „chłopców“.

— Nieszczęśliwe dziecko! — zawołał Marcin, załamując ręce. Słuchaj, Michale! Wiesz przecie, że dla mnie tajemnicy nie ma: przypomnij sobie wieżę św. Kolumbana...

Myles wstrząsł się i obejrzał dokoła. Ciemno tu było zupełnie. Zabudowania podwórzowe długie rzucały cienie wokoło obydwoch; księżyc świecił nad ich głowami. O'Grady postąpił krok naprzód.

— Nie bój się! Znasz mnie, nieszczęśliwy, nadto dobrze i wiesz, że póki syn mój żyje, żaden wyraz z ust moich przeciwko wam z oskarżeniem nie wyjdzie... póki on żyje i — moja

dzieweczka! Ale strzeż się, Michale! Słuchaj, ja nie chcę, by syn mój zmarniał między wami! Puście go! dajcie mu opuścić Irlandyą! Czysty on na sumieniu — ty o tém wiesz najlepiej — niechże się tak zostanie, niech rąk nie wała krwią niewinnych — puście go!

Myles stał z twarzą odwróconą od błagającego starca. Wzrok jego błąkał się po przyległych krzewach. Myślał w tej chwili o kole Dermota; przypominał sobie sutereny w domu przy ulicy Studziennój, scenę, jaka tam zaszła w jego obecności, oskarżenie i wyrok — słuchał Marcina i milezał.

— Zapłacę wszystko, wszelkie przyjmę koszta — ciągnął starzec dalej, — Bóg widzi, że wolałbym patrzeć na niego umarłego, w trumnie, jak wiedzieć, że jest między wami, ślepymi obłąkańcami, co teraz nowe mordy gotujecie i gwałty!...

— Kto wam to powiedział?

— Kto mi powiedział?! — wybuchnął z goryczą starzec. On się pyta, kto mi powiedział!... Przecież mam oczy i uszy! Dość popatrzeć po osadach, po mieście, aby wiedzieć, co nas czeka! Zbrodnie i okrucieństwa w myślach waszych — a już i z temi się nie kryjecie, śmiałkowie! Bogu samemu urągacie! Tak wy w niedowierzaniu swoim hańbę gotujecie imieniowi irlandzkiemu, arrah! poniżenie świętego narodu, co wieki całe przecierpiał i przeżył w torturach! Na niewinnych, na prostaków, na tych, co po was zostaną, gdy was samych kat odbierze — uparliście się sprowadzić cięższe kajdany, haniebniejsze wytępienie!

— My innym pomagamy — ligę wspieramy!

— Łżesz, łżesz, łżesz!

— W lidze są nasi.

— Łżesz!

— Jój założyciel, Michał Davitt, jest nasz.

— Łiesz, nędzniku! Ha! Jak mnie Bóg z jasnego nieba widzi, przysięgam na duszy swój zbawienie, że gdyby to prawdą było, tobym prędzej sam zapaloną żagiew pod własną strzechę podłożył, aniżeli bym się do ligi zapisał!... Ale ty łiesz!

Na twarz Mylesa wystąpiła bladość niepochamowanej wściekłości. Niewiadomo, coby był uczynił, gdyby w tej chwili nie przeraził obydwóch szelest zblizających się ostrożnie kroków za ścianą obory.

— Kto tam? — krzyknął O'Grady, ale odpowiedzi nie było.

— Kto tam? — powtórzył głośniej, lecz równie bezskutecznie.

Michał Myles oddalił się spiesznie ścieżką, prowadzącą od bramy do stóp pagórka.

Tymczasem nadbiegła Hessy i otworzyła kłódkę. O'Grady udał się spiesznie w stronę, z kąd posłyszał szelest.

Z poza narożnego kamienia obory wyszedł przeciwko niemu niski, chudy człowieczek, z twarzą czarnym zarostem pokrytą aż pod same oczy.

— Ktoście wy? — gniewnie zapytał fermer.

Nieznajomy przystanął wprawdzie, lecz odpowiadając, przeginał się ustawicznie naprzód i w tył i w oba boki, podpierając się jedną ręką, a drugą dotykając kapelusza za każdym zdaniem, na sposób wojskowy. Małeńkie i błyszczące oczy jego zdawały się świdrować każdy przedmiot, na jakim się chwilowo zatrzymały.

— Łatwo to pytać — rzekł cieniutkim, słodkim głosikiem, uśmiechając się do groźnie nań spoglądającego Marcina. Łatwo pytać — nie łatwo odpowiedzieć. Gdyby mi tak wielkie pytanie postawił ś. p. ojciec mój, lub ś. p. matka moja, lub którykolwiek z ś. p. prawych przodków moich, odpowiedziałbym im wszystkim razem lub każdemu z osobna: jestem synem wa-

szym, krwią z krwi, kością z kości, ciałem z ciała, jakom się narodził na świat...

— Zkąd się tu wziąłeś? A gadajże zaraz! Janie! Hola! Janie!

O'Grady krzyknął silnie, aż echo się ozwało na dolinie. Nieznajomy, wciąż się przeginając, jak tanemistrz, stanął w otwartej bramie: Hessy na widok jego wołać poczęła:

— To on, ojeze, to on — ten obcy! i uciekła do chaty, zabiegając drogę Maryannie.

— W rzeczy samej, prawdę mówi dziewica, czeigodny patronie — odezwał się nieznajomy. Na ziemi, zroszonej potem pra-pra-pradziadów; jestem istotnie obcym! Przychodzę — albo jak wielebne usta wasze wyraziły: wziąłem się z wielkiego miasta. Idąc zaś, idę — idę — biegnę — lecę.

Zanim się O'grady zdołał pomiarkować, już Jan leżał u nóg jego, jak kłoda; nieznajomy znikł w krzewinie opodal, z której dał kilka szczupaków i wyskoczył na ścieżkę. Ztamtań popędził, ile miał sił, w dolinę, za Mylesem.

— Święty Janie w Oleju! Maryanno! jęczał, wołając po gaelicku stary wyrobnik Marcina; *beusza beusza! Och, hon! wejrasthru!* Maryanno, *machrij!* *).

— *Och, bathershin* **). Janie, machrij! I pewnie, że już bensa nie innego do roboty pod Topolami nie ma, kiedy się was uczepiła!

— *Fejks* ***), tedy — odparł Jan Maryannie, czółgając się na czworakach po mokrej trawie i trzymając przedmiot jakiś w rękę, pamiątkę mi zostawił — przyjacielski duch, wi-

*) Och, oj! biada mi, Maryanno, kochanku! — Machrij, jest używane bezustannie w mowie ludowej: Och brzmi bardzo gardłowo (ang. augh!)

**) Zepsute z ang. bother: ej eo tam!

***) Z ang. Faith, wiara: ma foi.

dać — nie bensa. Daj rękę, Maryanno, *ma vorney*, niech się podniosę i zobaczę... *Whiskey, kuszła machrij!* Och, tęga.

Młasnął językiem i podał Maryannie płaską flaszkę, do połowy napełnioną. Maryanna jednak ani słuchać nie chciała o skosztowaniu trunku!

— Rzucilibyście to, bigorra, Janie i spać poszli! Złodziej ten jakiś, co was zna dobrze, naumyślnie upuścił flaszkę, żebyście nie obudzili się do rana!

— A na co mi się budzić, machrij? zagadnął z głupowatą miną i przytknął flaszkę raz drugi do ust.

— Arrah, już wy pewnie między cielećtami św. Patryka żyli, na górze Tara! Im się więcej starzejecie, tym z was wół cięższy i głupszy.

To powiedziawszy, Maryanna wróciła do chaty. Jan powłókł się do obory, gdzie miał swoje posłanie.

Marcin obszedł całe podwórze, by się upewnić, że wszystko było w porządku i nikt inny się nie ukrywał w osadzie. Wehodząc do chaty, obejrzał się raz jeszcze ku dolinie i rzekł:

— Więc to już i szpiega na mnie szaleńcy nastawili! Boć szpieg to był, oczywiście. Ha! zobaczymy. Inne czasy!

W niewiele godzin po owém wydarzeniu, w jedném z okien pod strzechą chaty Marcina ukazało się światło. Najprzód na stole, pod samém oknem — bo promienie jasno płonącej świecy padały wzdłuż zagonu, w warzywnym ogrodzie. Potém ręka niewidzialnej osoby sięgnęła po lichtarz i cofnęła się z nim w głąb izby. Ktoby chciał zaspokoić ciekawość i zajrzeć do oświetconego wnętrza, mógłby to łatwo uczynić z wysokości pierwszej zaraz gałęzi, rosnącej przy ścianie jabłoni. A ujrzałby widok dziwny.

W izbie, przy nierozścieloném łóżku, siedziała na niskim stolku Maryanna. Ubrana była do podróży i cała zatulona dłu-

gim, czarnym płaszczem, którego kaptur — podszyty tanim atłasem — spadał jej w przestronnych fałdach na plecy. Odświętne trzewiki stały tuż pod ręką, obok świecy w lichtarzu na podłodze. Na trzewikach leżała zwinięta para pończoch, a na pończochach rzemyki, służące za podwiązki. Stopy Maryanny były bosc. Wpatrywała się w nie Maryanna z wielką uwagą, prowadząc szeptem taką dyskusję:

— *Magharne!**). Dwie żyły razem, wprost; jedna z ukosa w poprzek — to dwie pory dobre, a jeden nieprzyjaciel. Dwie pory dobre, niby teraz, kiedy wyjdę i potem, kiedy tam zajdę; jeden nieprzyjaciel — to on... A tu pod kostką: czerwona, czerwona, sina, niebieska... *dhu ishla na chrij***), nie ma końca! Raz, dwa; trzy — jedna, dwie, trzy! A potem, kurze pazury. Czerwona — w drogę czas. Sina — mitrega. Niebieska — przyjaźń. Pazury — źli ludzie! Ano, bigorra, w drogę czas.

Maryanna zaciągnęła pończochy na prorocze nogi, podwiązała rzemykami, wstała i postawiła lichtarz z świecą na stołku, przy otwartej skrzyni w nogach łóżka. Dobyła z niej gotowe zawiniątko.

— Jest wszystko, czego potrzeba. Trzy szylingi w szkaplerzu. Raz jeszcze — tamtego.

To mówiąc, wyjęła z kącika w skrzyni blaszaną puszkę, otworzyła i wysypała w garść sporo ziarn jałowcowych. Poczem na kamieniu kominka zapaliła od świecy dwa na krzyż łuczywka i rzucała po ziarnku na płomień.

— Jedno! rzekła, gdy pierwsze zaraz ziarnko zatliło się i pękając trzasło. W miarę, jak rzucała ziarna, jedno zakuliły się aż pod kratę kominka, inne, odbite od łuczywa, na izby wy-

*) Właśnie tak! Akurat!

***) Furda, kochanku! (dosł. ja sama sobie kochanku)!

padły; pięć tylko z trzydziestu czterech (odpowiadających liczbą wiekowi dziewczyny) poszło za przykładem pierwszego.

— Sześć! machnij; trzydzieści trzy, dwa, jeden, trzydzieści; dziewięć i dwadzieścia, ośm i dwadzieścia. Dwadzieścia ośm! Tyle dni w drodze, za długo! Coby tu oni bezemnie robili! Ishla! Jan się zaleje do ezubka... a moje prosięta!

Przez dobrą chwilę, Maryanna stała w płaszczu; bynajmniej niezdecydowana. Łuczywa dopaliły się do szczytu, swąd tylko po nich pozostał.

— A jak ja nie pójdę, nie znajdę i nie zrobię arrah. to kto pójdzie, znajdzie i zrobi? On! Jeszcze więc raz ostatni!

Maryanna zamknęła skrzynię, schowała klucz pod kratę kominkową, postawiła świecę na stole, pod oknem i klękawszy przy stole, zmówiła najprzód trzy Zdrowaś Marya, z wielkiem nabożeństwem. Poczém dodała z psalmów pokutnych akt strze-listy: „Nie chciéj pamiętać, Panie, win naszych, ani rodziców naszych!...“ i zaczęła odmawiać zwolna i wyraźnie Pozdrowienie Anielskie... od końca!

— Amen. Naszój śmierci godzinę w i teraz...

Wiele jój widać zależało na tém, by się nie pomyliła ani razu; bo ukończywszy w ten sposób pierwszą połowę modlitwy, czerwona na twarzy i czole, jak burak, sapnęła głośno, otarła usta wierzchem ręki i ciągnęła dalej z większą jeszcze niż dotąd, ostrożnością. Im bliżej była końca (a raczej początku) tym dobitniej wymawiała każdy wyraz. Aż wreszcie jęknęła „Zdrowaś“.

Łzy się jój zakręciły w oczach. Przycupnęła do podłogi i pocałowała podłogę. Potém wstała, dobyła z pudełka, przybitego do ściany nad łóżkiem, kawałek poświęconej kredy, narysowała krzyżyk na środku podłogi i otworzyła drzwi. Z zawiąnięciem w lewój, z trzewikami w prawój ręce, zeszła Maryanna cichuteńko ze schodów, tyle się tylko zatrzymując, by tu

i owdzie obronny i ochronny pozostawić krzyżyk. Równie ostrożnie — by nie zbudzić śpiących na górze i mistress Julii w alkwie — otworzyła drzwi chaty. Narysowawszy ostatnie trzy krzyżyki — jeden na progu, drugi na drzwiach, a trzeci pod górną oprawą — złożyła zawiniątko przy progu, oparła się plecyma o ścianę i przywdziała trzewiki.

— Święty Patryku! — zawołała prawie głośno, gotowa do podróży — święty Marcinie, święte Estero, Julio, Maryanno! czuwajcie teraz aż wrócę, baczcie na chatę!... A, bodajże też! A ospa! Zapomniałam wczoraj wysypać ospę dla moich prościszków. *Dhuishla!* Ospa w worku... ale, jak ta biedna kobieta zapomni! Choć znowu z drugiej strony, po tém, com słyszała z wieczora przy alkwie bigorra; nie wiedziałam, o którym wprzód myśleć... Święty Janie w Oleju! — bo przecie i Jego nie mogę zapomnieć, choć to tylko tego niedomagały Patron — pamiętaj o Janie, co tam znowu pewnie zaśni w oborze, aż mu Nina pysk obliże... benske go brały! Ja w drogę. W Imię Ojca i Syna i Duchu Świętego. Amen.

I poszła — nie opowiedziawszy się nikomu. Nikt też nie wiedział dokąd poszła i po co.

VI.

Nadchodził dzień, w którym miała się odbyć ostatnia w dublińskim sezonie uroczystość dworska — ostatnie levee, recepcya i bal.

O ile dwór panującej w Anglii monarchini jest posepny o tyle świetne i okazałe są dwory jój wiecokrólów. Sezon dubliński rozpoczyna się wprawdzie rychło i kończy w pierwszych dniach maja, by na nim nie stracił sezon londyński, trwający

od maja do sierpnia; ale przyciąga daleko liczniejszych gości i — co więcej znaczy — dla handlu i przemysłu irlandzkiej stolicy nierównie więcej jest zyskowny, bo rozrzutniejszy, hałaśliwszy, błyszczący. Osoby przedstawione wicekrólowi w dublińskiej sali tronowej nie potrzebują — jeżeli im chodzi o wstęp do dworu angielskiego, przechodzić przez sztywniejszą ceremonię w Buckingham Palace, lub w St. James's Palace: namieśnik odbywa bowiem monarsze levées w imieniu królowej, tak samo, jak królewicz następcę tronu odbywa je w Londynie w zastępstwie dostojnej wdowy. Sezon irlandzki — od pierwszej recepcyi na zamku, aż do wyścigów Punchestown — więcej ma życia, a bynajmniej nie jest pozbawiony dystynkei. Formy dworskie istnieją i przestrzegane tu bywają może nie z tak głębokim poszanowaniem i odśrodkowem znaczeniem, jak w przedśionkach królewicza i królowej, lecz równie surowo i ściśle, a dla oka wspaniałej.

Skarb nie szczędzi i nie żałuje na kolonialne wystawności Okazałość i powaga majestatu są odpowiednio, a nawet z pewną przesadą, reprezentowane w Dublinie, Kalkucie i Quebecu. Lecz nigdzie w granicach imperyum brytańskiego nie ma wyraźniejszego natłoku do dworskich uroczystości, jak w ojczyźnie i w stolicy prostego i — w opinii brytańskiej — „w pół-dzikiego“ celto-gaela! Starożytna i od angielskiej dumniejsza, butna, zrezygnowana arystokracja indostańska, pogardliwem patrzy okiem na kilkunastu służalczych rajachów, szukających z wyrachowaną skwapliwością przypuszczenia do majestatycznej obecności reprezentanta cesarzowej Indyi. Dwór w Kalkucie poprzestając więc na azyatycko-europejskim przepychu, podziwianym jest jedynie przez azyatycko-europejskich urzędników, wojskowych i handlowych firm naczelników.

Wielkorządca Kanady, jeżeli nie jest synem lub zięciem królewskim, jest w Quebecu pierwszym, nieodpowiedzialnym

dygnitarzem — niczém więcej. Kanadyjczycy dość blisko sąsiadują ze Stanami, by instytucye swe i społeczny porządek zachować od wszelkiej cechy służbistości i poddaństwa; daleko zaś są czystszej i więcej jednolitej w obu prowincjach rasy, aniżeli amerykanie Stanów — i to ich pozostawia chłodnymi, wolnymi od znanej, śmiesznej arystomanii nowoyorskich i bostońskich demokratów.

Nie tak w Irlandyi.

Zamek dubliński jest środkowém ogniskiem tego obłudnego objawu tajemnych prądów oranżyzmu, jaki nazwano „kolonialną lojalnością“ — w lodowatym oceanie narodowych pragnień i obywatelskich ambicyi. W zamku mieszczą się obok siebie powaga praw Anglii konstytucyjnej i powaga imperyalnego majestatu. Z zamku wychodzą administracyjne nadużycia konstytucyi, drażniące ustawy gabinetowe przeciwko trzem milionom odrębnej narodowości irlandzkiego królestwa; z zamku również pochodzi i płynie wszelka przewrotność, uzbrojona prawem przemocy, charakteryzująca istotne i kapryśne panowanie jednego miliona kolonistów.

Były czasy w Austrii, gdy osobistości podejrzanej o mrzonki pisano z gabinetu ministra: „Monsieur, Sa Majesté l'Empereur desire vous voir plus souvent á Sa cour de Vienne“... biada temu, kto nie słucał życzenia i stronił od dworu!

W Irlandyi współczesnej, komu chodzi o cechę socyalnej dystynkeyi brytańskiej, a zarazem wierno-poddańczości, powinien ukazać się na zamku — być przedstawionym. Podczas gdy w Anglii „presentation at the Court“ nadaje potwierdzający jedynie „dyplom“ znakomitości rodowej, lub finansowej — w Irlandyi, szambelan wicekrólewski, działający podług wskazówek sekretarza stanu, nie wymaga dowodów ni pierwszej, ni drugiej — żąda dowodów „lojalności“. Kto więc nie bywa widziany na salonach zamkowych, ten w oczach rządu jest co najmniej „sepa-

ratystą“, jeżeli nie wręcz buntownikiem; a rebel, w przekonaniu kolonialnego high-life'u jest nikim; w opinii kolonialnej ma-łomiasteczkowości jest — gburem. Małoduszni nie wiele może dbają o sąd sfer rządowych, lecz boleśniej czują ostracyzm w łonie towarzystwa, do którego należą, znieść nie potrafią, lub nie chcą dorobkiewiczowskiej napuszystości — obracającej im plecy...

Do lat niedawnych, lord mayor brał świetny udział w uroczystościach zamkowych, otoczony cywilnymi dygnitarzami stolicy. Majestat królewski w osobie namiestnika przyjmował u tronu municypalny majestat stolicy kraju. Pierwszy reprezentował monarchią i społeczeństwo sasko-normandzkie; drugi — konstytucyjną egzystencją „trzeciego królestwa“ i wolne instytucje cywilne, narodowe. Wicekról w szatach swego dostojęństwa, z insygniami orderu świętego Patrycyusza, podawał rękę lordowi-burmistrzowi, przyodzianemu starożytnym płaszczem najwyższego urzędu municypalnego, z insygniami „wolnej karty“ miasta Dublina i stołecznych swobód. Wkoło obu grupowała się reprezentacja windsorska i westminsterska obok prymasowskiej katolickiej i prymasowskiej kolonialnej; otaczał obu uosobiony w swych zasłużonych agentach interes brytański i interes kolonialny wszelkich umysłowych i materyalnych kierunków. Lecz od chwili, kiedy rząd angielski zdał sprawy administracyjne Irlandyi prawie bez żadnego ograniczenia w ręce biurokratów kraju i szefów wydziałowych na zamku; gdy odpowiedzialność parlamentarna sekretarza stanu irlandzkiego stała się czezą anomalią, wobec despotyzmu antyirlandzkiej większości w izbach Westminsteru; kiedy oranżystowskie łoże, potępione przez lorda kanclerza Anglii, nie tylko mogły głosić publicznie konieczność wyłączenia katolicyzmu i narodowości irlandzkiej, lecz ować zamkiem, zagarnąć dla siebie najważniejsze urzędy i na czele ksiąg swych wypisać imię każdego namiestnika, jako członka

i „brata“ ex officio; gdy nakoniec stało się dublińskiemu municipium niepodobieństwem zapraszać wicekróla na swoje bankiety i uroczystości — ile że wicekról obecność swą robił zależną od wykluczenia powszechnie szanowanych posłów i patryotycznych dostojników stołecznej gminy; kiedy, jedném słowem, namiestnik został agentem najzacieklejszych wrogów kraju — lord mayor stolicy przestał bywać na zamku i przestał zapraszać wicekróla na oficjalne obchody stolicy. Zżymała się na to mniejszość ławników protestancka, ale kraj cały przyklasnął decyzji — a większość reprezentantów miasta Dublina zawotowała w radzie podwyższenie honoraryów lorda mayora, by mu dać możność pomnożenia i uświetnienia festynów ratuszowych, mających się odbywać każdego roku równocześnie z rautami i recepcjami dworskimi.

Różne nad oną decyzją czyniono komentarze. Koloniści wołali, że to rebelia i kontempt majestatu; mniejszość ławników stołecznych uderzyła na alarm, nazywając recepeye lorda mayora żakowską fanfaronadą i lekkomyślném trwonieniem publicznego grosza, na inne potrzebnego cele. Mieszkańcy stolicy byli jednakże zadowolnieni z idei „podwójnych“ — jak je zwano sezonów. Po Nowym Roku, Dublin przepełnił się „zamkowymi“ i „ratuszowymi“. Koloniści współubiegali się z narodowcami, lub jak mówiono: „homerulerami“, aby wspaniałość i życie sezonu im przeważnie przypisywano. Płeć piękna zwykle rozstrzygała spory, po czyjój stronie więcej było pięknych panienek, po raz pierwszy w świat wstępujących — po téj stronie leżał tryumf sezonu. O ile jednak argument ten był prosty i bądź co bądź słuszny, o tyle też z góry można było przewidzieć, który obóz poszczyci się palmą zwycięstwa. Na jedną bowiem w zamku piękną lady, stawało w ratuszu dwanaście celtyckich lassies, czarnookich dziewoi z hrabstw południowych, w których krew

drgała andaluzyjska, lub klasycznych rysami donegalek, w których odrazu spostrzegłeś milezyański rodowód.

W dzień, poprzedzający ostatnie levée i bal na zamku, ruch był więcej niż zwyczajny w wielkich ulicach Dublina. Magazyny damskie roiły się niecierpliwymi klientkami, chociaż były to przeważnie — jeśli nie jedynie — żony, siostry i córki homerulerów, dopełniające swych potrzeb na ostatni bal ratuszowy. Damy „zamkowe“ dawno już wyperswadowały swym niewolnikom, iż już przecie sama lojalność zakazuje kontentować się produkcjami, tych irlandzkich katolików i fenianów!... Nie! Suknie balowe i prezentacyjne powłoki muszą koniecznie pochodzić z ulicy Regenta, z magazynów Madame Elizy, lub Madame Pauliny de Simpkins. Jeżeli mąż lub ojciec zbyt nie refleksyjnie, jakby mógł pogodzić lojalność z oportunizmem — umiały go żona lub córka przywieść do natychmiastowej decyzji:

— Chyba sądzisz, mój skarbie najdroższy, że kiedy już mamy telegrafować do Londynu, to może lepiejby od razu do Paryża... do Worth'a!..

— Nie!... no, ja — tego... rzecz jasna! Poślij depeszę na ulicę Regenta, oczywiście. Albo — hm! może mi pozwolisz zatelegrafować samemu — właśnie mam wychodzić!..

Koloniści majątni inną jeszcze noszą nazwę w Irlandyi — *absentees*, „nieobecných“. Wielej właściciele ziemi, rękodzielnicy, właściciele okrętów i handlowych zakładów dobywają z kraju krwawo przez tuziemców zapracowany grosz na to tylko, by go czempredzją na drugą przetrzucić stronę kanału św. Jerzego. Sami gardzą ojczyzną (bo bądź co bądź Irlandya jest ich rodową i urzędową ojczyzną); rzadko do niej przybywają i tylko na czas najkrótszy — a nawet wtedy starają się obyc bez wszystkiego, co irlandzkie. Powiedziano o niektórych z nich, że gdyby mogli, powietrzeby z sobą przywozili zagraniczne w specjalnych respiratorach!

Stało się zatem podwójnie obowiązkiem tuziemców, dumnych z imienia irlandzkiego, poprzestawać na produkcjach krajowych i z kwestyi importacji zbytkownych, lub potrzebnych wyrobów, wyrabianych choćby i gorzej we własnym kraju — zrobić kwestyą publicznego wstydu.

Kwakier Achazyasz, podobnie jak wszyscy jego bracia według ducha, robił nie złe interesa, stojąc neutralnie jak na „przyjaciela“ przystało, między obu obozami. Od dnia, w którym dopełnił swych obserwacyj nad Thadym i nabrał przekonania o jego rzetelności, prawości i nie małej dozie przemysłowego rozsądku — brat Achazyasz Peet anonsował stale w dziennikach stołecznych, że w handlu swoim umieścił pomocnika, któremu powierzył „wolny i swobodny zarząd w wydziale roślin i kwiatów używanych czasami (tyle dla zaspokojenia sumienia) przez licznych przyjaciół do przyozdobienia salonów i sal bankietowych“. Nie dziw więc, że przy znanej sumienności kwaków, sezon stołeczny, „podwójny“, był dla niego żniwem. Przestrzegał wszakże, by o ile możności najmniej miał do czynienia wprost z wypożyczeniem swych roślin.

Zmartwił się więc niemało, gdy w chwilowej pomocnika swego nieobecności, stanął przed handlem wytworny ekwipaż, wszedł do kantoru wygalonowany lokaj i złożył na stole bilet, na którym były wypisane nazwy doniezkowych roślin, potrzebnych „do kancelaryi szambelana Jego Ekscelencyi lorda namiestnika“ na dzień następny:

— Nie wiem, przyjacielu — rzekł z zamkniętymi oczyma — nie wiem, czy pomocnik mój to uczyni. Dam mu to pisanie, skoro za łaską Boga przyjdzie tu po spożyciu południowego posiłku. Pomocnik mój sam wtedy uda się, sądzę, do urzędowej izby przyjaciela, od którego z ulicy przyszedłeś. Będzie to, o ile mogę powiedzieć — tu spojrzął na zegar — za

minut czasu czterdzieści i pięć, lub czterdzieści i sześć. Niechaj ci się szczęści przyjacielu — tobie i twoim.

Lokaj wrócił do ekwipażu, a kwakier do ksiąg swych handlowych i listów.

Korzystajmy z pierwszej, jaka się następuje, okazji przypatrzenia się Achazyaszowi.

Liczy on lat sześćdziesiąt i pięć, bo tak zapisano na pierwszych kartach jego oibrzymiej, w mosiądż okutej biblii rodzinnej, gdzie figurują wszystkie nazwiska jego linii od r. 1652, czyli od dnia, w którym, jak czytamy: „Obadyasz wyzwiał-Się-Djabłu, zwany przez światowych Karolem Peet, wziął do siebie Metesdę, córkę Jonatana Trzęsnij-Mną-Panie, zwanego przez światowych Janem Harvey, i Maryi, jego połowicy w obliczu Pana“.

Achazyasz jest w towarzystwie przyjaciół „starszym“. On to w Dublinie wiąże i kojarzy małżeństwa siostr i braci, wedle obrządku jedynie w sekcie uznanego. Majestatycznej postaci, wysoki, otyły, o ruchach i giestach poważnych, patryarchalnych, z długą białą brodą spływającą mu na szerokie piersi: — brat Achazyasz z ulicy zamkowej najwspaniałej się przedstawia, gdy stojąc z wniesionemi rękoma i oczyma przed stołem, za którym siedzi cierpliwa para oblubieńców, czeka natchnienia i „zstąpienia Ducha“. Długo on tak nieraz stoi zrezygnowany: zgromadzeni bracia i siostry śledzą pilnie rysy pełnej jego twarzy i źrenice czarnych, jak noc, jego oczu — rychło się usta jego otworzą śmiechem, oczy spoczną na mężu i niewieście. Wtedy bowiem Achazyasz odezwie się swym dźwięcznym, basowym głosem: „Stało się! duch zstąpił na mnie. Edyto i Danielu, idźcie w pokój, służcie Panu w małżeństwie, wyrastajcie i mnożcie się. Tak niech się stanie!“. Achazyasz Peet, jako „starszy“ w sekcie, pełen jest bezwątpienia i innych dobrych przymiotów, gdyż jest zarazem syndykiem stołecznej izby handlowej,

skarbnikiem wielu dobroczynnych towarzystw i mężem powszechnie szanowanym dla swój głębokiej roztropności, wielostronnego doświadczenia i serca otwartego, niby wrota szerokie, każdemu doń kołaczącemu. Wdowiec i bezdzietny, znaczną swą fortunę zlał w jedną z Jozeaszową, jakieśy to już wspomnieli. Brata swego cenił ponad wszystkich śmiertelnych i był do niego serdecznie przywiązany.

Z tém wszystkiém, miał swoje słabostkę — jak i brat jego z Tramore. Jozeasz wziął się na wygrzebanie z wszelkich możliwych szczątków starożytności dowodów, że Homer nietylko istniał w ciele i kościach, lecz sam jeden był autorem obu poematów. Achazyasz był biblomanem, lubownikiem ksiąg starych i rzadkich; — ale zarazem postrachem wszystkich innych antykwarzy. Nie cenił on wcale pargaminu i oprawy. Rozdzierał starożytne wydanie bez skrupułu, jeżeli wydaniem takim mógł skompletować inne, poprzednie lub następne, albo nawet odmiennój całkiem treści dzieło, wzmiankujące taką a taką sentencją w owém rzadkiem wydaniu. W zbiorze swym posiadał Achazyasz „Dzieje Irlandyi“ Mandeville'a; czytał je z mrówczą pracowitością, a gdy tylko natrafił na imię, lub na wypadek sobie nieznanym, — szukał komentarzy w innych księgach; znalazłszy, wycinał kartkę i wlepił w „Dzieje“. Tym sposobem zniszczył jedyną zapewne w Irlandyi księgę „Kronik Geralda“, którą kupił u handlarza rupieci i dołączył natychmiast z nią, co się dało, do „Dziejów Irlandyi“, kilkadziesiąt kart do Hume'go „Dziejów Anglii“, kilkanaście do Scotta „Opowiadań Dziadunia“ — a resztę trzymał pod kluczem, póki by nie zapotrzebował do skompletowania jakiego innego dzieła. Wyrzucali mu wandalizm taki bracia, przyjaciele — ale nawrócenia i poprawy nie wskórali. Achazyasz twierdził i bezwątpienia był przekonany, że tak postępując, księgi bogacił, nie zaś psuł, szpecił i niszczył.

Skoro Thady powrócił-z obiadu, pryncypał wskazał mu, mileżąc, bilet szambelana.

— Nie wiem — rzekł pomoenik, czy mi tych roślin nie zabraknie, bo już poprzednio obiecałem sporą ich grupę dostawić do ratusza.

— Tadeuszu Kennedy — odparł poważnie kwakier — reflektuj się w duchu nad obowiązkami swymi we własnym kantorze. Obowiązki swoje znasz, przyjacielu Kennedy!

— Ja tylko, panie Peet, chciałem się pana poradzić. czybysmy nie mogli odmówić „zankowym“?

— Ja zaś na to przyjacielowi swemu odpowiedzieć nie mogę. Obowiązki przyjaciela mego są jasne, a gdzie obowiązek woła, tam różnicy czynić nie należy, lecz sprawiedliwością się rządzić i zdrowym sądem, jako napisano: „Sprawiedliwość i sąd mieszkaniem twego tronu; miłosierdzie i prawda przed obliczem twojem postępować będą“.

— Kiedy już u mnie więcej roślin takich nie ma!

— A za się obowiązek woła: zwróć potrzebę swą dokąd należy!

— Ale pan roślin nie wypożyczy!

— A!... westchnął kwakier z głębokiem politowaniem, jako mnie nie znasz! Roślin ja nie wypożyczam dla zbytku i nieboskiej uciechy. Ale gdy pomocnikowi idzie o dopełnienie grup w wydziale jemu przezemnie poruczonym — czemużbym odmówił?

— Przepraszam pana! rozumiem teraz! — rzekł pomoenik, odwracając i powstrzymując wybuch śmiechu. Poczém, nie czekając dalszych wskazówek, zawołał chłopca, a wybrawszy, jakie mu były potrzebne kwiaty, kazał odnosić do swego magazynu po drugiej stronie domu.

— Przyjacielu Thady — odezwał się po chwilee pryncypał — obiecałem, że sam w swój osobie dasz odpowiedź w izbie

urzędnika, nazywanego szambelanem, o ośm lub dziewięć minut po drugiej.

— Dobrze, panie. Idę natychmiast. Z zamku przyjdzie mi pospieszyć do ratusza, bo miss Farrel, jedna z gospodyń dzisiejszego koncertu i jutrzejszego balu, chce mieć kwiaty na piątą!

Brat Achazyasz wznosił do góry ręce i oczy.

— Ja się, przyjacielu Kennedy, do twoich spraw nie wtrącam — o nic nie zapytuję. W dzień szósty zdajesz mi rachunek z obrotów w zarządzie swoim — i na tém poprzestaję, bo ufam wierności twój. Jednakże duch każe mi oświadczyć, iż niecną jest rzeczą ludzi ucho człowieka dźwiękiem sztucznym i śpiewem! Alboż nie pyta psalmista: „Gdzie jest Bóg, mój Stworzyciel, dający śpiew w nocy?“. Nie ma Go!... Tak i te płasy w ciałach niezakrytych są przeciwko Zakonowi. Czytamy albowiem, jako małżonka strofowała Dawida, iż bezwstydnie obnażony pisał skocznie przed niewiastami, niby jeden z próżnych!

— Będę musiał, proszę pana — rzekł Thady, wracając do rzeczy — wziąć omnibus albo dorożkę z zamku do ratusza, bo droga zbyt daleka a obiecałem pomagać tam w ustawieniu kw... potrzebnych rzeczy i stawić się o wpół do trzeciej.

Kwakier kiwnął głową przyzwalająco i Thady znalazł się wkrótce na ulicy, spiesząc ku zamkowi. Przed bramą, przy której stało dwóch konnych dragonów z dobytymi szablami i włożyło się mnóstwo gawiedzi, zatrzymał się i dał znak ręką jednemu z dorożkarzy, zwykle tu stacyonujących. Potém znikł między konstablerami i tajnymi policyantami, a dorożkarz podjechał bliżej dragonów i czekał.

XX.

Wkrótce nadszedł ktoś, wyglądający na kamerdynera lub garsona z kawiarni, i zapytał dorożkarza o najkrótszą drogę na miejski cmentarz — Glasnevin.

— Cmentarz Glasnevin! — zawołał dorożkarz, spozierając z zadziwieniem na pytającego. Trzeba wziąć omnibus z Sackville Street, albo *tramcar* z téj oto stacyi na rogu. Sześć mil z okładem!

— To to tak daleko? aż tak! Hm! — rzekł nieznajomy, potrząsając głową niedowierzająco i rozpatrując się dokoła. No proszę! *Well, I never!*

Coś się dorożkarzowi nie podobało w tonie głosu i w oczach człowieka, bo odwrócił się gwałtownie na siedzeniu i począł bruk smagać batem, poświstując. Ale kamerdyner, czy garson nie dał się pozbyć tak łatwo. Zaszedł z drugiej strony podwojdy, zbliżył się do woźnicy o pół kroku, a raz jeszcze rozpatrzywszy się po najbliższém otoczeniu, utkwil wzrok bystry w obojętną twarz jego i rzekł z dobitnym naciskiem na każdym wyrazie:

— Dziś wieczorem o godzinie szóstéj dasz odpowiedź generałowi: Tak — lub nie. Tak — no, to dalsze odbierzesz rozkazy; Nie — to... śmierć!

Dorożkarz ani się ruszył z miejsca. Przestał smagać bruk batem i siedział jak skamieniały, z twarzą zmienioną okropnie. Nieznajomy oddalił się i zniknął wśród rzędu dorożek i podwód.

Podwodami nazywam tak zwane w Irlandyi *jaunting-cars* (lekkie wózki). Są to bryczki, pospolicie bez resorów, jednokonne, dwukonne; w ten sposób zbudowane, że dwa siedzenia

na dwie osoby umieszczone są po bokach nad kołami, a małeńki koziołek na przodzie, ponad niemi. Jadący — jeżeli ich jest więcej, niż dwóch — są zatem zwrócenii do siebie plecami; jeśli ich jest dwóch tylko, lub jeden, woźnica zajmuje drugie siedzenie, zamiast koziołka, dla zrównoważenia ciężaru. Siedzenia są opatrzone rodzajem półotwartych pudeł, spuszczonej poniżej osi kół, służących do oparcia nóg. W czasie słoty i gdy podwoda nie jest zajęta, woźnica podnosi pudła i zakrywa niemi siedzenia.

Kiedy Thady wyszedł z bramy zamkowej i wsiadł na podwodę, dorożkarz nie zdawał się najmniejszej nań zwracać uwagi.

— *Go on!* W drogę, do ratusza! — zawołał pomocnik Achazyasza, lecz dodał natychmiast: Tom! co tobie się stało?... Choryś, czy co? Bój się Boga, wyglądasz, jak gdybyś benszę zobaczył!

Tomasz O'Grady cmoknął i potrząsał lejcami.

— To i zobaczyłem... nakoniec! — odparł ponuro, tyle tylko głos podnosząc, by wśród turkotu i wrzawy ulicznej Thady go mógł dosłyszeć. Oj Thady, pamiętasz, com ci powiedział, gdyśmy się rozeszli ostatniego piątku?

— Jakto! więc Dermott...

— Hallo! Z drogi tam! — krzyknął Tom na przekupnia ulicznego, choć mu tenże w drodze nie był. Nie wymawiaj tego nazwiska! Thady, albo Forster — albo ja! — syknął w ucho przerażonemu młodzieńcomi.

— Boże sprawiedliwy!... Kiedy?

— Jeżeli on... to nie wiem; ja — dzisiaj, albo jutro — każdej chwili po szóstej tego wieczora.

Thady zacisnął zęby. Zbliźali się do ratusza; żaden z nich nie przemówił słowa. Dopiero zsiadając i płacąc, rzekł Kennedy:

— Słuchaj, Tom! Poczekaj tu chwilkę. Patrz uważnie na peron i na tamte drzwi boczne ratusza. Jak mnie zobaczysz na peronie, to zawróć — spotkamy się przy zamku, o piątój; jeżeli we drzwiach, to... no, to wrócę z tobą, albo pojedziemy dalej, gdzie wypadnie...

Tomasz nie odpowiedział, lecz pozostał w miejscu. Thady zaś przebiegł dziedziniec ratuszowy i wszedł do gmachu bocznymi drzwiami, przeznaczonemi dla służby lorda-mayora. W sieni znalazł wewnętrzne drzwi zamknięte, ale na odgłos dzwonka otworzyła je pokojówka.

— Jest miss Farrell w sali? — zapytał Thady.

— Jest już od pół godziny. Od Peeta?

— Tak.

— To niech pan idzie czemprowadź, bo miss Farrell czeka.

Thady przesunął się korytarzem, wbiegł na schody i skierował kroki w stronę tak zwanych „apartamentów galowych“. Niebawem znalazł się w wspaniale przyozdobionej wielkiej sali ratusza — w obecności kilku dam i panów, gospodyń zapewne i gospodarzy festynów.

Miss Farrell spostrzegła wchodzącego i natychmiast zawołała:

— A co? a kwiaty?

— Będą tu, proszę Pani, za pięć lub dziesięć minut. Głos drżał młodzieńcowi, krew mu buchała do głowy z ściśnionego nieśmiałością i obawą serca.

— Bardzo dobrze! — mówiła szybko czynna i energiczna patriotka, poczekajże no tu, mój chłopcze. Niczego nam, zdaje się, nie potrzeba prócz tych kwiatów, orchideów i pomarańczy; pomożesz je nam ustawić.

— Dobrze, proszę pani — ja...

— Cóż?

— Ja tylko dziesięć... dziesięć minut — chciałbym panią prosić o radę!

— Radę? Mnie? No, i w czym?... Cóżes ty taki wzruszony, panie Kennedy?

— Chodzi o życie!

— Życie!... Twoje?

— Nie — ale... to coś okropnego! Ja nie wiem, proszę pani, czy mogę, czym powinien mówić!

— Na miłość boską! chłopcze — co tobie jest? Chodźno tu zaraz!

Miss Farrell otworzyła podwoje przyległego salonu i weszła.

— Zamknij drzwi, Kennedy — chodź tu i siadaj, mów!

Thady stanął naprzeciw siedzącej miss Farrell i zaczął mówić pospiesznie, lecz zwięźle. W miarę, jak opowiadał, co wiedział o przeszłości Tomasza i o wiszącym nad nim wyroku „Niezwycięzonych“, młoda kobieta — a już podówczas założycielka Żeńskiej Ligi Ziemiaństwa — to bladła, to rumieniła się, a łzy upornie się jej cisnęły do oczu.

— Jakim sposobem tyżeś się o tym wszystkiém dowiedział, biedny chłopcze? — zapytała, gdy Thady skończył.

— On mi to sam...

— Jakto, on? Nieszczęśliwy człowiek! Nieszczęśliwy!... Powiedz mi, panie Kennedy, należysz ty do... do jakiej sekty politycznej?

— Nie, proszę pani, ja nie należę do żadnej.

— Prawdę mówisz?

— Tak mi Boże dopomóż! żywo zaprotestował Thady.

— To bardzo dobrze! bardzo dobrze, mój chłopcze. Nigdy się nie daj skusić, choćby ci najświętsze obiecywali rzeczy. Jesteś w Lidze Narodowej, to niech ci starczy. Ale... nie rozumiem wcale, jak ten... jak się on nazywa?

— Nie wiem, czy mogę?

— Nie mów! Lepiej nam nie wiedzieć... Jakże on jednak mógł opowiadać tajemnice sekty! Tego wcale nie pojmuję! A jednak, zapewne to i dla niego lepiej!

Miss Farrell zamyśliła się.

Po chwili dobyła pugilaresik z kieszeni sukni, wyjęła z niego bilet wizytowy i ołówek. Chciała coś na bilecie napisać. lecz zmieniła zamiar.

— Nie! tego nie można — rzekła. W razie czego, gotowiby i nas wciągnąć w błoto! A w to im graj!... Zadzwoń no, Kennedy; tam przy kominku jest guzik — naciśnij.

Thady uczynił, co mu kazano. Do salonu wszedł paż w liberyi lorda mayora.

— Przynies mi papieru listowego, pióro i atrament!

Gdy paż przyniósł materiały piśmienne i oddalił się, miss Farrell siadła przy stoliku i napisała słów kilka. Poczém, oddając Tadeuszowi pismo złożone, bez koperty, rzekła:

— Przeczytaj.

— „Generał Dermott zobowiąże miss Farrell, zaszczycając ją swoją obecnością w Agencurze o godzinie 6tej dzisiaj, czwartek. By zapobiedz pomyłce, raczy generał tę kartkę mieć przy sobie. Odpowiedź: Tak lub Nie.

— To wystarczy... tak! Idź teraz, panie Kennedy, nie tracąc czasu, na ulicę Studzienną, numer 3b. Znajdziesz tam z pewnością kogoś w domu. Oddaj papier i czekaj na odpowiedź.

Thady stał osłupiały.

— Nie dziw się, mój chłopcze! Wiele dziwnych rzeczy dzieje się pod słońcem... Idź — ja sobie tu jakoś poradzę sama z kwiatami.

Thady ukłonił się w milczeniu i opuścił salon. Przecho-
dząc korytarzem, zagłębiał się w myślach. Ale, gdy doszedł do sieni, stanął i mimowoli szepnął do siebie samego:

— Cóż? Jeżeli go to ma zbawić!... Na peron!

Wrócił więc na schody, przebiegł środkowy korytarz powtórnie, przecisnął się w wielkim przedsiönku między zgromadzonymi tu policyantami rutuszowymi i stanął na peronie.

Dorożkarz, czekający w ulicy, przed bramą odjechał natychmiast.

Potém, ile mu płuc starczyło, zszedłszy ze stopni peronu, Thady pobiegł w stronę ulicy Sackville. Dla większej swobody, biegł środkiem ulic, wywijając się między pojazdami i wozami. Ludzie stawali i patrzyli za nim; dorożkarze i chłopey uliczni pytali się wzajemnie:

-- Hallo! Ogień czy mord? Cóż ten tak leci!

Thady na nie nie zważał. Dotarłszy do rogu ulicy Zamkowej, zwolnił kroku, by nie być w tak niezwykłym pośpiechu spostrzeżonym przypadkowo przez chłopców i ogrodników z zakładu pryncypała, znajdującego się z tamtej strony, lecz w pobliżu Studziennj. O wpół do czwartej stanął przed kamienicą, oznaczoną numerem 3b. Przy dzwonku znalazł płytę mo siężną z napisem:

Anglo-Amerykańska Spółka Emigracyjna.

Mr. Jonathan Perkins, Sekretarz.

Przez drzwi, od ulicy na rozieź otwarte, Thady wszedł do sieni, zapukał do drzwi bocznych, oznaczonych napisem „Biuro“ -- i po chwilce znalazł się w obecności mężczyzny, stojącego przy kominku, wpatrującego się z pozorną obojętnością w twarz przybysza. Mężczyzna ten był wieku podeszłego, chudy, wysoki, nieco przygarbiony; twarz, rysów drobnych i wyrazistych, cery żółtej, nie miała jednakże jeszcze zmarszczek była starannie wygoloną. Za to faworyty, prawie białe i gęste, okrążyły tę twarz niby obrozoną. Starzec przymrużył czarne

oczy, i tak już pół zacienione krzaczystymi brwiami i zapytał młodzieńca krótko z silnym akcentem amerykańskim :

— Czego wam trzeba ?

— Czy mogę widzieć generała Dermott ?

— Czego wam od generała ?

— Mam kartkę — odparł Thady, zmieszany nieco suchymi lakonizmami starca.

— Od ?

— Od miss Farrell.

— Dajcie.

Thady oddał kartkę. Starzec przeczytał, obrócił papier, położył go na gzymsie kominkowym, przeczytał raz jeszcze i uśmiechnął się nieznacznie. Potém, poglądając na zegar ścienny rzekł :

— Odpowiedź — eeee... poczekajcie ! Zapytam.

I wyszedł z bióra do sieni. Thady słyszał kroki jego na schodach. Wkrótce ktoś inny, także wiekowy, lecz widocznie podrzędne zajmujący w domu stanowisko, otworzył drzwi przyległego pokoju i z ręką na klamce rzekł, nie patrząc wcale ani na Tadeusza, ani w prawo, ani w lewo :

— Przyszło się z odpowiedzią. Ma się zanieść odpowiedź. T a k.

Thady wrócił spiesźnie do ratusza.

XXI.

Biuro Agenty stanowił ów pierwszy pokój w kamienicy pod liczbą 3b, w którym znalazł się był Tomasz O'Grady pierwszego wieczora po przybyciu do Dublina. Umeblowanie jego składało się z długiego stołu, nakrytego zieloną i niekoniecznie

czystą ceratą; otoczonego tandetowemi krzesłami najrozmaitszych kształtów. W pośrodku stołu, wprost naprzeciw drzwi siennych leżało składane biurko zasłane papierami. Obok biurka były grube księgi rejestrowe i rachunkowe, należycie opatrzone wyściśniętym na oprawie nagłówkiem Agentury i stała blaszana szkatułka do pieniędzy. Zresztą w pokoju nie szczególnego nie było; za jedyną ozdobę gołych ścian mógł chyba uchodzić piękny i widocznie z pierwszorzędnej fabryki pochodzący zegar regulator i wisząca obok niego mapa północnych Stanów Ameryki.

Po odejściu Tadeusza, wrócił do biura wysoki Amerykanin. Wziął ze stołu długą kopertę z wydrukowanym u spodu wierszem: „W służbie Najjaśniejszej Pani“, wydobył z niej jakieś papiery, stanął znowu przy kominku, wsparł głowę na rękę i myślał.

Nie wszyscy ludzie myślą głośno. Amerykanin myślał, mileżąc. Tylko jego czarne i bystre oczy, utkwione w punkt jakiś obojętny na ścianie, odbijały w swych połyskach myśli, które mu po głowie przebiegały! Lekkie zmarszczenie czoła miało swe znaczenie dla świadka niewidomego; miało je również nerwowe ściąganie powiek drżących, póki trwał pomysł jakiś głębszy. O czémże i nad czém tak myślał Amerykanin?

Zaniepokoił się chwilowo — lecz tylko chwilowo — otrzymaniem kartki od miss Farrell prawie równocześnie z kopertą, zawierającą instrukcje i kwestye głównego szefa policyi, pułkownika Mallow. A potem, wytłómaczywszy sobie taki zbieg okoliczności ku zupełnej swój satysfakcji usiadł na krześle przed biurkiem, otworzył wielką księgę rejestrową na literze *D*, i wzdając palcem z góry stroniczy do dołu, czytał półgłosem:

— „Dawney, Duncan, Dolling, Dawkins, Donovan, Doran“...

Zatrzymał się i syknął między zębami fałszywym śmiechem. Na rejestrze zapisano:

-- „Doran Jerzy, 17go listopada do Bostonu, ślusarz“. Ślusarczyk! Dziś — senator w Waszyngtonie; nazwisko jego dobre w kołach skrajnych irlandzkich do wysokości 500 dolarów rocznie!

Starzec czytał dalej. Nazwiska irlandzkie spotykały się tu z angielskimi i szkockimi; agentura czynności swych nie ograniczała! Agentura dobrze prowadziła interesa — czyste — jasne — prawne, zyskowe!...

Nagle starzec zatrzymał palec wskazujący na stronie księgi. Podniósł brwi i spuścił, pogwizdał cicho i z niewymownie sarkastycznym wyrazem całej żółtej swój twarzy, czytał uważnie, co tam zaciągnięto w księgę obok nazwiska Dermotta...

„Dermott Patryk, 29go grudnia 1869 do Nowego-Orleanu, nożownik“. Nożownik!... to przecież dosyć wymowne! A któż dziś w nim pozna Jana O'Briena?

O'Brien, wywieziony do Manchester, na sądy przysięgłych, w październiku, 1868, skazany na śmierć; deportowany do Nowej Zelandyi, uciekł z Auckland dnia 4 czerwca, 1869... i wychylił się w Valparaiso.

Tymczasem Patryk Dermott siedział sobie najspokojniej w tym samym domu na ulicy Studziennój, o karabinowy strzał z zamku! Dzięki „Białym Chłopcóm“ na obu półkulach, którzy o Janie O'Brien rozpuścili wieść, jakoby był dostał się do Valparaiso na statku brazylijskim — Jan O'Brien żeglował bezpiecznie z Melbourne do Liwerpolu... na statku brytańskim!

Któż go dziś pozna? Któż wykaże tożsamość kryminalisty z generałem w służbie wolnych Stanów Ameryki? Któż znajdzie pierwszego? Gdzież im szukać Dermotta.

Starzec umaczał pióro i na urzędowym arkuszu biura agentury napisał te słowa: „Panie, — W zastępstwie pana Jonatana Perkins, powołanego w sprawach agentury do Bostonu, mam zaszczyt załączyć żądane szczegóły o Patryku Dermott. Agentura posiada nadto dowody, że P. D. znajdował się w Dublinie w lipcu i w sierpniu 1869, wykazujące najjaśniej, iż informacye pańskie o wrzekomój tożsamości jego z Janem O'Brien są z gruntu fałszywe. Jakkolwiek zaś bądź, generał Dermott opuścił port nowo-yorski przed pięciu miesiącami i podróżuje obecnie z rodziną po Europie, gdy załączona tu i przez władze w Stanach legalizowana kopia wykazu śmierci Jana O'Brien, zaszłej w Chicago, dnia 1go stycznia 1876, stanowi sama w sobie dokument, niedopuszczający żadnych powątpiewań.

„Przy téj sposobności mam zaszczyt dodać rachunek agentury za usługi oddane wydziałowi policyjnemu i ponowić w imieniu pana Jonatana Perkins gotowość na dalsze rozkazy.

„Pozostaję Pańskim posłusznym sługą — Wilfrid F. Jenkinson“.

„Do pułkownika Mallow, na zamku dublińskim“.

Starzec adres powtórzył na kopercie, zapieczętował ją i zadzwonił.

— William — rzekł do wchodzącego stróża domu, *alias* „brata-odźwiernego“ — weź to i poślij na zamek przez pierwszego lepszego policyanta z rogu ulicy; przyniesie ci odpowiedź, zatrzymaj ją przy sobie, jeżeli mnie nie będzie w biurze.

— Zrobi się — odrzekł odźwierny swym przeciągłym, nosowym głosem, odbierając list; a zaraz dodał: w sieni kobieta z dzieckiem.

— Czego chce?

— Nie wie się.

— Powiedz jej, że zapóźno dzisiaj.

— Przyjdzie jutro.

— Głupis! Nie mam czasu.

— Lepiej znaleźć czas dzisiaj. Jutro ma się być w drodze.

— Na południe!.. — dodał z namysłem zastępca agenta. —

Zawołaj ją tu!

Wiliam otworzył drzwi do sieni, skinął głową i ręką na kogoś oczekującego i oddalił się. Do biura weszła kobieta młoda, lecz wynędzniała i w lachmanach, wiodąc za rękę dziesięcioletniego chłopaczka, o czarnych oczach i bladój, wyglądzonej twarzy.

— Czego potrzeba? — spytał krótko i surowo starzec, składając i zamykając biurko.

— Proszę posłusznie, *yer honour*, ja wyrobница z tém oto stworzeniem pojechałabym do Hameryki! — odpowiedziała kobieta, pozostając przy drzwiach i rzucając nieśmiało spojrzenie na urzędnika.

— Po co do Ameryki?

— *Faix* — jużci ja sama nie wiem; jeno, żebym pojechała do Hameryki, jak pojechały inne biedne dusze.

— Do którego Stanu?

Na to pytanie, wyrobница skierowała zdziwione oczy na starca i odwracając się cokolwiek ku ścianie, odpowiedziała z lekkim na twarzy rumieńcem:

— *Begorra*, *yer honour*, jużci mi nie myśleć o innym, jeno o tym moim... wdowieńskim! A to stworzenie...

— Głupia! — szepnął niecierpliwie amerykańnin. Do jakiego miasta?

— Ha. pewnieć to ja już zostawię waszój łasee, *yer honour*! Kiedy nie w starój Irlandyi*), to — niech was Bóg błogosiłwi! — cóż biednej kobiecie na tém, gdzie się zawlecze!

— Do jakiej roboty?

*) Irlandzycy ojczyznę lubią nazywać: *ould Ireland*.

— A to może do tój samej, co to mnie od niej wypędzili. Ah! *yer honour*, póki on sam *) żył, to się zarabiało ja-
koś na tój przedzy! To oto stworzenie.

— Czemu wypędzili? Kto?

— Na duszę moję! *yer honour*, tego ja biedna kobieta nie wiem. Oto tak, jeno pisarz przyszedł w sobotę, temu mie-
siąc, powiedział, że w bramie zapłacą za tydzień roboty i żeby
nie przychodzić w poniedziałek.

— Czyja fabryka?

— *Begorra*, to ta wielka, za mostem O'Connella — niech
go Bóg błogosławi!

— Jak się nazywa właściciel? Gadajcie do rzeczy!

— Och! *yer honour*, a z kądbym ja wiedziała! Jest tam
pan Reid i pan Munro, i pan. . .

Amerikanin zaklął po grubiańsku. Kobieta przyciągnęła
dziecko bliżej do siebie i cofnęła się do samych drzwi.

— Słuchać, a potem iść sobie do dyabła! My żebraków
w Ameryce nie potrzebujemy, ani głupich. Iść do rządu, do
domu pracy!

— Och! słodki Jezu, *yer honour*! — krzyknęła wdowa,
wybuchając płaczem. Chłopaczek podniósł główkę ku matce,
patrzył na nią wylękły, a łzy mu się perliły w wielkich, czar-
nych oczach.

— Rząd z głodu umrzeć nie da nikomu. Iść do sędziego
pokoju.

— Do sędziego! — zawołała, postępując krok naprzód —
begorra, yer honour, tom i była, i do nóg padała z tém stwo-
rzeniem. . . o! o! o!

— Nie beczeć mi tu! Za drzwi!

*) Kobiety z ludu tak wspominają mężów lub głowy rodziny.

Ale biedna kobieta powstrzymać płaczu nie mogła. Wyciągnęła obie ręce do starca, chciała coś powiedzieć, o coś błagać... Izy jej nie pozwoliły, zanosila się tylko histerycznymi jękami. Chłopiec przytulił się do kolan matki i kryjąc twarz w strzępie szalu, który miał na szyi, płakał także coraz głośniej.

— O Paddy! Paddy! kochanie!... i do tego wdowa twoja przyszła! A tyś myślał... że o! wszystkim nam lepiej będzie!... och! zapłaciłeś ty, Paddy!... a teraz biedne stworzenie... twoje! och! biedna wdowa!... O Paddy maku-szła! żeby mnie za ciebie powiesili!...

— Co? — zawołał Amerykanin, wracając od okna, przy którym stał do tej chwili. Powiesili kogo? Paddy kto?

— Och! i ktoby inny, jeżeli nie Paddy O'Cleary, on sam, mój mąż własny!

— O'Cleary!... Cicho! nie płacz... hejże tam, ty mały! Masz tu pensa na bułkę — cicho bądź... O'Cleary!

— *Faix*, i niech Bóg błogosławi *yer honour! begorra*, że....

— Cicho bądź, kobieto! — przerwał Amerykanin, siadając przed biurkiem. O'Cleary, to ten, co powieszony w styczniu— za... hm!

— Och! *yer honour*, pewnie sam nie wie, tak jak ja, biedna wdowa po nim, biedaku, i to oto stworzenie! Sędziowie trzy razy wyszli i dopiero za trzecią razą zły duch im szepnął, że to Paddy zabił policyanta!... kiedy Paddy leżał w domu... na barłogu... o! o! pijany, jak niewiniątko — a to oto stworzenie...

— Tak, tak! — rzekł starzec obojętnie, z cieniem sarkastycznego uśmiechu na twarzy. O'Cleary musiał mieć do czynienia z tymi szaleńcami, tymi... „chłopcami“ — no, no! ja to rozumiem. Więc to wy, wdowa po nim!

— *Faix*, i ślubna wdowa, *yer honour!*

— No, no! Słuchać! My takich, jak wy, bez karty sądowej nie wysyłamy do Ameryki. Musicie mieć kartę od sędziego pokoju. Idźcie na ulicę Leeson, numer dwudziesty trzeci. Powiedźcie to samo, coście mnie powiedzieli. Dadzą wam kartę. Przyniescie tu w poniedziałek — a teraz idźcie, bo tam ktoś dzwoni.

Kobieta łzy otarła i wylała ze zbolanego serca wszystkie wyrazy podziękii, jakie się do ust cisnęły; poczem z chłopaczkiem opuściła biuro.

Starzec musiał sam otworzyć jęj drzwi od ulicy, bo William jeszcze nie był wrócił. Przed domem stała karetkka, a na progu minęła wdowę młoda dama w stroju wieczornym, otulona koronkową zarzutką.

XX.

— Czy jenerał Dermott jest w biurze? — zapytała nowo przybyła.

— Zechcięj pani wejść tu, miss Farrell — odrzekł amerykańnin, wskazując otwarte drzwi. W biurze ofiarował jęj jedno z lepszych krzesel, wręczając zarazem kartkę, przyniesioną przez Tadeusza.

Miss Farrell spojrziała z zadziwieniem na starca. On się uśmiechnął nieznacznie.

— Jedenaście lat praktyki! kochana Miss Farrell — ale przyznaję, że tym razem przystroifem się najmniej powabnie!

— Jenerale — rzekła miss Farrell tonem suchym w głosie — czasu mam bardzo mało i jestem ci obowiazana, żeś się do mojęj godziny zastósował.

— Czém może Numer Pierwszy służyć założycielce Ligi niewieściój?

— Powstrzymaj pan swych ludzi od spełnienia okropnej zbrodni!

— Jakiój?

— Morderstwa! Morderstwa na człowieku niewinnym!

— Nie rozumiem pani.

— Człowiek zupełnie mi nieznanym, lecz bez wątpienia nie-doświadczony, wciągnięty do jednej z najgwałtowniejszych sekt naszych, jenerale — niebędący w stanie zdać sobie sprawy z okoliczności, jakie go wplątały w straszną matnię bez wyjścia — ma być „usunięty“ lub wykonać wasze rozkazy!

— Przepraszam panią! — odezwał się Dermott ledwie dosłyszalnym głosem. Przymrużył brwi, zmarszczył czoło i przechylił się nad biurkiem, za którym siedział, topiąc swe przenikliwe oczy w oczach patryotki. — Przepraszam panią! Mogę się spytać, zkąd ta informacya?

— Daję panu słowo najuczciwsze, — odpowiedziała, — że zagrożony człowiek mi jój nie dał? Czy sądzisz, jenerale, że tak mało mamy styczności z ludem i tak powierzchowne u niego zaufanie, iż działalność wasza pozostaje dla nas absolutnie tajemnicą?

— Nie, bynajmniej! Owszem, pani, rozumiem ja, zdaje się dość dokładnie lud znasz i jego stosunek tak do was — „umiarkowanych“ — jak do nas... „anarchistów“. Ale fakt przez panią wspomniany, nie ma żadnej styczności z działalnością naszą między ludem; jest to poprostu kwestya karności i porządku w organizacyi. Jedno z dwóch: albo rzezony człowiek sam u was szuka ucieczki — a pani mi zaręczasz, iż tak nie jest... no, i ja pani wierzę — albo tóż stara się o waszą obronę za pośrednictwem kogós trzeciego. Jakkolwiek zaś jest, człowiek ten pogorszył położenie swoje stokrotnie!

— Jenerale, powtarzam, że człowiek ów jest mi zupełnie nieznany — nie wie on nawet, że ktokolwiek się nim zajmuje i pragnie go ocalić od śmierci, lub straszniejszej jeszcze zbrodni!

— Zbrodni. Czy pani wiadomo, o jaką tu chodzi... zbrodnię?

— Nie mam idei, nie więcej nie wiem.

— To dowód dodatkowy, że człowiek ów szukał pośrednimi drogami protekcji. Żałuję bardzo, że żadną miarą przychylić się do żądania pani nie mogę. Indywiduum, o jakim mowa, po raz drugi wystawia organizację na najwyższe niebezpieczeństwo!

— Pozwól mi spytać się, jenerale, w jaki sposób?

— O, ja wiem, że ze strony waszój nie mamy powodu obawy! Zbyt ściśle łączy nas przeszłość. Pominąwszy to nawet — choć właśnie wspólna nasza przeszłość nie pozwala wam działać przeciwko nam otwarcie między ludem, łączy nas zbyt silnie Irlandya po tamtej stronie Atlantyku, byśmy się publicznie... szyskanowali. We dwóch ciałach naszych, jedne są nerwy! Ale...

— Zbliża się chwila, Janie O'Brien — zawołała w uniesieniu miss Farrell — gdy od was, obłąkanych, wolni będziemy, wolny będzie lud, jedny, targany i szarpany lud irlandzki! Przeciwko waszój organizacji stanie cała zdrowa część gaelów, wierząca w Boga, w prawo przyrodzone, w tradycję, w dziesięć przykazań!

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się na głos Dermott, powstając przeciwko nam, stanie Liga kolegi Michała... Czyż pani wierzy, że lud dba więcej o piąte przykazanie jak o siódme? Występujecie wy przeciwko ostatniemu, głosząc krucyatę na zagładę czynszu, renty dzierżawnej. Daleko logiczniej my przekraczamy pierwsze, usuwając z ziemi i z trybunałów tych, którym lud opłacać musi każdą kroplę swego potu! Cała zaś mię-

dzy nami różnica w tém leży, iż kiedy wy panie i panowie, obcinacie troskliwie gałęzie brytanizmu i tym sposobem sami mu dodajecie żywotności — my siekierą przyrębujemy do pnia... i nie ustaniemy w pracy, póki tego upasu, drzewa zatrutego, nie wykarczujemy z gleby irlandzkiej!

— Marzenie obłąkane! Jenerale, czy istotnie wierzysz w to, co mówisz?

— Tak szczerze, tak głęboko, tak silnie, jak wierzę w nieśmiertelność duszy, w Boga!

— Panie! Czy wiara w Boga, w nieśmiertelność duszy, może iść w parze z walką przeciw prawu bożemu i czystości duszy?...

— Wielkie złe wymaga...

— A! jenerale, zostaw te frazesy! Wobec ucywilizowanego świata, przed społeczeństwami chrześcijańskiej Europy!

— Ten ma rację, ten zaorny, ten rozumny, ten szanowany — kto dopnie swego! Pani, chrześcijańskie społeczeństwa Europy leżą dziś w prochu i biją czołem przed bożyszczem siły, przemocy i złota! Pani, świat ucywilizowany — to świat dyplomatycznej grabieży, mordów politycznych — uknutych w gabinetach; biurokratycznej, zimnej tyranii; wygalowanego barbarzyństwa! Cóż ten świat wie o Irlandyi? Że Irlandya nie ma racyi bytu! Że Irlandya, jako społeczność dążąca do samostanności politycznej, nie ma racyi, jest w błędzie! Że są między nami marzyciele! Że cała żywotność odrębna nasza jest marzeniem! Pani, w chwili, kiedy zielony sztandar Rzeczypospolitej Irlandzkiej ukaże się z wysokości dublińskiego zamku, Europa ucywilizowana i chrześcijańska przyzna byt Irlandyi, jak przyznała innym krajom w podobnych okolicznościach! Europa znajdzie nam sama polityczne analogie! Chrześcijańskie społeczeństwa przypomną sobie święty Eryn! Wierz mi, pani —

między Czerwonym O'Donnellem, hrabią Tyronu, Tyreconnellem... i Janem O'Brien — różnicy nie ma, nie będzie!

— I dla téj, dla takiej ambicyi wodzicie dzisiaj kwiat młodzieży na zgubę! Jenerale Dermott, czyż nie ma między wami chłodnych umysłów, liczących się z przyszłością — choćby z przyszłością waszego własnego zwycięstwa i tryumfu? Czyż nikomu z was nie przyszło na myśl zapytać, jakie owoce zrodzą się i rozkrzewią w tym nieszczęśliwym ludzie z nasienia dziś przez was tak... fanatycznie posiewanego? Jeżeli dzisiaj naród uciśniony, zaledwie dyszący pod żelaznym obcasem Anglii, w gwałcie, bezprawiu, w mordzie i tajemnych sprzysiężeniach widzieć ma i uznawać jedyną siłę odporną — ach! i co więcej: jedyne sposoby utrzymania żywotności narodowej — to jakież na wolnym sztandarze wypiszecie kodeks, jakie wyznaczą granice indywidualnej samowoli, gdy się wyłonicie z podziemi i zaciąży na was odpowiedzialność?

— Pytam ja panią: gdzie jest różnica odśrodkowa między przykazaniem piątém a siódmém?

— Rozumiem cię, jenerale! Podwoiliście siły swoje, spotęgowaliście działalność swoją i — niestety! pomnożyły się szeregi wasze w chwili, w której powstała Liga Ziemska! Powstanie jęj powitaliście po tamtéj stronie oceanu z przekleństwem! Zrozumieliście, że akcyja konstytucyjna, że pieczołowity rozwój sił narodowych, że zdrowy sens narodu — obudzony, objaśniony, żywiony codziennymi faktami po stronie naszój i po stronie Anglii, że wszystko to musi położyć koniec w a s z y m marzeniom, w a s z y m zakusom.

— Myli się pani, — przerwał Dermott tryumfująco, — myli się pani głęboko! Bo czyż to nie n a s i przyjaciele wsparli organizacją Ligi potrzebnymi funduszami? Przepraszam — pozwól pani miss Farrell — wiadomo przecież, bo gazety już rozpiślały, że w téj chwili 10,000 dolarów jest w drodze z Chicago

do biur Ligi! Kto je wysłał? Klan Gaela! Przyjaciele nasi — ci sami... którzy sprawili, że John O'Brien ma głos w senacie stanów i nosi szpadę jeneralską!

Łzy ukazały się w oczach patryotki. Chciała coś powiedzieć, podniosła rękę, niby protestując, lecz łkanie nie pozwoliło jój przemówić. Dermott stanął przy oknie.

— Widzi pani sama, — rzekł po chwili, wracając do stołu, jak jesteściey złączeni!

— Mój Boże! mój Boże! — zawołała młoda kobieta, ocierając oczy — święta jest sprawa, walcząca z taką przewrotnością! Klan na Gael — to ten sam lud łatwowierny, łatwo zapalny, szlachetny, ofiarny, który i w ojczyźnie wystawiony jest na straszliwe niebezpieczeństwo.

— Jakie niebezpieczeństwo?

— Gorsze niż zagłada zupełna narodu, gorsze stokroć, aniżeli powolne jego w męczarniach konanie: niebezpieczeństwo zbratania się z szatańskim przewrotem anti-soecjalnego kosmopolityzmu!... Ach! jenerale, pan się śmiejesz... z przekonania kobiety... Ale to samo przekonanie jest przewodnią myślą zdrowych, niezarażonych milionów! Póki ono przyswieca, póty Irlandya jest godną zając należące się jój stanowisko! Póki ono jest religią tego narodu, póty wasze próżnymi będą zabiegi. Wasze rezultaty, jenerale, podają broń wrogom Irlandyi, pozwalają im lżyć i błotem obrzucać honor narodu! Jenerale!... tylko wróg nieubłagany widzi jakiegokolwiek między nami łączniki! Między nami jest przepaść bezdenna, bozgraniczna!

— Obecność pani pod jednym dachem z Numerem Pierwszym pozwala przypuszczać inaczej!

— W imię ludzkości, panie, w imię litości nad... nad słabością tego człowieka, wstrzymaj rozkazy!

— Nie mogę, pani, niepodobieństwo!

— Odpowiedz mi pan na jedno pytanie — rzekła, po-

wstając miss Farrell, od kogo zależy danie... wyroku na tego człowieka?

— Odemnie samego — odpowiedział Dermott stanowczo — dlatego, rozumiesz pani? właśnie dlatego wymagam posłuszeństwa: albo spełni rozkaz — lub...

— Janie O'Brien! Ty tego wyroku, ani rozkazu nie dasz!

— Dlaczego? Kochana miss Farrell, nie sądzę, że mi grozisz pani wydaniem mnie władzy. Uczynicie to, a...

— Jenerale, w willi naszój mieszka staruszka, święta przed Bogiem, otoczona czecią całego narodu. Przymyśliłyśmy ją do siebie, by nie kończyła dni ostatnich w domu przytułku i pracy, gdzie pozostawała aż do ostatniego roku...

— Jakiż związek...

— Jenerale, ta staruszka, której imię cześci cały naród za waleczne czyny jej męża...

— Pani!

— To twoja matka!

— Miss Farrell!... Matka moja żyje! Matka...

Wzruszenia jenerała niepodobna opisać. Zbliżył się szybko do patryotki, uchwycił obie jej ręce, ścisnął je i zmienionym drżącym głosem pytał pośpiesznie:

— Gdzie, gdzie willa wasza?... czemu nie słyszałem?... dlaczego nie pisała? Myślałem, że umarła! Ach!

— Panie O'Brien, matka pańska wylała wszystkie łzy nad swym Janem — wyrzekła się Dermotta!

Odwrócił się i zasłonił twarz rękami.

— Ocal go pan!

Dermott mileżał.

— Na miłość matki, która wiedzieć będzie o tém — przysięgam ci! jenerale, zostaw mu wolność, pozwól mu opuścić...

— Stanie się! — rzekł poważnie jenerał. — Następstwa mogą być dla nas fatalne... ale powiedz to pani matce — dla niej go ocalam, Tomasz O'Grady...

— Usunięty! — odezwał się téj chwili przeciągły, nosowy głos „brata odźwiernego“, stojącego we drzwiach przyległego pokoju.

Miss Farrel wydała okrzyk przerażenia. Dermott utopił ogniste, szeroko otwarte oczy w niewzruszoną postać Williama, patrzącego obojętnie przed siebie.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Część druga.

I.

— Proszę wielebności waszój, że to John przyszedł, że pan Peet prosi, żeby Ojciec wielebny zrobił mu łaskę i poszedł do niego, że to ma...

— Dobrze, dobrze, Agato; tylko skończę pacierze.

Agata wróciła do kuchni, a ksiądz proboszcz parafii tramorskiej otworzył znów brewiarz w miejscu, gdzie palec założył, gdy stara klucznica przerwała mu modlitwy.

O. Dooley był w sile wieku, lat czterdziestu trzech, więcej niż słusznego wzrostu, dobrej tuszy, brunet, rumiany. Usposobienia wesołego, cieszący się zawsze równym zdrowiem, serdecznie wylany a przytém odważny i energiczny — ksiądz proboszcz był iście plebanem, jakiego potrzebowało miasteczko. Przekonany, że wstrzemięźliwość i oświata są najpierwszemi potrzebami ludu włosciańskiego i małomiasteczkowego, szerzył wstrzemięźliwość i oświatę stósownie do swoich środków, poglądów — po swojemu a skutecznie. Założył w swój parafii bractwo wstrzemięźliwości, ale dlatego tylko — jak mawiał — „żeby się nie wyróżniać od innych plebanów“. W istocie zaś nikt nie należał do tramorskiego bractwa, kto nie był równocześnie i poprzednio członkiem „klubu kapeli“.

O. Dooley, zamiłowany w muzyce i śpiewie, a niezły wcale skrzypek, zebrał ztąd i zowąd małeńki kapitalik, kupił kamieniczkę w rynku, urządził w niej czytelnię, szkołę śpiewu, szkołę muzyki i salę bilardową — sprowadził z Waterford ex-dyrygenta kapeli miejskiej, który, jako nałogowy pijaczyna, marł z głodu z żoną i dwiema córkami, osadził go w kamieniczce w charakterze odźwiernego i... profesora. Tym aktem rozumnej dobroczynności przywrócił biedakowi rozum i świadomość człowieczeństwa. „Pan profesor“ — bo tak go ks. Dooley tytułował sam i chłopcóm tytułować nakazał — uczył wyrostków grać na różnych instrumentach dętych, nabytych dla klubu za składkowe pieniądze. Pani profesorowa utrzymywała dom w ładu i porządku; córki trudniły się szyciem, haftowaniem i tramorskim modniarstwem — a w niedziele i święta śpiewały na chórze podczas sumy, uczyły dzieci katechizmu przed nieszporami.

Czytelnia, zaopatrzona w dziełka narodowej historii, narodowych poetów i popularnej wiedzy, a nadto w gazety i pi-semka tygodniowe, stała otworem od rana do wieczora dla członków klubu. We wtorki, czwartki i niedziele odbywały się koncerty... od ósmej wieczorem aż do dziesiątej. O. Dooley brał energiczny udział w owych koncertach, a nawet nauczył się grać na puzonie, gdy z młodzieży nie było żadnego, ktoby wytrzymał w ciężkiej płucowej pracy nad tak potężnym instrumentem.

Powoli, powoli, szeregi członków zwiększyły się znacznie. Ksiądz proboszcz nie opuścił żadnej okoliczności, by zrobić klub instytucją popularną. Nie mało się zaś do tego przyczy-niły kościelne produkeye kapeli, a więcej jeszcze miesięczne wycieczki członków do różnych okolic hrabstwa, lądem i morzem i rzeką — z ochoczą muzyką na czele.

Wstęp do klubu obwarowany był tylko dwoma warunkami: tygodniowej składki w kwocie jednego pensa — i trzeźwości. Nie żądał proboszcz od członków przysięgi wstrzemięźliwości, ale do kamieniczki nie dopuścił ani znanych pijaków, ani pijanych, ani „dobrze podehmielonych“. Zabawy przecież klubowe, wycieczki, odczyty, czytelnia, koncerty, bilard bezpłatny i zaszczytna popularność instytucji, zwabiały coraz liczniejszych gości; goście raz zakosztowawszy przyjemności trzeźwego a oboczego towarzystwa, wpisywali swe nazwiska do księgi członków; członkowie mieli swe przywileje.

Do najważniejszych przywilejów należało korzystanie ze wspólnej pomocy, jaką udzielał osobny komitet członków wszystkim tym, którzy obok składki wpłacali regularnie pewną miesięczną kwotę na utworzenie „Banku Klubu Kapeli“.

W ostatnich miesiącach spostrzegł proboszcz pewną tajemniczą zmianę w zachowaniu się wielkiej części swoich „klubmanów“. Schodzono się do kamieniczki w rynku liczniej i częściej nawet, niż roku poprzedniego — kiedy, jak to powiedziała Maryanna, „ta migracya zaczęła pokutować po hrabstwie“. . . . ale rozmowy młodzieży mniej były gwarne; słuchano więcej, anizeli rozprawiano; wnoszono gazetki i pisma, jakie się dotąd w czytelni nie ukazywały — nareszcie — a to już zastanowiło plebana — do kamieniczki zaczęły spadać listy, adresowane do członków z różnych hrabstw kraju, a nawet i z Ameryki.

O. Dooley poznał, co się poczęło święcić — zrozumiał swój obowiązek: wspólnie z Marcinem O'Grady i z kilku poważnymi farmerami okolicy, założył pierwszą w Tramore gałąź Ligi Ziemiańskiej i główną jej kwaterę rozłożył w klubie, oddając najwybitniejszym członkom urzędy i obowiązki prezydenta, sekretarza i skarbnika. Tym sposobem wyplenił w zarodku złe, które sprzysiężenia tajne usiłowały rozkrzewić w kamieniczce.

Założenie ligi sprowadziło na proboszcza szaloną burzę! Powstali przeciw niemu sędziowie pokoju obwodowi i wszyscy rezydenci miasteczkowi, z wyjątkiem sklepikarzy. Ze wszech stron naraz zawołano, że biskup powinienby zakazać plebanowi mieszać się „w politykę“, że władze hrabstwa nie powinny dozwolić, by agitacya zapuściła korzenie w spokojnej osadzie willi nadmorskich.

Ale O. Dooley swoje dzieło prowadził najspokojniej. Usprawiedliwił się przed biskupem, — który go wzmoenił błogosławieństwem; naradził się z Jozeaszem Peet, kwakrem, — który mu wręczył czek „na potrzeby parafii“.

Jozeasz Peet był Opatrznością wszystkich potrzebujących w baronii; nie odmawiał pomocy nikomu. . . jeżeli tylko przekonany był o jej konieczności. Kwestowali u niego zarówno duchowny metodysta i duchowny baptysta, prezbyteryanin i unitaryusz, pani Foppin, szlachetny i wielebny Dawid Pinfop: — kwestował więc raz każdego roku także i O. Dooley, a radził się w wielu rzeczach niemal każdego tygodnia, mianowicie odkał szzerzyć się zaczęła wielka agitacya.

Jozeasz Peet do żadnego się nie zaliczał koła politycznego, ani do żadnego stowarzyszenia filantropijnego. Mówiono, że był niezmiernie majątnym, że połowa osad baronii faktycznie w jego była ręku, — dodawano zawsze, że jeżeli co, to chyba dobroczynność mogłaby go zubożyć!

Kto jednak po raz pierwszy zatrzymał wzrok na twarzy i powierzchności kwakra, ten od razu wręcz przeciwną utworzył sobie o nim opinią. Przyjaciel Jozeasz różnił się we wszystkim od brata swego Achazyasza — z wyjątkiem jednego tylko wyznania religijnego, którego był poniekąd entuzyastą. Średniego wzrostu, lecz aż przykro otyły, pozornie ociążały, z twarzą zatopioną w tłuszczu, wygoloną, — Jozeasz, przedstawiał typowego Falstaffa raczej, aniżeli zwolennika Focha. Na łysój, jak

kolano głowie, nosił stale aksamitną czarną czapeczkę, zaciśniętą na uszy i sięgającą do oczu. Oczy naszego kwakra stanowiły najciekawszy kontrast z całą jego fizyognomią: duże, piwnego koloru, czyste i klarowne, świadczyły o wstrzemięźliwości i regularnym trybie życia — a zarazem kazały się domyślać, że w usposobieniu grubego Jozeasa znaczna była doza energii i bystrości umysłu. Kwakrowi nie na rękę widać była ta uroczystość własnego wzroku, odzwierciedlającego zbyt często nastrój myśli; — ponieważ był nader ostrożnym w obcowaniu i w interesach z ludźmi. To też z upływem lat doszedł do doskonałości w pewnego rodzaju mimice oczu, z którą mało kto z przyjaciół nawet był należycie obeznany. W rozmowie — przymrużał te zdradzieckie oczy; jeżeli zaś był zadowolony z interesu, to otwierał je szeroko i patrzył groźnie przed siebie; zamykał je, gdy był w złym humorze.

Niepodobieństwem atoli byłoby zrozumieć usposobienie Jozeasa nawet z temi wskazówkami, bo z natury, czy wskutek doświadczonych zawodów tak był podejrzliwym, że nikomu nie odsłaniał się takim, jakim był w istocie. Poprzednio już wspomnieliśmy o studiach, jakie odbywał nad Homerem. Pieśni Melezygenesu (bo Jozeasz dawał uparcie wieszczowi nazwisko właściwe i zżymał się, gdy mu wystawiano, że przydomek „ślepego“ okrył syna Krytejsy nieśmiertelną sławą...), Iliada i Odyseja — stanowiły, obok czytania Biblii, codzienny kwakra pokarm duchowy, a zarazem dostarczały materiałów do polemiki z duchownymi wszelkich wyznań.

Była to idyosynkrazia szczerza, umysłowa. Oprócz téj, ulegał Jozeasz Peet innéj jeszeze, mającej swe źródło w zbiorowych przymiotach umysłu i serca o tyle, o ile w nieuleczalnym zbytku ostrożności: ociężały kwakier narzekał przy lada okazji na nawał zatrudnień, a ztąd téż — na natręctwo wszystkich

przechodzących czy to za interesami, czy bez interesów. Jozasz nigdy nie miał czasu.

O. Dooley domyślał się zatem, że coś ważnego usłyszy tą razą od kwakra, gdy — co się dotąd nigdy nie zdarzyło — zaproszony został przez posłańca do Mount-Horeb-House. Ksiądz proboszcz robił rozmaite przypuszczenia, skoro opuścił miasteczko i począł się zbliżać do podnóża stromego pagórka, na którego szczycie stały nieregularne zabudowania Horebu.

— Może znalazł rodowód ojca Homerowego — albo mu brat przysłał jakie wywody, potwierdzające autentyczność „Hymnu do Apollina!“

Wązką drożyną, między żywym płotem z ostrokrzewia z jednej strony, a głębokim rowem z drugiej — proboszcz wchodził przyspieszonym krokiem na pagórek. Po obu stronach drogi, starannie uprawione zagony zieleniły się różną roślinnością warzywną, jaka na tej pochyłości, — zalanej ciepłem i światłem słonecznym, — krzewiła się bujnie i bogato. Z tamtego końca, za rowem, złożone leżały kupy tyczek grochowych; kilka młodych dziewcząt zajmowało się ich rozstawianiem. Wyżej jeszcze podziwiał O. Dooley wspaniałe kwiecie jabłoni, stojących w regularnych odstępach między krzakami agrestu, porzeczek, malin. Za płotem ostrokrzewiu rozciągały się zagony truskawek, lśniącym pokryte gąszczem liścia i kwiecie, a na nich stare czereśnie kapały obfitość młodego owocu w promieniach słońca. U samego szczytu, pod ścianami zabudowań gospodarskich, szklily się długie smugi cieplarni, częściowo otwartych lub przymkniętych. Tu się też kończył nad drożyną mur ostrokrzewiu; miejsce jego zajęła sztachetowa brama, wysoka, przypierająca do dwóch słupów kamiennych, pobielonych, — z których jeden pokazywał w dużych czarnych literach początek nazwy miejscowości, drugi jój koniec; w pośrodku, nad bramą, umieszczona na dwóch żelaznych prętach tabliczka

miała takiemiż literami wypisany wyraz środkowy: H o r e b. Nie dziw więc, że samo ulokowanie przezwiska w trzech miejscach sprawiło, iż siedzibę Jozeasa ludzie jednym tylko nazywali wyrazem.

Przeszedłszy tę bramę, proboszcz zwrócił się ścieżką ku domowi mieszkalnemu, gdy usłyszał za sobą głos, który poznał od razu:

— Kapłanie Dooleyu!

Jozeasz Peet siedział na stołku, w cieniu wielkiej gruszy. Na głowie, oprócz nieodstępnej czapeczki, miał obszerny kapełusz z prostej słomy, fantastycznie przechylony na lewe ucho, by się obronić od patrzących promieni południowego słońca. Proboszcz mimowoli roześmiał się na głos, widząc ogromną twarz poważnego kwakra podobnie przystrojoną.

— Wyglądasz pan, jak Polyfemus, używający siesty po uczcie.

— Cóż ty, kapłanie, wiesz o Polyfemusie? — odparł Jozeasz mrukiwie, zamykając oczy. — Siadaj tu, na chróście pod drzewem, albo na trawie, — gdzie chcesz. Czego chcesz? po coś przyszedł?

Kwakier, wierny przekonaniom swój sekty, nie dawał nikomu przezwiska „pan“ — jednego tylko uznając Pana rzeczy stworzonych. Ani też nie używał właściwego językowi przyimka w drugiej osobie liczby mnogiej: „wy“ — bo byłoby to w jego opinii niedorzecznością, występkiem zarówno przeciw gramatyce, jak zdrowemu rozsądkowi.

— Posłałeś pan po mnie — rzekł proboszcz — potrzebujesz mnie pan.

— A ty niezego sam nie potrzebujesz? Przyszedłeś — bom ciebie wezwał! I myślisz, że to ja ciebie potrzebuję. Nie potrzebuję!

— Po coś więc mnie pan... wzywał?

— Ty mnie potrzebujesz, a ciebie, kapłanie, potrzebują inni. Ja czasu nie mam — ty masz go za wiele. Więc siadaj.

Proboszcz usiadł na pęku chróstu i wpatrzył się w tłustą twarz kwakra.

— Powiadam ci, że mnie potrzebujesz, bezemnie się nie obejdiesz — bo, jeżeli ci nie powiem, co się dzieje. . . .

O. Dooley spojrział bystro w oczy kwakrowi. Oczy te, przy-mrużone, zwrócone były w tój chwili ku księdzu, ale unikały spotkania się z jego wzrokiem.

— To się, kapłanie — ciągnął dalej Jozasz — nie spodziewasz, jak przyjdą ciężkie czasy. Tak — dodał zniżonym głosem, niby do siebie samego — bardzo ciężkie czasy! . . .

— Cóż to takiego, panie Peet? Cóż to jest, o czém nikt jeszcze nie wie, tylko pan sam?

— Czy ci to tak dziwno, że Jozasz Peet wie coś, o czém nie wie Filip Dooley, ani sędzia pokoju, ani biskup, ani Gandy?

— Nie, bynajmniej; wiem ja dobrze, że wy w Towarzystwie Przyjaciół macie prawie zawsze wieści o pewnego rodzaju. . . .

— Kapłanie, prawdę mówisz. Chociaż do rzeczy politycznych nie przystępujemy i żyjemy nawet w tym kraju, jako prorok Nehemiasz powiedział o kupcach i sprzedajniach Hierozolimy — „na zewnątrz“ — to jednak, gdy bracia nasi trzymają w dzierzawie niejedno źródło i niejeden strumień dostatków tój wyspy, miarkujem sobie w duchu i spostrzegamy, co nam pomaga i pomoc może, albo co nam przeszkadza i przeszkodzić może. Patrz w piątój księdze Iliady, jak Melezygenes porównał kurzawę „powstającą z podłogi Cerery“ gdy ludzie zmiatają plewy ze złotego ziarna — z kurzawą, okrywającą greekich mężów wojny. Takoz i my, którzy w Hibernii szafujemy jég ziarnem, baczmy pilnie, ile co roku spostrzegamy kurzawy miasto czystego plonu, ile gnuśności miasto pracy —

a zarazem miarkujemy, że ta kurzawa i ta gnuśność w równej jest mierze z grzeszną zapaleczywością mężów rozruchu i z niedostatkiem wielu. Kapłanie Dooleyu, w Irlandyi będzie tego roku głód, mór i nierząd! Wstań, pomóż mi się podnieść ze stołka — pójdziemy do izby.

— Głód, mór i nierząd!... — rzekł głucho proboszcz, podając rękę kwakrowi.

— Tak: Głód — bo po osadach ludzie zaniedbali pracę! Mór — bo nie będzie strawy i dla tych, co ciężko pracują! Nierząd — bo moc świecka, moc władzców tego kraju ukaże się w zemście i grozie!... jako mówi Daniel: „I broń się ostanie po jego stronie; i zbezczeszczą przybytek siły, i zaborą codziennie ofiary, i uczynią obrzydzenie spustoszenia!“ Wejdz w dom, Filipie Dooleyu, — Duch z tobą!

Weszli przez sień obszerną, lecz pustą i gołą, do niewielkiego pokoju o ścianach niebielonych, a tém mniej tapetowanych, którego umeblowanie składało się z długiego, dębowego stołu i z kilku prostych krzesełek, wplecionych słomą. Okno zasunięte było do połowy plecionką z zielonego szpagatu: górna połowa spuszczonea, dopuszczała świeże powietrze. Czysta podłoga była wysypana wilgotnym, żółtym piaskiem.

Taki był gabinet Jozeasza, zwany w jego domu „izbą ojca“. „Izba matki“ znajdowała się wprost naprzeciw po drugiej stronie sieni. Lecz niech nikt nie sądzi, że umeblowanie jój było równie surowe i proste: przeciwnie; wszystko tu świadczyło, że gospodarz miał wzgląd nietylko na potrzeby, lecz i na wygody i przyjemności kobiety, swój żony. Miękkie dywany i kosztowne obicia mebli świadczyły zarówno o zamożności, jak i o dobrym guście Jozeasza i... by użyć frazeologii kwakerskiej: Sary, niewiasty, którą wziął do siebie. Były na tapetowanych ścianach obrazy, w ramach rzeźbionych, niezłoczonych, przedstawiające sceny biblijne i niektóre wypadki z dziejów se-

ky z wieku XVII. Nie było tu ani zwierciadła, ani fortepianu — bo pierwsze jest narzędziem próżności i bałwochwalstwa; drugi — instrumentem sztucznych kombinacji tonu, jakich Pan nie dał stworzeniu, wymyślonych ku zmięczeniu ducha, na pokusę zmysłów. To też w „izbie matki“ odczuwałeś pewną sztywność porządku: krzesła i fotele stały rzędem wzdłuż dwóch ścian przeciwnych; kanapa między oknami zawdzięczała pozycyi swęj nieobecność choć jednego fałdzika na pokrowcu, którym była okryta; na dwóch okrągłych stolikach w pośrodku izby, zamiast albumów i fotografii, leżały dwie spore księgi, oprawiona bez zbytku: „Biblia króla Jakóba I“ i „Żywot Jerzego Foxa“, założyciela Towarzystwa Przyjaciół. Najpiękniejszą ozdobę pokoju stanowił widok z okien: oko ztąd goniło za najpyszniejszymi barwami przyrody z ogródka do ogródka, poilo się krasą najrzadszych kwiatów, spoczywało na oczach starannie utrzymywanej murawy, przenosiło się dalej — na klomby różnokaskrawych tulipanów, na zagonki wonnej rezedy, do kępy wysokich lilii, w gaj róż — aż dobiegło do stóp pagórka, gdzie rozciągał się obszar czarnego gruntu, niewielki, mozolnie uprawiony z dawnego bagniska, pokryty bogactwem kuchennego warzywa: kapusty i sałaty, kalafiorów, szparagów i rzepy.

Już ta jedna okoliczność, że Jozesz zamknął się z gościem w izbie dolnej, zamiast — jak zazwyczaj — przyjąć go na górze w tak zwanęj „izbie ksiązek“, świadczyła, że rozmowa nie toczyła się o Melezygenesie, ani o teoriach Tucydyesa, Longina, Wolfa lub Grocyusza.

Kwakier siedział za stołem, wsparty łokciem o registr rachunkowy; w prawęj ręce trzymał złożoną gazetę i w miarę, jak mówił, dotykał nią kolan siedzącego obok proboszcza.

— Dlaczego lud przestał pracować? Powiedz, Filipie Dooleyu, dlaczego?

— Lud nasz nie jest z natury ani niedbałym, ani leniwym — rzekł proboszcz.

— Nie. Moi bracia tego nie mówią. Ty wiesz, że my na południu i na północy chętniej używamy robotników twój wiary i sprawy aniżeli innych.

— Pijaństwo się zmniejsza...

— W wykazach — albo jak ty mówisz: w statystykach — aż po rok ostatni.

— Będzie go coraz mniej z każdym rokiem...

— Nie tego roku!

— Czemużby?

— Bo wasze prace około szerzenia wstrzeźliwości nie szły razem z oświatą. Lud jest ciemny. Lud jest łatwowierny.

— A!

— Tak! Teraz rozumiesz, Filipie Dooleyu? Słuchaj, kapłanie: Liga Ziemiańska mnie nie obchodzi, bo... ja czasu do stracenia nie mam. Pytaliście się mnie, co ja myślę o jej celu i sposobach — powiedziałem: dobre! Ale z dobrym celem i dobrymi sposobami, liga źle działa — zbyt prędko — rozumiesz?

— Niestety! to wina przeszłości! Lud zbyt krewki, niecierpliwy, stoi dziś między agitacją konstytucyjną i bezprawną, tajemną!

— Lud ma więcej styczności z ostatnią, kapłanie! I dlatego lud się zaniedbuje. Słuchaj, co ci powiem: na całym zachodzie, od hrabstwa Sligo do Clare, wysiano i wysadzono tej wiosny i ostatniej jesieni sześćdziesiąt procent mniej aniżeli roku poprzedniego!

— To zmiana...

— Żadna zmiana! Ani roli, ani pastwiska, ani siewu, ani bydła, ani ziemniaków, ani mleczywa.

— To ewikyce plenipotentów i czynsze krwi tego przyczyną!

— W jednej trzeciej części, kapłanie — w jednej trzeciej; ale ja czasu nie mam, więc ci powiem, że są jeszcze dwie inne przyczyny.

— Agitacja i...?

— I co?

— Nie wiem — odparł proboszcz, zamyślając się.

Jozeasz rozłożył na stole gazetę. Była to irlandozercza „Daily Express“, wychodząca w Dublinie. Odszukał pewien artykuł i podał go księdzu:

— Czytaj, Filipie Dooleyu.

Ksiądz odczytał krótki paragraf i spojrzał pytająco na gospodarza.

— Rozumiesz, kapłanie?

Proboszcz nie spuścił oczu z twarzy kwakra. Nagle zbladł. Powstał z krzeselka, podszedł do okna i raz jeszcze uważnie przeczytał artykuł... Jozeasz nie ruszył się z miejsca. Tylko oczy otworzył szeroko i wpatrzył się w stół.

— Panie Jozeaszu — rzekł proboszcz wracając z gazetą od okna — to okropność! Ale.. czyżby tak było w samej rzeczy?

— Tak jest, kapłanie. Widzisz teraz, że nie sam lud jest łatwowierny. Łatwowierną i ciemną jest sama liga, która nie widzi, że pod tymi pozorami ukrywała się i ukrywa głęboko obmyślana... jakbyś ty powiedział: taktyka. *Timeo Danaos et dona ferentes!*...

— Panie Jozeaszu — przerwał proboszcz spokojnym już głosem — pomóż mi to zrozumieć. Więc rząd sankcjonuje po hrabstwach decyzje unii...

— W których zasiadają wielcy właściciele ziemscy — kończ, bo nie mam czasu!

— Pozwala na wyższą stopę podatków obwodowych — podatków dla ubogich *) — upoważnia zaciąganie pożyczek przez komisye unii...

— I rozgłasza to wszelkimi drogami, Filipie Dooleyu — widzisz, że nie mam czasu!

— W celach politycznych!... By zwiększyć i pomnożyć tłumy żebraków, pozując na dobroczyńcę kraju...

— By pomnożyć tłumy łatwowiernych! Przyjdą one do domów pracy i przytułku, a ztamtąd na pokłady statków. Ale to nie największe zło!

— Gdzie może być gorsze?

— W rozszerzeniu ustaw o ubogich: *Poor-relief* — pomoc podatkowa ma być wydzielaną w wyższych ratach rodzinom i pojedynczym osobom, które uczynią podanie do unii.

— Wielki Boże! — zawołał głucho proboszcz. — Tak, to prawda! Ja sam poradziłem naszym tramorskim biednym, by się udali do władzy i prosili o większą zapomogę!...

— Między kieliszkiem ognistego napoju, manifestem ligi, pozwem komornika, brutalnością dragonów — z jednej strony; a nożem i rewolwerem skrytych stowarzyszeń — z drugiej strony... dokąd zajdzie lud ciemny, łatwowierny i zapalczywy? Filipie Dooleyu, rozumiesz teraz niedbałość i lenistwo ludu na zachodzie?

— Rozumiem. W Bogu nadzieja! — rzekł proboszcz, głęboko znękany. — Byle tylko większość narodu zło przemogła!...

Jozeasz z trudnością podniósł się z siedzenia. Dobył dwa listy z szuflady stołu...

— Kapłanie, opuść mnie teraz; idź, weź te listy... przeczytaj je... Duch z tobą!

*) *Poor-Rates* — których wysokość zastosowana jest do potrzeb pojedynczych hrabstw w Irlandyi.

Obaj przyjaciele ścisnęli sobie dłonie. Proboszcz listy schował do kieszeui i opuścił dom góry Horebu.

II.

Znalazłszy się znowu u podnóża pagórka, na waterfordzkim gościńcu, O. Dooley przystanął na chwilkę i zamyslił się — potem, zamiast wracać do miasteczka, udał się w lewo ku Topolom do Marcina O'Grady.

— Od jednego do drugiego, bez zwłoki! — rzekł sam do siebie i sięgnął do kieszeni po listy Jozeasza. — Trzeba im oczy otworzyć, a przestrzec przed...

Wtém usłyszał kogoś idącego za sobą i odwrócił się.

— Mitchell! Dzień dobry wam, Mitchellu! Dokąd to?

— Dzień dobry wam, wasza wielebność! — odpowiedział kamerdyner kapitana, salutując po wojskowemu. — Mam rozkaz przyprowadzić do pałacu Michała Mylesa z Knyweton.

— Mylesa? Jedna nam droga aż do Ballytullagh, chodźmy więc razem.

Mitchell salutował znowu; — ale krew mu uderzyła do głowy i oblała ogniem czoło i policzki.

— Jakże się ma kapitan? — zapytał proboszcz, którego uwagi nie uszło pomieszanie kamerdynera.

— Zawsze po swojemu, wasza wielebność; za wiele ma zdrowia i krwi.

— Ma za co dziękować Bogu! A pani kapitanowa?

— Miała wyjechać i nie wyjechała.

— Toż to nie jój pora wyjazdu, przynajmniej na ten rok...

— Oto właśnie, wasza wielebność... kto tam bab... kobiety rozumie! Raz tego, to owego, wszystkiego się im chce!

— Może pani Gandy wyjedzie później...

— O! wyjedzie zaraz po... to jest... jak kapitan pozwoli.

— No, pierwszy raz słyszę, żeby kapitan sprzeciwiał się wyjazdowi żony do Anglii!

— Tak... ale to u niego, jak w rekruckim szwadronie: dziś to, jutro owo — same niespodzianki! — dodał Mitchell, emoknąwszy ustami.

— Mówiąc o niespodziankach — rzekł proboszcz, zatrzymując się i kładąc rękę na ramieniu kamerdynera — wyście nam, Mitchellu, sprawili niemałą!

Stary żołnierz znów zaczerwienił się i zsiniał w jednej chwili.

— Niby... ha! jaką? — wybełkotał.

— No, nie potrzebujesz się wstydzić cnotliwego uczynku! Lepiej późno, aniżeli nigdy! Biedactwo! ta żona wasza, katoliczka przecie — co?

— Ka... katoliczka, wasza wielbność!

— Biedactwo! i bardzo chora?

— Chora, wasza wielbność! — Mitchell dobył kraciastej, żółtoczerwonej chustki, otarł twarz i czoło; przy tej sposobności ścisnął pod chustką nos w palcach, aż mu łzy w oczach stanęły i sam ledwie nie jęknął.

— Niedobry z was katolik! A! Mitchellu, powinniście byli przyjść po mnie! No cóż? Mamże iść i zobaczyć waszą żonę?... Jakże jój na imię?

Patrząc na weterana z krymskiej wojny, zdawałoby się, że rozum stracił, lub cierpiał okrutnie na chorobę świętego Wita. W miarę, jak ksiądz mówił, on wprzód ręce wznosił, a raczej wyrzucił nad głowę — potem lewą ręką za brzuch się chwycił, podczas gdy prawa to gestykulowała szalenie, to chustką wycierała nos hałaśliwie i zawzięcie, z wielkim dla sieci

mózgowej niebezpieczeństwem. Usta jego zagryzły pół wąsów i milezały.

— Cóż się wam stało, Mitchellu? — zapytał proboszcz zdziwiony.

— To nie, to nie, to nie! wielebność wasza, to nie a nie! — wybuchnął Mitchell pospiesznie — to zwyczajne... ot, brzuch boli! siarczyście! o! o! Ja oto tu sobie... o! o! usiędę — nad rowem — wielebność wasza niech idzie i... kroćset tysięcy dya... dyabetyś to, tak mnie tam sznuruje — ooo!

— Siądźcieno tu, nad rowem. Odepnę wam ten kołnierz — wciągnijcieno spory łyk powietrza! Możecie zanadto ściśnięci w pasie — popuszczę go trochę!

Mitchell wciągnął powietrze, sapiąc i oddychając, niby miech kowalski, przewracał oczy bielmem do góry — jęknął wreszcie i opuszczając się na murawę, przechylił głowę.

Z pobliskiej łąki zeszło i zbiegło kilkoro ludzi, mężczyźni i kobiet. Pierwsza obok proboszcza stanęła Piotrowa Dogherty, z grabiami w ręku. Była to pora sianozęcia; głowa klanu więc zarekwizytowała swych septmanów i swe septwomen do pracy na osadzie Ballytullagh. Zbiorowisko Doghertych przedstawiało grupę strasznie nędzną, bosą i odartą — ale uszanowanie, jakim otaczało panią Piotrową, stanowiło rys dodatni w jego charakterze.

— *Kuszla machrij*, Ojże wielebny, co się jemu stało?

— Zachorował nagle, mistress — odrzekł proboszcz, rad z nadeszłej pomocy.

Piotrowa schyliła się nad Mitchellem, odpięła kamizelkę i położyła dłoń na szerokich piersiach weterana.

— *Begorra!* serce bije, jak cepy po snopie!... James Dogherty! zerwij kaptur ze łba, *dhu astore*, zanurz w rowie i chlupnij tu wody za pazuchę!

Mitchell rzucił się gwałtownie, jak szczupak wyjęty z wody — i zamknął oczy.

— Leż cicho! spokojnie! ani się rusz...

James Dogherty zdołał nabrać wody w stary kapelusz i podał go z rowu Piotrowej, a ta, nie kontentując się zimną kąpielą, jaką sprawiła kamerdynerowi, zmięła filcowy antyk w garści i trząc nim poczęła piersi weterana. Widocznie jednak pierwsze boleści — jakiegobądź one były rodzaju — ustąpiły, zanim Piotrowa mogła rozwinąć pełną energią w operacyi, do której się zabrała z zakasanyimi po łokieć rękawami.

— Milion tysięcy kałmuków! — ryknął Mitchell, zrywając się na równe nogi — precz odemnie, nasienie czarownic!

— James, Patryk, William, Andrzej! Bierście go! trzymajcie! kładźcie na ziemię! Leżeć cicho, spokojnie! mówiłam ci, *machrij*.

Lecz zanim zbliżyli się septmani, Mitchell wydarł się z pod silnych ramion Piotrowej, jak niegdyś Józef egipski z objęć Putyfarowej, i wywijając pięściami, obalając na drodze każdego śmiałka, co mu chciał zastąpić, począł biec ile sił gościńcem ku fermie Knyveton. Zamiast poły surduta, zostawił nad rowem furażerkę.

— Ojczy wielebny, *arrak*, John Mitchell pewnie zwaryował — rzekła Piotrowa poprawiając na głowie wiciowy kapelusz i oddychając ciężko, tylko niewinne bydle ludzkie tyle może mieć siły! *Begorra!* nie tęgi mózg w tej głowie, kiedy go jedna kobieta przewróciła! Czegóż stoicie, cymbały, *achara!* Ruśzać do roboty!

„Kupa Doghertych“ rozeszła się powoli i nie bardzo chętnie, komentując nad chorobą, która tak nagle „ruszyła“ kapitańskiego „dżentelmana“. Proboszcz zatrzymał się na gościńcu, bo chciał skorzystać z okazji spotkania Piotrowej, by jej dać przestrogi i rady względem nowych ustaw podatkowych. Ale

głowa septu z góry zapewniła go, że żadne z „tych stworzeń“ nie waży się zrobić podania do unii.

— Bo i pewnieby nie mogli, choćby chcieli, wasza wielebność. W całej kupie nie ma ani jednej pary nóg, coby nie wędrowały po wszystkich hrabstwach od maleńkości, nie ma ani jednej gęby, coby mogła powiedzieć, do której unii należy.

— To też, widzicie pani Piotrowo, w tém jest złe największe nowych przepisów, że mają swobodę dawania zapomogi, albo jój odmawiania, komu tylko same zechcą.

— Bóg zapłać waszój wielebności za radę i naukę. Ale, *makusza!* Niechbym jeno które z nich zobaczyła przy unii! Jużby nie powstało nogą w Ballytullagh! Oni to wiedzą dobrze! A hrabstwo darmo nie poratuje, to pewna!

— Chwała Bogu, że taki między wami porządek! Cóż, jakie wieści od Tadeusza?

— Ha, no, wielebność wasza, nie pisał ani słowa od ostatniego listu, com go wam pokazała. Chłopczyśko — dodała, podnosząc grabie — coś tam podobno ma do roboty z tą ligą jakąś... tak mówił kwakier na górze, stary Jozeasz.

— To nie złego, mistress. Chłopak w lidze nie zmarnieje. Daj wam Boże dobry sprzęt, bo na to zasługujecie.

— *Dhu kuszla astore!* wasza wielebność niech o nas pamięta!

Zbliżając się do Topoli, przypomniał sobie proboszcz listy Jozeasza. Okoliczność, w jakiej je otrzymał, przywiodła mu na myśl, że może odnosiły się do spraw parafialnych, więc zwolnił kroku i po raz wtóry dobył je z kieszeni.

Pierwszy, który otworzył dlatego najprzód, iż był bez koperty, pochodził od „pisarza Izby Starszych w Stowarzyszeniu Przyjaciół w Dublinie“ i zawierał, prócz podpisu, tylko to zdanie :

„Obróć uważnie oczy na zieloność ziemniaków w twojej okolicy — Pan zesłał zarazę w Miltown Mowbay“.

Proboszcz wdrygnął się!

Potém odkrył głowę, wznosił oczy w czysty błękit niebios i zaniósł modlitwę gorącą przed tron Najwyższego.

— Panie! Oddal ten kielich od ludu Twego... jeśli taka wola Twoja! Nie pamiętaj, Panie nieprawości naszych, ani ojców naszych, ani weź pomstę za grzechy nasze! Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj!

Chwilę tak powstał i modlił się z głębokości duszy.

— Miltown Mowbay — nad samém morzem, w Connaught... biedny Zachód! Prawdę powiedział Jezeasz: nie będzie strawy i dla tych, co ciężko pracują! O nie daj — nie daj tego, Boże Wszchemogący!

Pismo na kopercie drugiego listu poznał proboszcz odrazu. Podobne ono było do Jezeaszowego, ale okrągłejsze i ozdobniejsze; pochodziło to od Tadeusza, który w domu Góry Horebu nauczył się był pierwsze kreślić litery, a po przybyciu do stolicy studyował każdego wieczora kaligraficzne zeszyty Vere Fostera, zaczynając od linii prostych i dążąc do doskonałości zeszytu nr. XII.

Thady, pisząc do Jezeasza, zachowywał formy, do jakich był wprawiony w Tramore; styl jego był prosty, lecz jasny i zwięzły; ortografia miała swoje braki, lecz proboszcz dostrzegł w samychże błędach widoczny postęp młodzieńca i ślady uważnego czytania książek, jakie mu był darował. Zadziwiła proboszcza długość listu; już miał odłożyć czytanie jego do sposobniejszej chwili, kiedy jedno imię, często powtarzane po pierwszych ustępach, wzbudziło jego żywą ciekawość.

Usiadł więc na kamieniu, przy znanój nam ścieżce, wiodącej z gościńca do fermi Marcina O'Grady i począł czytać:

41, Ulica Zamkowa Dublin.

Dnia 12go maja 1879 r.

Jozeaszu Peet! — Dziękuję Ci z całego serca za Twój list ostatni, który mi dał przyjaciel Achazyasz. Wyrzuty, jakie mi czyniłeś poprzednio, bardzo mnie bolały, bo wiesz, że mam dla Ciebie niewygaszone uczucie wdzięczności i uszanowania. Cieszę się więc, że jesteś przekonany, przyjacielu, że rad Twoich słucham i że nie wierzysz, abym ja się zapisał do chłopców.

Po pracy całego dnia, robię to, co mi zawsze radziłeś i do czego się przez cały dzień niecierpliwie. Jak pozamykam kontory, regularnie o szóstej na wieczór, to najprzód idę do izdebki na górze, gdzie mi przyjaciel Achazyasz dał mieszkanie i piszę aż do siódmej. (Widzisz Jozeaszu, że staram się pisać bez ozdób, które są niepotrzebne, jak mi zawsze mówiłeś; ale każdy wyższy zeszyt Vere Forstera ma ich coraz więcej i nie wiem sam, czy bez nich dostanę nagrodę przy konkursie!...). Po wieczery idę na świeże powietrze do parku Feniksa, albo na zebranie Ligi Ziemiańskiej. Po powrocie do mieszkania uczę się z książek, jakie mi dał wielbny ojciec Dooley, z tych, co mam od ciebie i co mi pożycza przyjaciel Achazyasz, albo miss Farrell. Czytam teraz „Opowieści z pism Williama Shakespeara dla Młodych“... Miss Farrell chce, żebym potem czytał, co ona nazywa dramaty, napisane wierszami przez tego samego uczonego. Twoją książkę Iliady przeczytałem dwa razy, ale pewniem jeszcze za głupi, bo ani nie mogę zrozumieć wszystkiego, ani pamiętać, a te nazwiska takie jakieś cudzoziemskie, że nie mogę weale sobie z nimi poradzić, że to nie wiem jak, je wymówić... Przyjaciel Achazyasz mówi, żebym tylko jedną książkę czytał, choćby kilkanaście razy, aż będę wiedział wszystko, co w niej est. Ale to nie tak się ma rozumieć jak myślałem. Bo kiedyś przeczytał całą „opowieść o królu Janie“ i mogłem ją opowie-

dzieć prawie tak samo, jak książka, przyjaciel Achazyasz zaraz mnie spytał się: czy wiem, co to jest Normandya, gdzie ona jest i czemu to królowie angielscy byli panami, niby księżcami tego kraju? Tego w książce nie ma. Więc przyjaciel Achazyasz powiedział, że to nie jest czytanie dobre, takie coby się na co zdać mogło, i zaraz mi kazał wynieść ze swojego mieszkania w parku do mojej izdebki ośmnaście grubych ksiąg, z rysunkami w środku i z mapami. W tych księgach mogę znaleźć o wszystkich rzeczach stworzonych i o ludzkich myślach nawet! Idą te księgi od *A* do *Z* i nazywają się: „Encyklopedia Britannica“ — to po łacinie, ale pisane są po angielsku. Czytam więc znowu o królu Janie, ale kiedy skończę to nie wiem, bo nie o mało na każdej stronie muszę przestawać, szukać w grubych księgach i zapisywać wyjaśnienia do osobnego zeszytu, co mi na to dał przyjaciel Achazyasz.

Więc dlatego o tém Ci donoszę, czcigodny Jozeaszu, abyś wiedział, że czasu źle nie spędzam. A te podejrzenia, jakie miał o mnie przyjaciel Achazyasz, to były dlatego, że przed kilku tygodniami zdarzyło się coś, o czém ani mówić ani pisać nie mogłem. Że teraz napiszę, ta dlatego, że miss Farrell tak mi poradziła, chociaż Cię muszę prosić, żebyś nikomu nie powiedział, tylko wielebnemu ojcu Dooleyowi i Marcinowi O'Grady w Topolach. Córka jego może też wiedzieć, ale nikt więcej, a już Michał Myles z Knyveton — to wcale nie!

Jozeaszu Peet! Tom O'Grady żyje i jest tu w Dublinie, choć go bez mała nie zabili! Teraz już późno, a mnie pisanie do Ciebie długo zatrudnia, więc się namyślę, jak Ci to wszystko opisać, żebyś tę historję zrozumiał — a jutro rano, przed dziewiątą godziną, napiszę i list pošlę.

Proboszcz chciał powstać i pospieszyć z dobrą wieścią do fermy... ale znów sobie przypomniał, że kwakier nie bez powodu jemu list Tadeusza oddał, więc sam czytał dalej:

Michał Myles to zdrajca podwójny! On Tomasza zapisał do chłopców w Cappelquin i wziął od niego straszną przysięgę na trupią głowę, na krzyż i na nóż. Tom wszedł do spisku Niezwyciężonych (tak się nazywają chłopcy dzisiaj), kiedy się wpięrow z nimi dobrze ubawił, napił za wiele i prawie przytomność stracił. To było ostatniego roku po Gromnicznój, kiedy to Marcin O'Grady nie mógł zapłacić dzierżawy i kapitan Gandy kazał mu wybierać między Ameryką a domem pracy, z dwoma synami i z córką, miss Hessy O'Grady! Tom ojcu swojemu nie powiedział nic o tém; ale Pat wiedział, bo i jego Myles chciał zapisać, tylko, że Pat O'Grady nie chciał przysięgać i śmiał się ze swojego brata, że z kilku wyrobnikami i z pastuchami chciał wypędzić z kraju wszystkich saksonów! Tom żałował, że się dał wciągnąć po nietrzeźwemu, ale już było za późno, bo między chłopcami, to jak kto raz przysięgnie, to musi albo słuchać i robić, co mu każą, albo poddać się wyrokowi centra, co czasem nawet śmierć pewną znaczy. Niektórzy przechodzą do rządu z bojaźni, albo dla zarobku, to ich rząd broni. Ale Tom wolałby umrzeć, jak zdradzić, choćby mu nie wiem jak kto dowodził, że nie warto tracić miłego czasu dla takich ludzi!

Więc tak się stało, że na dwa dni przed odpływem „Smoka“ z emigrantami do Ameryki, chłopcy z centrum obwodu Cappelquin, odbyli radę w turmie świętego Kolumbana. Tom nie należał do téj rady, ani wielu innych młodszych praktykantów, jak w spisku Niezwyciężonych nazywają świeżych. Ale tego samego wieczora, Michał Myles widział się z Tomem w Tramore i powiedział mu, że los padł na niego, to jest Toma, żeby był gotów spełnić rozkaz usunięcia zdrajcy w piątek najbliższy, między piątą i szóstą wieczorem!

Tom prosił i modlił się, jak skazaniec, żeby tego od niego nie żądano, ale Myles powiedział, tak być musi, bo tak rada

uchwaliła. Tom więc pytał się: kogo ma usunąć?... ale Myles nie chciał mu powiedzieć, że to przeciwko ustawom spisku. No, żeby długo nie pisać, Tom postanowił uciec, jechać z bratem do Ameryki. Ale Myles nie opuścił go ani na chwilę...

Tedy więc, Jozeaszu Peet, trzeba żebyś wiedział, że kiedy okręt podnosił kotwicę, Tom był z Michałem i z innymi w szynku „Pod Herbem miasta“. O kwadrans na siódmą wyszli wszyscy. Myles dał Tomowi nabitą rewolwer. Ludu był tłum ogromny blisko portu. Naraz, Myles odezwał się:

— Widzisz tych dwóch? — i pokazał ręką na kapitana i pana Grubba.

Tom nie mógł odpowiedzieć. Słabo mu się zrobiło, w oczach zaćmiło. Myles wyjął nóż z pod pasa i szepnął mu w ucho:

— Jak ja powiem ratuj się! — ty pał w łeb kapitanowi... albo będzie z ciebie ścierwo. Tom nic nie odpowiedział. Szedł jak trup bezwiedny, a Michał z nim. Chłopcy rozbiegli się w tłum i tak szli, że kapitan i urzędnik byli między nimi.

Na rogu ulicy świętej Katarzyny, blisko kancelaryi, zrobił się ścis. Kapitan z urzędnikiem zatrzymali się. Wtedy Myles krzyknął na cały głos: Ratuj się! Tom strzelił... ale Jozeaszu Peet, Tom strzelił w powietrze, rzucił rewolwer i uciekł.

O. Dooley przerwał czytanie listu. Tak samo — pomyślał — opowiadają ludzie; ale któż zamordował Grubba? Biedny chłopiec! Na schwytanie jego dotąd stoi wysoka nagroda; — jeżeli prawdziwy morderca się nie znajdzie, to żaden sąd... jak sądy bywają w tym kraju, mu nie uwierzy, nie uzna niewinnym! To dziwna, że dotąd uszedł poszukiwaniom! Thady, to prawe i z gruntu dobre chłopczyko... widać sam przekonany jest o niewinności Tomasza!

Tom dowiedział się tej samej nocy o zamordowaniu Grubba. Na drugi dzień, kiedy wszystkie szczegóły były wiadome, nie mógł wątpić, że tym, kto nóż utopił w ciele urzędnika, nie był kto inny, tylko Michał Myles z Knyveton. Tom znajdował się w takiej odległości od miasta zaraz po morderstwie, że nikt go nie podejrywał, a nawet od samych konstablów słyszał o śmierci urzędnika w kancelaryi i o tém, że Grubb miał wymówić jego imię, zanim stracił przytomność. Dopiero trzeciej nocy, kiedy spał w jednej fermie blisko Limerick, obudził go syn gospodarza i powiedział mu, że musi uciekać, bo chłopcy go szukają! On sam, młody farmer, należał do Księżycowych i dowiedział się na zebraniu tej nocy, że Allan Mac-Allan (takie było, Jozeaszu, przezwisko Toma w spisku) zdradził swoich; pomiarkował ze wszystkiego, że jemu to właśnie rodzice dali przytułek. Nic jednak nie powiedział na zebraniu, bo nie mógł się zgodzić na to, żeby chłopcy naszli fermę, a rodzice poznali, że on, ich jedynak, należał do tajemnego związku.

Co się potem z Tomem działo, aż doszedł do Raphoe, na północy — jak we dnie leżał w bagnach i w torfowiskach, albo w nadmorskich jamach, a nocami szedł dalej nieraz ściągany, jak dzikie zwierzę, przez policyantów i dragonów — jak cierpiał od pragnienia i głodu — tegobym ja, Jozeaszu, na piśmie powtórzyć nie potrafił! Czas też już żebym skończył! Tylko miss Farrell poleciła mi, żebym Ci opisał dobrze to, co zaszło w Waterford, dnia 16go kwietnia 1878 roku, a dodała, że reszty nie można pisać, bo to bardzo niebezpieczne. Więc muszę powiedzieć, że Tom leży ciężko poraniony w domu, gdzie mieszka sama miss Farrell, ale kto go chciał zabić, tego napisać nie mogę... Miss Farrell — o! i dr. Webb, wielki bardzo adwokat chcą, żeby tu kto przyjechał z rodziny Toma, albo jego przyjaciół, że to bardzo ważna sprawa.

Jeżeli jest coś, cobyś chciał jeszcze wiedzieć, Jozeaszu, to miss Farrell prosi, żebyś napisał do niej wprost, do willi Rathmine, a ona odpisze.

Bóg z Tobą, Jozeaszu Peet!

Twój przyjaciel

Thady Kennedy.

III.

Tego samego dnia w chacie O'Gradych zdarzyła się weale nadzwyczajna scena.

W głównej izbie, na dole, siedział w swém krześle Marcin, z kapeluszem na głowie, z laską w rękę, jak gdyby co dopiero powrócił był z pola, lub się do wyjścia wybierał. Obok niego stała Hessy — w swój odświętnej z różowego perkaliku sukience, z pączkiem róży w splotach swych czarnych włosów, w białym fartuszkę z tanich koronek i z znanemi koleczykami — upominkiem Tadeusza. Wielkie szafrowe oczka dziewczęzki, zapłakane w téj chwili, patrzyły to na siedzące naprzeciw Marcina, Julię Mylesową, to ku drzwiom odsiennym, gdzie żwawa i komiczna toczyła się kłótnia między wysoką i silnie zbudowaną dziewczyną a małym i chudym mężczyzną — między Maryanną, w tym samym stroju podróznym, w jakim przed kilku tygodniami była opuściła tak nagle i tajemniczo Topole — a owym nieznanym, który około tego samego czasu, przyznał się był w sposób nieco dziwny, że na ziemi, zroszonej potem swych przodków, obcym był i obcym miał pozostać!

Nakoniec, w progu między sienią i izbą, stał Jan stary, a raczej chwiał się, stojąc — z tak śmiesznie i z grymaśnym i rozpaczliwym wyrazem twarzy i ruchów, że nawet starowina Julia, ilekroć wzrok ku niemu skierowała, mimowoli ściągnęła i podniosła brwi z pewnym politowaniem, gdy usta jój równocześnie zdradzały chęć roześmiania się na głos. W lewej ręce trzymał Jan antyk swego kapturzystka, i od czasu do czasu, gdy się odezwał, bił się nim w kolano — dla emfazy. W prawej, ścisnął palcami płaską butelczynę, zawierającą nieco złotawego płynu... i potrząsnął nią, niewiadomo, czy rozmyślnie, czy wskutek silnego wzruszenia, lub trzęsionki.

— *Magharne!* wściekły człowieku! — wołała Maryanna, pod szerokim płaszczem wspierając biodra obu pięściami, w ten sposób przybierając rozmiary isticie straszliwe — *Arrah ghruz magharne!* co tobie do panienki? Poszedłbyś ty, *begorra*, do — do piekła!

— *Gruzall right magharne!* — odparł uprzejmie człowieczek, którego gaelizm zdekonecentrował na chwilę dziewczynę — dziewczico pozwól mi powiedzieć słowo, niechże się wytłómaczę...

— Idź mi ztąd między sowy! piszczygłosie! niewiario! *dżan ghruz, ok!*

— *Eringobraghgod save thequeen, ok!* — wykrztusił i wydlawił nieznamy — Aniele, z tobą i w piekiełku, i między siewiętami szczęściem się bym karmił, poił...

— *Ok! acharù!* — jęknął Jan w progu, machając butelką i bijąc kapturem po kolanie, — pewnie, pewnie, zem wiedział, że to jemu do téj to flaszki! A pił, pił, pił, — miesiąc cały — i jeszcze się nie napił.. *och, hon wejrasthrù!*

— *Bathershin*, bydlaku *machrij*, a z wami do obory!

Maryanna jak stała, z pięściami pod płaszczem na biodrach, uczyniła ruch gwałtowny w lewo zwrot! i osobą swą parła

starego Jana ku drzwiom od podwórza. Ale Marcin sprzeciwił się tak bezwzględnej procedurze.

— Słuchajcie no! — rzekł — wy oboje, a ty Janie, zamknij gębę i nie becz! Naprzód ty, Maryanno, powiedz mi co to wszystko ma znaczyć? Gdzieś ty była? Czemuś wyszła z fermy bez niczyjéj wiedzy? Co tobie z tym... przybłądą, błaznem?

Maryanna wysunęła się zamasyście na środek izby. Jednym ruchem ręki odrzuciła kaptur z głowy, drugim zdjęła płaszcz i rzuciła go na stół. Potém chwyciła za stołek i siadła na nim, obracając plecy ku drzwiom, ku nieznanemu i Janowi.

— *Arrah!* Marcinie O'Grady z Topoli, gdzie ja byłam i czego szukałam, a co znalazłam, tego wam nie powiem, w téj oto tutaj kompanii... (Jan kapturem wyraził swe niezadowolenie). Chociaż znowu... z respektem dla obecnej kompanii bez piszczygłosa, tu powiedzieć muszę, że obecna kompania bez piszczygłosa nie ma potrzeby, *begorra*, źle myśleć o Maryannie Mac-Ghurrydgurry. Obecna kompania bez piszczygłosa zna Maryannę Mac-Ghurrydgurr od starych lat. Marcin O'Grady z Topoli zna— od kiedy ma tylko jedną poduszkę na łożku, co poszewki mu z niéj prała zawsze biedna, niewinna dziewczyna, co tu mówi teraz w téj izbie... prała i wszystkie te przecie, które w téj chwili są na łożku, na górze, bo było pięć czystych poszewek wielkich, cztery średnie i poszewki panny Hessy, kiedy Maryannie wypadło iść w świat między ludzi i — szukać *arrah!* czego nie zgubiła, a znalazła... niech jéj Bóg błogosławi!.. niby téj, co to zgubiła, a nie znalazła... stuł pysk!

Ostatnie zdanie wywołali obaj — stary Jan i nieznanomy. Jan zaryzykował zbliżyć się z tyłu do Maryanny, chwiejąc się na nieposłusznych sobie nogach za jéj stołkiem, emokał ustami i bił kapeluszem w kolano niemal za każdym jéj zdaniem, mia-

nowicie, gdy mówiła o poszewkach i praniu, bo któż, jeżeli nie on, nosił do kotła wodę każdego poniedziałku, pomagał w wyżymaniu i rozwieszaniu bielizny?

Nieznajomy zaś, słysząc dziewczynę, wzywając błogosławieństwa niebios na własną — jak sądził — głowę, pofolgował głębokiej swój dla niej życzliwości wykrzykując:

— Niech jój błogosławi!... jój i potomstwu jój do ostatniego pokolenia, *begorralleluja*, Amen!

— Het, dziecko moje — rzekł O'Grady, kładąc rękę na ramieniu dziewczynki — idźże ty lepiej na górę i... zmień sukienkę, bo choć nie wiem dla czegoś dziś taka niedzielna, to widzę, że już nie myślisz wyjść tak, jak jesteś.

Hessy, zarumieniona jak wiśnia, objęła białą głowę starca, pocałowała go w czoło i wyszła, nie mówiąc słowa. Julia i Maryanna, patrzyły za nią z ciekawością. Jan zatoczył się do kąta, ustępując z drogi swój panience, a nieznajomy, szurgając butami po podłodze, pospieszył do otwartych drzwi i z galanterią wyciągnął rękę ku klamce, schyliwszy głowę z uszanowaniem, choć Hessy już była na schodach.

— Teraz, Maryanno — odezwał się znowu O'Grady — odpowiedz na moje pytanie: gdzieś była?

— Ojczy O'Grady — odparła, zatrzymując wzrok na Julii Mylesowej — nie teraz! Jużci mi wierzcie, *kuszła machrij*, żem źle nie zrobiła. Znalazłam to, z czego wy najbardziej radzi będziecie... Chociaż znowu nie tak radzi może, *begorra*, jak należało, ale...

— Co tobie z tym człowiekiem — pytał dalej O'Grady, zniecierpliwiony obecnością franta.

— *Acharie!* ojczy Marcynie, oto tak: Kiedym szła dziś rano z Dunmore i była o dwa staja od Ballytullagh, spotkałam na drodze tego wściekłego człowieka piszczygłosa!

— Panie fermerze O'Grady — przerwał nieznajomy — istotnie tak się rzeczy mają, jako panna Maryanna Mac-Horrylorry opowiada. Przypadek, los, przeznaczenie, święty mój anioł stróż...

— Dyabeł i benske mi go rzucili przed nogi, ojeze O'Grady, bo kiedy odmawiałam pacierz do św. Kolumbana, patrona tego błogosławionego miejsca i całej parafii — to oto... plugawe zjawienie, — zkać się wzięło i stanęło przy mnie, *magharne*, i nie dało skończyć modlitwy grzesznej i biednej dziewczynie.

Niepodobna dać wyraz dziwnym odgłosom, jakich dobywał Jan z piersi, w ciągu relacji Maryanny! Były to jęki sympaty i politowania, lub niespodziewane tony gardłowe aprobaty i zupełnego zadowolenia, tu i owdzie głuche a przeciągłe pomruki oburzenia, którym towarzyszyła bezmyślna gestykulacya rąk i nóg, z głośną emfazą kaptura.

— Chociaż znowu — ciągnęła dalej Maryanna — nie znów w tém tak wielce dziwnego, że biedna dziewczyna a chrześcijańska dusza w uczciwych łańkach, bom nawet trzewików nie zdjęła, że to słońce już było wysoko, a ludziska nie potrzebują wiedzieć, żem była w dalekiej drodze — ano, *bathershin*, żeby długo nie opowiadać, co się na nie nie zda — nie w tém tak cudownego, żeby zacny człek jaki i kawaler nie był galantny i respektowny dla biednej i niewinnej duszy! Weale nie!

— W samej rzeczy, to tylko naturalna — wtrącił nieznajomy z wielkim ferworem.

— Piszczycę! stul pysk!... Ale znowu, żeby stworzenie takie, jak to oto tutaj, pędziświat taki, co to dachu nie ma nad sobą a żony i lubki we wszystkich parafiach tego królestwa — chociaż znowu, któraby takiego chciała! — żeby gad taki, a świerszcz, a piszczygę, co to ani chrześcijańskiego ciała, jak inni ludzie, nie nosi, ani...

— Na ziemi pra-pra-pradziadów — zalamentował niefortunny kawaler, gdy O'Grady, którego cierpliwość już się wyczerpała, przerwał mu i zawołał:

— No więc cóż nakoniec?

Ale Maryanna nie przestawała. wielce wzburzona, nie zważając na nikogo:

— Ani po człowieczemu nie gada, jeno tym dziobem swoim przebiera, niby gąsior rozczapieżony, żeby taki... takie suche drewno, *magharne acharù*, miało się czepiać Maryanny Mac-Ghurrydhurry na publicznym gościńcu i w biały dzień pod słońcem... to już znowu za wiele!

— Obraził cię więc? — spytał O'Gady.

— A piszczało to i dygało, szastało się i wierciło, Panie, Boże, przebac. -- Na publicznym gościńcu, przy biednej niewinnej dziewczynie. To przecie, ojeze Marcinie O'Grady z Topoli, ten świerszcz chciał, żeby się dla niego Maryanna Mac-Ghurrydhurry, co przed wami siedzi na tym oto stolku, wyrzekła ojca i matki, co to chociaż już dawno pomarli, ale z królestwa niebieskiego patrzą i patrzą na tę swoją niewinną, biedną sierotę, żebym z nim szła do kościoła, rzuciła wszystko dla niego — miss Hessy i Topole i was samych i panią Julią i — *begorra* choć tego nawet niewinnego wołu, co tu się trzepocze koło mnie, żebym się wyparła wszystkiego, czystego podwórka w Topolach i świętego panieństwa! Oho!

— I to już wszystko? — zapytał, śmiejąc się mimowoli, O'Grady.

— A bo ja już wiem, co on tam...

— Cóżes zrobiła? Cóżes mu odpowiedziała?

Nieznajomy uprzedził dziewczynę, tłumacząc z zakłopotaniem.

— Panna Maryanna Mac-Forrylorry obraziła się, panie O'Grady.

— W mordeę mu dałam! — wyjaśniła Maryanna.

— *Ok! machrij dhu wejrastrù asthore!* — zawołał Jan emoknąwszy ustami. Z twarzą rozpromienioną, na której wszystkie podejrzliwe barwy w jeden się zlały żywy płomień, wtrącił kaptur pod pachę, stanął przed Maryanną, odkorkował butelkę i krzyknął serdecznie jak na weselu, albo na czuwaniu.

— Napij się, *mavorney!* Wypij wszystko, do dna!

Ale Maryanna kułakiem odsunęła pijaczynę, wstała ze stołka i odwracając się bokiem do skonfundowanego konkurenta, rzekła:

— Co mnie biedną, niewinną sierotę spotkało od tego gąsiora, to nie warto, żeby obecna kompania o tem słyszała, a piszczygłós nie prędko się pozbędzie pryszczów na tym dziebie swoim, co się nim wżarł w pokrzywy, ale *arrak!* słuchajcie no ojeze O'Grady i wy mistres Julia! Kiedym już potém sama, dziękując za pomoc świętemu Kolumbanowi, przychodziła do Tramore od strony szynku Józefowej Clancy, gdzie to partykularna droga prowadzi do pałacu, niby do domu tego, *begorra*, wie każdy o kim mowa... pewnie tedy i kogobym widziała na téj drodze, jeno to nasze błogosławione kureczę, nasze złotego skowronka, naszą missy!

— Hessy? — zawołał w osłupieniu O'Grady — Hessy na drodze do pałacu?!

— A tak właśnie, ojeze O'Grady, samą miss Hessy, w téj saméj sukience, co to ją miała na sobie, a co to ją szyła profesorówna Emilia, i w fartuszkcu, coście to wy jój kupili na Wielkanoc, i w kolezykach, co to nie potrzeba mówić, kto je panience darował, chociaż...

— Hessy do pałacu! — powtarzał Marcin w zamyśleniu, patrząc to na Maryannę, to na Julię Mylesową. Julia nie zdała się być zdziwioną.

— Ja na missy oczy otwarłam, bom sobie wierzyć nie chciała — ciągnęła dalej Maryanna z rosnącą gwałtownością, kiedy ten oto, wściekły człowiek zjawił się jak Belzebub z za drzewa, i do naszój panienki!

Trzeba było widzieć starego Marcina, jak mu krew wszystka uderzyła do głowy, ręce się zatrzęsły, jak się porwał z krzesła, i ściskając laskę w dłoni, krzyknął do nieznanomogo:

— Ktoś ty ńędzniku? Powiedz natychmiast, albo...

W tój chwili, w progu izby stanął ksiądz proboszcz Dooley. Równocześnie nieznanomy wydobyl z kieszeni surduta małą książeczkę i ołówek, wydarł kartkę białego papieru, napisał na niej słów kilka i podał plebanowi z niskim ukłonem. Proboszcz rzucił okiem na kartkę i wyczytał „Służba tajna. Przyjaciel O'G. All right“.

— O cóż to idzie? — spytał ks. Dooley, uśmiechając się dobrodusznie do Marcina.

Starzec w kilku słowach wytłómaczył powód swego gniewu, opowiadając, co zaszło w fermie przed czterema tygodniami, jak Hessy się przestraszyła, jak zauważyła, że ją „ten przybłęda, błazen“ śledził na drodze do Ballytullagh, jak znów tego południa spotkała niespodziewanie, a on na nią czekał widocznie, jak sama Maryanna była wystawiona na jego natręctwo. *

— Jeżeli to prawda, coś tu pan napisał, toś powinien wiedzieć, że źle służysz zwierzchnikom, nie szanując rzetelnych ludzi, choćby dla dobrego celu... No, ale się przekonamy. Chodźmy, Marcinie przed dom i wy z nami... jakże was nazywać?

— Eee... Trump, Jack Trump, eee... gentleman, do usług waszój najprzewielebniejszój łaski wyswiertotał detektyw, zgijnając się we dwoje.

— A więc proszę Mr. Trump.

W izbie została przy Julii Maryanna. Jan, oszołomiony niezwykłą w Topolach sceną, trzymając butelczynę pod kaptu-

rem, z obawy przed proboszczem, wyszedł do obory, mamrocząc po gaelicku niezrozumiałe wyrazy.

IV.

— Ojeze Marcynie — przemówił proboszcz, gdy wszyscy trzech stanęli w warzywnym ogrodzie, w cieniu starej topoli — Mr. Trump dał mi do zrozumienia, że jest tajnym agentem policyjnym (O'Grady odwrócił plecy od agenta i zmarszczył czoło) i chce nadto uchodzić za waszego przyjaciela. To rzecz wielkiej wagi... pokaż pan swą kartę.

Detektyw wyjął z książeczki swój paszport policyjny i podał proboszczowi, który przeczytawszy dokument i starannie obejrzawszy, rzekł:

— Widzisz pan, panie Trump, twoje bardzo dziwne postępowanie tutaj każe nam żądać pewnych wyjaśnień. Możesz być przekonany, że ani przyjaciel mój, ani ja ci przeszkadzać nie będę w twoich obowiązkach, jeśli nam wytłumaczysz, jak można najlepiej, zachowanie się twoje względem córki tego domu i sługi.

W ten sposób zagadnięty, a zarazem i zachęcony, Trump, który wobec ks. Dooleya pragnął podtrzymać swój charakter, jako gentlemana, człowieka wyższego nad zewnętrzne pozory, zmuszonego okolicznościami i t. d. — odezwał się cieniutkim, słodkim i cichawym głosem w takich dobranych wyrazach i okresach:

— Najprzewielebniejszy ministrze Kościoła rzymsko-katolickiego i wy najzaśniejszy patronie téj cudnej miejscowości! W powołaniu urzędu mojego, powołaniu, obsaczoném obstackłami wszelkiej specjalności, jeneralne środki, uniwersalne sposoby

i media superficialne nie są, że tak powiem, — wystarczającymi! Panna Maryanna O'Horrygorry, zwierciadło modestyi, nie raczyła na osobę moję z tego się zapatrywać punktu i stanowiska — zapoznała mnie, niestety! zapoznała... nie konsyderując słów moich w ich całości, lecz przyjmując z aprehensją, zwykłą indywidualnościom trwożnym, zewnętrzną słów intonacją w charakterze pospolitej i — czemubyśmy nie mieli powiedzieć? — atakującej kurtoazji. Tak. Inaczej zapewne — bezwątpienia z mniejsz dojrzałą w fizycznej inteligencji, a zatem — pozwolę sobie powiedzieć, z naturalniejszą perteryfikacją wzrok swój anielski spuściła na mnie dziecięca córka tego najprzeznaczniejszego... domu, jak się raczyła eksprymować Wasza najprzewielebniejsza łaska, z tém delikatném subkoordynowaniem obiektu do subjektu, jakie charakteryzuje wykwintny sens dobrze wychowanego gentlemana!

Przestał na chwilę i otarł usta małym palcem lewój ręki, oglądając się za siebie, jak gdyby żałował, że audytorjum z dwóch się tylko składało świadków. O'Grady siadł pod topolą. Jeżeli nie patrzył na ziemię, to wzrok pytający zatrzymywał na twarzy plebana. Ks. Dooley słuchał zrezygnowany; wołał pozostawić wolne pole „krasomówczemu“ Trumpowi, który, odchrząknąwszy poza osłoną lewój ręki, prawą w tył założył i prawil dalej:

— Wszelako, do onój feerycznej aparycji, która z cieniem się moim spotkała bezwiednie poraz czwarty tego poranku, Jack Trump, pozwolę sobie tutaj użyć jurydycznej licencji oskarżonych w tych królestwach, licencji z tak wyraźnym efektem i rezultatem użytój przez szlachetną pannę Maryannę O'Rollypolly, Jack Trump nie miał arogancji przemówić. Jack Trump zna siebie dobrze. Jack Trump szczególnie dobrze rozumie swą lokalizacją socjalno-oficyalno-profesjonalną. Jack Trump urodził się gentlemanem. Gentlemanem Jack Trump

pragnie pozostać, aż do ostatniego spazmu agonizacyjnego swego organizmu!... Najprzewielebniejszy ministrze Kościoła, który, nie będąc ogólnie supremacyjnym między ludnością W. Brytanii i Irlandyi z wyspami przyległemi, niemniej przeto jest historycznie najstarożytniejszym i z tego powodu zasługuje w twój dostojnej osobie na wszelką z mój strony weneracyą, i wy, najprzeznaczniejsza głowo tego tu domu. Przystępuję do rzeczy. Tak, kapłanie, przyjacielem jestem rodziny i osoby tego starca! Starcze, przyjacielem jestem i oddanym sługą tego kapłana! Od was obu, o przyjaciele, zależy operacya szczęśliwa moich performacyj. Od waszój kooperacyi, waszój, że tak powiem: k o m i s - t y - f i - k a c y i !

Trump odetchnął i skłonił się głęboko między obydwoma słuchaczami, jak gdyby nie wiedział, któremu z nich oddać prym uszanowania, lub im samym pozostawiał słuszny podział swój czołobitności. Poczém zbliżył się do Marcina:

— Wiemy o wszystkiém — rzekł jak mógł najostrożniej i najciszej, schylony do ucha fermera, lecz patrząc na proboszcza — p s t ! Grubb — Myles — Tom i urzędnik z biura w Waterford!

Odskoczył potém, pogłaskał brodę i popatrzał na Marcina z niewymowném ukontentowaniem. Następnie podszedł ostrożnie, jak gdyby stapał po ostrych krzemieniach, do proboszcza, podniósł się na palcach nóg i z tymi samymi co do Marcina grymasami, szepnął:

— Znaleźliśmy wiele. P s t ! Halucynacya — kapitan — Mitchell — Wyatt i Jack Trump! — Cofnął się, stanął znów w pośrodku między obydwoma słuchaczami i w ten sposób zakończył:

— Ostrożność! zacna dziewica Mac-O'Burry ma jedną tajemnicę; dojrzała dziewica... imię chrzestne nieznanie: Wyatt — ma drugą; znak zapytania, Michał Myles, ma trzecią i party-

kulki dwóch pierwszych. Wszysey mamy potrochu. Jack Trump wszystkiego potrochu. Niebiańska córka tego domu — nie. Ostrożność! Strzedz niebiańską córkę tego domu od — p s t! Wyatt — Myles. . . Myles — Wyatt! M. i W., fatalne spółgłoski! Jack Trump składa niski pokłon kapłanowi najprzewielebniejszemu. Jack Trump pozdrawia z szacunkiem przeznacznego rolnika, ojca tego domu. Jack Trump, gentleman, mieszka w gospodzie „Pod Herbem Miasta“, w stolicy tego hrabstwa.

Detektyw chciał odejść; nagle, jak gdyby przypominając coś sobie, stanął i począł szukać po kieszeniach. Lecz i ks. Dooleyowi chodziło o coś jeszcze:

— Powiedz nam pan — rzekł — jakież dowód masz, że to wszystko nieobmyślane naprzód w celach — hm! oficjalnych?

— Gwarancją charakteru gentlemana, po pierwsze — odparł Trump, prostując się. Po drugie, gwarancją istoty moich w tych stronach obowiązków. A po trzecie (tu wydobył nareszcie mocno zbrukaną kopertę, napehaną różnego rodzaju zwiłkami papieru), najdziwniejsza ze wszystkich cyreumstancya: że Jack Trump jest przyjacielem młodego Mylesa i wszystkich chłopców białych, niebieskich, księżycowych, zwyciężanych i niezwykniężanych. . . P s t! Ostrożność! Nie zwracać atencji na tę przyjaźń. cel. . . środki, a tu mój dowód:

To mówiąc, rozwinął i podał plebanowi kartonik, opatrzony podpisem ministra policyi irlandzkiej, zaadresowany do inspektorów hrabstw, okręgów i stacyi nadzwyczajnych, a rozkazujący, by rzezonemu Jackowi Trump ułatwiano rozpoznanie wszelkiego rodzaju podejrzanych osobistości i zostawiono mu zupełną swobodę działania i środków.

— Rozumiem i wierzę ci, panie Trump — rzekł proboszcz bez wahania, zwracając agentowi legitymacya.

— Ale ja, ojcze Dooleyu, nie rozumiem wcale — odezwał się O'Grady dlaczego ten człowiek przyczepił się naprzód do Maryanny. . .

— Chciał zapewne pociągnąć dziewczynę za język — odparł, śmiejąc się, proboszcz — no, i omylił się! ha! ha!

— W samą rzecz, najprzewieleb. . .

— Ale co jemu do Hessy! — zawołał O'Grady, — czegoż on od niej chciał dzisiaj?

— A! przezaeny ojcze tego domu — odrzekł uprzejmie detektyw, — przypomina mi pan zlecenie — oficjalne. Nie otrzymawszy w czasie mej ostatniej wizyty na tém terytoryum, recepcyi zapraszającej, a odebrawszy przedwczoraj ten oto list, odpieczętowany przez władze Jój Królewskiej Mości, zamierzałem wręczyć go dla oddania komu należy, dziewczycy-aniołowi, zanimby przestąpiła progi wspaniałej rezydencji pana pełnomocnika w tych rozległych a urodzajnych włościach. Gdy jednak zaena panna Maryanna Ferryderry zamiarowi mojemu przeszkodziła, nie pozostało mi nic innego, jak misywy tę wręczyć osobście, co byłbym dawno uczynił, gdyby ewenta, o tyle ważne o ile niespodziewane, nie były się sprzeciwiły. Oto list. *Gentlemen*, mam zaszczyt powtórzyć moje najniższe homagia!

Zanim Trump dokończył ostatniego zdania, już był za furtką ogrodu, do której zaszedł, cofając się pośpiesznie i powiewając kapeluszem. Ani Marcin, ani proboszcz nie zważali jednak na niego. Starzec spojrział na kopertę i podał ją księdzu.

— Cóż to jest, ojcze Dooleyu, bez okularów nie przeczytam.

Proboszcz czytał: „Marcinowi O'Grady, przez syna jego, Tomasza“.

— Przez syna mego Tomasza! . . . — zawołał starzec, chwytając księdza za rękę.

O. Dooley nie mniej był zdziwiony i zaintrygowany. Wyjął list z koperty, rzucił okiem na krótką jego zawartość i podpis.

— Czy znacie kogo — zapytał — w Tobermore, w hrabstwie Derry?

— Nie!...

— Żadnej kobiety?

— Nikogo. To kobieta list ten pisała? Jak się nazywa?

— Agnieszka... Leary.

Imię to i nazwisko, wymówione przez plebana najspokojniej, raziły Marcina, niby gromem! Nerwowe drganie przebiegło po całym jego ciele; chciał powstać, zachwiał się i byłby runął na ziemię, gdyby go nie wsparło silne ramię proboszcza.

— Agnieszka!... — wyrzekł z trudnością — och, ten list! Syn mój, Tomasz... księżę, czytaj!

Ks. Dooley nie usłuchał tej prośby. Nie wiedząc jeszcze, co mógł zawierać list kobiety, o której sam dotąd nigdy nie słyszał, uznał za konieczne wprzód Marcinowi opowiedzieć jak najostrożniej, co Thady donosił swemu byłemu chlebodawcy i dobrodziejowi.

Starzec słuchał — a w miarę jak się dowiadywał o kolejach syna, twarz jego rozjaśniała się. Jeszcze pleban nie skończył, gdy odkrył głowę i wznosił w niebo, dziękując w milczeniu Stwórcy za wybawienie nieszczęśliwego młodzieńca.

— Tak to być musi — rzekł, wysłuchawszy relacji Tadeusza — tak, jak sądzisz, mój wielbny księżę: biedak nie był ani chwili bezpiecznym przed prawem i przed tymi szaleńcami... pókiby się nad nim nie zemścili! Bogu chwała, że Tom ocalał i zdrow!...

— Kochany O'Grady — przerwał proboszcz — nie trzeba nam ustawać w modłach o ocalenie waszego syna, bo... Thady dodaje, że Tom został ciężko zraniony i leży...

— A! tegoś mi nie powiedział, księżę! Na miłość Boską!... ja muszę iść do niego, muszę być w Dublinie — o Tom! Tom! mój ty biedaku!

O'Grady powstał i razem z proboszczem zwrócił się śpiesznie ku chacie. W jednej chwili twarz jego zachmurzyła się znowu i sposepniała...

— Ten list, ojcze Dooleyu — rzekł stłumionym głosem — wyciągając rękę. Ale proboszcz nie zrozumiał tego ruchu. Wziął pismo i czytać począł:

„Kochany Marcinie! — W Bogu i w dobrym uczynku moja nadzieja, że po szesnastu smutnych latach zatarł się w twój duszy i w sercu niesłuszny gniew. Tom mi opowiedział o dobroci twój i przywiązaniu do dziecinki mojej, mojej Hessy. Niech ei Bóg najwyższy wynagrodzi za to, mój bracie! Modliłam ja się i płakałam długie lata, byś mógł przejrzyć i uwieńczyć... Marcinie, teraz kiedy syn twój w wielkiem niebezpieczeństwie — złagodź serce dla mnie!... Nie mogłam znaleźć nigdzie rodziców Mylesa, póki mi Tom o nich nie opowiedział. Idę ztąd do nich. Idę szukać mojego męża przed Bogiem i przed ludźmi — ojca mojej Hessy!

Agnieszka“.

Skończywszy czytanie, proboszcz uchwycił rękę Marcina i ściskając ją serdecznie, rzekł:

— Mój panie O'Grady, Bóg świadkiem, że nie miałem zamiaru poznać wasze tajemnice! Zaufajcie jednakże kapłanowi i przyjacielowi; tu na was ciężki spada obowiązek! Ta biedna kobieta to wasza siostra?

— Siostra — odpowiedział znękany starzec.

— A któż to ten mąż jej?

— Mąż jej! Nie wiem! — zawołał Marcin energicznie — i nikt nie wie, nikt go nie zna, nikt o nim nie słyszał!...

— Ani mistres Julia? . . . bo zdaje się, że. . .

— Ojcie Dooleyu — przerwał O'Grady — nikt odemnie nie słyszał o tém, co tu zaszło przed szesnastu laty. Przez lat szesnaście patrzyłem na dziewczątko, jako na własną córkę. . . Ludzi tu mało zachodzi. . . Nieboszczka moja żyła, kiedy Hessy. . . znalazła się pod naszym dachem. Nie było tu wtedy jeszcze Maryanny. Ale dziś. . . Bóg mnie dotknął! Ja wam ufam, ojcie proboszczu — i jeżeli jest sprawiedliwość. . . ale nie! nie mam prawa wyrzekać, ani bluźnić. . . Chodźmy ojcie, do chaty, a ja wam opowiem wszystko! . . .

Proboszcz przyjął w izbie zaproszenie do skromnego obiadu. Zwyczajem włościańskim, wszystkie potrawy ustawiła Maryanna na stole odrazu: — pół polci wędzonki ze świeżą z ogrodu kapustą i półmiskiem ziemniaków, kawał domowego sera i spory bochenek chleba, mleko w dzbanku dla pani Julii i dla „missy Hessy“, piwo dla gospodarza — poczem usiadła przy kominku i czekała na modlitwę.

— „Błogosław Panie nas i te dary Twoje. Amen“ — wyrzekł O'Grady, a ksiądz krzyżem poświęcił posiłek. Poczem O'Grady nałożył na dwa talerze wędzonki i warzywa, i oddając je przybranéj córce, rzekł:

— Zanieś staremu i daj Maryannie; my tu trzymamy się jeszcze dawnego obyczaju, ojcie Dooleyu: sługi przed chlebobdawcami, bo dla chlebobdawców pracowały.

— Dobry to obyczaj — odparł proboszcz, gdy Hessy opuściła izbę z porewą „starego“ Jana — jak i ten, że i sługi przy jednym się z chlebobdawcami posilają stole, a i w rozmowie udział biorą — nie wszędzie toby można zastosować, ale jeżeli można to témci lepiej.

— Starego Jana my tu nie przypuszczamy, bo biedaczyna niezegoby przy stole. . .

— A juścić on woli się na barłogu w szopie — przerwała Maryanna, ocierając usta fartuchem — i jeść dary Boże po swojemu, że to widelcem się jeno kaleczy po palcach i gębie, a każdy nóż mu za długi. Bo to, proszę łaski wielbnego ojca i waś, pani Mylesowa, jak tu na Wielkanoc przyjdzie do stołu i na Boże Narodzenie, to aż mnie kobiecie żal, kiedy głodny odehodzi, że to chce być delikatny a jeno skubać a skubać jadło, żeby niby nie obrazić nikogo chłopskiem łakomstwem. Więc też, jak mówił ojciec O'Grady, dobrze jest, kiedy sługa może zacząć jeść pierwszy, to się śpieszyć nie potrzebuje, chociaż znowu tylko sprawiedliwie jest, żeby słudze dano na początku, co potem państwo mogą jeść na gorąco i nie przerywać sobie — tylko niby znowu...

— Tobie w każdym razie wystygnie obiad Maryanno — rzekł proboszcz i przerwał dyskurs.

— Cóż ty, Hessy, nie głodnaś dzisiaj? — zapytał Marcin, wpatrując się uważnie w bladą twarz dziewczeczki. Hessy zadowolniła się kubkiem mleka i kawałkiem chleba; nie odpowiedziała jednakże Marcinowi — spuściła tylko oczy, a spod powiek duże łzy wkrótce spłynęły, jak dwie perły, na jej założone ręce. Julia Mylesowa położyła swą pomarszczoną rękę na schyloną główkę dziewczęcia i rzekła, zwracając się do Marcina:

— Zostawcie ją w spokoju, biedotkę — ha! przestraszyła się dziś bardzo...

— A wszystko wina tego piszczygłosa!... zaczęła znów Maryanna, gdy O'Grady z proboszczem powstali i odmówiono dziękczynienie. Proboszcz oczekiwał zwierzeń farmera, lecz tenże chciał przedewszystkiem dowiedzieć się, po co Hessy udawała się do tramorskiego pałacu; biorąc córkę za rękę, przyciągnął ją do swego krzesła i wręcz zapytał:

— Więc byłaś dzisiaj w pałacu, Het?

— Nie d a d u, nie byłam... ale miałam tam być.

— Dlaczego? Przecież tam nigdy dotąd nie zachodziła!

Zamiast odpowiedzi, Hessy dobyteła z za gorsetu złożony zwitek papieru i podała Marcinowi razem z okularami, które leżały na kominku.

Zwitek zawierał następujące słowa, pisane sztywno piórem ostrém: „Miss Wyatt sądzi, że będzie z wielką dla pewnych osób korzyścią, jeżeli córka farmera, Marcina O'Grady z Topoli, przyjdzie do pałacu dzisiaj lub jutro i zapozna się z chorą kobietą, która zdaje się być znajomą rzezonego Marcina O'Grady i posiadać wiadomości o Tomaszu O'Grady.

— Któż ci to dał? — zapytał starzec, powstając z krzesła, a równocześnie oddał zwitek proboszczowi, świadkowi sceny.

— J a n, d a d u — odpowiedziała, a Janowi dał lokaj Bób z pałacu, wczoraj popołudniu, w szynku Józefowej Clancy.

— Czemuś mi nie powiedziała?

— O d a d u! a może to co złego ta kobieta wie o moim bracie!... chciałam się przekonać d a d u i jeżeli się stało jakie wielkie nieszczęście, przy... przygotować cię... ty się nie gniewasz na mnie d a d u?

— Nie, Het! Niech ci Bóg błogosławi! Ojcie Dooleyu, co to może być za kobieta?

Proboszcz zamyślił się, a po chwili opowiedział jak do pałacu plenipotentą przyszła przed kilku dniami jakaś kobieta, o której mówią ludzie w Tramore, że jest niespełna rozumu, że kapitan w przystępie gniewu o mało jęj nie zabił wystrzałem z rewolweru — że nakoniec okazało się, iż waryatka jest żoną kamerdynera, Jana Mitchella, co zresztą sam Mitchell zatwierdził księdzu niedawnie, jak tego południa. Być więc może, iż Mitchellowa, która musiała być w Dublinie i zasłyszeć o morderczym zamachu na Tomasza, lub może sama była świadkiem

zbrodni, powtórzyła nieświadomie imię jego i nazwisko, a ztąd miss Wyatt zawioskowała więcej niż należy. W każdym razie proboszcz obiecał zajść do pałacu, poznać nieszczęśliwą żonę kamerdynera i przekonać się naocznie, o ileby komunikacya panny do towarzystwa zasługiwała na bliższą uwagę Marcina.

Zbytniąby było rzeczą dodawać, iż sam wrzekomy fakt, jakoby przybyła do pałacu kobieta była żoną Mitchella, odwrócił myśli tak proboszcza, jak Marcina, od listu Agnieszki. Ani im na myśl nie przyszło jednoczyć osobę owęj kobiety z nieszczęśliwą matką obecną w izbie Hessy, choć nie zapomnieli weale, iż téjże samęj zapewne chwili Agnieszka mogła być na tropie pobytu Julii Mylesowej.

Kiedy niebawem Hessy opuściła wspólną izbę, a Maryanna wyszła rozpatrzyć się po domowém gospodarstwie, którego była niemal samowładną panią, starowina Mylesowa zwróciła się ku alkierzowi, gdzie zwykle cały spędzała czas popołudniowy. Zatrzymał ją tym razem Marcin.

— Kochana mistress Julio — rzekł — bądź łaskawa pozostać z nami. O. Dooley musi się dowiedzieć niektórych rzeczy, o których mówiliśmy z sobą po waszém tu przybyciu, a dotyczących mnie tak blisko. . . Nie jedno wy wiecie, nie jedno się wam przypomni — a wielebny nasz przyjaciel tutaj oto dopatry się może téż niejednego, czegośmy sami nie dostrzegli.

Staruszka usiadła z drugiejj strony kominka, naprzeciw Marcina, a proboszcz między niemi. O'Grady w ten sposób rozpoczął:

— Wielebny ojeze i mistress Julio, wiecie wy już dobrze, że Het nie jest moją córką. . . choć pewnie nie ma ojca, coby dziecisko swoje kochał lepiej i nie ma takich córek wiele, coby wyrównały w przywiązaniu do rodziców mojej dzieweczce. A jak się to stało opowiem, że Het wzrosła w Topolach, niby

moje własne jedyniátko, przy obu synach a przybranych jój braciach, opowiem wedle najlepszej wiary mojej i wiedzy.

Tu się zatrzymał na chwilę, przybliżył swe krzesło do księdza, zanim zniżonym głosem tak dalej ciągnął:

— Przed laty siedemnastu, troje nas tylko było rodzeństwa O'Gradych: dwóch braci i siostra... Agnieszka. Ja, najstarszy, tu z żoną, ś. p. Katarzyną, uprawiałem ojcowiznę; brat, Józef, dorabiał się jako tako handlem rogacizny po hrabstwie i mieszkał w Dungarvan; a że był bezzenny i w domu nie wiele mógł pozostawać, więc zabrał ztąd do siebie siostrę naszą... Agnieszkę, młodszą od siebie o lat dwanaście, a odeszła — blisko lat dwadzieścia. Agnieszka była rządna i oszczędna, już weselszej dziewczyny teżby trudno znaleźć, co by się kontentowała gospodarstwem i o zabawach nie myślała — choć... dał jój Pan Bóg wielką urodę i krew gorącą... Żyli więc sobie tam oboje — brat Józef nieraz całymi tygodniami nieobecny w domu, chodził za interesami po hrabstwie; a Agnieszka domu prowadziła w ładzie i porządku. Tak upłynęło kilka miesięcy zimowych... Razu jednego, doszedł mnie list od Józefa — pamiętam, że to było w sam Wielki czwartek, bo brat aż do onego czasu nigdy do mnie nie pisał, a potem... już coraz częściej i częściej listownie się mnie radził... W pierwszym więc liście dawał mi znać, że będzie się musiał oglądać za żoną, bo już dobrze zrozumiał, jako Agnieszce wpadł w oko młody chłopak jeden, uczeń adwokacki w Dungarvan... Ha! cóż nam było czynić? Nieboszezka żona moja odpisała za mnie i za siebie, poradziła siostrze ostrożność tylko, bo nam się jakoś nie widziało, żeby uczeń adwokacki myślał o włościąnskiej dziewczynie... Do brata pisaliśmy więc osobno, żeby się dowiedział, co to za człowiek... ten... Leary.

— Leary, Jan Leary! — zawołała Mylesowa — to ten sam, ten sam.

— Pozwólcie-no, mistress — rzekł O'Grady, wyciągając rękę ku staruszce — bo wy nie wiecie jeszcze, co to był za nędznik!... Żeby więc z długich dziejów powiedzieć pokrótce, ojeze Dooleyu -- brat Józef wywiedział się po mieście, że chłystek on nie wart był znajomości uczciwych ludzi, a tém mniej uczciwój dziewczyny. Bo to najmniejsze jeszcze złe było, że miał długów brzydkich i jak to mówią po uszy; że karciarz był i w zakłady wchodził z łotrzykami na każdym jarmarku i na wyścigach; że do kościoła nie chodził nigdy, a tylko płaczliwe prośby matki utrzymywały go u adwokata i grube pieniądze, jakie za niego płaciła — ale tu brat się przekonał, że łajdaczysko sprowadził hańbę w dom rzetelnego fermiera, niedaleko Dungarvan, uwiódł dziewczynę i tak tylko uszedł krwawej zemsty jój ojea, że biedna pani Leary wzięła niemowlę do siebie, a matkę wyposażyła i do Anglii posłała na naukę — gdzie ze wstydu i z zawodu nieszczęsne biedactwo rozum straciło i niedługo po... i niedługo zmarło!

— Powinien był brat wasz odmaskować przed Agnieszką takiego człowieka! — zawołał proboszcz.

— Uczynił to, ojeze Dooleyu, uczynił — i zabronił chłystkowi wejścia w dom. Przez jakiś czas zdawało się, że siostra, choć cierpiała okrutnie, jednak zerwała z Learym. Niedługo to trwało... Józef wrócił do interesów... musiał on łajdaczysko znaleźć jakieś wykręty przed Agnieszką, musiał ją do reszty opanować i omamić, bo kiedy brat pisał do nas znowu, nie widzieliśmy innój rady, jak sprowadzić siostrę do Topoli! Sam ją tu Józef przywiózł... na drugą noc — porzuciła nas, uciekła!

O'Grady przerwał i zwrócił oczy ku staruszce Mylesowój.

— Szukaliśmy po całym hrabstwie, szukaliśmy całymimi tygodniami daremnie... matka jego stąpiła do grobu z boleści, a on ani do jój łoża nie przyszedł, ani go przy pogrzebie nie widziano. Ojeze Dooleju, nieśmy o siostrze nie zasłyszeli, aż

przyszła do chaty w noc Zaduszną, w pięć miesięcy po ucieczce... przyszła z dowodem ciężkiej winy i swego wstydu! Nieboszczka moja schorowana leżała na górze; synowie obaj spali, tylko ja z Janem i z innym parobczakiem siedziałem w téj saméj 0to izbie, przy ogniu... czekaliśmy na doktora. Agnieszka stanęła między nami, niby widmo... ani po głosie, ani po twarzy ja, brat jój, bym jój nie poznał, gdyby nie słowa, które mówiła:

— Marcinie, to ja, Agnieszka, żona Jana Leary, a to... moje dziecko! Ratuj nas!

— Gdzie jest twój... gdzie Leary? — spytałem, a mrowie mi przeszło po kościach. Agnieszka wybuchła płaczem... Co ona mówiła, tegom sam nie rozumiał! Przysięgała się, że w samą chwilę śmierci ksiądz ich połączył małżeństwem... że Leary zaraz po ślubie ją opuścił, że potém ludzie jacyś wzięli litość nad nią niedaleko Clonmelu... dziecko przyszło na świat... Boże Wszechmocny! Mnie gniew porwał szatański, bom nie mógł uwierzyć, jak dotąd nie wierzę, żeby sprośnik wziął ją jawnie za żonę!... Nie chciałem słyszeć więcej, kazałem jój wyjść z chaty!... Jan dał jój kawał swojego chleba. Kiedy doktor zajechał, nieszczęśliwej w domu nie było... ale została w sieni dziecko. Ojeze Dooleyu, po doktorze przyszedł ksiądz, wasz poprzednik, z Panem Jezusem... nad ranem zostałem wdowcem. Ludzie, a nawet synowie, myśleli, że nieboszczka zakończyła w połogu — i tak niemowlę zostało! W południe tego samego dnia...

Głośne szlochanie Maryanny, stojącej w progu izby, przerwało dalszy tok opowiadania Marcina.

— W południe samo — odezwała się, łkając — juźcié i ktoby nie zaszedł do staréj Józefowéj Clancy w Tramore, jeno... *ok! wejrasthru!* ten błogosławiony Pat O'Grady, chłopczyśko, co niech mu święci Anieli pomogą za morzem!

— Maryanno Mac-Ghurrydhurry — mówi Pat — matka umarła!... i oczy mu się zalały.

— *Ok, acharu, acharu! machrij* — mówię ja — *ok*, biedne stworzenie, pewnie już z nieba świętego patrzy na swoje sieroty! A jużcie zasłużyła na chwałę niebieską — mówię — takiem długiem konaniem!

— Ojciec chce — mówi Pat — żebyś przyszła do Topoli ze mną!

— I pewnie, że pójdę — mówię ja — choć Marcin O'Grady nie da „czuwania“, że to niekatolickie zachowanie, chociaż znowu, z drugieji strony, tylko u katolickich ludzi w starej Irlandyi czuwają. Więc oto z Patrykiem O'Gradym weszłam pod ten dach, proszę łaski waszjej, ojciec wielebny, i już pod nim zostałam — chociaż znowu nie pod tym samym niby dachem, że to wtedy był łupkowy, a teraz słomiany, co téż ciepliej w izbach na górze i nie kosztuje naprawa — chociaż znowu z drugieji strony, strach więcej od ognia i szczury pod strzechą... no, ale, jak otom właśnie mówiła, zaraz ja widziałam, że biedne stworzenie na trzecie macierzyństwo święte nie umarło, bo... jużcie pewnie i sama ta błogosławiona kruszyna na dwutygodniowe mi się wyglądała, a ś. p. mistress Marcinowa wcale tak... nie była!

O'Grady otarł zwilżone oczy i ze smutnego zadumania wrócił do dalszych zwierzeń:

— Jakkolwiek więc ludzie i synowie moi sądzili, każdy uważał dziecinę za moją własną — chyba jedna Piotrowa Dogherty, co wiedziała o wstydzie Agnieszki, miała swoje myśli, ale ich nie odkryła nikomu... a Maryanna — możesz zostać w izbie Maryanno! — do téj chwili nie dała mi poznać.

— *Begorra!* a cóżby biednej dziewczynie i sierocie, co myślała, że missy była Józefowem potomstwem, mówić o takich rzeczach!

— Masz rację Maryanno — rzekł proboszcz — dobrześ sobie postąpiła! Nie każda dziewczyna prosta tyleby pokazała rozsądku i delikatności!

— Przed odjazdem Patryka do Ameryki — mówił dalej O'Grady — chcąc, aby sprawy nasze były w porządku, opowiedziałem mu całą sprawę o naszój Hessy, tém więcéj, że... ale te powody dziś już nie istnieją. Agnieszki nie widzieliśmy tu, i prawdę mówiąc, mniemałem, że ją Bóg zabrał z tego świata, kiedy ani o córeczkę się nie dopytywała, ani o sobie znać dała... a biednej dziewczynie nie wyglądało na długą żywot... Teraz wy, mistress Julio, opowiedzcie wielebnemu ojcu, co się wam przypomina o Janie Learym.

Maryanna znów się do drzwi zwróciła, ale O'Grady kazał jęj pozostać. Mylesowa otarła bolące oczy kawałkiem zmoczonego płótna.

— Wielebność wasza wie już — rzekła — o Piotrze, moim biedaku i o farmie naszój w Ballyglanie. Mieliśmy chatę obszerną, ha! no i jednego tylko Bóg dał aniołka, co się uchował... Tak bywało, każdój jesieni przychodzili goście, panowie z Dublina i z Belfastu, a my im wynajmowali izby w chacie — temu na tydzień, temu na miesiąc i dłużej. Jakaś zagraniczna królowa, czy cesarzowa *) przyjeżdża do naszego hrabstwa każdego roku i miała niedaleko miasta Kilkenny swój pałac i stajnie i psy do polowania, bo lubiła polować w starój Irlandyi. Ha! więc się ściągało gości ze wszystkich stron do hrabstwa i ludziska zarabiali na obcych...

— Póki brytańczyk — przerwał proboszcz — nie odstreczył od nas zacnej pani!

— Może mu się nie podobało, że zagraniczni poznawali się z nami i zaczęli rozumieć ucisk najezdника! — wtrącił O'Grady.

*) Austryacka.

— Ha! Bóg sam wie najlepiej — rzekła staruszka — ale to pewna, że nie jeden zły rok urodzajów myśmy w Ballyglanie przeżyli spokojnie z zarobku na gościach. Jednego dnia, przyjechał młody panicz i najął dwie izby od strony ogrodu. Mieszkał z nami i do stołu siadał, ha! tośmy go oboje dobrze znali i nie widzieli w nim niczego złego. Mówił, że się na prawnika uczył — więc w izbie jednej miał książki i tam najczęściej wysiadywał; mało kiedy wychodził do miasta, a do parafialnego kościoła we wsi, to już codziennie regularnie szedł przed śniadaniem — we święta i niedziele dwa razy.

— Obłudnik! — zawołał O'Grady, — a ksiądz zapytał jakie było młodzieńca nazwisko.

— Ha! toż mnie się, proszę wielebności waszój, nazwisko jego przypomniało, jakby cudownie, kiedyś raz ostatni widziała mojego Mich... ale cyt! Leary, Leary, proszę wielebności waszój — Leary... Paniczysko smutny bywał i tylko nad temi książkami czas pędził i z Piotrem wieczorami fajkę kurzył i gawędził. Ano, Piotr mi jednej nocy powiedział, czemu Leary był smutny... Chłopczysko ożenił się — tak Piotr mówił — bez pozwolenia rodziców... już pięć miesięcy był żonaty, a rodzice mu nie chcieli darować! Więc też w mieście, w Dungan, nie mógł żonki utrzymać — ha! no i pytał Piotra, czybyśmy za trochę więcej zapłaty przyjęli ich oboje, ażeby on, Leary, znalazł posadę w Dublinie i własny mógł żonie przygotować kącik... Myśmy się zgodzili, bośmy uwierzyli i ani nam jedna myśl się nie narzuciła, żeby w Janie Learym złe było. Niedługo potem przyjechała ślicznotka... mistrees Agnes przyjechała — a od pierwszego dnia zaraz biedactwo do nas przylgnęło i myśmy ją pokochali, jak młodszą siostrę. Potem — ha! tak, potem Leary odjechał, mówił: do Dublina po posadę. Dwa miesiące mistrees Agnes czekała i płakała za... swoim

mężem, bo raz jeno pisał, a potem niceśmy o nim nie slyszeli... O! o! ale — cyt!...

Staruszka siliła się do mówienia, ale napróżno. Okropne wspomnienie stanęło widać żywo przed jój pamięcią, bo roz tworzyła oczy szeroko, utopiła je bezwiednie w twarzy proboszcza i poruszając głową gwałtownie, milczała.

Milczenie to trwało długą chwilę. Cień półobłąkania zatrzymał się kilkakrotnie na rysach staruszki, walcząc z moralnym ubezsilnieniem, lecz choć nie ustąpił całkowicie z jój oczu, pozwolił jój nakoniec rozpocząć opowiadanie straszliwej sceny — ewikyi Piotra Mylesa z Ballyglanu.

Raz już przedtém slyszeliśmy Julią, opowiadającą bezprzytomnie straszny epizod w jój życiu — dlatego szczegółów powtarzać nie będziemy. Okropność brutalnego postępku szeryfa, nieoszczędzającego nawet matki, przypawiła Piotra Mylesa o stratę rozumu i zabiła niemowlę przed narodzeniem — a komisarz sądowy usprawiedliwił szeryfa, powołując jako powód surowości barbarzyńskij — zapadły koniec dzierżycielstwa.

— Cóż się stało z Agnieszką? — zapytał proboszcz, gdy staruszka, skończywszy pełną zgrozy opowieść uspokoiła się nieco.

— Dragoni ją pierwszą wyciągnęli z łózka... téj nocy... Piotr mój biedak, był w sieni na dole... bronił drzwi od mój jój izby... przeszła koło niego, wyszła z zawiniątkiem... i już nie wróciła. Nas dwoje z Michałkiem dobrzy sąsiedzi zabrali i dawali strawę, póki jój było... Kiedy przyszły nieurodzaje, ha! poszliśmy do przytułku i tam pracowali o głodzie i w chorobach przez długie lata, aż wrócił Michałek i dał, co mógł... chałupkę na bagnach — niech go Bóg Miłosierny błogosławi!

— Zmusił go urząd hrabski, kiedy sam niegodziwiec osiadł w Knyveton u plenipotenta — szepnął O'Grady na ucho,

a potem rzekł głośno: — Oto ojeze, wszystko, co nam wiadomo o nieszczęśliwej matce naszej Hessy, aż do tego listu z Tobermore.

— *Begorra!* ja tam o żadnym liście nie wiem! — zawołała nagle, przerywając, Maryanna, ku niemałemu zdziwieniu Marcina i proboszcza. Ale, *musha!* czas też pewnie, żeby biedna, niewinna sierota powiedziała, po co szła w świat między ludzi, czego szukała i co znalazła! I żeby nie piszczygłós psiawiara. . .

— Szszsz! Maryanno — odezwał się proboszcz, poskramiając zapęd dziewczyny.

— A jużćić, żeby nie on, jużby wielebna łaska wasza wiedziała i wy, ojeze O'Grady, i wy, mistrees Mylesowa. Chociaż znowu, z drugiej strony, lepiej tak, że biedna dziewczyna dowiedziała się od kompanii o tém, z przeproszeniem kompanii, paskudnym bydlaku, Learym, że to prosta i głupia niewiasta zrozumiała teraz, *agra*, co w Clonnelu słyszała.

— W Clonnelu? A po coś ty tam zachodziła? — spytał O'Grady.

— Jużćić pewnie możecie się dziwować, ojeze O'Grady, na co się ja wywlekła tak daleko, co dalej nie wędrowałam, jak do Waterford i do Tramore przez roków cztery i trzydzieści... bo chociaż znowu matka moja, dziś ze świętym ojcem Patrikiem w Bożej chwale, na tydzień przed mojem grzesznem narodzeniem szła z Bonmahon do Lismore, to pewnie przecie ja o tém nie wiedziałam, więc *acbaru* honornu ztąd nie nabrałam. Ano, żeby długo nie paplać, bo. . . niby, jakem to właśnie mówiła, *dhuishla machrij*, anioł stróż panienki naszej tak sprawił, że bez woli swojej dosłyszała kruszynę rozmowy dwojga osób, co to nie potrzeba ich nazywać po imieniu, i zapamiętała sobie w téj głupiej oto pamięci, że matka panienki chorowała niedaleko Clonnelu, że ojciec a niby nie ojciec był Jan Leary

i że ślub był przed śmiercią. . . *Begorra!* poszłam do Clonnelu, bom sobie myślała, że to juźcić pewnie ani nie po katolicku, ani po jakiemu, żeby aniołek taki, niby missy Hessy, nie miała czarnego na białém, że się narodziła z matki i z ojca! Chociaż znowu, z drugiej strony, wiedziałam, żeście wy, ojeze O'Grady, za nieczyje ją dziecko jeno swoje podali do urzędu, jako sierotkę przybraną; to jednak, *wejrasthru*, dla waszego spokoju i honoru missy między ludźmi, poszłam szukać po kościołach dokumentnego pisma, coby na niém było napisane Agnieszka O'Grady i Jan Leary.

— Szukali inni przed tobą a nie znaleźli w regestrach! — rzekł O'Grady z goryczą.

— Juźcić, *begorra!* nie naieźli, bo. . . w książkach nie było! Nie było u św. Jana, nie było u św. Brygidy, nie było u przewielebnych ojców Dominikanów, nie było, *musha*, ani w protestanckim. . .

— Gdzie? — zapytał proboszcz.

— We zborze, proszę łaski wielebnego ojca! — wyjaśniła Maryanna, spluwając za siebie. Tak juźcić pewnie i cóż biedna, niewinna ja sierota zrobiła, jeno szłam od jednego wielebnego ojca do drugiego wielebnego ojca i pytałam pokornie: Ojeze najwielebniejszy, mówiłam, a powiązaliście wy kiedy we święte ożenie dwoje ludzi katolickich, co to jednemu było Leary, Jan Leary, a drugiemu O'Grady Agnieszka? Jeden za drugim ojcowie wielebni: Maryanno Mac-Ghurrydhurry — mówili — jeżeli tych nazwisk nie ma w książkach, to my nie pamiętamy. Ale u św. Brygity, *magharne!* młodusięńki ojciec wielebny, mówił tak: — Ano, ja — mówił — nie pamiętam i w książce nie ma; ale przedemną tu był ojciec Patryk O'Riordan, co umarł przed ośmioma rokami w bardzo błogosławionej starości. Kiedy to się ci ludzie pobrali? Temu będzie roków dziesięć i sześć, albo siedm, mówię ja. To chodźmy do zakry-

sty — mówi ojciec. W zakryście, młodusięki ojciec wielebny patrzył po książkach, a jużcić co... jeno jak wziął jedną świętą książkę i temi księżemi oczami, zaczął szukać bardzo wolnie na pierwszej karcie papieru, tak, *wejrasthru*, poczerwieniał cały i do biednej, niewinnej dziewczyny odrazu tak: Tu ktoś fałszerstwo uczynił! — powiada. Ano, jakem to właśnie mówiła. kościelny stał przy oknie, a nauczyciel w kościele dzieci śpiewać uczył. Tak, wielebny ojciec zaraz zawołał: Panie Grundy! Idę zaraz! odkrzyknął nauczyciel i przyszedł podle mnie. No, *acharu*, proszę łaski waszjej i co myślicie, że znaleźli obaj nauczni? Niby to, że trzy pierwsze zapisy na tej książce nie tak samo były pisane, jak wszystkie inne za życia błogosławionego ojca Pata Riordana w tej książce i w tych, co były najprzód!

Wszyscy troje, proboszcz, Marcin i Mylesowa, słuchali z nateżoną uwagą, co też nie uszło uwagi zadowolnionej Maryanny.

— Więc, jużcić pewnie, mówił nauczyciel, któryś człowiek z parafii pisał za ojca proboszeza. Już też miał nauczyciel iść do urzędu i pytać, kiedy młodusięki wielebny zakrzyknął: ho! dla Boga! patrz tu, panie Grundy, tu karta pierwsza wydartą, bo — mówił — okruszyna papieru ztąd wypatruje, a tam dalej w książce jedna karta wylatuje! *Acharu dhuishla*, jużcić pewnie ja tylko po głosie wielebnego ojca poznałam, że któryś złodziej świętokradzki zrobił na książce uczynek, bo taka głupia, niewinna sierota nie może, *begorra*, rozumieć, czemu by jedna karta brakowała, kiedy druga wylatuje, ale tak było, jako rzetelnie mówię.

— No, i cóż potem? — przerwał, niecierpliwiąc się, O'Grady.

— I cóżby było, jeno, jakem to właśnie powiedziała, wielebny ojciec młodusięki wziął mnie biedną dziewczynę na pro-

bostwo, pytał się o to i o tamto, chociażem na świętej spowiedzi, zaraz w zakryście, jak tylko nauczyciel wyszedł i kościelny, zrobiła wyznanie z wielkich grzechów całego mojego życia, *acharu* — nie żebym chciała odpustu jubileuszowego, że to takiego nawet tego lata nie ma, ale żeby kapłanowi świętemu pokazać, jaka to biedna, grzeszna sierota jest z katolików i można jęj zawierzyć wszystko — ano, jakim to właśnie powiedziała, wielbny ojciec pozwolił mi zostać na probostwie całe dwie niedziele, z babunią gospodynią, we świętych dostatkach i takim duchowném nabożeństwie, że już, *magharne!* drugi raz w życiu takiej jak ja się głupiej pewnie nie dostanie, chociaż znowu z drugiej strony...

— A potem, po całych dwóch niedzielach, co się stało?— spytał znów O'Grady.

— Jużcié co, jeno znaleźli wszystko między ludźmi w mieście i pod miastem, gdzie się narodziła...

— Kto? — razem zawołali: proboszcz z Marcinem.

— Pewnie nie kto inny jeno to nasze złotko, a skowronek niew...

— Hessy?...

— Sama missy Hessy, proszę łaski waszej i was, ojcie Marcinie O'Grady z Topoli, sama nasza missy Hessy — dodała Maryanna z dziwnym i rosnącym naciskiem — córka biednej, niewinnej, a już pewnie dziś świętej Agnieszki O'Grady i ślubnego jęj męża, którego przy świadku zapisał błogosławiony ojciec Patryk Riordan, na nowej książce, a mąż ślubny i świadkowy nazywał się...

Tu zatrzymała się Maryanna, nabrała powietrza do piersi, obejrzała się po izbie i wymówiła głośno trzy imiona: Jan — Artur — Gandy!

V.

Cofnijmy się myślą do owego poranku, kiedy plenipotent Gandy zatrzymał swego konia przy bramie tramorskiego pałacu.

Mitchell, który dopiero przed kilku godzinami przejrzał tajemnicę papieru spalonego, otworzył bramę, przytrzymał cugle wierzchowca i odprowadził go do stajni, nie zamieniwszy ani słowa ze swoim panem. Koń był spieniony, nogi miał obryzane błotem, choć dzień był pogodny i drogi suche, — boki pokaleczone ostrogami. Stary kawalerzysta wytarł derką zziąbane zwierzę, podesał wiecej słomy w przedziale, nasypał owsa z grochem do żłobu, litując się nad koniem, tak niemiłosiernie spędzonym i — oburzony folgował wezbranemu swemu uczuciu przez różne mrukiwe uwagi.

— Po moczarach i po torfowisku pędził! to widać... pewnie po doktora do Waterford jechał, albo do kancelaryi — może i tam zostawił jaką spaleniznę!... Mądreś ty bydle, mądre, mój ty Ali Baszo! ale przy całym twoim pogańskim rozumie nie wiesz, co to naszego sułtana gnało tak po bagnie na twoim grzbiecie!... Bo to, widzisz, u nas tu inaczej, jak u was... no! i niewiasty téż innego są rychtunku!... Ten łobuz effendi, w któregoś się ty stajni narodził, może sobie być trzysta sześćdziesiąt i pięć razy żonaty... a nikt mu się nie sprzeciwi i babinki podobno same rade są, kiedy ich jest kilka plutonów w kupie... Ale w kraju chrześcijańskim! to już nie uchodzi wcale! Odpocznij ty sobie, pójdę do kapitana, może mu czego potrzeba... to i lepiej, żeby mnie miał na warcie!...

Zbliżając się do ganku, spostrzegł słabe światło w górném oknie więzyczki.

— Pewnie i koczodon wartuje — rzekł, sapiąc w wąsy. Dałbym pięć lat żołdu, żeby wiedział nad czém tam ona

z djabłami parlamentuje! Już ci oni ją na niego nasadzili, nie mogąc mu sami poradzić!... no, i jest! Sprowadzili z urlopu mistress G. numer pierwszy... tak i mistress G. numer drugi weźmie chyba absyld — więc tedy koczkodon... hola!

Miał właśnie zarygłować drzwi od ganku, gdy usłyszał poza sobą czyjeś ostrożne kroki i szelest sukni. Obejrzał się i stanął oko w oko przed panną do towarzystwa, ubraną jeszcze, jak nią była w salonie szlachtetnej Horacyi.

— Pani chce wyjść? — zapytał, otwierając na rozcież ganek.

— Wyjść! — odburknęła półgłosem, obrażona. Czy doktor przyjedzie?

— A przyjedzie, proszę pani, przyjedzie.

Mitchell wprawdzie nie wiedział, czy posłano po lekarza, ale uznał za stosowne nie dopuścić podejrzeń.

— Kto jechał po doktora?

— Kto jechał?... Posłaniec jechał!

— Czy kapitan śpi?

— Kapitan?... o! od trzech, czy czterech godzin!

— Widziałam światło w bibliotece — rzekła miss Wyatt, zwracając się w tę stronę, proszę więc iść zapytać posłańca, kiedy doktor przyjedzie. Czekam w bibliotece na odpowiedź. Kamerdyner zaskoczył jęć drogę.

— Do biblioteki, proszę pani, nie można... nie można teraz, bo... bo kapitan tam sobie dziś kazał usłać... na sofie i... śpi, proszę pani, t. j. czeka na doktora!...

Miss Wyatt przymknęła powieki i podniosła brwi z wyrazem zadziwienia. Mitchell kłął w duchu „koczkodona“, czując wielką potrzebę trzymania się na baczności z każdym słowem.

— Niepotrzebnie się kapitan trudzi — wycedziła miss Wyatt — ja się z doktorem zobaczę, skoro tylko przyjedzie. Kobieta nie powinna już teraz obchodzić pana Gandy!

— O wcale nie! wcale nie! — odparł Mitchell, odwracając twarz od wdzierającego się przez okna ganku promienia księżycowego... Kapitan już pewnie zapomniał o... o téj biednej kobiecie — a jeszcze waryatce!

— Waryatce! — zawołała z oburzeniem miss Wyatt, zapominając o ciszy nocnej — waryatce! a z kądem, proszę, Mitchell wnosi, że ta kobieta jest waryatka?

— O! ja tak tylko... t. j. ja wiem — od dawna — od bardzo dawna... ja...

Panna Wyatt milczała, świadoma złotej wartości milczenia w podobnej okazji, kamerdyner urwał jednak rozpoczęte zdanie, zamknął usta i — równocześnie ganek.

— Czy Mitchell może powiedzieć, kto jest ta kobieta? — zapytała teraz miss Wyatt, stawając w progu przedsionka...

— A gdybym mógł? — odparł grubiańsko.

— Należałoby powiedzieć, by nie dać miejsca plotkom. Służba słyszała krzyki kobiety, imię — tyle razy przez nią wymówione...

— Jakie imię?

— Jan!

Gdyby miss Wyatt mogła była dostrzedz nagłą zmianę na twarzy kamerdynera przy tym wyrazie, toby ją utwierdziło w przekonaniu o słuszności jej podejrzenia. Mitchell, uderzony w téj chwili nową myślą, przybrał atoli minę — nie już zakłopotaną, lecz iście tryumfującą! Zdawałoby się, że i jemu w téj chwili rozwidniło się w umyśle, że i on zrozumiał, jakiego to rodzaju plotki muszą oczywiście powstać z wypadków ostatniego wieczora... lecz, że dostatecznie posiadał zaufanie kapitana, by móżdżek stawić czoło wszelkim następstwom, nie krył się bardzo z wrażeniami, jakie to wszystko na nim robiło. Miss Wyatt nie spostrzegła przecież dziwacznej gry rysów w otwartej twarzy żołnierza, a natomiast przydłuższe jego milczenie

zdawało się mówić przeciw z góry powziętym wnioskom jój rozumowań.

W ten sposób jedna chwila wywołała w umysłach obojga wręcz przeciwne wnioski; chwila następna mogła je rozwiązać lub utrwalić. Ku niemałemu zdziwieniu obojga, Gandy sam rozstrzygnął kwestyę wątpliwą.

VI.

Plenipotent nie był tej nocy w mieście. Wyjechał był wprawdzie, z zamiarem wysłania telegramu z Waterford do jednego z wojskowych lekarzy, przyłączonego do głównego sztabu w Cork; lecz umysł jego, rozdrażniony do najwyższego stopnia, niezdolny do chłodnej refleksyi, przedstawiał wyobraźni jego wszelkie możliwe następstwa odwiedzin lekarskich... A nuż w obecności doktora, konstatującego stan umysłowy Agnieszki i przekonanego o jój chwilowém moralném wstrząśnieniu, chora wyraźniej jeszcze zdradzi okropną tajemnicę?... A nuż ją wyleczy?... Rana jój jest prostém tylko draśnięciem kuli! Samo bowiem spotkanie i sama scena popołudniowa powaliły ją na łożo i... bezwątpienia chwilowo sprowadziły zamieszanie władz umysłowych, — zamieszanie nieznaczące, jak on, Gandy, najlepiej to rozumiał!?

— A jeżeli... jeżeli skończy! Czyż i wtedy nie będzie poszukiwań, śledztw, mogących mieć stokroć gorsze następstwa! Cóż — jeżeli nazwisko panięńskie Agnieszki dojdzie do uszu Marcina O'Grady? Cóż wtedy pocznie? Co pocznie dumna rodzina Horacyi? Jakiż będzie los jego dalszy? Jaki los syna!...

Jeżeli jednak śmierć zakończy straszliwy dramat siostry O'Gradego... a tajemnica pozostanie zamkniętą — ha! natenczas

przed ludźmi, przed żoną, przed synem cześć jego pozostanie nieskażoną!

Myśl czarna zamroczyła mu wyobraźnię... Gandy wzdrygnął się, wyszedł, siadł na konia, spiął go ostrogami i z gościńca skierował na torfowisko. Ali Basza przesadził rów gładkim skokiem i począł ryć kopytami grzesłą, czarną ziemię. Kapitan nie zważał na niebezpieczeństwo licznych dołów i trzęsawisk; oczy wyteżył w ciemną dal przed siebie, jak gdyby w niej chciał wysledzić widmo najbliższej przyszłości, puścił wodzę Alemu. Przemysłny koń parł naprzód coraz powolniej, co kilka kroków chylił łeb i chrapami dawał głośne oznaki niepewności, ilekroć wążka smuga ziemi ubitej schodziła nagle w bok niepewny. Księżyc jeszcze się nie był ukazał na lazurze niebios — a tu o pięć kroków niepodobna było niczego przed sobą dojrzeć a tém mniej odróżnić.

Gwałtowne uderzenia krwi oraz i przyspieszone tętno pod skroniami zdawało się rozsadzać czaszkę kapitanowi.

Nagle z wezbranój jego piersi wydobył się głos głęboki ochryply:

— Nie, tego nie będzie!... Grzechów młodości zbrodnią nie pogorszę! Bo zresztą... niebezpieczeństwa nie ma! Ha! ha! ha!

Zaśmiał się z wysileniem i goryczą.

— O'Grady nie wie — Leary... to człowiek, którego ani razu nie widział w życiu. Jedyne dowód zniszczony — świadectwo spalone... a tamto, w księżde kościelnój, wydarte bez poszlaki przed siedmnastu laty! Ha! ha!... Józef O'Grady nie żyje. Leary zatracony!

Chłodniejsze myśli cisnęły się teraz równie tłumnie do głowy kapitanowi, jak przed chwilą najgorsze przypuszczenia obszczały jego wyobraźnię. Koń postępował coraz mozolniej, przystawając nieraz i oglądając się w bok ku szosie. Gandy pu-

ścił mu zupełnie cugle. Popróbowawszy więc kilka razy, czyby nie można zawrócić, Ali Basza zatrzymał się ostatecznie w miejscu, gdzie drożyna była nieco szersza — i prawie nieznacznym, podstępny ruchem w prawo zawrócił.

Plenipotent przeniósł się pamięcią do podobnej okolicy bagnistój w pobliżu miasteczka Clonmel, na pograniczu hrabstw Kilkenny i Waterford.

— Ten ksiądz stary dawno nie żyje... a choćby żył, wszakże wtedy dzieckiem był niemal... ani nie spamiętał nazwiska! Fatalność to była niepojęta, że w chwili stanowczej ręka moja bezwiednie podpisała nowe nazwisko! Czyta się o takich rzeczach — i wierzyć niepodobna!.. Ale ona nie wiedziała — konała... dziś, wszystko jedno — nawet lepiej!

Zamyślił się.

Od razu, jak gdyby gromem olśniony kapitan ściągnął cugle, aż koń dęba stanął, — i — nieludzkim prawie głosem rzucił straszne przekleństwo...

— Jeżeli ona... ona się śmierci wydarła, więc — gdzie jest dziecko?! Na imię szatana! W ciąży była i w ciąży się pasowała ze śmiercią! ocalała... jest gdzieś, żyje dziecko!

Z okropnym bluźnierstwem usta jego wylały potok złorzeczeń na własną ślepotę i na okalające go zewsząd niebezpieczeństwa. Jak obłąkaniec począł smagać konia szpicrutą, szarpać uzdą i wbijać mu w bok ostrogę, aż biedne zwierzę, siłąc się daremnie zrzucić okrutnego jeźdźca, eszalałe z bólu, oszalone, zarżało głośno i boleśnie — i na ślepo jak na śmierć, rzuciło się wyciągniętym galopem na bagna... Kawały błota padały na odzież kapitana i przelatywały nad jego głową — błoto mu obryzgiwało twarz i ręce, on nie czuł, nie widział, nie zdawał sobie sprawy z niczego, nie myślał... Koń ściśnięty nerwowo kolanami jeźdźca, rwał kopytami coraz dłuższe pasy torfowiska, pędził — spiononą piersią prac zrywający się wicher,

coraz szybciej i coraz obłądniej... Kapitan niby zrosły z rumakiem, zacisnął zęby ze zgrzytem, zamknął oczy i przykulił się do grzywy.

Ali Basza dopędził końca torfowiska. Ztąd grunt się wynosił stopniowo, pokryty gęsto paprocią. Poczawszy twardą pod kopytami ziemię, Ali Basza zarzął powtórnie — jeżeli rzeniem nazwać można głośne rżerzenie spracowanych i wyschłych płuc, i... zawrócił na torfowisko! Nieszczęśliwe, lecz szlachetne stworzenie czuło nieugiętą nad sobą wolę człowieka, chociaż człowiek zaniechał jęć użyć w tej chwili; instynkt dał poznać Alemu, że jego pan nie pozwolił mu wrócić na bezpieczny gości-niec — instynktowo zawrócił więc na moczary... ale pęd jego był coraz słabszy, wysilenia coraz trudniejsze; po niejakiem czasie kroczył znów zwolna, znów śledził za ścieżyną. Klęby pary buchały z całego jego ciała, pokaleczone boki ściągały się bolesnym drganiem.

W zwierzęciu górę wzięła rasa szlachetna nad dzikiem rozprężeniem przyrodzonych przymiotów. Człowiek jeszcze współprytomny podniósł się w siodle i znów się zdał na wolę konia, ale przez zaciśnięte dotąd zęby wysyczał z intonacją nieokreślonej i bezgranicznej nienawiści jedno imię i jedno nazwisko — Marcin O'Grady.

I znowu zamyślił się, napozór spokojnie. O czém myślał?

W szalonym pędzie konia, gdy powstający wichur zerwał ciemne obłoki niebios i przed oczyma kapitana przesuwały się chaotycznie fantastyczne formy chmur w szarawo lśniących kałużach i wodach moczarów, odwołane z przeszłości widmo konającej kobiety wskresiło nagle, z błyskawicznym odbłaskiem — twarz matki w twarzy dziecięcia, twarz Agnieszki w rysach twarzy przybranej córki Marcina O'Grady.

Raz jeden w całym ciągu swego zarządu spotkał się plenipotent z wychowanką Topoli, było to w okolicznościach, nie

zapomnianych może przez czytelnika, opowiedzianych na wstępie powieści. Wówczas już maleńka Hessa mogła była zwrócić na siebie uwagę kapitana, gdyby kapitan nie był pod władzą roznamiętnionego gniewu... Teraz myśli jego, podniecone gorączką, zawieszono na jedynym możliwym mścicielu Agnieszki, rozdarła błyskawica piorunującego objawienia! Gandy zrozumiał wszystko — a przywidział sobie jeszcze nieskończenie więcej!...

Przygnębiony, lecz oceniający wszechstronnie swoje położenie, sam skierował konia na gościniec. Stanąwszy tam, zawahał się, miałże jechać do Waterford, lub też wrócić do domu?...

Ali Basza stał spokojnie. Nieznacznie łeb zwracając ku miastu i strzygąc uszami, począł wietrzyć coś i chrapać... Równocześnie plenipotent obejrzał się niespokojnie na okół i nozdrzami wciągnął silnie powietrze.

Swąd jakiś dziwny, moeny, przykry, stopniowo coraz nieznóżniejszy, jak gdyby pochodzący ze spalonej zgnilizny, dał się czuć coraz wyraźniej od strony zachodu.

Plenipotent poklepał konia po karku, świsnął szpicrutą w powietrzu...

— Nie potrzeba doktora! — zawołał — ani diabła, ani... Jedźmy do domu, Ali Baszo! Za trzy miesiące nie będzie O'Gradych w Irlandyi!

VII.

Zanurzony w głębokich myślach, Gandy zbliżył się do Tramore. Ali Basza postępował wolnym, zmęczonym krokiem. Znajdowali się w miejscu, naprzeciw którego wznosiła się z pomiędzy czarnego gąszczu traw i krzewów starożytna turma

św. Kolumbana. Dokoła — na gościńcu i po obu jego stronach — panowała cisza zupełna, przerywana regularnym odgłosem przypływających fal oceanu, noszących z sobą gęste ławy wybrzeżnych kamyków i morskich powoi.

W jednostajnych ciemnościach, otulających krajobraz eady, szarzał tylko prosty pas gościńca. Kapitan zatrzymał konia — i raz jeszcze obrócił się ku pagórkom...

Ztąd już słabiej dał się czuć ów swąd ostry, nieznośny.

Nagle Ali Basza parsknął i w bok się zatoczył... w rowie, podłe gościńca zabłysło światło i znikło natychmiast, z rowu wyczołgał się człowiek jakiś, niskiego wzrostu — stanął na środku gościńca i czekał.

Kapitan ściągnął cugle wierzhowca i w jednej chwili wy dobył z olster rewolwer.

— Stój! — krzyknął na głos...

— Stoję! *your honour* — odparł nieznajomy i uchylił kapelusza.

— Czego wam potrzeba?

— Przestrzec pana, panie kapitanie Gandy...

— Kto wy? — zapytał plenipotent z palcem na cynglu i zwracając konia bokiem, by rozeznąć twarz człowieka. O ile mógł dostrzec, był to młody wieśniak, chłopiec niemal. Trzymając się bacznie na ostrożności, schylił się nieco z konia i utopił bystry wzrok w oczy nieruchomego i milczącego człowieka.

— Connor! — zawołał nakoniec kapitan.

Zagadnięty po nazwisku wstrząsł się, obejrzał dokoła i nieobracając się od plenipotenta, cofnął się do rowu. Gandy skierował za nim konia.

— O na Boga! *your honour*... żeby nikt nie słyszał!...

— Co chcesz powiedzieć?

— Niech się pan kapitan nie pyta o nic więcej, jak powiem... *your honour* — mnie nie zdradzi!..

— Mów, nie bój się — o czym mnie chcesz przestrzec?

Connor — a był to ów młody towarzysz „chłopców“ o piskliwym głosie, któregośmy raz już poznali w turmie świętego Kolumbana — obejrzał się powtórnie, podniósł się na palcach ku kapitanowi i drżącym głosem wyszeptał te słowa:

— Chłopey się ruszają. Zaczną w lipcu. Naznaczyli, kogo „odstawić“... *your honour* jest na „czarnym spisie“... w lipcu! w lipcu, *your honour*!

— Zkąd ty to wiesz?

Connor wskazał ręką na turmę poza sobą, skoczył do rowu i zniknął, tylko szelest suchych liści po bokach rowu i plusk wody oznajmił, iż się oddalił spiesznie w kierunku miasta Waterford.

Kapitan postął chwilę na miejscu: rysy jego twarzy zdradzały zadziwienie raczej aniżeli niepokój; oczy miał zwrócone na ciemne kontury okrągłej wieży.

— Jeżeli to prawda — rzekł zeicha — to... to byłoby należycie pojmuje sytuacją... Bo tak będzie, a nie inaczej, gdziekolwiek tylko przyjdzie nam w pomoc „czarna choroba!“. Potwórzmy to, co zaczęli nasi poprzednicy w r. 48ym — tylko nieco radykalniej: nauczeni doświadczeniem i wsparci... ha! ha! nowszymi wynalazkami Trench'a! Dziwna rzecz, do jakiego stopnia to było jest obdarzone przenikliwością!... A więc „naznaczyli“ mnie! *All right, my boys!* zobaczymy! Tymczasem — ten swąd przypomina porę umizgów wilka w owczej skórze! Ha! ha!

I zawrócił wierzchowca ku miasteczku. Ale nie przestał rozmyślać nad przestroga.

— Ten chłystek, Connor... dzieciak, to jeden z nich; zmiękło ścierwo! Wskazał na turmę... dobrze to spamiętać! Ale...

uprzedził Mylesa! Więc pewnie jutro rano dowiem się czegoś więcej od Mylesa... Głupie by było! przy całej swój przenikliwości strasznie głupie by było!

Zaledwie wymówił z uśmiechem ostatni wyraz, huk wystrzału rozdarł ciszę nocną!... Ali Basza niemal zawinął tylne nogi pod siebie i stanął dęba, lecz silną ręką kapitana zwrócony na prawo, zarżał i stanął jak wryty. Mimowoli jednak, Gandy dał mu ostrogi i pospieszył klusem na miejsce, gdzie się spotkał z Connorem. Przybywszy tam, zatrzymał konia i jak daleko mógł dojrząc patrzył na gościniec. Potem z wolna, stępa, krok za krokiem, jechał wzdłuż rowu.

Dojeżdżał do zawrotu, gdzie gościniec przecięty był mostkiem kamiennym, gdy Ali Basza począł się cofać i dawać oznaki zaniepokojenia. Tęj samej chwili z pod mostku wyszedł na gościniec człowiek jakiś i byłby niezawodnie oddalił się spiesźnie, gdyby go nie zatrzymał plenipotent, zajeżdżając mu drogę.

— Zkąd strzał? — spytał kapitan.

Człowiek spojrział na jeźdźca i przemówił kilka wyrazów po gaelicku. Kapitan widocznie zrozumiał, bo powtórzył pytanie, jak umiał, w tym samym języku.

— *Wejrasthrú!* — odparł przerażony gael — John Connor zabity!

— Kto?!

— John Connor. *Acharù, acharù*, wy, jeździec, spieszcie do Wielkiego Wybrzeża*) i sprowadźcie parobków; duszy w nim już nie ma! nie ma już w nim duszy!

— Gdzie ciało? zapytał Gandy, a śmiertelna bladeść powlekła mu twarz całą.

*) Tramore. Tra w irlandzkim narzeczu, tre w kornwalijskiem, znaczy „Wielki“; more — piasek wybrzeża morskiego.

— Pod mostem?

— A morderca?

— Nie wiem. *Ok*, i pewnie kiedym szedł drogą, w rowie... za zwrotem niby, coś pluskało po wodzie. Stałem i słuchałem... Potem przycichło. Znowu szedłem powoli, byłem o sto kroków od mostu... kiedy błysło mi coś w oczach — huk! i *wejrastrú!* prawie od razu skończył, bom już go pod mostem nie zrozumiał. Mm, jeno mma jęczał i usta roztwierał, potem krew mu usta zalała i skończył... i dusza z niego wyszła! Wy, jeździec, spiescie do...

— A morderca! Z której strony zabłysło?

— Z téj — rzekł świadek śmierci Connor'a, wskazując na pagórki, z których na najwyższym stała turma św. Kolumbana...

Gandy, który słuchał z wytężoną uwagą słów gaela, przekonany, iż przyjdzie mu, jako sędziemu pokoju, użyć ich przeciwko jemu samemu, zeskoczył z konia i uchwycił go silnie za rękę.

— Strzeż się, co dalej powiesz — zawołał — jestem sędzią pokoju... aresztuję cię!

Ku niemałemu zdziwieniu kapitana, człowiek nie uczynił najmniejszego ruchu, by się uwolnić; powiedział tylko:

— Zapomniałem! rzecz jasna — wy mnie posądzacie!

Gandy, nie odpowiadając, związał silnie cugłami łokcie rąk podejrzanego, przypatrzył mu się dobrze i głośno Ali Baszę; rzekł sucho i krótko:

— Próbuj uciec — a koń cię roztratuje!

Wziął potem rewolwer z odwiedzionym kurkiem w prawą rękę pomagając sobie lewą, zeszedł pod mostek.

Ciemność tu była zupełna. Plenipotent, brodząc po kolana w wodzie i błocie, zapalił woskową zapałkę.

Przy jój słabym świetle, rozpoznał postać nieruchomą nie-szczęśliwego Connora! Trup leżał oparty o niskie sklepienie mostu, przy drugim końcu, nogi miał zanurzone w wodzie. Naturalnie ciepło jeszcze nie opuściło ciała, lecz o śmierci nie mógł plenipotent wątpić, widząc otwartą ranę przy samój krtani, z której krew czarna sączyła i krzepła kałużą w odzieży. Ręce sztywne już były i lodowate; serce dawno bić przestało, a na rysach twarzy rozpościerał się coraz wyraźniej okropny wyraz śmierci.

Plenipotent wyszedł na gościniec. Gael stał przy koniu, nie zmieniawszy pozycyi.

— Jak się nazywasz? — zapytał Gandy.

— Wolałbym na to pytanie odpowiedzieć inną razą — odparł spokojnie nieznajomy.

— Dobrze! Pójdiesz ze mną na policyą. Będiesz szedł o dwie stopy przed koniem; jeżeli uczynisz krok jeden w prawo lub w lewo, albo dwa kroki za prędko naprzód, zgruchocę ci prawą nogę... tém! — rzekł Gandy i pokazał rewolwer.

Potém skoczył na siodło i poraz trzeci téj nocy zawrócił ku miasteczku.

W niespełna pół godziny stanął przed stacyą policyjną. Nieznajomy ani razu nie spojrział nawet w ciągu drogi ni w prawo ni w lewo. Szedł równym, rażnym krokiem; kapitanowi zdawało się, iż sprężystość takiego kroku nie odpowiadała zupełnie wiekowi i całej powierzchowności człowieka.

W bramie gmachu policyjnego stał konstabler. Poznawszy kapitana, zbliżył się i przytrzymał konia, rzucając policyjne spojrzenie na towarzysza.

— Bierz tego człowieka — rzekł Gandy, i wprowadź do kancelaryi!

W kilka minut później, przyszedł do kancelaryi inspektor okręgowy i zajął miejsce przed biurkiem, naprzeciw żelaznej

„klatki“, w której zamknięto podejrzanego. Kapitan stanął koło biurka i wobec kilkunastu konstablów, znajdujących się w izbie i stojących we drzwiach otwartych, zdał sprawę z samowolnego przyaresztowania gaela. Inspektor słuchał z głębokim uszanowaniem, należnym sędziemu pokoju. Kiedy Gandy skończył, policyant służbowy wziął ze stołu zatłuszczone i obdartą książkę regulaminów i rozpoczął zwykłą indagacją więźnia:

— Wasze nazwisko?

Ku niemałemu zdumieniu kapitana, który zapomniał dodać w swém zeznaniu, iż więzień po angielsku nie rozumiał, mniemany gael odpowiedział w tymże języku.

— Za wiele tu jest ludzi. To co mam do powiedzenia nie potrzebuje tylu świadków. Panie inspektorze, proszę o przesłuchanie mnie z jak największą ostrożnością.

— Odpowiadajcie na pytania! — zawołał ostro inspektor — a pamiętajcie, że cokolwiek wymówicie teraz, będzie przeciwko wam użyte w sądzie!

— Wasze nazwisko? — powtórzył służbowy.

Więzień nie odpowiedział. Odpiął kapotę, zdjął ją z siebie i podał jednemu z najbliższych stojących konstablerów, wielce zdziwionemu takim zachowaniem się „ptaszka“.

— Przyjacielu — rzekł potem — bądź tak łaskaw i rozpruj lewy brzeg kołnierza... tylko ostrożnie!

Ale konstabler nie wziął słów tych na seryo; patrzył kolejno to na inspektora, to na kapotę. Inspektor napisał coś na formularzu indagacyjnym i rozkazał służbowemu zadać drugie pytanie:

— Jakie jest wasze zajęcie?

— Znajdziecie je w lewym brzegu kołnierza! — rzekł więzień lakonicznie, wskazując na kapotę, którą konstabler złożył na baryerze klatki.

— Dalój! dalój! — zawołał inspektor.

— Gdzie mieszkać?

— W kołnierzu. . . — brzmiała odpowiedź.

— Gdzie znajdowaliście się w chwili aresztu?

— W kołnierzu. . .

Służbowy przekonany, że na wszystkie pytania jedną i tę samą otrzyma odpowiedź, zadawał je pośpiesznie, dla formy tylko. Więziń więc przestał odpowiadać, tylko palcem wskazywał kapotę, oczu nie spuszczał z inspektora; tenże zaś rzucił pióro, założył ręce na piersiach i argusowym (jak sądził) wzrokiem badał fizyognomią oskarżonego. Służbowy zadał ostatnie pytanie:

— Czy macie co do zeznania odnośnie do spełnionej zbrodni?

— Mam! — odparł energicznie.

— A więc strzeżcie się! — dodał służbowy i rzucił książkę na stół.

— Słuchajcie więc! — rzekł, uśmiechając się, podsądny. — W całym życiu moim nie zdarzyło mi się nigdy jeszcze widzieć tak nieregularnej procedury! Już też chyba w takim, jak ten, zapomnianym kącie posiadłości Najjaśniejszej Pani, agencji prawa publicznego mogą nie wiedzieć, że ich pierwszym obowiązkiem jest — sprowadzić *corpus delicti*, albo. . . ciało człowieka zamordowanego! Jedenastu łobuzów stoi tu i gapi się na mnie, oskarżonego, zamiast zaprzęgać do wozu i, co konie wyskoczą, jechać na miejsce spełnionej zbrodni! Panie inspektorze, to wstyd! Tyle mam do powiedzenia. Teraz wypuście mnie z tej maszyny i dajcie jeść. Pieniądze i resztę informacji znajdziecie w kapocie: pierwsze — w kieszeni; drugie — pod kołnierzem, pod koł-nie-rzem!

Tylko osłupienie inspektora i kapitana pozwoliło oskarżonemu skończyć dziwne zeznanie. Inspektor zzieleniał z wściekłości, bo istotnie popełnił błąd poważny, nie wysławszy swych

ludzi i doświadczonego agenta na miejsce zbrodni. Nie uważał jednak za stosowne zdradzić się przed podwładnymi.

— Zamknąć go do jutra! — zawołał. — Zmierzyć, zrewidować, dwóch na warcie stanąć w sklepie, dwóch w ulicy!

— Za pozwoleniem! — odezwał się kapitan. — Proszę wydać rozkazy i tym także, którzy jadą po... ciało — ten człowiek przypomniał panu pański obowiązek... no, i ja sądzę, że słusność wymaga, byśmy wiedzieli, czy sobie żartował z sytuacji — czy też...

— Panie kapitanie — przerwał oskarżony — zechciej pan sam się przekonać, że prawdę mówiłem, odwołując się do... kołnierza. Ci ludzie jeszcze śpią nawpół! dalibóg, cierpliwości braknie!...

Inspektor, którego coś nagle uderzyło w mowie i w ruchach więźnia, kazał sobie podać kapotę i sam rozpruł scyzorykiem gruby i szeroki jej kołnierz przy lewym jej brzegu. Z kołnierza wypadł twardy krążek zwiniętego papieru.

— Was dwóch panów i czterech najstarszych konstablów wystarczy przecież w tej izbie! — zawołał oskarżony. — Proszę odesłać resztę.

Zyczeniu temu stało się zadość. Inspektor wydał rozkazy zwiezienia ciała i wyznaczył wartę nocną. Potem — jak gdyby przypominając sobie coś niespodziewanie — rzekł do jednego z podwładnych:

— Ty Gregory, siadaj na konia i pędź do Waterford, do hotelu „Pod herbem miasta“. Niech ci zbudzą pana Trump'a; staraj się widzieć z nim natychmiast; powiedz, co zaszło... i poproś odemnie, żeby tu był łaskaw przyjechać przed południem.

— A kłaniaj się też i odemnie! — zawołał oskarżony, gdy Gregory wychodził. Właśnie mi ten chłopiec zawadzał... dodał półgłosem, niby do siebie samego.

W kancelaryi, oprócz sędziego pokoju i inspektora, pozostało dwóch tylko konstablerów. Inspektor obejrzał krążek papieru i spojrział badawczo na więźnia.

Przypadkowo, lubo naturalnie, człowiek zagadkowy przybrał minę, której opisać inaczej nie podobna, jak nazywając ją... niewymownie poczciwą, nieskończenie prostaczą, otwartą i serdeczną. Twarz ta musiałaby rozbroić najzgrzyźliwszego mizantropa; przekonać go, że choć z ludźmi takimi przecież — życie jest warte przeżycia! Oskarżony miał twarz gaelickiego celta z zachodu: szeroką bez zarostu, o rysach męskich i pięknych, chociaż grubych, o ustach pełnych i naturalnie uśmiechniętych, odsłaniających dwa rzędy zdrowych i białych, choć zbyt dużych zębów. Oczy, oczy przedewszystkiēm nadawały tēj twarzy jēj właściwy charakter: czysto „irlandzkiēj“ formy, okrągłe, nieco wypukłe, piwnego koloru, były ocienione ciemnymi rzęsami — lecz patrzyły w tēj chwili bezmyślnie, nie dbając wcale, czy kto je śledzi, lub nie. Policzki pełne, pucułowate, rumiane, sprawiały nieco śmieszne wrażenie — bo prawie kryły w pośrodku twarzy wcale nieznaczny organ powonienia.

Stał więzień, oparty o baryerę swej „klatki“, tak swobodnie, jak gdyby żelazna poręcz była płotem jego własnej zagrody w hrabstwie Clare, lub Kerry. Wyglądał na farmera; z ruchów i z całej fizyognomii zdradzał wiek podżyły — ale krewkość młodzieńczą.

Im dłużej się inspektor wpatrywał w niego, tēm on swobodniej i otwarciēj błędził oczyma po swēm otoczeniu, nie unikając bynajmniej... napiętego wzroku policyanta.

Tymczasem kapitan Gandy rozwinął zwierzchni papier z krążka i rozpostarł resztę na biurku. Inspektor spojrział na zawartość kołnierza... przetaił oczy — zwrócił je najprzód na kapitana, potēm na konstablerów — lecz najstaranniej unikał klatki.

— Czemuś pan nie powiedział od razu, kim jesteś? — zapytał kapitan, zbliżając się do oskarżonego.

— Bom nie chciałem mieć zbyt wielu świadków — brzmiała odpowiedź.

— Ale tam... na drodze, przy moście...

— Los tego biedaka nauczył mnie ostrożności; a zresztą, mam inne jeszcze powody.

— Nikt pana nie poznałby, panie Trump! — odezwał się inspektor, usiłując być weselszego ducha; sam też zeszedł z wysokiego stołka biurowego i otworzył baryerę klatki.

— Bardzom rad temu, inspektorze, — rzekł Jack Trump, detektyw z zamku dublińskiego, — bo musielibyście odbyć dwa pogrzeby w tych dniach, zamiast jednego! Widzicie, panowie, szczęście mi posłużyło: twarz moja wyszła z fabryki John Jones and Sons, ulica Holborn, w Londynie; plecy i tusza... ze sławnej fabryki rozmaitych wyrobów stalowych i drucianych sir Józefa Masona w Sheffield i Lewis; oczy zaś pożyczyłem sobie w Dublinie od jednego z kolegów, któremu od czasu do czasu pożyczam jedyną i najlepszą w całym zamku parę oczu „zło-dziejskich“, jakie posiadam w darze od ś. p. najwytworniejszego „szpica“ londyńskiego p. Puckworth'a.

— Czy możesz nam pan dać szczegóły o spełnionej zbrodni? — spytał kapitan.

— Bardzo to... trudne pytanie! — odparł z niejakiem wachaniem się — misya bowiem moja w hrabstwie jest tego rodzaju, że nadzwyczaj poważne wyniki dotychczasowych prac moich zależą od... niezupełnie legalnej ostrożności, jaką myślę zastosować do smutnej katastrofy dzisiejszej. Odpowiedzialność biorę na siebie całkowicie... napiszę tu natychmiast dokładne sprawozdanie z tego, co... co wiem — i sprawozdanie to, zapieczętowane, złożę w tutejszym biurze. Pana, panie inspektorze, poproszę o czterech ludzi, których sam wybiorę... na

mocy moich instrukeyi, Ludzie ci muszą być każdej chwili na moje zawołanie; dwaj tu znajdujący się konstablerzy, odpowiadają pod każdym względem mojemu celowi; dwóch innych zechce mi pan przedstawić.

— Z najmilszą chęcią; — odpowiedział inspektor, któremu chodziło o zatarcie nieprzyjemnych wrażeń w pamięci zamkowego agenta. — Cóż zaś z ciałem?

— Odbędzie się, oczywiście, sąd obdukeyjny. Pan kapitan powtórzy swe zeznania. Ja tu pozostanę w charakterze podejrzanego; stawicie mnie przed sędziami i koronarem; pan, inspektorze, wygotujesz warrant — rozkażesz mnie aresztować formalnie. Nazwisko swoje podam przed sądem. Po wstępném śledztwie, odeślecie mnie do centralnego więzienia w Waterford... pieszo... w luźnych „bransoletkach“, pod strażą sześciu konstablerów — czterech moich i dwóch innych. Ot i wszystko!

— Zdaje się, że rozumiem! — rzekł inspektor.

— Tém ci lepiej. Panie kapitanie, pozwól pan sobie przypomnieć przestrogę nieboszczyka! Nadewszystko, musisz pan mieć eskortę... A prawda, jeszcze coś...

Trump zbliżył się do kapitana, spiał się na palcach i do ucha mu szepnął:

— Czy może nam pan powiedzieć, co to za kobieta w pałacu?

Gandy odskoczył w bok, jak gdyby ukąszony przez jadowitą gadzinę... Utopił oczy w sztuczną i zagadkową fizyognomię policyanta i po chwili dopiero odpowiedział, jękając się:

— Cóż to ma... ach! Mr. Trump, dajcie jój spokój! To... waryatka i — prawie umierająca!

Agentowi nie uszło pomieszanie plenipotenty; ale, nie umiejąc zdać sobie z niego sprawy — dodał tylko:

— To co innego! zapewne ją pan odeśle do domu obłąkanych... ale wartoby się przekonać, czy to nie jaka miła „siostrzyczka“... bo ona tu podobno zaszła z Donegalu...

— Z Donegalu!

— Z Donegalu — tak! — powtórzył wolnym głosem detektyw, usiłując odgadnąć myśli sędziego pokoju. Nie udało mu się to wszakże, bo kapitan — który chciał się przekonać o dobrej wierze tajnego agenta — zapytał natychmiast:

— A... nazwisko jój znane?

— Domyślamy się, że się zwie „Agnieszka Leary“... że ma, hm! krewnych, tu, w tych stronach... hm! zdaje się, że brat jój jest... „potrzebny“ w zamku... hm! no! w końcu, że... wyszła niby to na odszukanie męża... któremu — Jan Leary na imię i nazwisko... Ale... hm.

Detektyw chciał dodać coś więcej — i przerwał. Walcząc z niewysłowioną rozpaczą, kapitan czynił nadludzkie niemal wysiłki, by twarzą i oczyma nie zdradzić wewnętrznych męczarni. Ale darmo! Komedyantem się nie urodził — komedyantem nigdy nie był! (Gdyby nim był... nie byłby teraz najnieszczęśliwszym z ludzi, aniby też nie był szczęśliwym awanturnikiem.

Jeszcze przecie nie miał powodu rozpaczać! To téż, gdy Trump do niego mówił spokojnie i powoli, natłok myśli — jakby iskier — otaczał i ścieśniał wszelką jego przytomność i świadomość siebie samego: wszystko stracone! domyślają się! są na tropie! na mylnym tropie! pewni są! niczego nie wiedzą! wątpią! czekają!

Jack Trump odczuł to pomięszanie — sam się zmieszał. Owe hm! zdradzały to dość wymownie. Mówiąc o kobiecie, której list przysłano mu z zamku, i który miał w tej chwili przy sobie (bynajmniej nie ukryty z taką przezornością, z jaką ukrył swój paszport zamkowy) — chciał przy każdym słowie

podechwytnąć błąkliwy wyraz w twarzy sędziego pokoju — i z niego czempredzėj „zawiązać pętelkę“. Miał zamiar dodać, że osobiście nie wierzy w zgubionego męża tajemniczėj Agnieszki — ale się zaciął... i téjże samėj chwili postanowił przy najpierwszėj okazji „wysondować“ mieszkańców Topoli.

Inspektora łaskotało po sercu nader nieprzyjemnie takie zachowanie się dublińczyka z okręgowym sędzią pokoju. Dałby wiele, gdyby mógł podsłuchać ich rozmowę! Ale ani nie próbował — by nie obrazić i nie zrazić sobie zupełnie, zbyt „ostrego ogara“. Wyszedł nawet na ulicę, gdy mu konfidencye Trumpa dogryzać zaczęły.

— Ale... co? — zapytał kapitan, by przerwać milczenie.

— Ale to mniejsza sprawa wobec téj, jaką mamy pod ręką — odparł detektyw. Polecam panu największą ostrożność! Nie spotykaj pan i nie przyjmuj nikogo z tych ludzi bez świadków! Nikogo — nawet z tych, których pan uważa za najwierniejszych sobie, jeżeli nie za najuczciwszych... Wracają już, słyhać turkot — nie wierz pan nikomu... ani nawet Mylesowi!

W téj chwili przed stacyą policyjną, zatrzymał się wóz z ciałem zabitego Connora.

VIII.

Wróciwszy do domu i oddawszy konia Mitchellowi, kapitan udał się wprost do biblioteki. Rzucił kapelusz, rękawiczki i szpicrutę na sofę; z szafki pod żyrandolą dobył butelkę wina i szklankę, postawił je na biurku, zapalił cygaro i zasiadł w krześle.

Siedział tak i myślał chwil kilka. Potém wstał, nalał pół szklanki złotawego sherry i wychylił odrazu.

— Źle jest! — rzekł półgłosem, chodząc po pokoju. Ale.. nie trzeba dopuścić, by było gorzej! Więc, w pierwszym miejscu, Horacya musi zostać w domu... skandalu było już dość tam na górze! Gdyby wyjechała, wszystkieby te kaczkę i kaczkę zakwakały, na jedną nutę: — Biedna Horacya! *shocking discovery!*... Nie, moje panie! Popróbowujemy wprzód załatwić tę sprawę przyzwoicie!

Nalał znów wina w szklanę.

— Zamiast się awanturować po nocy, trzeba mi było wcześniej pomyśleć o najlepszym przyjacielu i doradcy!... człowiekowi we łbie jaśniej!... No — ale spokojnie! Jakże stoją sprawy?

Gandy był jednym z tych, co za dnia rzadko, lub nigdy nie piją. Za to, każdego wieczoru, przed udaniem się na spoczynek, wypróżniał szklanę po szklance, chodząc po pokoju do późnej godziny i bijąc się z myślami; zrazu spokojnie i systematycznie załatwiając z góry trudne interesa swych obowiązków, lub budując plany na własną rękę, w miarę, jak wyobraźnia, podniecana sztucznie i rozpalona gwałtownie, poczyniała roziskrzac i w gorączkę wprawiać jego umysłowe władze — plenipotent przecinał śmiało wszelkie trudności, lub coraz śmielsze robił... przypuszczenia własnych powodzeń. Ustawał wtedy dopiero, gdy — albo już nie był zdolny do wymarzenia więcej szczęśliwych i pożądaných przez siebie rzeczywistości — lub gdy, przerwawszy na chwilę tok myśli, pozwolił działać winu... W obu razach, organizm jego fizyczny nigdy nie odczuwał zakłócenia, zanim organizm umysłowy przestał szalenie pracować. Gandy w jednej chwili stawał się pijanym; téj saméj chwili, kiedy duch w człowieku wyczerpał swą władzę — człowiek stawał się bydlęciem.

Pozbawiony towarzystwa żony, która po ślubie przestała w nader krótkim czasie widzieć w swym mężu „romantycznego

kapitana“, a aż nadto wyraźnie poznała samoluba i *bien péniblement rustre et vulgaire, ma chériotte!*... — jak pisała do siostry, w Craigenfort. — Traktowany lodowato przez całą *gentry* okolicy — spotykając często zagadkowy wzrok kolegów w urzędzie i kolegów plenipotentów, by potrafić zatrzeć swój charakter urodzonego irlandczyka i katolika... Gandy miał tylko jedną towarzyszkę samotności, butelkę, jednego tylko powiernika Mitchell'a. Że miał w Mitchell'u przyjaciela, nie wiedział, nie wpadło mu to dotąd na myśl — Gandy marzył o przyjaciółach w innym świecie. Należy dodać, że kapitan żonie swój, Horacyi, zawdzięczał, iż ostatnimi laty mógł jeszcze prowadzić życie wystawne (tak konieczne, w jego opinii, tak potrzebne do jego celów i planów!), gdyby nie jęj otwarta szkatułka, ruina dawnoby mu była zajrzała w oczy. Pragnąc nadewszystko stanąć na stopie równości z plenipotentami południa i z drobniejszą arystokracją ziemską, nabył kilka osad i pretenstionalne grunta sportowe. Lecz, zmuszony sam opłacać wysoko dziedziczne prawa poprzednich fermerów i znaczne podatki od roli, leżącej odłogiem — dochodów ztąd nie miał żadnych... Od dwóch lat zwrócił wszystkie swe nadzieje ku Topolom. Gdyby mógł wyrzucić z Topoli O'Gradych, przejąłby po Marcinie resztę kontraktu wraz z prawami — jako dzierżawca lorda Grosvenora... dopóki by Horacya nie pomogła mu przyjść do Topoli, jak mu pomogła do osady Knyverton.

— Jakże stoją sprawy? — pytał samego siebie, dolewając wina. Czy ten kozioł stary O'Grady wie, że Leary tak jest blisko niego? Oczywiście nie wie! Ona przecież nie wiedziała... póki nie stanęła przedemną! Czy wie kto inny! — Nikt! Chyba Trump... ale w sprawach publicznych nie może agent polityczny rozglądać spraw prywatnych. Zresztą, jako agent, zna wartość milezenia... z nim więc może to być w najgorszym razie kwestya funtów, szylingów i pensów...

— W każdym razie, musi ona opuścić Tramore czempredź! Tak! Jeżeli jest w niebezpieczeństwie, niechże zostanie byle gdzie, pod czujnym okiem... byle nie pod jednym dachem z Horacyą! Jeżeli ma wyzdrowieć, to niech spocznie gdzieś daleko, za baronią... a potem znajdzie się miejsce na jakim pokładzie!... Za dwa, trzy miesiące, może nawet wrócić, ha! ha!

Wylał resztę winę z butelki. Oczy mu błyszczały krwią zabiegłą — myśli już się plątać zaczęły. Przestały szeptać półgłosem, lecz po pokoju chodził szybszymi krokami.

Dobyl z szafki drugą butelkę. Napełniwszy szklankę po same brzegi, spojrzął na zegar. Było wpół do trzeciej. Pomyślał, stojąc przy szafce, długą chwilę; potem szepnął: *M y l e s K n y v e r t o n . . .* zaraz rano... *M i t c h e l l . . .*

Wychylił pełną szklankę duszkiem, do ostatniej kropli, podszedł ku drzwiom. Raz jeszcze przystanął; chwycił się za czoło...

— Owszem! — rzekł z obłąkanym uśmiechem — pójdę sam i zobaczę!

— Otworzył drzwi, wyszedł do obszernego przedsionka i zwrócił się na schody. Wtém doszło jego uszu wyraźnie wymówione własne jego imię... Cofnął się i obrócił. Światło z otwartej biblioteki pozwoliło mu rozpoznać Mitchella i pannę do towarzystwa; stali oboje przy drzwiach ganku — kamerdyner, w widocznym pomieszaniu; miss Wyatt — spokojna na pozór, sztywna i wyniosła.

— O kim mowa? — spytał kapitan.

Mitchell nie odpowiedział. Miss Wyatt więc przystąpiła bliżej do męża szlachetnej Horacyi i wskazując palcem na kamerdynera, jak gdyby tenże stał przed kratkami sądu, rzekła:

— Ten człowiek, *J a n M i t c h e l l* (kładąc nacisk na imię), wie z zupełną pewnością, kto jest ta kobieta na górze!

— Mitchell? — zawołał Gandy, chwytając za poręcz schodów.

— Panie kapitanie! — rzekł stary żołnierz — jak jest, tak jest... myślałem, że *your honour* śpi... *your honour* niech idzie do sypialni... a ja — ja wszystko powiem jutro, to jest przed południem, rano.

Miss Wyatt zamknęła oczy, by nie okazać odbijającego w nich mimo jój woli zadowolenia. Gandy wszedł do biblioteki i zatrzymując się we drzwiach otwartych, rzekł, jak mógł najspokojniej, choć język posłuszeństwa odmawiał:

— Miss Wyatt, jakże się ma chora?

— Śpi. Kluczniczka jest przy niej. Ja idę do niej i pozostanę aż do przyjazdu lekarza.

— Jeżeli pani sądzisz, że tak trzeba — no, to... ha! (Przytomność opuszczała go coraz wyraźniej). Mitchell!

— *Your honour*...

— Mm... Mmitchell!! O'Grrrr...

— *Your honour*! A pani czego czeka!... krośset lucy-perów! koczkodonów! idź pani spać!

— Mmyleś! Tu! Mitchell!! — krzyczał Gandy, oparty o drzwi; panna do towarzystwa poszła na górę, nie śpiesząc się, ani ociągając.

Wtenczas kamerdyner, biorąc kapitana silnie pod ramię, pociągnął go za sobą, przez przedsionek do bocznego kurytarza, gdzie się znajdował jego własny pokój. Kapitan dał się zawlec aż do łóżka i posadzić. Mitchell zamknął i zaryglował drzwi. Następnie postawił na podłodze, przy nogach swego pana, wielką cynową miednicę — rozpiął mu kołnierz, kamizelkę i koszulę, nachylił głowę i ujawszy pełen dzban wody, lał na głowę i za kołnierz, nie zważając na konwulsyjne szamotania się i przekleństwa bezsilnego opoja.

Po dokonanej operacji, Gandy drżąc z zimna i zmoczony do pasa, począł odzyskiwać przytomność umysłu i trzeźwość.

— *Your honour*, panie kapitanie — rzekł Mitchell — niech się pan rozbierze i położy choć na mojej pryczy. Pamięta pan, *your honour*, pod Bałakławą — kiedy pan ocalił życie lordowi Grosvenerowi... ja pana kapitana wyniosłem rannego i położyłem w swoim hamaku?

— Pamiętam, Mitchell!... Ale... Mitchell, co to wszystko ma znaczyć? Cóż ty jej gadał? Co ta Wyatt... .

— Furda! *your honour* — przerwał kamerdyner, ściągając zabłocone „wellingotny“ plenipotentą. — Babie gadać, to z najdzielniejszego męża pakuły sprawi... i jęzorem tym swoim wystrzeli, że się ani nie spostrzeże! Babie stanąć na poprzek, *werla!* huknąć — zanim się za spódnicę (z przeproszeniem pana) chytynie, to zgłupieje, jak kokoszka, co jej kogut jaje zdepnie!... *Your honour* niech poczeka, ja z sofy w bibliotece przyniosę poduszkę i derkę — pan ma głowę za nisko i za mało nakrycia w nogach.

— Słuchaj, Mitchell! jedno pytanie; odpowiedz mi otwarcie, po żołniersku: Co... cóż ty myślisz o — téj kobiecie na górze?

— O miss Wyatt? Z całego nasienia czarownie w Dżegernocie... .

— O téj chorój, Mitchell! o chorój?

— Biedna... .

— Kto ona? jak myślisz?

— *Your honour*, doprawdy pan tak leżeć nie może! — odrzekł stary sługa, otwierając drzwi, ja zaraz wrócę... tylko tę poduszkę i derkę przyniosę.

— Oj, ciepło ci, ciepło! — rzekł sobie za drzwiami — żeby to choć „najjaśniejszj“ w obozie nie było!... Jabym

się już zgodził na wszystko zresztą, gdybym wiedział, co to za jedna, ta Agnieszka! Widno, że nie zdaleka, po mowie.

Zabierając derkę z sofy rzucił okiem na butelki.

— Kto wie? Może, gdyby był na „nieszlachetnej“ poprzestał, nie potrzebowałby tyle pociechy każdej nocy!... Cóż ja rzetelny syn swojej własnej matki w tej całej potrzebie zrobię?... Jedna rzecz tylko jasna — jego ratować trzeba! Masz, chłopcze punkt... więc wlep w niego oba oczy i marsz! do stu dyabłów!! Bez ciebie Chiny będą Chinami!

Tak sobie powiedziawszy, Mitchell wymaszerował rezolutnie do kapitana. Gandy blady jak ściana, z nabrzękłymi oczami i twarzą wilgotną, leżał oparty na łokciu i pasował się z trwogą o wszystko, co różany brzask ukazującej się jutrzni miał dnia tego sprowadzić.

Otuliwszy kapitana, Mitchell zajął się przygotowaniem mocnej kawy z własnych zapasów.

— To ta sama, *your honour* — rzekł nalewając wody do błyszczącej, jak pałaszowa pochwa, maszynki — co panu służyła przez cały czas: z Portsmouth aż do Sewastopola i napowrót! Widzi pan, *your honour*, ja zawsze tak myślę, że prawowity sierżant każdej chrześcijańskiej armii wart dubelt tyle, co każda kobieta. Bo najprzód jest człowiekiem! niby mężczyzną — rozum u niego, proszę pana, nie we włosach, ani nawet pod jego własną czupryną, ale w rychtunku, w regulaminie i w porządku dnia, nad którym myślą panowie starszyzna. A po drugie — człek taki potrafi to, co każda niewiasta — a lepij i sprawniej, i na komendę! Uwarzy, upiecze, opierze siebie i kamratów, obszyje, oporządzi, oczyści! *Your honour*, niech mi wierzy: gdyby ta maszynka była w kuchni, jużby jój ani cygan-druciarz nie poznał, ani...

— Mitchell!!

— *Your honour*.

— Nie gadaj głupstw! nie bądź głupi! nie udawaj głupiego!

— *Yes, your honour!*

— Słuchaj, co ty wiesz o tój kobiecie?

— Powiem panu wszystko. . . tylko niech się pan napije kawy!

Gandy znał swego sługę; wiedział, że uporu jego nie złamie. Zamilkł więc i wrócił do toku swych myśli. Mitchell okazał swe zadowolenie:

— Kawa będzie za cztery minuty, *your honour*, gorąca jak piekło, czarna jak dyabeł — według przysłowia. Mnie, panie kapitanie, artylerzysta jeden, Francuz, dał instrukcyę, jak gotować kawę; piechur z nich jakiś chciał mnie nauczyć, jak warzyć to ich *potofę*, ale mi to jadło nie szło jakoś do gęby! Bo! widzi, *your honour*, co to jest: niby uczeiwy kawał mięsa, co to prosto z wołu powinien iść na rożen, albo stary bagnet, czy też na patelnię (albo nawet na czystą łopatę. . . jak nie można inaczej), te Francuzy pakują w garnek, nalewają wody i gotują z całym babskim barłogiem. . . kapusty, pietruszki, cebuli, marchwi, rzepy, czosnku, selerów. . . brr!! gotują i gotują, proszę pana (— kawa gotowa, *your honour!*) dwie godziny! Kiedy zdejmą pokrywę. . . święty Judaszu! z garczyska wieje, jak z ambulansu. . . Leją potem to lekarstwo w blaszanki i piją, dajlibóg, jak rumianek! W końcu dopiero, proszę pana, wyciągają z garnka nieszczęśliwe mięsisko, suche i szare, jak z przeproszeniem — kocia skóra. A to dla nich delikatne jadło dopiero. Krają na szmaty choć się nieboszczysko kupy trzymać ani myśli. . . i jedzą z chlebem: chleba trzy funty, kocięj skóry po ćwierci na każdego! *Your honour* niech duszkiem wypije ten kubek, a ja zaraz naleję drugi.

Gandy posłuchał i uczuł energiczny wpływ Mitchellowego lekarstwa.

— Powiesz mi teraz, o co się ciebie pytałem?

— W tej chwili, *your honour*; niech się pan nie odkrywa — rzekł kamerdyner poprawiając poduszki i kołdrę — cóż to pan chciał wiedzieć... aha! co ja wiem o tej... pani na górze?

— Tylko mów otwarcie, Mitchell!

— Nie ma innej rady, proszę pana. A więc — nad łóżkiem wisi rewolwer... nabity. Jak się pan rozgniewa, niech pan porachuje od jednego do dwunastu — a Mitchell zmówi pacierz. Potem: albo albo... w łeb Mitchellowi, albo lampę zgasimy i pan się przewróci na drugi bok...

— Mów...

— Przed siedemnastu czy osmnastu laty, pan się ożenił z Agnieszką z Clonmelu, albo może w Clonmelu. Pani przyszła dzisiaj... niby wczoraj. Pani ma gorączkę i zraniona. *Your honour* spalił świadec...

— Mitchell!!

— Rewolwer na ścianie, proszę pana, ale ja jeszcze nie zraportowałem wszystkiego. Miss Wyatt szpiegowała i z zębów patrzyło źle — oczy zamykała — pani... druga pani w domu. Mitchell zobaczył papier przed kominkiem, przy karcie — i pomyślał, że źle! We dwóch lepiej na dyabła. Mitchell przeczytał; co mógł i wie aż nadto! Wyatt myśli, że pani Agnieszka...

Cały ten czas, stary żołnierz stał przed kapitanem i mówił bez trwogi i bez zawahania się; teraz dopiero przerwał, przestąpił z nogi na nogę i nie wiedział, co dalej powiedzieć.

— Że co? — zapytał Gandy z najwyższym natężeniem uwagi.

— Miss Wyatt myśli, że — to moja wina, a nie wasza, *your honour*... niby, że ja żonaty, albo... bo to dyablica, ta Wyatt, *your hon.*...

— Dlaczego ona tak myśli?

— Tak jakoś wypadło, *your honour!* Zaraz z wieczora, kiedy ja poszedłem na górę na rekonensans — niby podpatrzyć koczki... miss Wyatt — pani Agnieszka zobaczyła mnie i zawołała do mnie: „Przyszedłeś, Janie! Przebacz mi!“ A mnie Janem chrzcili, *your honour*. Potém; kiedy pan przyszedł, i pani wrzesz... wołała przez okno i jeszcze po nazwisku — Wyatt zrychtowała swoje myśli inaczéj. Dopiero tu, na ganku, przed godziną, kiedy chciała lecieć do biblioteki, ja ją przyłapałem, *your honour* — i jak to z babą człek gadać nie potrafi, z tego i z owego wypaplało się, że niby ja panią Agnieszkę znam od dawnych lat. To wszystko, *your honour!* Niech pan zacznie rachować.

Gandy wyciągnął rękę.

— Służyłeś mi wiernie Mitchellu, choć lepszegoś wart pana. Wierzyłem ci i ufałem zawsze, choć ci się nie... nie zwierzałem. Daj rękę, Mitchellu. Teraz ci się zwierzę — siadaj tu blisko na łóżku.

— Zaraz, *your honour*, tylko drugi kubek naleję, bo spirytus gaśnie pod maszynką.

Chwilę później, Gandy spowiadał się wiernemu słudze z błędów przeszłości. Nie odkrywał mu wszystkich swych namiętności z lat młodszych, nie opowiadał faktów, znanych Marcinowi O'Grady — ale w treści wyznał wszystko, co wiemy o stosunku Jana Leary'ego z siostrą farmera z Topoli. Mitchell słuchał uważnie, lecz z uszanowaniem winném — nie człowiekowi, lecz randze odważnego oficera, rozumiał tylko gołe fakta i rozumiał je po swojemu, nie zapuszczając się uwagą w usprawiedliwiający argumenta, którymi Gandy usiłował przekonać go o swój dobrej wierze.

— Zostawiłem ją — opowiadał kapitan — w farmie Ballyglan, u Mylesów, a sam z resztką pieniędzy pośpieszyłem do Anglii. W Sandhurst złożyłem egzamin wstępny jako kadet wojskowy. Wtedy już znano mnie tylko pod nazwiskiem kuzyna, jakie dziś noszę. Wiek mój i powierzchowność pomogły mi niespodzianie, gdy wybuchła wojna krymska. Za ostatnią sumę, jaką posiadałem, kupiłem rangę podporucznika. Około tego czasu również zapoznałem się z niektórymi członkami rodziny Craigenfort; zaproszony przez nich jako kolega, do siedziby szefa rodziny — z rodziną ledwo się widziałem. Zaproszony byłem na jesienne polowania, nie zaś dla poznania „familii“. A przecież... wtenczas to poznałem Horacyą, spotykaliśmy się tajemnie.

— Na wieść o deklaracyi wojny, rezolucya moja była ustalona. Podałem się jako ochotnik i zostałem natychmiast przyjęty do głównego sztabu. Pomogli mi w tém Craigenfortowie... otrzymałem nawet stopień porucznika. Pewnego dnia wyczytałem w gazetach wiadomość o ewikeyi i krwawej scenie w Ballyglanie. Najwyższe interesa méj przyszłości wymagały, bym sprawdził fakt podanej śmierci Piotra Mylesa i „Agnieszki Leary“. Pod pozorem pożegnania się z rodzicami, wzięłem trzydniowy urlop i wróciłem do Irlandyi. W okolicy Kilkenny nie znalazłem Agnieszki, — ale nie ustając w poszukiwaniach na chwilę, wpadłem na ślad jéj przy granicy hrabstwa pod Clonmelem.

— W nędznej i na wpół zawałonej chacie o jednej izbie, Agnieszka leżała na łożu śmierci... W delikatnym stanie, w jakim się znajdowała, okropności Ballyglanu zadały jej cios śmiertelny... było to widoczném — ona sama była przekonaną o bliskości śmierci. Ludzie jacyś miłosierni, robotnicy z torfowisk pod miastem, ratowali ją od najgorszej śmierci — głodowej; córka ich spędzała noce i dni przy... umierającój. Kiedym

ją zobaczył — litość zagłuszyła we mnie wszystkie inne uczucia; dawniejsza miłość przytłumiła ambicję. Błaganiom umierającej oprzeć się nie mogłem. . . Posłałem dziewczynę po księdza, ksiądz przyszedł — Agnieszka się spowiadała, przyjęła wiatyk. . . potem odbył się ślub w obecności dziewczyny. Na rejestrze, który mi ksiądz podsunął, napisałem bez namysłu, bez rozważenia, nieświadomie — imiona i nazwisko, które dziś noszę! Ksiądz dał mi świadectwo. . . teraz zniszczone — i pozostał przy umierającej. . .

— Cóżbyś zrobił Mitchellu? Statek odpływał z Wexford za kilka godzin, mój urlop kończył się nazajutrz. Ona umierała. . . pożegnałem się z nią nazajutrz, gdy straciła przytomność. Ksiądz pozostał. Dał mi księgę rejestrową i prosił o oddanie jej gospodyni na probostwie. . . Mitchellu, nazwisko moje i jej stało na trzeciej linii w owej nowej zupełnie książce. Poszedłem do swego hotelu i przepisałem dwa poprzednie śluby na następnej karcie — wydarłem pierwszą i zaniósłem rejestr na probostwo. Tu dopiero strach mnie ogarnął niewysłowiony! . . . proboszcz był bardzo podeszłego wieku, nie dowiedział i zdziocinniały był — ale gospodyni mogła być ciekawą! Oddając jej księżkę, poprosiłem o rejestr poprzedni; potem otrzymawszy zapisaną księgę i po chwili szukania między nazwiskami, zatrzymałem się na jednym z nich: — Czy może pani odczytać to pismo? zapytałem. Kobieta roześmiała się na głos. W owych czasach, wiesz, Mitchellu, prócz księży i nauczycieli żaden irlandczyk czytać nie umiał!*)

— Byłeś ze mną od chwili wejścia na pokład w Portsmouth — wiesz więc resztę życia. Wiesz teraz, że zaślubiając Horacyą, uważałem się za swobodnego! Wiesz więc, że stary

*) I taki stan rzeczy panował aż do chwili kasaty kościoła anglikańskiego w Irlandyi, jako instytucyi państwowej (1869).

lord Grosvenor, z wdzięczności za ocalenie syna od śmierci pod Bałakławą, ofiarował mi ten urząd w swych dobrach; syn mnie w nim potwierdził. Czy teraz wszystko ma być stracone?

IX.

Jedna noc czerwcowa, ciepła, pogodna, poczęła w łonie wilgotnych swych cieni okropną klęskę, niepodobną do zażegnania, bo zrodziła potworny pierwiastek zarazy.

Gdy pierwsze promienie gorącego słońca zebrały perliste krople błogosławieństwa bożego, — podniósł się ku słońcu dym mglisty: z roli, jakby skażonej, wstała swędna para, niby technie nie przekleństwa i zakryła złotą tarczę porannego słońca. Przez dwa dni, dwie noce, trapiła duszna atmosfera kraj, który już tyle klęsk i tyle nieszczęść przecierpieć musiał!

Bydło po polach błędząc ryczało, straciwszy chęć do paszy; — ludzie mileząc, błakali się po osadach, łąkach i bagnach, nie śpiąc, nie jedząc, jedni drugich nie pozdrawiając — stroniąc od siebie. Jedni trwogą zdjęci, zostali w chatach oczekując śmierci; — rozpacz samobójcza usiadła przy nich. Inni wyszedłszy na pole z nadzieją ratunku, nie wrócili do domu; później wyrzuciły fale oceanu ich ciała, lub z nastąpioną posuchą — torfiarze odgrzebali je z błotnistych łożysk bagien ruchomych. Inni po chatach, po kościołach, po rynkach miejskich i po ementarzyskach czołgali się na kolanach i błagali Boga o zmiłowanie; drudzy — bo i takich nie brakło w każdym irlandzkim obwodzie południa i zachodu — lali w siebie trunek ognisty, aż rozbestwieni kończyli śmiercią gwałtowną lub zgonem samobójców; inni tracili rozum i świadomość klęski — ci motykami rolę rozkopywali od rana do nocy, woła-

jąc, iż skarby znaleźli hiszpańskich wojowników — lub sypali workami ziemię do morza, do rzeki, do bagna, wyjąc płaczliwie przekleństwa na wrogów i bluźniąc Stwórcy, że ich do takiej stworzył pracy!...

Ci, co rozum zachowali i bojaźń Bożą, milczeli — chodzili niby martwi po tej roli, spalonej od zarazy, — lub zasiedli na miedzach i patrzyli z trwogą i boleścią na stracone nadzieje, na zmarnowaną pracę tylu dni... bo widzieli śmierć okrutną dla siebie i swoich, widzieli głód wstający z tej roli, krwawym ich potem zlanej, głód, panujący swobodnie w Irlandyi, przy ucisku zagranicznych lordów, głód, żądający ofiar, hekatomb — drażniony przez pożądlivość, a podniecany do wściekłości przez chuci nienawiści i zemsty!

Kobiety wierzyły w bliskość sądnej godziny świata!

W hrabstwach południowych, gdzie usposobienie ludności poddało się w ostatnich miesiącach trwodze okropnych przepowiedni, liczne były chaty, w których dziatwa napróżno wołała do matek o pokarm, napróżno kwiliły niemowlęta, tuląc się do piersi rodzicielki, matki garnęły do siebie bezwiednie swoje dzieci.

Kapłani odsłaniali na ołtarzach obecność Boga Zbawiciela, wskazując nieogarniony majestat wiary, miłości i miłosierdzia bożego! Dniem i nocą ciskał się do przybytków modlitwy przerażony tłum ludu, skruszony, oniemiały; lecz napróżno kapłani wzywali do modlitwy; napróżno kazali o miłosierdziu bożem, napróżno powtarzali głośnie błagania. Lud w piersi się bił, przed Panem Zastępów miejsce święte łzami zlewał... ale modlić się siły nie miał, bo wiedział, że Sprawiedliwość dokonała tyle w Irlandyi przez noc jedną, iż bież srogi nie rychło z rąk jój wypadnie, iż nie rychło stanie się miejsce miłosierdziu!... Lud przed tą straszną potęgą oniemiał.

Pięć milionów ludności włościańskiej i małomiasteczkowej, której codziennym i w wielu razach jedynym pokarmem są w Irlandyi kartofle, znalazło się niebawem bez pokarmu! Po trzech latach nieurodzaju, włościanie liczyli na rok bieżący z pewną nadzieją. Nie było kosztów, jakichby nie podjęli, by sobie plon zabezpieczyć obfity; zapożyczali się w bankach, lombardy przepelnione były zastawami, lichwiarze szkoccy trzymali w ręku dzierżawne kontrakty, kramarze miejsca otwierali kredyt, kredytu oczekując nawzajem.

I rok zapowiadał się szczęśliwie! Pogoda sprzyjała robotom, pola zazieleniły się bujnie. Spodziewano się, że błogosławieństwo boże zatrze ślady klęsk poprzednich, że wynagrodzi trudy i znoje, zabezpieczy osady od pogroźek komorników, spłaci zaległości, wyzwoli rodziny od ciągłej trwogi trybunałów, agentów i dragonii, przyodzieje dziatwę i — uwieńczy marzenia setek tysięcy prostaczych rodziców... że błogosławieństwo boże przypuści tę dziatwę do dobrodziejstw oświaty, która w ciągu tylu wieków nie mogła dotrzeć do ludu, którą rząd przez tyle pokoleń wstrzymywał od ludu pod grozą kar brutalnych i godnych stanu barbarzyńskiego...

Dwa miliony funtów szterlingów wychodziło co rok z Irlandyi — dwa miliony... wydarte z nieszczęśliwej ziemi, zapracowanych krwawym znojem włościan — dwa miliony czynszów rocznych, które płynęły do właścicieli, do magnatów angielskich i szkockich, do korporacyi i cechów londyńskich, do uniwersytetów zagranicznych. A z tych milionów ani grosz jeden nie wracał do kraju. Lordowie nie żyli w Irlandyi, korporacye nie troszczyły się o los helotów!... Półtrzecia miliona funtów szterlingów wychodziło rok w rok z Irlandyi na spłacenie dzierżaw długoterminowych — a jeżeli drobna suma jaka pozostała w kraju, to... w ręku protestanckich instytucyi, biskupstw anglikańskich i anglikańskiej wszechnicy dublińskiej,

i stawała się jeszcze bronią, tępiącą tych, którzy dla niej musieli prowadzić żywot wpółdziki, ciemny, nieokrzesany — żywot stokroć gorszy od tego, w jakim marnieją dziesiątki tysięcy egipskich fellachów... bo lud irlandzki dręczony przyrodzonem pragnieniem oświaty bywa poniżany potwarzą, urąganiem i nagrawaniem się wrogów... stawiających go za arcytyp przyrodzonej nieudolności i głupoty, powstałej z dziedzicznego stępienia umysłu i ducha irlandzkiego!

Wszystkie nadzieje zgasły wśród owiej dwudniowej pomroki, duszącej, zabijającej.

Oblieźono, że strata na samych kartoflach przewyższała sumę sześciu milionów funtów szterlingów; że kredyt bankowy poniósł straty niepowetowane do blisko dwóch milionów! Podobnej klęski nie pamiętali najstarsi ludzie w Irlandyi. W r. 1847-mym, padła zaraza na kartofle i sprowadziła ruinę setek tysięcy — zmniejszyła ludność kraju z dziewięciu do sześciu milionów; ale złe nie dotknęło wtenczas ani północnych, ani wschodnich okolic. Tego zaś lata, nie ocalało ani jedno pole... Rzecz dziwna! nie ocalały nawet żadne zapasy kartofli! Od zatoki Strabagy w Donegalu — do Kinsale w hrabstwie Cork; i od gór Brandon w Kerry — aż do wysp Rathlin w Antrim... szara pomroka osłaniała okrutne dzieło zniszczenia — z którego wyrodzić się miały niebawem anarchia, tyranstwo i rozpacz, nieznająca prawa bożego, niesłuchająca praw ludzkich...

Jeżeli lud w ciągu owych dwóch dni i dwóch nocy opuścił ręce i czekał — jak mówiono: „na sąd boży, lub na kiermasz szatana“ — czynnymi byli plenipotenci, czynnymi — wysłańcy przewrotu, czynnymi — agenci władzy konstytucyjnej.

Plenipotenci dóbr wszyscy — z dwoma na całej wyspie wyjątkami — postanowili „przyjść w pomoc“ fermerom i robotnikom włościańskim, w sposób starannie ob-

myślany i z wolna przygotowany: postanowili czekać pobłażliwie na spłaty zaległości, aż do jesiennego terminu, święto-Michalskiego. Który osadnik zechce wtedy spieniężyć resztę praw do osad — temu miała być zaległość czynszowa darowana... z warunkiem opuszczenia kraju. Umowy z agencjami okrętowymi były zawarte. Kto zechce uparcie obstawać przy zatrzymaniu praw i pozostaniu na osadzie, — od tego żądano by zaległości i czynszu ostatniej raty do ostatniego grosza, bez dalszych terminów (jako nie dopuszczających gwarancyi po kłesce...) — a gdyby o spłacie mowy być nie mogło, nastąpiłaby eksmisya sądowa z pomocą dragonii i konstablerów. Cóż się stać miało z wyrzucenymi? Jeden wybór pozostałby możebny: śmierć z głodu przy drodze — lub emigracya... bo z wyrafinowaną ostrożnością i weześnie postarano się, by domy pracy i przytułku (znienawidzone przez żebractwo trzech królestw), by te nawet domy przepelnione były próżniaczem hultajstwem, zanimby w całej się pełni i grozie rozwinęły następstwa kłeski!

Wysłańcy społecznego przewrotu, wystąpili z kryjówek i rozbiegli się po wszystkich hrabstwach południa i zachodu. Pewni byli swobody — pewni bezkarności! Z jednego choćby względu... nie ośmieliłyby się władze działać doraźnie przeciwko organizacyom, spojonym silnie i głęboko z włościanstwem, powstałym z łona jego — nie ważyłyby się władze rozpocząć przedwześnie akcyi, jakiej zaniedbały rozmyślnie pod on czas... w chwili, kiedy ślepa rozpacz złała lud w jedno z myślą rozprzegu, w jedno ze związkami tajemniczymi — w chwili, kiedy... jak niegdyś w lombardzkiej stolicy, lud pocałował wrogach narodu, upatrywać piekielnych sprawców kłeski! Od onego to czasu datuje się też, niestety, nierównie potężniejsza i głębiej wkorzeniona niż kiedykolwiek, solidarność ludu z włościanskimi związkami przewrotu.

Tym zaś związkom chłopskim, przewodziła wielka organizacya „Bractwa republikańskiego“ mająca swe centra po wszystkich miastach, mieścinach i parafiach Leinsteru, Munsteru i królestwa Connaught — mająca swą gałąź wykonawczą, oceniającą każde centrum, a znaną w organizacyi pod nazwą „Niezwycięzonych“. Tajemny komitet dubliński otrzymał rozkazy z Chicago i z Nowego-Yorku: postanowiono korzystać najprędzej z położenia — postanowiono zesrodkować rewolucyą noża i pożarów na południu... w dobrach zaludnionych włościanstwem najliczniejszém, najgorętszém i najuboższém.

Władze konstytucyjne, opanowane oranżyzmem, działały ostrożnie... nie tracąc z uwagi jedynego celu: wytępienia „celtyzmu“ — lecz nie kompromitując go pośpiechem. Orazystom chodziło przedewszystkiém o to, co nigdy nie przestało być przedmiotem wszystkich ich starań: o otrzymanie z Westminsteru władzy dyskrecjonalnej, w pierwszym miejscu — lecz nadewszystko... o zachowanie w Anglii, w „ojczyźnie“, wszelkich pozorów słuszności, lojalności, ludzkości i bezinteresownego zmysłu — obowiązków obywatelskich.

Nie tu miejsce zajmować się szczegółami urzędowych między Westminsterem i zamkiem dublińskim komunikatów; — nie tu miejsce rozwiązywać czerwone taśmy raportów i referatów, łamać zielone pieczęcie aktów, któreby odsłaniały ohydę zimnego biurokratyzmu w służbie rasowych zawiści i nienawiści, walczącą z niemniej lodowatym oportunistem gabinetu angielskiego. Dość powiedzieć, że — jeżeli w interesie warstw rządzących w Irlandyi leżało, by nie wzniecić przyrodzonych uczuć litości w Anglii — to niemniej interesem było gabinetu nie stawiać „popularności“ swój na szwank przez uznanie, że kwestya chleba (najniebezpieczniejsza na wyspach brytańskich) grozi życiu setek tysięcy ofiar!

Namiestnik Irlandyi zapytał rządu westminsterskiego drogą telegraficzną:

— Czy ustanowienie parlamentarnéj komisji dla zbadania téj sprawy będzie stósowném i rządowi na rękę: *is it convenient?*

Odpowiedź brzmiała: *It is not convenient.*

Czy kiedyś — w dziejach późniejszej cywilizacji — rząd angielski potrafi się wytłumaczyć z ciężkiej winy zaniedbania ludu irlandzkiego, gdy głód i anarchia w konwulsyjne chwytaly go ramiona? Czy winę złoży, jak złożył w przeszłości, na oranżyzm ulsterski?

W każdym razie, w roku ostatniéj, ogólnéj, straszliwéj klęski, rząd zdał inicjatywę zapobiegania smutnym następstwom téj plagi na namiestnika... służbę biurokratów zamkowych, reprezentujących „lojalność kolonii“.

Europa usłyszała dopiero w kilka miesięcy później o rozpaczliwym stanie Irlandyi, a pierwsze objawy téj klęski uważała za skutki peryodycznych nieurodzajów. Prasa powtórzyła głos namiestnika:

— Nieurodzaj jest, niestety, pewien! Ale... następstwa nie mogą być takie, by ich nie można złagodzić zwyczajnymi środkami, jakie rząd ma do dyspozycji! Jakież to były te środki?

Sześćdziesiąt tysięcy kanstablów i trzydzieści tysięcy wojska liniowego, rozstawionego w obwodach „niespokojnych“, a więc najuboższych, utrzymywanego z podatków. Rząd się tłumaczył, że lud tych podatków nie płacił... przed zaprowadzeniem ustaw koereyjnych. Istotnie, lud ich nie płacił. Ale płacili właściciele — i dlatego podwyższali czynsze, lub wzbraniali się ich zniżyć w czasach najtrudniejszych: Płacili przemysłowcy, kupcy i handlarze, płaciły kompanie transportowe, koleje żelazne i kompanie okrętowe, dlatego im cięższe były lata, tém sroższa była

drożyzna w hrabstwach południowych i zachodnich... przemysł w tych hrabstwach leżał w odrętwieniu, spętany, w niemocy i nieudolności... a któż na tém cierpiał? celtycki wieśniak i celtycki mieszczanin!

Groza wojskowa nastęczyła się rządowi jako najdoraźniejszy środek, przeciwko strasznym następstwom wielkiego nieurodzaju w r. 1880—81-szym. Która tylko osada wysłała podanie do sądu ziemskiego, lub oświadczenie do plenipotenty, — uprzedzając z góry, że czynszu wypłacić nie może... wnet się w nią ukazywał komornik z eskortą dragonów, lub konstablów i wręczał — albo asygnacją ostatniego terminu, albo dekret eksmisy!

Gdy jaka rodzina osiadła na zagrodzie dziedzicznej, udała się do unii hrabstwa z prośbą o ratunek w ostatniej nędzy — unia, czyli zarząd podatkowy żądał gwarancyi... innemi słowy: sprzedaży praw dziedzicznych. W razie odmowy, zarząd domagał się spłaty podatków, gdy ich nie otrzymał — komornik zjeżdżał z szeryfem i z szwadronem dragonów, sprzedawał przez licytacyą ostatnią chudobę zagrodnika, potem go z rodziną zabierał do „unii“, — do domu przytułku i pracy, a ztamtąd na pokład okrętu.

Zdemoralizowawszy ludność zachodu i południa, w ciągu zimy i wiosny, przez otwarcie pożyczek rządowych z funduszków podatkowych, przysposobiwszy ją do korzystania w danym razie z t. zw. *Out door reliefs* — pomocy poza murami domów — rząd zamknął w końcu kasy podatkowe, tłómacząc się ogromnymi ciężarami, które spadły na te fundusze i odmówił wszelkiej pomocy, przywołując na swe usprawiedliwienie fakt własnej winy: przepełnienie unii pauprami!

Namiestnikostwo w Dublinie ustanowiło z własnej inicjatywy fundusz składkowej zapomogi; wice-król nie żałował własnej szkatuły; księżna Marlborough zamknęła podwoje swych

salonów i grosz w ten sposób zaoszczędzony oddała lordowi-burmistrzowi stolicy do „Głodowego funduszu“. Dowód to był mowny, że namiestnikostwo miało ręce związane, że księstwo Marlborough mieli inicjatywę tylko prywatną; bo na wiekopomną hańbę kolonialnej arystokracji irlandzkiej zapisać należy, że z nader rzadkimi wyjątkami, żaden członek jej nie przyłączył się do miłosierniej komisji lorda-burmistrza!

Lecz nie uprzedzajmy najbliższego rozwoju wypadków ogólnego na wyspie znaczenia, z którymi łączą się ściśle wypadki, obchodzące blisko osoby, znane nam w tej opowieści.

Drugiego dnia owiej „wielkiej pomroki“ — jak ją nazwał lud irlandzki — nagle, po wszystkich południowych hrabstwach, gruchnęła wieść o dwóch strasznych morderstwach, spełnionych niemal równocześnie, w hrabstwie Waterford. Ofiarą pierwszego padła żona właściciela dóbr — pani Boycott, zabita wystrzałem z rewolweru w powozie, w którym się sprawcy zbrodni mylnie domyślali jej męża!... Ofiarą innego rodzaju zemsty był nieszczęśliwy parobczak, John Connor, o którym wiadano tylko, iż był „jednym z chłopców“... że więc przez nich był „odsunięty“ nie bez powodu.

Pod wieczór tego samego dnia, gdy cienie nocy poczynały zalewać posępne kłęby złowrogięj pomroki — u szczytu pagórka nad szosą, wiodącą z Dunmore do Tramore, siedział na wilgotnej roli sędziwy starzec. Przy nim klęczało dziewczę. On głowę odkrytą zakrył rękoma i opuścił na kolana. Słaby wietrzyk rozwiewał białe jak śnieg jego włosy — dokoła panowało głuche milczenie przyrody.

Dziewczę swe ręce załamane złożyło na starca ramieniu. Z zapadłych jej oczu padały łzy palące na lica blade. Oczu swych nie spuszczała z niebios zaciemnionych, a usta, zaciśnięte nadmiernym wysileniem, skargi i boleści przepuścić nie chciały. Rozplecione i rozpuszczone jej włosy jedynym jej były otule-

niem. Klęczała tak — podobna do anioła boleści, obecnością swą broniącego przystępu rozpaczy.

— Dadu! dadu!.. o! chodź ze mną do domu!...

Opuściła głowę na ramię starca, przytuliła swą twarz we łzach skapaną do jego białych włosów.

— Chodźmy do domu, dadu... o! już drugi dzień tak siedzisz dadu, sam jeden — do chaty nie wracasz — nie masz spoczynku... o dadu! chodź ze mną do domu!

Starzec głowy nie podniósł, mileżał.

— Pan Bóg wie najlepiej, co dla nas najlepiej, dadu! On nas nie opuści... nie da nam zwątpić zupełnie o Swojem miłosierdziu... zobaczysz, ojezulku... zobaczysz — to może tylko tak... tak się nam zdaje! o! dadu, dadu... może nie wszystko stracone, może się to złe nie przeparało głęboko... może odżyją — o dadu, chodź do domu!

Starzec mileżał.

— Druga noc zachodzi... a ty, ojezulku, na tém samém miejseu! Bez jada, bez spoczynku! Nikt ciebie nie może pocieszyć! O Boże! O Boże! dadu!... dadu!...

Starzec jęknął boleśnie i objął szyję dziewczęcia, nie podnosząc głowy z drugiej ręki, na której leżała.

Pierwszy ten objaw świadomości ze strony złamanego rozpaczą ojca, pierwszy ten, nawpół mimowolny znak przywiązania poruszył do głębi odważne i stałe, lecz czułe i tkliwe serce dziewczęcia. Potok łez, który dotychczas usiłowała powstrzymać, wylał się teraz swobodnie na jęj zmęczoną twarzyczkę. Łkając i obejmując z dziecięcą miłością głowę starca, nie przestawała rozbudzać go z dusznego odrętwienia.

— Chodź, dadu, razem ze mną... tu tak zimno i smutno! Patrz, ojezulku, spojrzij tylko... noc już zaszła — czyż mamy tu zostać aż do rana, dadu? Bo ja do chaty sama nie wrócę... ja ciebie tu już nie zostawię, dadu! Chodźmy!...

Ojczulek się złego nabawisz, broń Boże choroby!... cóż wtedy pocznie biedna Hessy! Chodź, dadu, ze mną do chaty... bo ty przecie nie przestałeś kochać swojej Hessy? Wszak nie? Dadu!

Marcin O'Grady podniósł głowę i wzrok smutny zatrzymał na twarzy swój przybranój córki. Jego własne oblicze zdawała się pożerać gorączka jakaś, skutek wielkiej walki wewnętrznej. Oczy świeciły mu nienaturalnym blaskiem i w schudłej twarzy zdawały się za nadto szeroko, jak u obłąkanego, rozwarłe.

Z twarzy dziewczęcia przeniósł nareszcie starzec wzrok ku niebu:

— Przebacz mi, Boże sprawiedliwy, rzekł głuchym i uroczystym głosem — przebacz mi, żem począł tracić ufność w Tobie! Póki mnie ten anioł nie opuści, póty wierzyć będę!... Hessy, aniele mój, moja cór-ko (rzekł z powolnym naciśnięciem), nie opuszczaj mnie nigdy!... bądź ze mną do ostatniej chwili!

Podźwignął się w końcu z pomocą dziewczęcia i wsparty na jej ręce zwrócił się na ścieżkę, wiodącą z tego pagórka na przeciwległe wzgórze — do Topoli.

— Chodźmy do... chaty — rzekł z słabym dźwiękiem odwagi w głosie — póki ją mamy, Het... póki ją mamy!

Za chwilę, ojciec z córką zniknęli w grubych ciemnościach ostatniej nocy „wielkiej pomroki“...

X.

Późnym wieczorem, trzeciego dnia po owój wielkiej pomroce, drogą z Waterford do Tramore szło raźnie dwóch po-

dróżnych. Jeden z nich, słusznego wzrostu, miernój tuszy, w sile wieku, wyglądał na handlarza bydła — drugi niższy, nie grzeszący zbytkiem ochędóstwa w swój powierzchowności, mógł być pomocnikiem swego towarzysza. Pierwszy przepasany był trzosem, weale nie źle wypchanym; w rękę trzymał łaskę potężną, bukową. Drugi, którego twarz nieumyta ginęła w bujnej i brudno-żółtawej sierści niegolonego zarostu — miał przez plecy przewieszoną sakwę żywności, w rękę — bat zaganiaacza.

Rozmawiali żywo, lecz nie podnosząc głosu; od czasu do czasu, jeden lub drugi oglądał się w tył, na drogę — obaj częste rzucali spojrzenia na pola wzdłuż szosy.

— Mówię wam tedy, panie Trump — odezwał się pierwszy — że... niech tam nasi w Dublinie i tu w Waterford gadają, co chcą, niech sobie „chłopy“ nawet wiedzą, czy nie wiedzą, tak jest, jakem wam powiedział (tu zniżył głos jeszcze ostrożniej): Dermott jest w hrabstwie!... przysięgłbym na to!

— Nie może być! nie może być! — zawołał żywo Jack Trump. Głos jego nie był piskliwy, jak niedawno temu w Topolach, ani rubasznie dźwięczny — jak na stacyi policyjnej w Tramore. — Widzicie, panie Sherlock, ja ich tu znam wszystkich... tak dobrze, jak znam dublińskich „skoczaków“, albo jak wy znacie nowojorskich „pikierów“!

— Ba! Dermott, to nie ordynaryjna sztuka! Chwat wyżeł! Kto go złapi... temu rząd wasz powinien dać emeryturę — aż do trzeciego pokolenia! Ja go znam!... ho! ho!

— Ja mówię, że go tu nie ma! — rzekł Trump energicznie.

— A ja — że jest! — powtórzył Sherlock nie mniej stanowczo. A potem dodał nieco poważniej: — Czy sądzicie, kamracie, żebym ja za nim pędził po kraju tak na wiatr? Żebym stawiał na taką kartę całą moję reputacyę... po waryacku?

Gdyby wasz rząd był przyjął moje usługi przed dwoma miesiącami, — kiedy generał zwąchiwał się ze swoimi w Dublinie... dawnobyście go mieli w Kilmainham, albo w londyńskim Clerkenwell!... a jabym sobie wracał nad Hudson!

— Szkoda, że nie przyjął rząd wtenczas! czy wam wiadomy powód?

— Rzecz prosta! u was jeszcze stare porządki... na wszystko musi być patent — tyle a tyle lat służby takiój a takiój, tam a tam — inaczej... nie można! Czemu nie można? Bo taki regulamin, — zapisany w takim statucie, z takiego a takiego aktu parlamentu, roku panowania tego a tego, a od narodzenia Chrystusa roku owego... Obskurantyzm! U nas pod tym względem rozumieją stany swój interes: więc idziesz, proponują służbę i przyjmują cię. Powiedzie ci się, masz asygnacyą na dolary; nie powiedzie ci się... to szukaj służby u eskimosów!

— Lecz w końcu, przyjęli was w zamku...

— Przyjęli na warunkach, jakie czytaliście na mojej karcie, panie Trump!

— To jest na własny koszt pański! — zaśmiał się dubliński detektyw, ale spoważniał natychmiast, dodając: — Panie Sherlock, musicie wy coś mieć prywaty w tym interesie...

— Prywaty? — powtórzył *yankei* — nie! najmniejszej! Owszem... dobro publiczne obrało sobie w méj osobie gorliwego sługę! Dziwi to was? A więc posłuchajcie. Ba!... przepraszam.

Sherlock przerwał rozmowę i obydwaj towarzysze przyspieszyli kroku. O kilka staj bowiem przed nimi ukazał się od zakrętu drogi smutny pochód pogrzebu.

Na przodzie szedł ksiądz Dooley, ubrany w długą sutannę i lekki paletot, z biretem na głowie; obok niego postępował kościelny tramorski; tuż za nim kilkoro mężczyzn, chłopów

i kobiet — a w ślad za tymi nędzny wózek, zaprzęzony w jednego konia. Parobczak z odkrytą głową kroczył obok, trzymając z luźna lejce w ręku. Na wózku, usłanym słomą i pokrytym starą derą, stała — a raczej chwiała się — uboga trumna z sosnowego drzewa, niemalowana, naczerniona długim krzyżem, z pękiem polnych kwiatów w pośrodku krzyża. Za wózkiem wlokła się z trudnością o kiju mocno przygarbiona starszka, sama jedna. O dziesięć kroków za nią postępował oddział policyi, złożonej z piętnastu konstablów, z karabinami na ramionach, z bagnietami zamiast „lasek“ przy pasach. Zamykał pochód wachmistrz baronii, konno, z dobytym pałaszem w ręku, z parą rewolwerów w olstrach.

O. Dooley szepeąc odmawiał *Officium Defunctorum* — a kościelny mu odpowiadał. Smutny i dziwny pochód odbywał się pośpiesznie... nie z powodu odległości ementarza (w połowie drogi między miastami), lecz z powodu policyjnej eskorty.

Starowina kobieta, co szła za trumną, ledwie podążyć zdołała — lecz widocznie ani skarżyć się, ani ustać w drodze nie chciała.

Dwaj podróżni zatrzymali się na uboczu, póki ich wózek pogrzebny nie minał. Jack Trump odkrył głowę, wpatrzony w postać staruszki; Sherlock zmarszczył czoło na widok księdza, ludzi i trumny, a jakiś uśmiech szydereczy i pogardliwy ukazał się na jego ustach, gdy za jedyną „żałošnicą“ ukazał się oddział policyi.

— Myślałem, że go już pochowali! — rzekł z cieniem gniewu na twarzy, gdy się obydwaj w dalszą puścili drogę.

— Mieli go odwieść na ementarz tego rana — odpowiedział Trump poważnie — ale jak mi mówiono na stacyi w Waterford, inspektor tramorski nie mógł znikąd dostać podwoły... Dopiero proboszcz sam poszedł do Topoli starego O'Grady.

— O'Grady! — zawołał nagle pytająco, detektyw nowojorski. . .

— A tak, Marcin O'Grady. . . znacie to nazwisko?

— O nie! . . . to jest — słyszałem w Dublinie.

— A bezwątpienia, słyszeliście w sprawie Tomasza . . . otóż Marcin, to ojciec tamtego. . . zacny człowiek.

— No. . . więc to Marcin dał wóz?

— Marcin; proboszcz zaś parobczaka i . . . trumnę — sam ją kupił, kościelny zaniósł do stacyi.

— A ta. . . ta kobieta za wozem, matka?

— Gdzie tam! Ej, panie Sherlock, Dermotta chcecie znaleźć . . . a ludzi tutejszych nie znacie! John Connor zostawił ojca i matkę; oboje zdrowi — mieszkają z tamtej strony miasteczka — stary Jan ryby łowi, a żona jego Brygida, gotuje *potynę* *), i zalewa się nią od niedzieli do niedzieli. . .

— Więc któż szedł za. . . wozem? — spytał niecierpliwie amerykańczynek.

— Ta starowina?.. to Mylesowa, stara Piotrowa, matka. . .

— Mylesowa? matka Michała? . . .

— Rodzona matka zabójcy Connora, panie Sherlock — rzekł Trump zwolna i oschle.

— Czy ona krewna jaka tego. . .

— Connora? Tyle krewna, co ja lub wy sami!

— Więc pocóż jęć się wlec. . . iść za pogrzebem?

— Ksiądz w Topolach powiedział, że nikt za trumną nie pójdzie. . . wszyscy w parafii wiedzą, że nieboszczyk został „odsunięty“ przez chłopców. . . więc jedni z solidarności, drudzy ze strachu pozostali w domu. Stary Connor, ojciec przeklął pamięć jedynaka. Matka od pierwszego dnia pomroki jeszcze nie

*) *Poteen*, rodzaj wódki, *whisky*, fabrykowanej mimo surowych zakazów przez właścicielstwo irlandzkie z ziemniaków i jałowcu.

odzyskała przytomności... leży w chałupie na barłogu, i wrzeszczy, że ją bense do piekła prowadzą...

Sherlock splunął na ziemię i milezał. W oczach jego zabłysła na chwilę wyraz obojętności, czy może zadowolenia — przymrużył je więc i po niejakiem czasie dopiero, gdy już dochodzili do pierwszych willi nadmorskiego miasteczka, zapytał towarzysza:

— Więc gdyby nie moje zjawienie się pod Herbem miasta, byłbyś pan odstawił tego Mylesa?

— Hm! może i nie — odparł Trump niechętnie. W każdym razie prosiłbym was bardzo seryo, byście mi nie przeszkadzali w jego kandydaturze... macie dość kłopotu z Dermottem, zostawcie mi moją przepiórkę!

— Ja też wam nie myślę przeszkadzać — rzekł Sherlock, śmiejąc się. — Ale... żeście mi nie dowierzali, to nieszlachetnie panie Trump!

— Jakto?

— Ba!... — zawołał amerykanin i dobył z kieszeni szarą, urzędową kopertę: — Oto moja satysfakcya, panie Jack Trump! Telegrafowaliście do zamku, do szefa, zapytując: kto to ten Sherlock? z kąd? po co? na co? I dostaliście odpowiedź — a ja równocześnie kontra-zapytanie, w tej oto depeszy; słuchajcie: „Jack Trump — niski, suchy, chudy, łysy, gdzie jest, czy widział się z wami“? Ha! ha! obskurantyzm! obskurantyzm!... Wy nie wierzyliście mojej karcie — oni nie wierzyli depeszy! Wyście się zapytali o mnie — a oni ha! ha! ha! zapytali się mnie, czy to wy, a nie kto inny szukał odpowiedzi! No... ot, i tyle wart wasz regulamin!... na co więc karta?

— Karta? — zawołał Trump, bynajmniej nie zmieszany odkryciem swój ostrożności — karta? U nas kartę dadzą każdemu! te nie nie znaczy... są ptaszki (dodał zniżonym głó-

sem), co te karty mają, tak jak i my, choć ich nie tak samo używają... Michał Myles np. ma taką kartę już od trzech miesięcy!...

— Myles ma kartę?! — zawołał, zatrzymując się, amerykańnin z takim osłupieniem, że zdawało się, jak gdyby oczy mu wyskoczyły z oprawy. Ha! ptaszku!

Jack Trump drgnął mimowoli na głos tego wykrzyku, w którym obok najwyższego zdziwienia brzmiała jakaś dzika, gwałtowna i nieposkromiona nienawiść. Nie miał Trump zbyt dużego zaufania do swego kolegi z za morza. Nie mógł wprawdzie wątpić o autentyczności jego misji... ale od tej chwili począł niedowierzać, by Dermott był jedynym celem tej misji. Może on znał Mylesa w Ameryce — pomyślał — może to jego on potrzebuje!

Tymczasem Sherlock, skoro tylko doszli do głównej ulicy miasteczka, przybrał znów minę obojętną i spokojną.

— A co? — zagadnął Trump — czy sądzicie teraz, że wywietrzycie waszą zwierzynę?

— Nie wiem... ale zobaczymy! — odparł amerykańnin.

XI

W willi Rathmines, pod Dublinem, Tom O'Grady wracał z wolna do sił i zdrowia, dzięki troskliwym staraniom patryotki, miss Farrell i sióstr jej, mieszkających tu z owdowiłą matką jednego z najzdolniejszych przywódców narodowej partii irlandzkiej. Pierwszy ratunek otrzymał był Tom w szpitalu miejskim, dokąd go z pomocą konstabłów poniósł Thady, który usłyszawszy strzał po wyjściu przyjaciela swego z Achazyaszowej kamienicy, wybiegł zaniepokojony na ulicę, gdzie przy rogu ulicy

Zamkowej ujrzał już tłum pospólstwa, policyantów, śpieszących zewsząd i martwe, jak sądził, ciało nieszczęśliwego młodzieńca.

Chirurg zbadał głęboką ranę, zadaną „chłopcu“ między łopatki nożem, jaki w Ameryce nazywają *bowie-knife*, o wąskiej obosiecznej klindze; na szczęście, rana nie dotykała części żywotnych; lecz umysłowy stan Tomasza, jego gorączkowe rozdrażnienie i zupełny rozstrój nerwowy sprawiły, iż w pierwszej chwili organizm jego nie funkcjonował harmonijnie.

Przy łożu Tomasza pozostał Thady przez noc całą; obok niego zaś zmieniali się kolejno tajni agenci policyjni. Po spisaniu protokołu zeznań świadków naocznych niemal zbrodni, jeden z zamkowych inspektorów uwiadomił zarząd szpitala, że „konający jest ważnem indywiduum“, i że każde jego słowo jest „potrzebne w zamku“. Dlatego też nie odstępował łoża chorego zaufany agent policyi, z którym się od czasu do czasu inni przychodzący porozumiewali. Sprawdziwszy tożsamość osoby chorego z doróżkarzem, którego władze oddawna śledziły na każdym kroku i o którym wiedziały daleko więcej, aniżeli przypuszczał Thady — policya potrzebowała jednej tylko wiadomości: jakiego nowego rozkazu spiskowych nie usłuchał Tomasz O'Grady... iż tajny wyrok został na nim spełniony? Policya wiedziała bowiem, że umierający nie był winien śmierci Grubba... gdyż od paru tygodni, otrzymało biuro centralne nader jasne pod tym względem informacje z wiarygodnych źródeł. Mr. Trump zakomunikował bowiem szczegółowy raport z Tramore o rodzinie O'Gradych, w Topolach; Jozasz Peet — nie mówiąc nic nikomu — wysłał również do zamku pismo, zawierające ważne sprawozdanie z rozmowy z „kims“, co był świadkiem morderstwa, lecz z bojaźni przed złymi ludźmi, nie śmie uchylić tajemnicy ani z imienia swego ani z towarzyszy, z którymi przestawał. Kto był tym bojaźliwym, dowiemy się później. Policya domyśliła się trafnie po-

wodu, dla którego Tomasz, uszedłszy pierwszej doraźnej zemsty związku sekretnego, a uważając się w wielkiem niebezpieczeństwie wobec władz na południu wyspy... pozostał w Dublinie i poddał się obojętnie narzuconemu sobie zajęciu dorożkarza.

Od młodego Kennedy nie wiele się dowiedział agent rządowy. Thady był przecież z ludu, „brytańczykiem“ i ich pachołkom nie ufał; wierny był nadto obietnicy danej Tomaszowi, że „tajemnicy“ nie zdradzi, wierny również postanowieniu jakie sam sobie uczynił, — że, bądź co bądź, wyratuje Tomasza, lub... pamięć jego... po zasięgnięciu rady u miss Farrell.

Około 9-tój tego samego wieczora, przybyła miss Farrell do szpitala. Po konferencji z lekarzami, zbliżyła się do łóżka, przyjrzała się choremu, który zaledwie słabe zdradzał znaki życia i znów dobrą chwilę porozmawiawszy z dyżurnym doktorem, zwróciła się do agenta.

— Proszę mi powiedzieć — zapytała — czy, w razie przejścia niebezpieczeństwa, wolnoby mi było zabrać pacyenta do mojego domu?

Agent zdziwiony i nie zdając sobie sprawy z takiego zapytania, odpowiedział tylko:

— Pacyent jest pod dozorem policyi, miss.

— Może być pod dozorem i u mnie — odrzekła pacyentka.

— Jeżeli tak... to powinna pani otrzymać upoważnienie od jeneralnego inspektora.

— Bardzo dobrze — rzekła miss Farrell — może się pan zajmiesz tą sprawą... oto mój bilet i adres. Zgadzam się z góry na wszelkie warunki.

— Te zaś będą dwojakie — przerwał agent, potrząsając głową, jak gdyby wiedział, że siostra wielkiego agitatora nigdy się na nie nie zgodzi: — dom pani musi pozostawać pod nad-

zorem policyi, mającej prawo wejść do pokoju pacyenta o każdym czasie, i trzeba pani będzie złożyć stósowną kaucyą pieniężną.

— O! tyle tylko, bardzo chętnie!

Powiedziawszy te słowa z wyraźną w głosie obojętnością, miss Farrell skinęła na Tadeusza i razem z nim opuściła wielki dormitauz, w którym atoli nie wielu było onego dnia chorych. Przeszli w milczeniu korytarze szpitala i dopiero, gdy się znaleźli w dziedzińcu, Thady ośmielił się zapytać o zdanie lekarzy.

— Mówią, że to odrętwienie potrwa niedługo: a ponieważ stał nie naruszyła serca... więc nad ranem już może wiedzieć będziemy, czy jest nadzieja jakakolwiek. Jeżeli biedak nie skończy... przed ranem, to trzeba obmyśleć środki najlepsze, by go przenieść do Rathmines... tam tylko będziemy zdolne (dodała, jakoby do siebie samój) uratować go... Powiedz mi panie Kennedy, ma on rodziców?

Tu z rozrzewnieniem nad łaskawością szlachetnej dziewczyny, opowiedział Thady wszystko, co mógł naprędce wspomnieć o mieszkańcach Topoli, dodał nawet niektóre szczegóły o zamordowaniu Grubba i o tém, jak ginącego z głodu i nędzy Tomasza ukryła i poratowała czas jakiś nieznaną mu kobietą w Donegalu.

Miss Farrell słuchała z głębokim współczuciem. Gdy Thady wspomniiał o nieznanój kobiecie, spytała nagle:

— Gdzież to było?

— W Tobermore...

— To ta sama! — zawołała miss Farrell. — Słuchaj Kennedy, ostatnią pocztą tego wieczora doszedł mnie list, od niejakiój Agnieszki Leary... znasz to nazwisko?

Thady nie znał nikogo tego nazwiska w hrabstwie waterfordzkim, pomyślał chwilę, przypomniał sobie...

— Proszę pani, u mojej ciotki w Ballytullagh, żyje staruszka... Kirwanowa — tak, tak! teraz pewien jestem, że to ona czasami wymawiała to nazwisko... ale...

— Ale co?

— Ale mnie się zdawało, że stara Kirwanowa mówiła o Agnieszce Leary, jak o dawno zmarłej...

— Więcej nie pamiętasz?

— Nie... niczego więcej nie pamiętam — dodał Thady stanowczo, choć na pół bezprytomnie.

— Otóż ta Agnieszka Leary — ciągnęła dalej patryotka — to owa nieznana kobieta, której ten biedak zawdzięcza matczyną niemal pomoc i zawdzięczy jej może coś więcej. Opuściła ona Tobermore w kilka dni po wyjściu z tamąd Tomasza; w Kilkenny, posłyszawszy o mnie w naszym Komitecie tamtejszej ligi żeńskiej, napisała do mnie wzruszającą prośbę... bym ratowała nieszczęśliwego! Ale... masz oto list, przeczytaj go sobie i przynieś mi go jutro rano do naszego biura, z wiadomością o Tomaszu. Dobranoc — wezmę dorożkę.

Thady podszedł do latarni w bramie szpitala i przeczytał list, nie zawierający jednak, prócz gorących błagań o podanie pomocy Tomaszowi... „gdyby przypadkiem udał się do ligi“, żadnych wskazówek, mogących rzucić światło na charakter i osobistość miłosiernej nieznanej.

Całą tę noc przesiedział Thady przy łóżku chorego. A była to noc okropna dla niego, bo pełna niepewności... Tom około północy otworzył oczy, spojrzał dziko w koło siebie — zatrzymał wzrok dłużej na agencie; w piersiach jego odezwało się głośne rżenie — chciał mówić, wołać... sił nie miał. Przywołany lekarz, zmusił go przemocą do oparcia się o poduszki. Tom gwałtem wydierał mu się z łóżka, wskazywał na agenta, to na Tadeusza — oczy jego wyrażały przestрах śmiertelny!

Nie będziemy opisywali scen onej nocy w miejskim szpi-

talu... Nad ranem, chory popadł w silniejszą jeszcze gorączkę i Thady stracił wszelką nadzieję. Dopiero z wieczora spokojniejszy sen uspokoił Tomasza.

Gdy potem otworzył oczy, znalazł się w inném otoczeniu. Łóżko, na którém leżał, stało pod ścianą, naprzeciw okna, z kąd widok roztaczał się na wspaniałą zatokę dublińską. Przy oknie siedziały dwie osoby: jedna w podeszłym już wieku, zajęta była robótką; druga, podlotek niemal, zapatrzyła się w dal zatoki i zatopiła swe modre oczy w bezgranicznój toni modrych wód i modrego horyzontu niebios. Piewszą była pani Farrell, wdowa po amerykańskim admirale; drugą, najmłodsza jój córka Gracya, niemniej słynna z poetyckich utworów swego pióra, jak najstarsza siostra jój słynną była z dzieł miłosiernych swego patriotyzmu.

Chory zmęczonym wzrokiem wodził od jednej do drugiej. W téj chwili, uchyliły się drzwi przybocznego pokoju i w progu stanął Kennedy.

— Czy mogę wejść? — spytał panią Farrell.

— Owszem, ustąpimy panu pół godziny — odpowiedziała — ale... sza! widzisz, obudził się!...

Tomasz przymknął znów powieki i odwrócił głowę od światła. Obydwie panie opuściły pokój. Thady siadł w końcu łóżka i śledził bacznie wyraz twarzy brata Hesterki — następnie wyjął z kieszeni list, otrzymany tego rana od ciotki, i po raz czwarty odczytał jego dopisek:

„Nowego tu nie nie zaszło. Moja kupa pracuje po łajdacku, ale byle Pan Bóg i św. Patryk dali więcej takiego powietrza, jakie teraz mamy, to urodzaj będzie na pociechę... No, prawda, muszę ci też powiedzieć, że do pałacu zaszła jakaś kobieta, co o mało nie zabiła kapitana, więc mówią, że to waryatka... czemu ja nie wierzę. Dziś rano słyszałam, że to żona Mitchell'a, tego prostackiego drągala w służbie Gandego,

więc i temu nie wierzę! U O'Gradych też wszystko po staremu, Michał Myles ma się tam coś kręcić koło małój Hessy... no, i pewnie ona też rada“.

— Nie może być! nie może być!... — szeptał Thady — ciotka zawsze coś miała przeciwko niéj... A jednak! Czemu nie? Podlec Myles chępił się przecież od dawna, po pijanemu, że jemu „żona rośnie w Topolach“... Ale ona, Hessy!

— Cóż Hessy? — spytał nagle chory słabym głosem

Thady zmieszał się i ucieszył téj saméj chwili. Zmieszał się, bo dotąd Tomaszowi nie wspomniał ani słowem o swéj tajemnicy; ucieszył się — bo z powracającą przytomnością umysłu chorego mógł już bezpieczniej spodziewać się jego wyzdrowienia. Nie odpowiedział jednak na zapytanie, lecz polecił mu spokój i usiadł na krześle przy łóżku. Tomasz milczał dosyć długo, potem znów się odezwał:

— Kennedy, ja sam nie wiem, czy mi Bóg da życie i zdrowie. Gdybym był pewien tego — milczałbym, póki bym sam nie mógł... odkryć zdrajcy i...

— Na miłość boską, Tom, nie myśl o tém teraz! — zawołał Thady.

— Owszem teraz — odparł chory spokojnie. — Thady, przynieś papieru i co potrzeba do pisania... ja ci powoli opowiem wszystko, co zaszło od... od kiedym poznał się z nim, z Mylesem, aż do ostatniego dnia, kiedy to było, Thady?

— Przed czterema dniami.

— Tak dawno?... ty opisz wiernie, przeczytasz mi, ja podpiszę. Ale... Thady, przrzecz mi, przysięgnij, że — cóż to, kto to?...

Chory spostrzegł kogoś przechodzącego pod oknem i zaglądnącego do pokoju. Thady obejrzał się, lecz nie widział nikogo.

— Przysięgnij, że nie odkryjesz mego... zeznania władzom, nie oddasz im papieru! nawet jeżeli... jeżeli wszystko się skończy, Thady, jeżeli śmierć mnie zabierze!

Thady chciał protestować, ale daremnie! Dał więc uroczystą obietnicę!...

— Ja mogę umrzeć, albo tu długo jeszcze się pasować... ty nie trać czasu — przepisz, poślij do Topoli kopią, a zeznanie, przezemnie podpisane zanieś na ulicę Studzienną i oddaj Dermottowi... do rąk jego własnych, Thady — do rąk jego własnych... .

— A jeżeli go tam nie ma?

— To zatrzymaj pismo przy sobie, aż go znajdziesz w domu, na Studziennéj.

Thady przysunął do łóżka stolik z materyałami piśmieniemi i zabrał się do pisania.

Chory składał swe zeznanie powoli, jasno i zwięźle. Widocznie nieraz sobie zdawał sprawę z wypadków ostatnich ośmnastu miesięcy, bo pamięć jego nie potrzebowała w téj chwili najmniejszego natężenia. Thady pisał szybko. Minęło pół godziny, a panie do pokoju nie wróciły. Minęły trzy kwadranse — przyjaciele pozostawali sami. Tadeusza to zadziwiło, bo wiedział, ak troskliwie przestrzegała pani Farrell, by odwiedziny jego nie trwały dłużej nad czas oznaczony; nadto, po upływie pół godziny zwykła zastępować go najstarsza miss Farrell, poświęcająca codziennie godzinę po śniadaniu swemu protegowanemu.

Na parę minut przed wybiciem drugiej, Tomasz skończył swe opowiadanie. Drżącą ręką podpisał ostatni arkusz... i opadł bezsilnie na poduszki. Thady położył swe nazwisko, jako świadka obok daty zeznania; — a potem natychmiast zbliżył się do drzwi i chciał je otworzyć, by przywołać choćby sługę domu, bo sam wracać musiał czémprędzej do magazynu Achazyasza.

Ku niemałemu zadziwieniu, znalazł drzwi lekko tylko przyknięte. W przybocznym pokoju siedziała przy stoliku, zaslanym papierami, miss Farrell — a obok niej stał, jakoby zabierający się do wyjścia, słynny Dr Webb, prawnik, profesor uniwersytetu św. Trójcy, mówca wszechniecy, najznakomitszy łacinnik w królestwie i — notaryusz centralnego komitetu ligi agrarnój.

— Jak się ma chory? — spytała miss Farrell — przerzucając papiery.

— Osłabiony bardzo... ale przytomny — odpowiedział Thady mocno zmieszany.

— Zatrzymałeś się pan dziś przy nim dłużej... nie przeszkażalam tym razem, bo — bo miałam do pomówienia z tym panem. Doktorze — rzekła, zwracając się do prawnika — miło mi przedstawić ci zaenego bardzo młodzieńca, p. Kennedy.

— *How do you do!* — rzekł prawnik banalnie i podał palec „zaenemu młodzieńcowi“. Thady ukłonił się, uściśnął dłoń jego i, pożegnawszy się, opuścił pokój.

— Nie domyśla się, co? — spytała miss Farrell swego gościa.

— Owszem, domyśla się — odparł, wciągając rękawiczki, ale to nie nie szkodzi. Bądź co bądź, mamy nowy dowód, do jakiego stopnia zakorzeniona jest w ludzie naszym — nie powiem nienawiść, lecz z pewnością nieufność do władz panujących. Ten biedak chce wiernym pozostać idei narodowej aż poza grób... chociaż, jak widzimy, przekonany jest i przeświadczony o strasznej krzywdzie, wyrządzanej sprawie narodowej przez takich Mylesów i Dermottów. Dlatego to, pragnąc oczyszczenia swego imienia i ukazania winowajcy, pragnie by sprawiedliwość wymierzona została w łonie związku, a żadną miarą poza nim. Ludzi takich ratować trzeba przeciw ich własnej woli.

— Tylko ostrożnie, doktorze!

— Nie obawiaj się pani... potrafimy to uczynić bez — wydania wojny Dermottowi i klubom w Nowym Jorku i w Chicago. Pozwoli pani, że te notatki zabiorę, choć może będę mógł — lepsze otrzymać narzędzie...

XII.

Thady wstąpił tylko na chwilę do kantoru Achazyasza, by otrzymać uwolnienie na czas dłuższy, potem podążył na ulicę Studzienną, do domu „agencji“. Na odgłos dzwonka, otworzył drzwi kamienicy tajemniczy odźwierny.

— Czy jest w biurze generał? — spytał Thady.

— Czego potrzeba? — odburknął Wiliam.

— Oddać do rąk własnych generała dokument umierającego Tomasza O'Grady — rzekł Thady z chłodem.

— Umrze, czy nie umrze? — spytał brat odźwierny przytłumionym głosem. Oczy zajaśniały mu ponuro i drżącą ręką chciał pociągnąć młodzieńca bliżej siebie; ale Thady wzdrygnął się... dreszcz przeszedł go na wskrós, cofnął się szybko.

— Czy Dermott jest tu, czy go nie ma? — zawołał niemal niebacznie.

Stary William zadrżał, zacisnął zęby i przychylił drzwi domu. Wycodził jednak:

— Daj to pismo... nie ma go — opuścił Irlandyą — stój! daj to pismo!

Thady był przekonany, że generała w domu nie było; odszedł więc śpiesznym krokiem i udał się bezzwłocznie do centralnego biura poczt. Wierny poleceniu Tomasza, przepisał w sali korespondentów całe zeznanie i zaadresował rekomen-

dowaną kopertę do ks. Dooley'a, proboszcza w Tramore. Na osobnej karcie pocztowej napisał pod tym samym adresem następujące słowa:

„Choremu lepiej. Nr. I opuścił stolicę — wysyłam list rekomendowany do Topoli, proszę przeczytać i wręczyć osobiście.

T. K.

Otrzymując kwit rejestracyjny, Thady spostrzegł Dra Webb'a tuż obok, podającego urzędnikowi wypełniony blankiet telegramowy. Na ukłon jego, słynny prawnik skinął głową i dodał:

— *How do you do?*

Depesza, zaadresowana do ks. Dolley'a, proboszcza w Tramore, zawierała następujące słowa:

„T. K. wysyła list. Proszę przeczytać i przysłać oryginał lub kopią *sine mora*. Webb, Wszechnica“.

Depeszę tę otrzymał ks. Dooley tego samego wieczora; znał z reputacji słynnego prawnika, ale komunikacji jego nie zrozumiał, nawet gdy w literach T. K. domyślił się Tadeusza. W każdym razie, wypadało mu czekać na poranną pocztę duślińską.

Nazajutrz rano... proboszcz miał do spełnienia nie mało nowych obowiązków. Przez całe trzy doby strasznej pomroki, sługa ołtarza — jeżeli nie leżał krzyżem przed ołtarzem w parafialnym kościele, lub potężną swą wymową nie podtrzymywał z kazalnicy upadającego ducha parafian — to śpieszył od chaty do chaty, od zagrody do zagrody, walcząc wszędzie z rozpaczą, jaka do jego nawet serca wkraść się poczyniała!

Trzeciego dnia po zarazie, odprawił ks. Dooley smutny pogrzeb zamordowanego Connora. Wróciwszy do domu, wycieńczony pracą ostatnich siedmdziesięciu godzin, myślał jeszcze o okropnym stanie matki nieboszczyka i przemyślał nad tém,

coby mógł uczynić, by nędzną kobietę uratować. . . To mu przypomniało Julię.

— Dziwne i nieodgadnione są drogi Pańskie! — rzekł — za trumną nie było własnej matki. . . a czołgała się matka jednego z tych, z których zemsty padł nieszczęśliwy ofiarą! Być może — dodał, wzdrygając się — że była to matka. . . zabójcy!

Po chwili, wstał nagle i zbliżył się do swego biurka. Spozrzegł na niém od razu urzędową kopertę i kartę pocztową. Tę ostatnią przeczytał wprzód. . .

— „Nr. I opuścił stolicę!“. . . — wyrzekł po namyśle, powtarzając doniesienie Tadeusza, Więc nie gdzieindziej się obraca, jak tu, na południu, może w tej parafii. . .

Ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę! — zawołał proboszcz.

Do pokoju weszła Maryanna.

— Bóg z tobą, Maryanno! — rzekł kapłan. — Cóż mi powiesz?

Na twarzy biednej dziewczyny widać było ślady łez i cierpienia.

— Wielebność wasza wie — odezwała się słabym i drżącym głosem, że *master* wrócił do chaty. . . o h, o h, i pewnie, że nie kto, jeno *missy* go nazad przyprowadziła z pagórka, gdzie niby kamień nieczuły siedział *machrij*. . .

— Wiem, wiem, Maryanno; byłem w Topolach przed pogrzebem, ciebie tam nie było. Jakże się ma twój pan?

— *Master* siedzi w izbie, przy oknie, słowa nie powie, proszę wielebności waszej. . . chociaż my biedne kobiety obydwie nie wiemy, *begorra*, jak sobie poradzić! . .

— Z czém? z nim? czy chory może?

— Jużćie to nie on, proszę wielebności waszej, chociaż znowu z drugiej str. . .

— Któż więc chory, Maryanno? — zapytał proboszcz, któremu dobrze była znana gadatliwość dziewczyny.

— A pewnie, że nie kto inny, proszę wielbności waszój, jeno pani Julia — odpowiedziała — co, jak przysłała do chaty po pogrzebie tego...

— Cóż się stało?

— Tak nie i nie, jeno płacze w alkierzu i — proszę wielbnego ojca — chce iść do niego!

— Do kogo?

— Do syna juźcić, chociaż znowu...

— Mówiłaś, Maryanno, że *mistress* Julia chora, czy tak?

— Tak samo z nią, proszę wielbnego ojca, jak kiedy to przysłała do Topoli, *akuszła dhu asthore!* Juźcić się znowu nachyliła cała i trzęsie nią, i coś do siebie mówi, a do mnie i do missy to jeno: „idę do niego, idę, bo ja jego matka i Bóg w niebie tak każe“!

Proboszcz zamyslił się.

— Byłoby to bardzo dobrze — rzekł po chwili — gdyby... Myles się zgodził.

— Och, wielbność wasza! — zawołała Maryanna — *begorra*, i pewnie, że poszła do Knyverton i widziałam go, i gadałam z nim!

— Ty, Maryanno?

— Tak jest, wielbność wasza, chociaż...

— A on co?

— *Wejrasthru*, on powiedział: ..och! wielbność wasza, juźcić najprzód zaklął, jak sam czarny, co to powtórzyć nie można! „Niech cię dyabli wezmą! — mówi, — albo to babski szpital u mnie, czy co?“ Więc już iść chciałam... nie to, *begorra*, żebym strach miała, jeno, że swoje zrobiła i na nieby się nie zdało do niego gadać — kiedy, proszę wielbności waszój, on mi kazał czekać, coby się namysłał. Ano, *acharu*,

czekałam i czekałam, a on chodził po izbie, jak jakie dzikie bydlę, co to pokazują za żelaznemi kratami!

— I cóż potem?

— Potem stanął, proszę wielbnego ojca i powiedział: „tu leży u mnie — mówi — żona Mitchella z pałacu“. . . albo ja kiedy myślała, proszę wielb. . .

— Cóż dalej powiedział?

— „Z pałacu — mówi — pilnuje jej matka Józefowej Clancy, bo to niewinna *). Ja sam — mówi — pojedę jutro rano do Topoli i wezmę matkę do siebie“. . .

— Więcej ci nie powiedział?

— Nie, proszę wielbności waszej, jeno drzwi otworzył i „a teraz — mówi — idź do dyabła“! Więc już cię prostą drogą tu najprzód iść chciałam, kiedy niedaleko jego chaty, zaszedł mi drogę jakiś handlarz, albo co. . . i spytał: „Gdzie tu — mówi — chata niejakiego Michała Mylesa“? Tak ja mu pokazałam, a on stanął i patrzył, patrzył na chatę i na wszystko. . .

— Moja Maryanno — rzekł proboszcz — jeżeli mojej chcesz rady, to myślę, że najlepiej będzie pani Julii zamieszkać przy synie. . .

— Och! wielbność wasza! . . .

— Rozumiem, co chcesz powiedzieć, ale zostawno to mnie; zresztą ty sama, albo miss Hessy, możecie zaglądać od czasu do czasu do pani Julii i. . .

— O już cię, co ja, to mogę — rzekła z energią dziewczyna — ale missy tam się nie pokaże, bo *acharu*, żeby to ojciec wielbny wiedział, jak ten się koło niej. . .

— No, to choć ty jedna tam zajrzysz, a i stara Clancy może o niej pamiętać będzie, ja także odwiedzać będę panią Julią po dawnemu. . .

*) Obląkana.

Maryanna, załatwiwszy tę sprawę, wylała wszystkie swe przed proboszczem żale na srogie dopuszczenie Boże — okropne spustoszenie zarazy. Ks. Dooley nie szczędził i jej pociechy, polecając staranie o zdrowie Marcina i jego przybranęj córki.

Dopiero po odejściu Maryanny, zasiadł do odczytania zeznań Tomasza.

XIII.

Szlachetna Horacya Gandy opuściła pałac tramorski i Irlandyą, odjechała do Craingenfort. Mąż się tym razem nie sprzeciwił postanowieniu jej. Krótkim liścikiem uprzedziła syna:

„Bercio, Kochanie! *Je pars!* być może *pour toujours!*... Po fenianach — *une calamité* — zaraza! Ludzie będą umierać tu z głodu:.. *on parle d'assassinats*. Kapitan, *votre papa*, znów ma eskortę. *Pas de monde — pas de salon*... Kto tylko jest kimś — ucieka... *Je m'envole vers vous, en bonne petite maman que je suis! á tantôt!* H. G.

„P. S. Wyatt jedzie ze mną. Strach, co się tu działo. dzieje, dzieć będzie *jusqu'á la fin des fins!*... *Wyatt me dit que le capitaine ne fait que boire et boudier...* *mon coeur souffre! Qu'elle est pleine de prose, la vie en Irlande!*“... .

Natychmiast po odjeździe żony, kapitan zamknął się z Mitchellem w bibliotece i odbył z nim długą naradę, skutkiem której kamerdyner pojechał konno do Knyverton. Wracając, wstąpił do szynku Clancy'ch.

Nazajutrz rano, przed bramą pałacu stanął powóz zaprzężony w konia roboczego. Klucznica zniosła z ganku przygotowane kołdry i okrycia, rzuciła je do powozu.

— Jeszcze też czego! — mówiła do siebie, czerwona jak burak, — żebym ja posługiwała jakiegóś tam... a kapitan też chyba rozum stracił... powozu trzeba, poduszek wielmożnej pani Mitchellowej! Zdrajca, podły! łajdaczysko! nienawidzę go!

Po chwili ukazał się Mitchell z Bobem, niosący otuloną, mimo wielkiego upału, kobietę. Ostrożnie złożyli ją w powozie i okryli poduszkami. Gdy wszystko było gotowe, Mitchell wsiadł do powozu, zajął tylne siedzenie i rzekł do lokaja:

— Powiedz mu raz jeszcze, żeby jechał powoli, krok za krokiem... nie ma się czego spieszyć, do Knyverton pół mili drogi.

Bob zamknął drzwiczki i powóz ruszył. Skoro powóz zniknął za bramą dziedzińca, plenipotent zatarł ręce, zadzwonił i kazał sobie przyprowadzić Ali Baszę.

W godzinę później, siadł do śniadania w waterfordzkim „klubie konstytucyjnym“. Rozmowa członków toczyła się oczywiście o jedynę kwestyi sytuacji danej chwili, w jaki sposób wyciągnąć największe korzyści z straszliwej klęski krajowej. Żywy brał w nią udział plenipotent dóbr lorda Grosvenora, a jemu serce rosło, bo go słuchali wyniosli synowie i ojeowie rodzin arystokratycznych. Pod koniec śniadania, przyjęto nawet propozycyą jego, by klub wysłał delegatów na walne zgromadzenie południowych łóz oranżystowskich, do Cork, którzyby przedłożyli plany kapitana obradującym „braciom lojalnej mniejszości w kraju“.

Wśród członków znajdowało się kilku oficerów miejscowej załogi, a między nimi — lekarz sztabowy. Tego więc „zachaczył“ Gandy w sali bilardowej.

— Bardzom rad — rzekł rozweselony, że cię spotykam, doktorze, mógłbyś mi oddać przysługę...

— Cóż takiego? chory kto u ciebie, kapitanie?

— Nie u mnie... to jest — znasz mojego Mitchella, jego... hm! żona chora w Knywerton!

— Nie wiedziałem, że stary Mitchell żonaty!

— Ba! i ja nie wiedziałem... aż...

Tu kapitan odwiódł doktora na stronę i dał mu niektóre informacje. Rozstając się z nim, dodał głośno:

— Więc, dziś lub jutro — jak ci wypadnie, doktorze! Zajedź do Knywerton, a wracając, wpadnij do Tramore.

— Gandy! Gandy! — odezwało się kilka głosów z przyległego pokoju, gdzie zbierano partnerów do wista. Kapitan zbliżył się do drzwi i rzucił okiem po towarzystwie.

— Nie mogę dzisiaj, panowie... na honor nie mogę! — rzekł uprzejmie, lecz stanowczo. Mam zajęcia w kancelaryi — inną razą, inną razą!

Powiedziawszy to, wyszedł, mówiąc do siebie: — sama wojskowa i konstablerska chałastra! dla nich się rujnować, ani czasu tracić nie warto... teraz!

Plenipotent czasu nie tracił, w samej rzeczy. Pracował w kancelaryi przez kilka godzin każdego dnia, a rezultatem pracy jego, było, że...

Po pierwsze: Komornicy sądowi otrzymali od niego tak nazwane „pierwsze zawiadomienie“, z poleceniem wręczenia ich osobiście wszystkim dzierżawcom i osadnikom dóbr. Zawiadomienia były treści następującej:

„Kapitan J. A. Gandy, plenipotent dóbr lorda Grosvenor'a, uważa za stosowne uprzedzić zawczasu dzierżawców i innych osadników czynszowych z tychże dóbr, że w dzień terminu ś-to Michalskiego zażąda całkowitej wypłaty czynszów i zaległości, bez względu na jakiekolwiekby okoliczności. Kto więc przewiduje, iż z czynszu swego i zaległości wypłacić się nie będzie w stanie, ten niechże w czas uprzedzi urząd kancelaryjny w Waterford, gdzie od dnia dzisiejszego otrzyma informacje co

do zabezpieczenia się od wszelkich przykrości. Z kancelaryi dóbr Waterford, dnia 26-go czerwca“.

Po drugie: Do „Transatlantyckiej spółki okrętowej“ wysłał list z zapytaniami o cenę „przewozu kilkudziesięciu pauprów i ich rodzin z portu waterfordzkiego do któregoś z portu obydwóch Ameryk“; o wysokość komisowego dla agentów i tak zwanych „szturchańców“, t. j. szczeniawych i doświadczonych ludzi, którzyby w samej stolicy hrabstwa i w jego miasteczkach sprowadzali pewnych, wyznaczonych „pauprów“ do biur agentów, ewentualnie i na pokłady.

Po trzecie: Do rządowego wydziału „Colonial-Emigration“ sporządził podanie o — subwencją skarbową... „jakaby mu dozwoliła uwolnić skarb irlandzki i zarządy parafialne od nadzwyczajnych i niepodobnych kosztów — a zarazem przyjść w pomoc nieszczęśliwym ofiarom tegorocznej kłeski“.

Odpowiedzi nie długo oczekiwał. Z Westminsteru otrzymał przepis regulaminów skarbowych, wyznaczających pewną taryfę, według której rząd angielski, działając w porozumieniu z rządami swych kolonij przychodzi w pomoc „przeludnionym, lub inaczej dotkniętym (*otherwise affected*) obwodom wysp brytańskich. Subwencya wynosiła w tym razie od jednego do ośmiu szylingów na głowę, stosownie do płci, wieku i możliwości zarabiania „pauprów“.

Spółka transatlantycka pospieszyła z ofiarą najniższych cen i racjonalnych honoraryów.

W ten sposób, medytacje wieczorne kapitana z czysto spekulacyjnych stały się — arytmetycznemi. Wszystkie koszta wykonania swych planów zgrupował pod dwoma nagłówkami: Żądania spółki i zapomoga pauprów; ogólną sumę wydatków odeciągnął następnie od ogólnej sumy subwencji rządowej i... sumy, jakaby chętnie zaasygnował lord Grosvenor, by się pozbyć dziedzicznych kontraktów i zrujnowanych osadników. Przewyżka

należy się, oczywiście plenipotentowi... ale plenipotent miał daleko wyższe ambicje.

Najdłużej wypadło mu czekać na odpowiedź włościan — lecz i ta nadeszła... całkiem niespodziewanie i w nowej zupełnie formie.

Gandy siedział przy swoim biurku w kancelaryi; główny urzędnik, czy sekretarz stał przy wysokim biurze, tuż pod oknem od ulicy. Niespodzianie wrzucono przez otwarte okno zapieczętowaną kopertę, zaadresowaną do plenipotentą. Prosty odcisk palca oznaczał pieczęć, którą ta tajemnicza ekspedycya opatrzoną była. Pismo zaś udatne, czytelne i poprawne, zawierało tylko te słowa:

„Panie kapitanie! Ośmielam się prosić *your honour*, byś zechciał odwołać następujące słowa z cyrkularza z dnia 26-go czerwca: „w dzień terminu ś-to Michalskiego zażąda całkowitej wypłaty“ — aż do końca tego zdania — a w ich miejsce ogłosić, że w niedzielę pierwszą „września przyjmiesz delegacyą dzierżawców i osadników. Z głębokim szacunkiem, do b r z e r a d z ą c y“.

Podczas gdy kapitan odeczytywał te słowa, urzędnik wybiegł na ulicę w nadziei schwywania tego, kto list wrzucił przez okno. Ale nie znalazł nikogo, prócz policyanta, stojącego przy rogu — od niego zaś dowiedział się, że z wyjątkiem dobrze mu znanych osób, nikt podejrzany go nie minął.

Kapitan roześmiał się tylko i rzucił list do kosza.

W tydzień potem, gdy wychodząc z klubu, wziął w sieni swoją szpicrutę, spostrzegł w koło niej okręcony zwitek brudnego papieru... Zdziwiony rozwinął go i ujrzał swe nazwisko, wypisane na czele nie zbyt wprawną do pisania ręką — dalej zaś wyczytał:

„Nie odpowiedziałeś na prośbę — odpowiedz na rozkaz. Trzy dni czasu. Brygita“.

Gandy schował zwitek do pugilaresu. W bramie kamienicy klubu czekał na niego ubrany po cywilnemu, lecz uzbrojony konstabler. Kapitan nosił przy sobie nabity rewolwer; konstabler prócz rewolweru w kieszeni, miał laskę z ukrytą w niej szpadą, z rękojeścią zaopatrzoną w świstawkę. Wychodząc, Gandy rzekł do swego towarzysza:

— Trzy dni łaski, potem mam mieć do czynienia z jakąś Brygita... któż to ta Brygita?

— Chłopcy — panie kapitanie odpowiedział konstabler — ale oni dadzą panu jeszcze jedną „przestrogę“. Gdyby się nam udało złapać ich... listonosza! Czy mogę prosić pana o pokazanie mi ostatniego dokumentu?... A! ton już gburowaty... ale pismo jeszcze poprawne. Aha! widzi pan, trzech ich pisało tu na przemian, każdy po jednym wyrazie. To dla zatareń charakteru... a podpis „Brygita“ pisany lewą ręką.

W kancelaryi, tego samego dnia, sekretarz wręczył kapitanowi pismo, które deszło zwykłą otwartą drogą, przez urząd pocztowy. Był to protest rzetelnych farmerów przeciwko akcyi tajnych związków, zredagowany w stylu prostym, lecz stanowczym i wymownym.

„Chociaż nie widzimy sposobu — czytał plenipotent — wypłacenia wszystkich zaległości i czynszów naszych w najbliższym terminie, to jednak, póki jeszcze trochę czasu nam pozostaje, myślimy i naradzamy się z sobą, jakbyśmy mogli zabezpieczyć się i rodziny swoje — nie już od przykrości ze strony zarządu dóbr — ale od zupełnej ruiny, albo, co na jedno wychodzi, od przymusowego opuszczania naszych ojcowizn i naszej ojczyzny. W czas więc postanowiliśmy wysłać do pana *your honour*, deputacyę i przedłożyć mu okropne położenie nasze, co z woli i przypuszczenia Pana Boga, a nie z żadnej winy naszej powstało. Teraz zaś pilno nam wyprzeć się tych nieszczęśliwych i, niestety, liczniejszych od nas ludzi, co groźbami

i hardością stawają między nami i waszą rzetelnością, panie kapitanie. Gotowiśmy wszyscy stanąć do przysięgi, że z nimi nie wspólnego nie mamy; a i to chcemy wam, panie, przedstawić, że ci ludzie z tajemnych związków po największej części są obcy, w dobrach tutejszych zajęcia żadnego nie mają, desperaci są z innych parafij i hrabstw, którzy jak sami złym ulegli, tak teraz między nami złe zaszcześcić usiłują“.

Protest ten, zasługujący w każdym razie na uwagę, nie nosił atoli ani jednego podpisu... Protestujący nie mieli wyboru: podanie swych nazwisk uważali za wyraźne wskazanie tych, którzy się z nimi złączyć nie chcieli!

Gandy zaklął szyderezo i parsknął śmiechem fałszywym:

— Za głupca mnie mają, dalibóg! — zawołał. Jakiż inny dowód wyraźniejszy, że wszystko to robactwo jedną idzie kupą? Wiedzą o tehörzowskiéj robocie łotrów, bo nią sami kierują, sami są łotrami! Protest to ma być, protest! Tfu! do diabła! Każdy dzieciak rozumie, co to ma znaczyć „wyprzeć się liczniejszych od nas ludzi“ albo to nie pogróżka? Znasz pan to pismo? — zapytał, zwracając się do urzędnika.

— Znam, panie kapitanie; to — to pisał Marcin O'Grady z Topoli.

— A! Byłem pewien tego! A ten osioł Trump trzyma wartę nad Mylesem!... Siadaj pan i pisz *warrant* policyjny do inspektora w Tramore... od sędziego pokoju baronii tramorskiej — ja podpiszę: „Odesłać ludzi z Knywerton, posłać do Topoli. Jednego stawić w Ballytullagh, u Piotrowéj Dogherty. Rozciągnąć kordon z Tramore do Dunmore. Ważne odkrycie, mieć pilne oko na Topole, probostwo i klub kapeli w miasteczku“... Proszę to wysłać natychmiast!

Gandy był niewzruszony w swéj opinii o usposobieniu farmerów i osadników obydwóch baronij; był irlandczykiem, urodzonym w kraju, wychowanym między gorącymi patryotami po-

Łudniowego włościństwa; znał charakter współczesnego gaela, znał jego solidarność, przeświadczony był o jego patriarchalnej wierności dla pewnych przekonań i zapatrywań na ideę i na interes plemiennego konserwatyzmu. A ponieważ stłumił był od dawna wszelki zmysł prawości, więc i w jej bohaterską odwagę nie wierzył; ponieważ od dawna przestał słuchać głosu sumienia, więc i w sumienną deklaracyi innych widział tylko... obłudę; samolub do szpiku kości — sztychł z postawy tych, których żywotne interesa ciągnęły do potężnej unii anarchizmu... a którzy mimo to woleli ostać się do końca między brutalnym uciskiem wroga narodowości a barbarzyńskim bezprawiem narodowego rozprzęgu.

Czwartego dnia rano, Gandy stał na ganku tramorskiego pałacu i słuchał, co mu mówił Mitchell, po powrocie z zwykłych codziennych odwiedzin Agnieszki w Knywerton:

— Może pociągnąć jeszcze z parę tygodni, a może zamknąć oczy dziś jutro, *your honour!*... Doktor mówi zawsze jedno: trzeba było nie ociągać się, posłać po niego pierwsze dnia!

— Zawsze bezprzytomna?

— Zawsze, panie kapitanie! Nie mówi ani słowa... i patrzy na nas zupełnie obojętnie, tylko kiedy Mylesowa matka jeno przez drzwi zajrzy, to zaraz się jej w oczach mieni, jakby z nich wzrok pozierał spokojniej — dziś myślałem, że przemówi do niej, tak ustami ruszała...

— Mitchell, jak tobie się zdaje? — zapytał Gandy zniżonym głosem — poznała chorą Mylesowa?

— *Your honour* — odparł kamerdyner — ja sobie miarkuję, że poznała... Wejdzie bo czasem kobiecinka, usiedzie przy łóżku, patrzy i patrzy, pokiwa głową i zamyśli się...

— A Michał?

— O, tego nie ma na placu! Jak tylko matkę przywiózł z Topoli, wyniósł się i nikt go nie widzi.

— Bywa tam kto więcej?

— Prócz dziewczyny z Topoli...

— Jakiéj dziewczyny? — spytał kapitan z nagle pobladłą twarzą.

— O *your honour*, prostéj dziewczuchy chłopskiéj... na imię jéj Maryanna. Ta przychodzi co dzień do Mylesowéj — ale o choréj może wcale nie wie, bo Michał pewnie uczynił, co mu pan kapitan rozkazał i zabronił przystępu do...

Plenipotentą to jednakże nie uspokoiło. Chodził po ganku szybkimi krokami. Nagle zatrzymał się i przerwał Mitchellowi temi słowy:

— Mój chłopcze, pomagałeś mi dotąd... pomóż mi jeszcze w jednéj rzeczy! Wiesz, że — że stary O'Grady ma... ma córkę...

— Tak jest, *your honour*!

— Widziałeś ją?

— Widziałem tu i owdzie po miasteczku i — (Mitchell uciał od razu).

— I gdzie jeszcze, Mitchellu?

— I w kościele, *your honour*! — odparł niepewnym głosem.

— To ty chodzisz do kościoła?

— Tak jest, *your honour*!

— Jak ona wygląda?

Przypomnijmy sobie, że plenipotent raz jeden tylko spotkał się z córką Agnieszki, że było to w okolicznościach najmniej sprzyjających uchwyceniu rysów niemal dziecięcych. Ale plenipotent miał ważne powody, dla których zadał ostatnie pytanie kamerdynerowi, który zamierzał właśnie opisać szczegółowo i jak mógł najwierniej twarz i postać dziewczynki, gdy w bra-

mie dziedzińca pałacowego spostrzegł mężczyznę wysokiego wzrostu, obróconego plecami do ganku, wpatrującego się uważnie w środkowy słup i coś z niego nakoniec zdejmującego. Gdy Mitchell zwrócił na niego wzrok kapitana, nieznajomy opuścił bramę i — zbliżał się szybko do ganku.

— Sherlock! — zawołał Gandy.

— Ja sam, sędzio — odparł mniemany handlarz, dotykając kapelusza po wojskowemu i rzucając bystre spojrzenie na kamerdynera.

— Nie miejcie żadnej obawy! rzekł kapitan — to mój wierny Mitchell i stary wojak; nie zdradzi on was, panie Sherlock, ani Trumpa! Cóż to za papier?

— Kapitanie — odpowiedział amerykańnik — podając duży arkusz, zapisany wielkimi literami — to już trzecia przestroga... polecam baczność!

Gandy spojrział na pismo i wzdrygnął się... W nagłówku, narysowana trupia głowa, szczyrzyła się do niego okropnym grymasem rozwartych szeroko szczęk i zębów. Nad rysunkiem, wykonanym z pewną wprawą, papier był przekłuty.

— A oto... nóż kapitanie, którym przybito arkusz do słupa. Baczność! baczność! kapitanie.

Plenipotent czytał*):

„lepsze my jak tfoje Scirwo, jak masz Ślipie to patsz!
w Piekłe tszebno djablówi tfoi Wsciekły Duszy. Mi
tszebno tfojogo pszeklentego Cielska.

„*Kapiton z Ksienrzyca*“.

Gandy dał papier do przeczytania Mitchelowi, a sam siny od złości, rzekł przez zaciśnięte zęby:

*) Autor posiada oryginał téj, dosłownie przetłómaczonéj (i pismo-
wnią naśladowanéj) przestrogi. Podpisany jest; „captain Mounlite“ (Captain
Moonlight).

— Niech tylko spróbują! Za parę godzin stanie tu szwadron dragonów, dostaną kwatery u farmerów!

Oczy Sherlocka zapaliły się fosforycznym blaskiem, jak u kota. Przymrużył powieki.

— Kapitanie — rzekł — ja wam radzę wziąć trzech ludzi do eskorty... jednego za mało.

— Wziąłbym trzydziestu! — krzyknął Gandy — nie z bojaźni przed zbójceckimi tchórzami, ale niechby łotry płacili! Da-libóg, tak będzie! Ja wezmę trzech, a tu i przy kancelaryi rozstawię tyłu, ilu się zmieści... niech płaci kanalia! Mitchell!

Gandy obejrzał się — Mitchell stał za nim, przepasany szerokim skórzanym pasem, z poza którego wyglądały dwie kolby i dwie lufy rewolwerowe. Przez plecy miał przewieszony karabin Martini-Henry, u ręki zaś nahajkę kawalerzysty. Gandy uśmiechnął się mimowoli.

— Gotów, *your honour!* — rzekł stary żołnierz — nie potrzeba nam tych świerszczów (mierząc pogardliwie policyjnego agenta), póki obaj mamy uszy, oczy i zabawki w porządku!...

— Pamiętajcie tylko — odezwał się szyderczo amerykańczy — że to nie z plutonami, ani podjazdami sprawa! Lepszy świerszcz od bąka — w tym razie!

— Nie tutejszy! nie tutejszy! — odparł Mitchell rażno i dobrodusznie — kiedy aż z innego świata szuka pomocy...

Od téj chwili, kamerdyner nie rozstawał się już z bronią, ani z kapitanem. Trop w trop za nim chodził wszędzie; łóżko swoje przeniósł do sieni, przed sypialnią plenipotenty; sam drzwi wszystkie i bramę pałacu zamykał na noc i otwierał zrana, nie dopuszczał, by Gandy wszedł do któregobądź pokoju, nie zreknoskowawszy sam wprzód placu; jeździł za nim do miasta, szedł za nim do kancelaryi i do klubu; słowem, nie opuszczał go na chwilę, żadnej godziny dnia i nocy... wyjąwszy

jednej: każdego ranka siadał na konia i pędził wyciągniętym klusem do Knyverton — wracał w godzinę później, przynosił kapitanowi świeżą wodę do kąpieli i wiadomości od Agnieszki.

Jednego rana kapitan zbudził się, spojrzął na zegarek i pociągnął za sznur od dzwonka. Do sypialni wszedł lokaj Bob.

— Gdzie Mitchell? — zapytał Gandy.

— Jeszcze nie wrócił, proszę pana. Ja przyniosę wody.

Kapitan ubrał się, zeszedł na dół, zjadł śniadanie, przeczytał listy i gazety — wybiła 10-ta, a Mitchell nie wracał...

Kapitanowi krew uderzyła do głowy i dreszcz go przeszedł mimo skwarne powietrze. Zapanował jednak nad sobą i wyszedł do sieni.

— Przyprować Ali-Baszę! — rzekł do czekającego tu konstablera, wyjadę sam, bez eskorty, bez nikogo!...

I wkrótce potem wyjechał.

XIV.

Tego samego poranku, przed wschodem słońca, miedzą polną z Topoli szły, a raczej biegły dwie kobiety. Jedna z nich, starsza i w ruchach swych zdradzająca nadzwyczaj silny i niemal męski organizm fizyczny, ocierała oczy od czasu do czasu z łez, które się do nich cisnęły. Młodsza, z twarzą oblaną gorącym rumieńcem zmęczenia, o rysach czystych i regularnych południowej piękności w pierwszym rozkwicie; o ruchach pełnych wdzięku, elastycznych, z włosami o kruczo-niebieskich połyskach, rozwianymi w pośpiechu; jedną ręką podtrzymywała skromną perkalową sukienkę, chroniąc ją od obficie zroszonej

trawy, a drugą do zawiniętego fartuszka rzucała kwiat polny taki, jaki biegnąc uszczknąć z przymiedza mogła.

— I od dawna ona tak chora, Maryanno? — zapytała, zatrzymując się nad kępą młodych wrzósów.

— Och, missy, dawno! dawno! — odpowiedziała dziewczyna, tłumiąc w piersiach łkane.

— Tyś bardzo do niej przywiązana, poczciwa ty, kochana Maryanno! Ale, czemuś mi nie powiedziała o tej biednej chorąg? Gdybym sama przed chwilą nie spotkała pierwsza posłańca pani Julii... to i teraz samabyś pewnie poszła do Knyverton...

— O nie! nie! missy, powiedziałabym! powiedziałabym, missy!

Maryanna puściła wodze wezbranyim uczuciom. Hessy słuchała jój z współzuciem; lecz chociaż serce miała gorące i tkliwe, jednak wydawała jój się dziwną ta głęboka boleść i ta niemal rozpacz dziewczyny. Po chwili więc znów się odezwała, tą razą bardzo naturalnie:

— Biedny, biedny pan Mitchell! o jakże on musi cierpieć!...

— Mitchell! — zawołała zanosząc się od płaczu Maryanna, — och, missy! i pewnie, że są tacy, co im *mistres A-A-Agnieszka* więcej znaczy, jak *jemu!*... *wejrasthrù, mavorney missy*, co ja nieszczęśliwa pocznę! a tu ojca Marcina nie ma... może go najdziemy w polu... jeno się spieszymy!

I znów obie kobiety podwoiły kroku.

— O patrz, patrz, Maryanno — zawołała Hessy po kilku minutach, tam dad idzie gościńcem! Zawołajmy na niego, bo pewnie przejdzie na tamtą stronę, na pastwisko.

Ale Maryanna wstrzymała swą towarzyszkę...

— Och! jużcić, missy, ja polecę do niego i powiem mu... *acharù*, biedna ja dziewczyna! powiem mu, missy... bo on bar-

dzo kochał tę mistress chorą — słodki Jezusie! missy niech idzie miedzą, a ja z nim wrócę!

Powiedziawszy to z oznakami najwyższego pomieszania, pobiegła polem do szosy. Hessy patrzyła za nią z osłupieniem... pewne słowa w tej chwili po raz pierwszy usłyszane, uczyniły na nią przykre — niemal bolesne wrażenie.

— Dad „bardzo kochał tę mistress chorą!“ — powtórzyła zwolna udając się w dalszą drogę, imię jej Agnieszka! pani Julia nieraz coś do siebie mówiła o „Agnieszce!“ a dad z nią czasem długo też rozmawiał... może to — może to siostra da-da... a p. Mitchell, to mój wuj!

Przystanęła i obejrzała się na szosę... Widziała Maryannę, zbliżającą się do Marcina i zatrzymującą go przy wejściu na pastwisko. Pomimo odległości dostrzegła na smutnej twarzy starca najprzód wyraz zdziwienia, po którym nastąpił natychmiast moment nateżonej uwagi... nagle, O'Grady wznosił obie ręce do góry, Hessy dosłyszała wyraźny okrzyk: Boże miłosierny w niebie! A potem oboje, Maryanna z Marcinem zwrócili się do miedzy — Marcin ją wyprzedził, ona go znów wstrzymała i, wskazując ręką ku czekającej Hessy, załamała przed nim ręce...

Starzec, zdawało się, nie odrzekł ani słowa; z twarzą zwróconą ku przybranjej córce postać chwilę w zamyśleniu, potem wyszedł na miedzę. W milezeniu doszedł do Hessy — i w milezeniu wszyscy troje spieszyli dalej, miedzą do polnej drożyny, ztąd zaś przez skoszoną łąkę i wzdłuż zapłocia Mylesowego ogrodu — do kamiennego muru otaczającego chatę w Knyverton.

Ścieżka pod murem sprowadziła ich na gościniec, przed chatę. Kilka kobiet i grupa drobnych dzieci stała w ogródku; dziatwa zaglądała do okien, kobiety żywą miedzy sobą prowa-

dziły rozmowę. Na widok farmera O'Grady i téj, którą po całym sąsiedztwie zwano „małą panienką“, gwar ustał.

— Jest gospodarz w domu? — zapytał Marcin po gaelicku najbliżej stojącą włościankę.

— Nie ma, rzetelny Marcinie z Topoli.

— A ten koń czyj? — dodał, wskazując na przywiązanego za uzdę do jabłoni wierzchowca.

— A jużei z pałacu, co na nim przyjechał Jan Mitchell do swojej biednej...

O'Grady z Hesterką i Maryanną wszedł do chaty...

Z przeciwnéj strony od téj, z kąd przyszli do Knyverton mieszkańcy Topoli, na wschód od gościńca, wznosiły się stopniowo, tarasowo, znane nam już pagórki tramorskie. Prawy ich stok zbiegał ku torfowiskom i moczarom; lewy zaś, albo wschodni, pokryty był gęstym lasem sosnowym, podszytym szkockimi świerkami, przez które niepodobna było dojrzeć zatoki morskiej, choć się rozlewała tuż szeroką płaszczyzną u stóp pagórków. Las, choć gęsty, zajmował stosunkowo wązki obszar, a wzdłuż zachodniéj jego krawędzi prowadziła droga, schodząca jednym końcem do Knyverton, drugim — sięgająca parku pałacowego w Tramore.

Przebywszy park, kapitan Gandy zwrócił Ali Baszę na ową przyleśną drogę. Mimo niecierpliwości, z jaką z domu wyjechał, teraz opuścił cugle i nie spieszył się wcale. Raz nawet zatrzymał konia...

— Gdzież ja właściwie jadę? — pomyślał — Mitchell nie bawi zapewne gdzieindziej tylko w Knyverton; — on przecież bezpieczny od kanalii... zbóje rozumieją swoją grę zbyt dobrze, by mieli się czepiać tych, co nie mają interesu w całej sprawie! Rzecz jasna, że jest w Knyverton... musiała nastąpić ostatnia godzina! A!

Plenipotent spowaźniał i długo stał w miejscu, chociaż niespokojne i gorączkowe ruchy jego sprawiały, że Ali to się cofał, to naprzód wysuwał. Kapitan możeby był i zawrócił już z drogi, zaniechał pierwszego zamiaru — odszukania przywiązanego sługi, gdy mu się zdawało, że w gąszczu świerkowym, o jakich sto kroków, dosłyszał czyjeś kroki. Sądząc, że to leśnicy dominialni, chciał zawołać na nich, wysłać jednego z nich do Knyverton... lecz téj saméj chwili zmienił myśl:

— Pojadę aż na kraniec lasu — rzekł sam do siebie — ztamtąd, niepostrzeżony, zobaczę co się dzieje przy chacie...

Ali Basza szedł stępą dalej. Prócz świergotania ptasząt w świerkach i nad lasem, żaden głos, żaden szmer nie przerywał spokojnéj ciszy, bo nawet żwirowy szum fali morskich ustał zupełnie w porze odpływu. Kapitan, zatopiony w swych myślach, nie zważał, jak Ali coraz częściej rzucał łeb w stronę gąszczu i strzygąc uszami, nozdrzami wciągał powietrze z rosnącym niepokojem... Gandy rad był w téj chwili, że Mitchell nie wracał, bo z najwyższego wzniesienia pagórka, na którym się właśnie znajdował, dostrzegł wyraźnie chatę Mylesa, a opodal niéj. przywiązanego do jabłoni wierzechowca.

— Musi więc już być koniec!... pomyślał. i jakieś, obce mu zupełnie, uczucie uroczystéj, a zarazem przestraszającéj go żałoby ogarnęło całą jego istotą i zakryło mu świat jednym całunem, przez który widział w oddali tylko tę chatę i otaczających ją ludzi. Bezwiednie, machinalnie, odkrył głowę i spuścił ją na piersi...

— Kapitanie! ratuj się! ratuj się! mord!

Ali Basza rzucił się gwałtownie w bok i zarżał — Gandy, odwracając się na siodle, rozpoznał Michała Mylesa, biegnącego ku niemu z pomiędzy świerków...

— Do Knyverton! kapit...

Jedną i tój samój chwili, Ali stanął dęba i dwa natychmiast po sobie następujące strzały rozdarły ciszę leśną! Koń, śmiertelnie ugodzony, zaślepiony — ryknął okropnie, przeciągłe... stanął na tylnych nogach tak niemal prosto, jak człowiek — i gdy wszystkie echa lasu, pagórków, morza, skał i moczarów podjęły ten ryk straszliwy — runął całym ciężarem na ziemię. Raz jeszcze szyję wyciągnął... raz jeszcze łeb podniósł... potem krew czarna zalala mu chrapy, śmiertelny kurez ściągnął jego boki — i Ali Basza żyć przestał.

Trwało to bodaj pół minuty. Kapitan z nogą zwiczną i mocno potłuczony o pnie, na które z siodła wypadł, leżał na murawie, błąd jak płótno i przerażonemi oczyma patrzył na śmierć Alego. Myles przykleknął i usiłował zdjąć mu but z nogi.

— Waryacie — zawołał plenipotent, z ręką wyciągniętą ku świerkom — tam leć i szukaj zbójów!... pomóż mi wstać! ja sam pójdę! głupi!

— *Your honour*, to na nie się nie zda..

Ale plenipotent, piniąc się z wściekłości, podniósł się na rękę i zerwał, potem stanął. Widocznie jednak noga zwiczną zbyt mu dolegała, bo syknął z bólu i wsparł się na ramieniu Mylesa. Ten zaś zaledwie zdołał opanować i stłumić w sobie uczucia szyderezłej złościwości i zadowolenia, jakie chwilowo mu zajaśniały w oczach i wykrzywiły usta.

— Ja panu kapitanowi pomogę — rzekł — *your honour* pozwoli, aż do mojej chaty.

— Nie... nie tam! — zawołał kapitan — zostaw mnie tu, przy tém, (wskazując na zabitego konia)... idź do Tramore, sprowadź powóz!

— Panie kapitanie — odparł Myles — zostawić tu pana żadną miarą nie mogę!

Tu opowiedział, jak w drodze z miasteczka do Knyverton, zobaczył z daleka czterech zamaskowanych ludzi, z których dwóch miało strzelby. Sądził, że mogli to być złodzieje, polujący na zwierzynę dominialną. Dopiero, gdy ujrzał zwolna jadącego kapitana, a równocześnie ludzi, wskazujących go sobie i kierujących ku drodze, pobiegł sam co sił naprzód, by go ostrzedz przed niebezpieczeństwem.. Niebezpieczeństwo zaś nie minęło jeszcze zupełnie, zbóje mogli znajdować się w pobliżu, kapitan sam jeden i prawie bezwładny uledezby im musiał.. Dlatego raz jeszcze naglił, by zająć do chaty. Gandy nie miał wyboru, a pilno mu było wysłać obławę na morderców. Z największą więc trudnością, klnąc i przysięgając straszliwą zemstę całemu włościństwu baronii, powłókł się jak mógł, do zagrody tego, którego uważał za swego zbawcę.

W pośrodku wybielonej, obszernej izby — przyparte do ściany naprzeciw drzwi stało śmiertelne łóże, na którym w białej pościeli pasowała się — nie już ze śmiercią lecz z resztkami życia... nieszczęśliwa kobieta. Twarzy jej niepodobna było dostrzedz, bo zasłoniła ją głowa starca, pochylonego nad nią, kłęczącego przy łóżu. Marein O'Grady trzymał w gorącej dłoni lodowatą i już sztywniejącą rękę siostry, drugą ręką podtrzymywał jej głowę. Prócz ich dwojga w izbie, przy łóżku, kłęcząca Julia Mylesowa, a z nią Maryanna odmawiała modlitwy. Mitchell stał najdalej od łóża, oparty o ścianę; stary żołnierz zakrył oczy ręką i schylił głowę...

Uroczyście ciszę przerywały łkania Maryanny i od czasu do czasu głośniejsze przez nią wymówione słowo modlitwy. Staruszka Julia — tylko patrzyła przed siebie zboląłemi oczyma i głową poruszała... jak gdyby w tej chwili zapatrzona w przeszłość, rozpoznawała i ludzi i miejsca, lub odgadywała przyszłość wszystkim, prócz siebie. Wśród tego wielkiego spokoju,

nie ustawał ani na chwilę szmer szeptu i przytłumionych westchnień przy łożu... Siostra się bratu spowiadała z żalosego żywota.

W przyległej izbie czekał kapłan i czekał Odkupiciel. Kapłan klęczał przed stołem, nakrytym obrusem śnieżnej białości; dwie świece woskowe paliły się bladym światłem w jasnym strumieniu słonecznych promieni — a między lichtarzami, mszalna bursa kryła Wijatyk. Za kapłanem klęczało i modliło się kilka kobiet i dziewcząt. Hessy cała we łzach, z oczyma wzniesionymi do obecności Pana Zastępów, zanosila prośby żarliwe za umierającą — obok niej klęczała Piotrowa Dogherty, ciotka Tadeusza i stara Kirwanowa.

Drzwi od izby śmiertelnej otworzono na rozcież. Kapłan przystąpił do stołu — potem, poprzedzony przez Marcina i Mitchella, niosących światła, poszedł zwolna do łoża konającego. Za nim weszły kobiety.

Chora wsparta wysoko o poduszki, powtórzyła ledwie dosłyszczanym głosem akty, odmawiane przez kapłana — potem z twarzą rozjaśnioną nieziemską radością, pokorą i spokojem przyjęła Chleb wiecznego żywota. Powstali wszyscy i zbliżyli się do łoża — lecz O'Grady skinął ręką.

— Hessy! — zawołał — przyjdź tu moje dziecko... Agnieszko, patrz... oto córka twoja... skarb nasz — patrz, przebacz mi i błogosław jój! Hessy, to matka twoja... moja biedna siostra!

Wśród ogólnego zdumienia, jakie nastąpiło po tych słowach Marcina, matka kostniejącymi rękoma przygarnęła do piersi na wpół nieprzytomną córkę i oblewała białe jój czoło ostatnimi łzami, jakie na tej ziemi wylać miała!...

— Dziecię!... dziecię! — szeptała, patrząc w jój modre, zapłakane oczy z ostatnią siłą nieogarnionej miłości macierzyńskiej — moje jedyne... moje maleńkie... córko moja...

Hessy twarzyczkę swą przytuliła do twarzy matczynéj ich usta złączyły się w długim pocałunku...

— Mów do mnie... dziecicę... moja Hessy!

— O mamó! mamó!...

— Mamó!... jeszcze — jeszcze raz... moje dziecicę, córko...

— Matuchno!... o żyj dla mnie — dla nas! nie opuszczaj mnie! Ja ciebie tak kocham! tak bardzo, jak gdybym z tobą żyła całe życie... mateczko! o Boże!

— Niech cię, córko... Bóg błogosławi... bliżéj — tu... Hess... ojciec twój... Jan — Artur — Gandy... dziecicę moje i — jego... czejj ojca... Marcin... Hessy... moje dziec...

Zwolna, zwolna opuszczały się ręce konającéj z uścisku, w jakim trzymała głowę swéj córki. Ostatnie słowa wytehnęła z wzrokiem utkwionym w szeroko otwarte jéj oczy... potém na gasnących jéj rysach zachwiał się chwilkę ów tajemniczy powiew śmierci, który zawsze poprzedza rozłąkę duszy z ciałem — i twarz powlekl zwolna ostatni sen — wieczny.

— Wieczny odpoczynek racz dać Panie duszy Agnieszki! przemówił uroczyście kapłan.

— A światłość wiekuista niechaj jéj świeci! odpowiedzieli obecni.

Marcin O'Grady dotknął ręki sieroty, przytulonéj do ciała, chcąc ją odprowadzić od niego. Ręka tak niemal zimną była, jak ta, która spoczęła na dziecku ramieniu...

— Wody! cucić ją! zawołał starzec i odwrócił się ku obecnym... leez widok jaki go uderzył, sprawił na nim okropne wrażenie! Rzucił się naprzód ku drzwiom, wznosił obie ręce i ramiona do góry, potrząsł niemi bładymi, jak trup siostry, i stał tak, niezdolny wyprzeć z ust wyrazów, które go dławily!

We drzwiach na rozcież otwartych stał plenipotent Gaudy, sam bezwiedny, bezwładny, oparty na ramieniu Michała Mylesa. Oczy miał utkwione w dwa ciała na łożu — ręce bezsilnie opuszczone.

XV.

O'Grady zmuszony był pozostawić zwłoki siostry w domu Michała Mylesa, bo pominawszy obawę o rozgłos w hrabstwie, wiedział o postanowieniu Michała, który nie chciał, aby przy ciele nieboszczki odbywało się powszechnie w Irlandyi tak zwane „czuwanie“, owszem pragnął, żeby do izby, w której zwłoki złożone były, można wchodzić tylko za wyraźnym pozwoleniem Marcina.

Myles, postępując w ten sposób, czuł całą przykrość tej ofiary, ponieważ w południowej zwłaszcza Irlandyi mało znajdziesz takich rodzin włościańskich, wśród którychby się nie przechował zwyczaj przedchrześcijański, tak zwanych „czuwań“ przy zwłokach, który w ten sposób się objawia. W dzień zgonu nieboszczyka, gdy już ciało zostało umyte, przyodziane i w trumnie złożone — schodzą się do izby, w której zwłoki wystawiono, zaproszeni krewni, przyjaciele i znajomi; dom otwarty jest dla przechodniów. W około otwartej trumny ustawiają stoły z jadłem i napojem, z mnóstwem świec zapalonych, z książkami starych legend, ballad i baśni. Skoro upływie dwanaście godzin od chwili śmierci nieboszczyka, goście i rodzina siadają do stołów, zapalają światła i rozpoczynają ucztę, przeplataną częstymi toastami na cześć zmarłego. W izbie, aż do pogrzebu nie powinno zabraknąć ani jada, ani trunku, ani świec, ani tytoniu. Co do gości, to jedni wychodzą, drudzy przybywają, a nikt

sobie nie żałuje: — po wszystkich izbach domu i na przyźbie, i w ogrodzie, gdziebądź rozsiadają się mężczyźni, kobiety i dzieci, folgując sobie w używaniu darów Bożych aż do zbytku. Jeżeli dom ubogi, — to zapasów spożywczych mniej lub tyle tylko, ile kto z sobą przyniesie; wódki jednak, potyny i tytoniu musi być obficie, choćby przyszło suknie ściągnąć z trupa i sprzedać... czego nie rzadkie weale bywają przykłady. Dwa dni i dwie noce trwa taka wstrętna stypa. Przed samym pogrzebem, w chwili zamykania trumny, pozostali goście wśród płaczów i lamentów śpiewają starożytną „dirge“, pieśń za umarłych smutnej melodyi, życzą zmarłemu „krótkiego czyśca“ i zakazują mu uroczyscie molestować pozostałych. Z ukazaniem się kapłana w progu, ustępują „ezuwanicy“; jedni wracają do domów, inni towarzyszą nieboszczykowi na ementarz.

Michał nie żałował tyle samego „ezuwania“, ile bolał nad utratą sposobności, jakaby mu ono dostarczyło do przygotowania, lub może i do wykonania skrytych zamiarów swoich; lecz od chwili, w której postanowił żądać od Marcina ręki jego przybranjej córki, starał się ile możności o to, aby zjednać sobie choć w części względy starca. Nie zrozumiał atoli dokładnie sceny, jaka zaszła przy łożu Agnieszki, gdy się ukazał niespodzianie w towarzystwie kapitana; owszem, z wiadomością o młodych latach siostry Marcinowej, podejrzenia jego zwróciły się raczej przeciwko Mitchellowi, nie oszczędzając pamięci nieboszczki.

O'Grady pozostawił w Knyverton Maryannę, która zajęła izbę pośmiertną z Julią Mylesową i starą matką Kirwanową, a sam pośpieszył z świeżo osieroconą Hesterką do Topoli, by poczynić przygotowania do pogrzebu.

Stary Jan wręczył mu przed chatą list, który sam przyniósł przed południem z miasteczka. Poznał Marcin pismo i pocztowe stemple — list był od syna, z Ameryki. Donosił

Patryk pokrótce, że dowiedziawszy się z gazet o okropnej klęsce w ojezyźnie, postanowił wracać; firma jednak pryncypałów, nie chcąc utracić doskonałego urzędnika, ofiarowała mu ważną agenturę swego przemysłu z miejscem pobytu w Dublinie. Lada dzień więc obiecał Patryk odwiedzić ojca i „miss Hessy“ w Topoli, a na wszelki wypadek i dla zażegnania możliwych nieprzyjemności ze strony plenipotenty, dołączył w liście przekaz bankowy na połowę swego kapitału, zaoszczędzonego w Stanach.

O'Grady, który już był zrozpaczył zupełnie o możebności uratowania Topoli swym synem, nie ościagał się z wykonaniem zamiaru, najwłaściwszego w takich okolicznościach; znając z posłuchów plany landlordów i ich plenipotentów, napisał do urzędnika kancelaryi waterfordzkiej, i uprzedził go o swęj gotowości do spłacenia rat czynszowych w terminie najbliższym. Potęm złożył pieniądze Patryka w banku prowincjonalnym, wraz z przekazem na całą sumę czynszową, wystawionym na imię plenipotenty dóbr Grosvenorskich.

Ale te jego czynności nie mogły pozostać tajemnicą. Rychno się o nich dowiedzieli sąsiedzi dzierżawcy i osadnicy: — jedni z nich przyjmując wiadomość z niedowierzaniem, inni z oburzeniem — większość zaś ogromna z przekonaniem, że Marcin da się odwieść od spełnienia tego zamiaru. Nie należy bowiem tracić z uwagi rozlewającę się po kraju agitacyi Ligi Ziemskiej, jak nie należy zapominać o rosnącęj potędze związków rewolucyjnych... na kwestyi ziemskiej opierającęj swęj działalność. Liga oświadczyła wyraźnie, że żaden osadnik nie może być prawnie zmuszonym do sprzedania swych praw gruntowych na pokrycie dłuęów czynszowych; anarhistęci postępiłi dalej: dowodzili bowiem, iż nawet straszna klęska krajowa na dobre wyjść powinna ludowi, gdyż jedynym jęj rezultatem powinno być przyspieszenie wielkiej eksterminacyi

landlordyzmu. Dlatego głosili, że nikt nie powinien się ważyć spłacać czynszu jakiegokolwiek, choćby jednak mógł to z łatwością uczynić. Jeden za wszystkich — wszyscy za jednego! takie miało być teraz hasło irlandzkich rolników... Liga domagała się od właścicieli znizienia stopy czynszowej i cierpliwości, wyrozumienia; — od rządu zaś żądała pożyczki, któraby umożliwiła długoletnim fermerom wykupienie osad na własność wieczystą. Anarchia, podniósłszy okrzyk: „Irlandya dla irlandczyków!“ zabroniła włóściaństwu stanowczo i surowo wszelkich z „brytanizmem“ układów, obiecując popierać każdy opór choćby najsroższym terroryzmem.

Nadchodzili więc do Topoli sąsiedzi z bliższych osad i z dalszych, przekładając Marcinowi konieczność łącznej akcji opornej i groźne niebezpieczeństwo sprawy, zachwianej skutkiem jego decyzji. O'Grady nie dał się wszakże ani przekonać, ani zachwiać w postanowieniu. Nie unikał też rozumnej dyskusji, owszem rozstrząsał z fermerami każdą trudność położenia, ale kończył zawsze temi słowy:

— Przodkowie moi, a ja po nich przyjęliśmy zobowiązania. Każdy z nas w Topolach płacił, kiedy mógł i ile mógł... Gdybym, jak było przed kilku dniami, nie mógł się uiszczyć z prawnych zobowiązań — szukałbym pomocy Ligi... tylko siła brutalna zdołałaby mnie wyrzucić z ojcowizny! Lecz, mogąc zapłacić, zapłacę: raz dlatego, że to mój obowiązek, — a potem i dlatego, by tém samém dowieść, jako między nami fermerami nie zła wola i nie krnąbrne sprzysiężenie opór zrodziły — tylko dopuszczenie Boże, co spadło na grunt przygotowany przez ucisk i nierząd saksonów!

Sąsiedzi więc opuścili Marcina. Jedni mu tego wyłączenia się wyrozumieć nie chcieli, drudzy — małoduszni — stronić od niego poczęli. Pierwsi jednakże nie zadowolnili się protestem i łagodnymi środkami na złamanie, jak mówili sa mo-

lubstwa jego. Oni to roznieśli spiesznie po całym hrabstwie wieść o „zdradzie“ dzierzawcy Topoli i stawili go przed sądem włościństwa. Wyrok nastąpił taki — na jaki Marcin był dobrze przygotowany i przygotował swych domowników... O'Grady był skazany na karę, wynalezioną od zaledwie paru tygodni, zastosowaną po raz pierwszy do wdowca po zabitej pani Boycott — i od nazwiska jego znaną jako „boycotting“.

Irlandzki ten system ostracyzmu polega przedewszystkiem na całkowitym wykluczeniu winowajcy ze społeczności narodowej. Nikomu do niego słowa przemówić nie wolno. Gdy się ukaże w kościele na nabożeństwie, lud kościół tłumnie opuszcza; nikomu z nim i dla niego pracować nie wolno, nikt mu nie sprzeda choćby kawałka chleba, szczypty soli, nikt też od niego nie kupi bydłęcia, ani nawet wiązki siana; kto z nim przestaje, kto jakikolwiek z nim zachowuje stosunek, ten z nim zarówno jest „boycotted!“.

Marcin O'Grady, jak powiedzieliśmy, był przygotowany; zasobów niezbędnych do życia nagromadził w chacie na czas niejaki, przekonany, że się sędziowie jego z czasem opamiętają... gdy przyjdzie niebawem chwila, że on sam jeden w baronii będzie ich ziemską opatrnością! Najtrudniejsza sprawa była z parobkami — żaden z nich, prócz starego Jana, nie chciał pozostać w Topolach... choć niemal wszystkim żal było wido- cznie straconego kawałka chleba i uczciwego chlebobdawcy.

Z wyjątkiem proboszcza, mieszkańcy Topoli widzieli się więc opuszczonymi przez wszystkich przyjaciół, znajomych i „*true patrios*...“ Proboszczowi nikt zabronić nie śmiał i nie mógł, że zachodził do osady — boć nie bywało nigdy w kraju, by lud się kapłanom sprzeciwił otwarcie... nawet wtedy, gdy rad ich, przestrog i próśb słuchać nie myślał.

Jeden człowiek atoli, teraz nie równie częściej, niż kiedykolwiek zjawiał się w Topolach. Michał Myles przychodził tam...

pozornie w roli pośrednika między włościaństwem i *the boycotted house* — a w samej rzeczy z zamiarem, którego wyrzec się nie zdołał mimo największych wysiłków — mimo pewności niemal, iż chyba szaleństwo istne może podtrzymać jakąkolwiek nadzieję!... Przed rokiem jeszcze, wszystkie myśli Mylesa zmierzwały ku osadzie O'Gradych, wszystka żądza i ambicya ześrodkowała się u niego w jednym celu: usunięcia przeszkód i zostania dzierżawcą Topoli. Tajnym jego machinacyom powiodło się skorzystać z trudności Marcina, w czasie ostatniej „emigracyi z południa“; on to zobowiązał się plenipotentowi, iż po eksmisyi O'Gradych, gotówby zająć Topole, jako *caretaker*, zarządca — lub, w danym razie, płacić Gand'em u czynsz wysoki za kontraktem rocznym... Wiemy, w jaki sposób usunął następnie nieszczęśliwego Tomasza. Próbował później przyspieszyć ruinę Marcina, sam mu dopomagając do spłaty zaległości; gdy zaś ten manewr spełznął na niczem, Myles zwrócił uwagę na tę, którą uważał za córkę dzierżawcy... Plany jego musiały być głęboko założone, gdyż pozostawał im wiernym, chociaż znał doskonale grunt, na jakim stał wobec niego stary Marcin O'Grady. To też nigdy się w jego obecności nie zdracił z uczuciami swemi, a spotykając Hesterkę, trzymał uczucia swe na wodzy.

I czyż dziwna, że w miarę czasu uczucia te stawały się coraz głębsze i... coraz czystsze? Michał Myles, znajdując się w pobliżu hożej i cudnej dziewczeczki, zapomniał o Topolach, o Gandym, o „chłopcach“ i o zamku dublińskim!

XVI.

Nieraz zdarza się, że pożar wybucha z budowli i w okamgnieniu całą ogarnia, a podsycany wichrem i materiałem palnym, niszczy ją z przerażającą szybkością... zanim ludzie potrafią zdać sobie sprawę z przyczyny, która go spowodowała. Podobnie zdarza się nieraz w życiu ludzkim — iż ostateczne ukołysanie wezbranych uczuć następuje wśród jakiegoś oszołomienia..., spowodowanego naturalnemi przyczynami. Z jednej strony, zaostrzają się i uwydatniają charakterystyczne rysy wypadków, naglających nas do akcji, do rozwinięcia czującej energii...; z drugiej zaś wypadki te następują po sobie z szybkością wybuchów w podminowanej skale... Zaledwie ochłonęliśmy z wrażeń po pierwszym wybuchu, następuje drugi i trzeci! a następnie już rozpoczyna się to... co jest końcem i dokonaniem zniszczenia... wśród czego działalność człowieka, a raczej możliwość akcji zamiera, traci tętno świadomości wszelkiej. Człowiek wtedy, jeśli jest sam aktorem — sprawcą, ofiarą, bohaterem — rzucić się musi w wir szalony nagle rozerwanych upustów..., moralne zasoby ducha jego i charakteru nie decydują już o jego akcji, bo stokroć potężniejszym siłom oprzeć się nie potrafią — lecz one to właśnie przyspieszają rozwiązanie. Widz, świadek podobnej katastrofy, traci również świadomość swego sądu i swych myśli... choć w nierównie słabszym stosunku; łączy się bowiem i jednoczy z owym wirem sceny końcowej. Gdy spokój powróci, widz odzyskuje równowagę swych własnych myśli, z nią sąd — z sądem ostatnie wrażenie.

Checieliśmy... by opowieść nasza była obrazem. Tylko bowiem obraz, przedstawiający ostatnią scenę dramatu czy tragedyi, może odsłonić ją z żywą wyrazistością wszystkich charakterów.

Wyobraźnia, która pędziłem zlewa całość bohaterkiej epopei — nie zdolna piórem skreślić całości obrazka... chyba, że czytelnik zechce przypatrywać się obrazkowi częściowo, odslaniając raz tę, drugi raz inną część obrazu — aż ostatnią uchylwszy zasłonę odrzuci cały...

Michał Myles zapowiedział sąsiadom i sąsiadkom, że „czuwania“ nie będzie przy ciele zmarłej w jego domu Agnieszki. Nie dziwiono się temu, bo znano Marcina O'Grady — wiadano też, że Mitchell, mniemany wdowiec, choć był katolikiem, był przecie też i „saksonem“. Dziwiono się zaś w sąsiedztwie, gdy Myles obiecał niektórym kompanom i znajomym, że jednak o tyle zachowa dawny zwyczaj, że... wyprawi stypę pośmiertną po pogrzebie. Cóż go do tego zamiaru skłoniło? Nie obowiązek — bo obowiązek, jeżeli istniał, ustawał z wyniesieniem ciała z chaty gospodarza; nie rozrzutność lekkomyślna — bo i tych przymiotów nie przypuszczał nikt u p. dzierżawcy, czy zarządcy (nikt nie wiedział) Knyverton'u. Tymczasem jednak oczekiwano pogrzebu i.. stypy.

Przy zwłokach nieboszczki, odzianych w suknie, jakie z sobą do Knyverton zabrała — w izbie, w której jedyne światło rzucały dwie zapalone gromnice, ustawione po obu stronach śmiertelnego łoża, czuwały trzy kobiety. Były to Maryanna, Julia Mylesowa i stara Kirwanowa, która przerywała sen swój i mechanicznie odmawiane pacierze rozmową z Maryanną. O'Grady przychodził każdego rana i każdego popołudnia w towarzystwie Hesterki, i wraz z nią długo kłęczał przy zwłokach, zatopiony w modlitwie i dumaniu.

Ostatniego wieczoru przed pogrzebem, gdy matka Kirwan skończyła ostatni swój pacierz i zabierała się do wyjścia do przyległej izby, odezwała się Maryanna do niej po gaelicku i równocześnie wyciągnęła ku niej rękę. Kirwanowa zamiast odpowiedzi, wydożyła z pod kaftana, którym była otulona, worek

skórzany i podała go dziewczynie. Ręce jej zadrżały, gdy Maryanna uchwyciła worek z nietajoną skwapliwością... ale, nie mówiąc słowa, uczyniła znak krzyża w stronę ciała umarłej i opuściła izbę.

— *Arrah!* mistress Julio — rzekła Maryanna do Mylesowej, siedzącej przy ubogiej trumnie, którą stolarz przyniósł tu z miasteczka po zachodzie słońca — *arrah!* jużci i pewnie biednej duszy św. Patryk otworzy bramę niebieską, kiedy już tak dobrze, *musha*, jak gdyby się obrachowała z całym światem!... *Wejrasthru!* ktoby też pomyślał, że matka Kirwan, to matka téj dziewczyny, co to była w izbie, kiedy wielbny ojciec O'Riordan złączył naszą nieboszczkę, *mavorney*, ślubem świętym z tym... co to go tu nie nazwać po nazwisku! Ano, *begorra!* jużci Gandy ani krzty tyła rozumu nie miał, co ta Kirwan-ka!... O e h! żeby tak z Hameryki tu przyszła, a widziała... *dhu ishla!*...

Kiedy niebawem do izby wszedł Marcin z Hesterką, by się już z nieboszczką nie rozstać aż do ementarza, Maryanna wręczyła mu świadectwo aktu ślubnego, podpisane przez O'Riordana i... Ewę Kirwan, jako świadka.

— *Musha!* wam mówiłam, że jużci stara Kirwanowa w grób się z tym papierem nie położy! — szepnęła mu na ucho i przycupnąwszy na podłodze, zaczęła pacierze, nie odwracając oczu od Marcina. Ten zaś, po uważném obejrzeniu świadectwa westchnął głęboko i złożył je na piersi martwego ciała, do którego tuliła się kłęcząca Hessy.

Téj saméj nocy na pochyłości wzgórza, wznoszącego się przed zagrodą Kuyverton, stał pogrążony w głębokiej zadumie wysokiego wzrostu mężczyzna. Twarzy jego niepodobna było rozpoznać, bo stał odwrócony plecami do pogodnej tarczy księżycowej, która w téj chwili, z zatoki morskiej wypływając, sre-

brne strugi swego światła słała dalekimi promieniami po drżących falach przystani.

Mężczyzna miał szeroki kapelusz zaciśnięty na czoło, głowę schyloną ku chacie Mylesa, obie ręce wsparte na grubiej łasce przed sobą.

Nieco bliżej wierzchołka wzgórza, o jakich dwadzieścia kroków dalej, stał ktoś drugi, oparty o pierwszą sosnę zagajenia, które rozciągało się stąd aż do tramorskiego parku. Niktby tam jego obecności nie odgadł, gdyby od czasu do czasu nie wychylał głowy, przykrytej wojskową furażerką, to w prawą, to w lewą stronę, lub gdyby nie odzywał się często, energicznie, choć przytłumionym głosem, do olbrzymiego brytana, który wietrząc i pomrukując, kręcił się poważnie lecz spokojnie około sosny.

— Do nogi, Nep! — szepnął Mitchell (bo on to czuwał nad bezpieczeństwem swego pana) — jeżeli te króliki spokoju ci nie dają, toś powinien ogon podwinąć między nogi i usiąść tu na nim... ty, siłacz taki! a jeżeli to inna jaka zwierzyna, to po co łąsisz około sosny, jakbyś węż zgubił i...

Nep, który w ciągu tej admonieyi zatrzymał się z uszanowaniem, lecz wietrzyć nie przestawał — zawył nagle, głucho i krótko...

— Bestya wie, gdzie stoi! rzekł Mitchell i zamilkł, patrząc na jedyne okno chaty, z którego przezierало światło przez zamknięte okiennice.

I znów nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Przerwał ją głos plenipotenty.

— Mitchell!

— *Yes, sir!* i zbiegł, jak mógł najciszej do kapitana. *Yes, sir!* powtórzył, gdy stanął obok niego — ale kapitan milczał... Brytan oddalił się nieco, w stronę zatoki; łeb miał podniesiony i ostrożnie — jak gdyby się bał zakłócić ciszy nocnej najmniej-

szym szelestem, wciągał powietrze, krocząc lekko, z wolna ku pobliskim krzakom, lub skałom wybrzeża.

— Wołaliście mnie? — zapytał Mitchell po chwili.

— Tak... to jest — nie... jeszcze nie; ale wrócimy do domu... zaraz...

Gandy wymawiał te słowa, w pół nieświadomie, w pół nieśmiało. Laska z rąk mu wypadła — założył ręce na piersiach i jęknął głęboko...

— A! Mitchell, to okropność!... obowiązek zbyt twardy... Jestże to obowiązek?

Stary sługa słów tych nie rozumiał. Nie chcąc nadużyć swego położenia, odstąpił kilka kroków; równocześnie spostrzegł, że psa nie ma... Spojrzawszy dokoła, jak daleko mu dozwoliły nieregularne cienie drzew i wklęsłości gruntu — chciał zawołać, gdy kapitan, podniósłszy laskę, ruszył z miejsca.

— Chodźmy, Mitchell — rzekł pewniejszym głosem — gdzie jest pies?...

W tej chwili — kilka następujących szybko po sobie strzałów, rozległo się przeciągłym echem po zatoce...

Wrażenia, jakie to echo sprawiło na kapitanie, który przecież nie był tchórzem, trudno opisać. Coś nieskończenie uroczystego musiało dotknąć umysł jego siłą piorunującą — bo rysy twarzy jego, zwróconej ku pełni księżyca, zmieniły się prawie do niepoznania!... Lewą ręką chwycił się za czoło, prawą rozpiął płaszcz i surdut i szukał czegoś przy sobie. Równocześnie odezwał się do Mitchella, przerażonego zarówno stanem plenipotenta, jak przyczyną, która tę zmianę wywołała — w te słowa:

— Mitchell, patrz — dam ci pakiet... papierów — ten oto... weź go, schowaj go!... po — po mojej śmierci.. kiedy mnie zamordują — słyszysz?

— *Yes, sir* — odrzekł Mitchell — ale...

— Po mojej śmierci, pójdziesz do Topoli, do Marcina O'Grady — oddasz jemu ten pakiet!... słyszysz?

— Panie kapitanie...

— Jemu samemu... albo — mojej córce, miss Hessy... Gandy!... słyszysz?

— *Yes, sir.*

— Albo proboszczowi tramorskiemu, Mitchell! To mój rozkaz, Mitchell — i wola i.. Mitchell, niech cię Bóg błogosławi!... Ja pójdę sam do domu — ty idź tam (wskazując na skały) — biedne psisko...

— Panie kapitanie! — zawołał kamerdyner, zapominając tą razą zwykłej swój służbistości i chwytając plenipotentą za rękę...; ale Gandy ścisnął tylko silnie dłoń żołnierza i przerwał mu:

— Nie bój się, stary! Raz trzeci będzie dla mnie... ale nie dzisiaj; znam ja ich — kilka dni, albo i kilka tygodni mogę się obejść bez broni, chodzić między nimi o każdej porze!... Zostaw mnie tu i.. Mitchell! słyszysz? nigdy mi nie mów o tém, com ci tu powiedział. Dobranoc, Mitchell! Szukaj psa!...

Kamerdyner odszedł, rzucając badawcze spojrzenie dokoła. Plenipotent popatrzał za nim, potem zeszedł po pochyłości wzgórze, aż do stóp jego przy drodze. Od chaty, gdzie spoczywały zwłoki Agnieszki, dzieliło go zaledwie dziesięć kroków. Drzwi główne były otwarte... Gandy dostrzegł to. Wolnym krokiem, jak gdyby we śnie, przeszedł drogę, ogródek i stanął w progu chaty. Cisza panowała w izbach.

Kapitan zdjął kapelus z głowy i wszedł do izby śmiertelnej...

Dwie gromnice, spalone do połowy, rzucały smutne światło na odkrytą trumnę, w której spoczywało martwe ciało. Twarz

Agnieszki przybrała po zgonie tak słodki spokój i wdzięk niewieścięj piękności, jaki sobie przypomniał kapitan z żywej, choć dość dawnej przeszłości. Jęj palce trzymały wizerunek Odkupiciela — jęj szaty ostatnie zakryto kwiatai.

Oczu nie zdejmując z twarzy nieboszczki, kapitan ukląkl przy łożu.

— Uczyniłem to, Agnieszko! — rzekł głośno, jak gdyby chciał ze snu obudzić umarłą — bom wiedział, żeś chciała, bym to uczynił.. O przebacz mi, przebacz, Agnieszko, moja żono!.. Nie wiedziałem, com robił — nie byłem samym sobą, kiedym zatarł nasze małżeństwo... a potęm myślałem, że cię Bóg zabrał z tego świata...

Z zewnątrz, przez drzwi otwarte, doszedł do izby odgłos wołań na wzgórze. Plenipotent powstał, pochylił się nad trumną i złożył swe usta na zimnćm czole nieboszczki.

— Módl się za mną w niebie! — rzekł, wpatrzony w krucyfiks; potęm, nagłą dotknięty myślą, zdjął z palca własną ślubną obrączkę i z najgłębszą czcią, nie bez trudności, wsunął na palec umarłćj... Obrączkę oczyściła łza, która na nią spadła i zrosiła palec Agnieszki...

Plenipotent opuścił izbę — nieświadomy, iż miał świadków swego pojednania się z cieniem i z pamięcią tćj, która była prawną jego małżonką. Naprzeciw trumny siedziały Julia Mylesowa i Maryanna. Lecz żadna z nich nie śmiała przerwać uroczystego aktu, a obie po wyjściu kapitana wróciły w milczeniu do pacierzy — tą razą dziękczynnych.

Drzwi chaty Mylesa były otwarte, bo na odgłos wystrzałów, Marcin O'Grady zerwał się z krzesła i wybiegł ku skałom zatoki. Obeznaný z usposobieniem włóscianistwa w baronii i znając z długoletniego doświadczenia miarę cierpliwości „chłopców“, obawiał się, by te wystrzały nie były albo sygnałem do

zebrania się „księżycowej wyprawy“ na jaką zagrodę skazaną, lub też nie oznajmiały spełnionej zbrodni.

Nie wybiegł atoli sam. Hessy, która napróżno starała się zatrzymać go, wołając za nim z progu chaty, pobiegła za nim. Doszedłszy do pierwszych zarośli na szczycie wzgórza, widziała starca spieszącego ku skałom na przeciwnej pochyłości. Roztropność nakazywała ję zachować milezenie... ostrożnie więc i w cieniu zarośli puściła się zwinnie i lekko ku skałom.

Tramorskie skały stanowią przedmiot niewyczerpanęj ciekawości turystów malarzy. Rozgrupowane w posepnie i dziko kapryśnych kształtach wzdłuż wielkiego łuku zatoki, to się piętrzą ku niebiosom ostremi kończynami, to karłowacieją odrazu, tworząc między sobą przepaściste szczeliny, zalane wodą w przypływie, rozliczne i głębokie pieczary, wzniosłe tarasy, lub daleko w zatokę rozrzucone rumowiska. Chodzenie po tych skałach bardzo jest niebezpieczne nieznającemu ich rozkładu. Szeroka nieraz i łatwa między rozpadlinami ścieżka prowadzi tylko do zakrętu — niebaczny czeka tu śmierć niechybna, jeżeli nie zdąży cofnąć się po śliskim i omszonym kamieniu z nad bezdennęj, zda się, przepaści — rozdzierającęj w tém miejscu dwie skały, i luczającęj w swęj czeluści rozpryskanymi bałwanami morza.

Hessy stąpała coraz ostrożnięj. Zmuszona, patrzeć przed siebie, straciła znów z oczu postać przybranego ojca. Przyszło ję więc na myśl, że starzec obrał może znaną sobie ścieżkę, schodzącą między skały z połowy pochyłości wzgórza. Zawróciła więc z drogi i zesła poniżęj, między krzewy. W samęj rzeczy, napotkała pewnego rodzaju przejście między zaroślami i puściła się dalej — choć na chybił trafił. Wkrótce atoli znalazła się pod ogromnym i naprzód wystającym złomem... gdzie nie już nie kierowało ję kroków. Złom ten niby sztucznie wydrążony, przegradzał ję drogę; aby go minąć, wypadało ję trzymać się

jak najbliżej jego wklęsłej ściany i, wzdłuż niej postępując coraz wyżej, wciągnąć się nakoniec rękoma na jej sklepienie.

Hessy nie namyślała się długo i domacawszy się rękoma wilgotnej ściany, rozpoczęła swą przeprawę... Nagle — zadrzała i o mało nie wydała okrzyku przerażenia... Tu, w bezpośredniem niemal pobliżu, usłyszała najwyraźniej zmieszane głosy ludzkie! Dreszcz ją przeszedł śmiertelny od stóp do głów, a na czoło jej wystąpiły krople lodowatego potu. Lewą rękę wysunęła naprzód wzdłuż skały, by na łupkowym gruncie nie poślizgnąć się i nie upaść... a tém samém nie zwrócić na siebie uwagi tajemniczych obecnych. Tém samém chwili poznała swój błąd!... W otaczającej ją ciemnocie nie dostrzegła, że półkoliste wydrążenie złomu przerwane było w samém środku — i że stąd wązkie i niskie przejście pod skałą torowało drogę — może aż do stoku skał, do brzegu morza, lub może do jakiej głębokiej pieczary. Hessy uczuła się nieco spokojniejszą: przejść mimo otworu nie miała odwagi, bo musiałaby się wystawić na widok nieznanych ludzi, obecnych pod skałą — ale odwrót miała bezpieczny. Z podwójną więc ostrożnością odwróciła się w miejscu, gdy... dosłyszała głos pojedynczy, dobrze sobie znany.

— A ja ci powtarzam raz jeszcze, Mick — mówił Myles tonem rozkazującym — że, jeżeli się stąd ruszysz o krok jeden tylko, to ci tym nożem oto brzuch rozplątam, jak wie-przowi!

— *Acharù! acharù!* i jużcić jego honor, pan Gandy, nie będzie tu co noc przychodził i czekał cierpliwie na swoją porcję ołowiu!... *Begorra!* Kapitanie najslodszy, to już sama grzeźczość każe mieć wzgląd, że jego honor na wilgoci tylko się niezdrowiska nabawi i zachoruje nam, *musha!*

— Słuchaj, kapitanie — odezwał się z dalszej głębi głos trzeci — wszystko to bardzo dobrze i według prawa: Bridget swoje zrobiła... i daliśmy mu dwa zwykłe „pocałunki“ — raz

z onym wspaniałym rumakiem, a teraz z tém biedném psiskiem, co się tam skuliło po skałach... *bensze* wiedzą gdzie! Wszystko to bardzo ładnie, kapitanie *mavorney* — i skarżyć się nie może, że go traktujemy z grubiańska... Ale, hm!

— O cóż ci idzie? — zapytał kapitan „księżycowych“.

— O to, jak się do niego dostać...

— Oh! i pewnie, jak jego honor uściskać, kiedy się go pocałowało! — dodał Mick.

— Wszystko się uradzi jutro wieczór, na stypie — odparł Myles.

— Ba! a któż ci zaręczy, że będziemy mieć lepszą okazją... toż tu nam tak miło, wygodnie i bezpiecznie, że — Mick Dawley! ostrożnie ze skorupą, boś już dwie stłukł téj nocy... a nie tyś przyniósł jaja!

— *Ok bathershin!* jużćie jeszczej jój nie stłukł: nie ma się czego gniewać — odburknął Mick, mlaskając ustami... a ztąd łatwo wnioskować, że wysłuzony „brat-odźwierny“ tramorskich chłopców nie zapomniał zaopatrzyć siebie i towarzyszków w nieodzowną p o t y n ę, którą, w braku odpowiedniejszych naczyń, włóściaństwo irlandzkie popija w łatwych do nabycia skorupach od jaj...

— Gadajcie dalej! — dodał Mick — aż wam pod językiem nie zasechnie...

— Cheiałem poradzić, byśmy oto tutaj zdecydowali, jak się dostać do skóry plenipotenta... który teraz bez całej psiarni szeryfa Iba z domu nie wychyli!

— O to kłopotu najmniej! — rzekł Myles — zostawcie muie to samemu, chłopcy!

— Hej! kapitanie złotko moje — zawołał, lamentując, Mick Dawley — i pewnie, że nie wszystko sobie samemu odłożysz na stronę... a nam, ucziwym chłopcom, nie dasz powąchać ani jednego kęsa *sasenachów!*

— Jeszcze téż losy nie padły! — dodał gniewnie drugi towarzysz Mylesa.

— Jutro się wszystko załatwi, chłopy! — rzekł tenże. W każdym razie, trzeba mieć cierpliwość — przynajmniej jeszcze parę dni... a potem, jeżeliby nam trudno było zająć go po naszymu, to zrobimy, jak robili chłopy w 48-ym i 67-ym.

— Molly! — zawołali obaj towarzysze, a Mick miał właśnie odezwać się z słynną piosnką o „Molly Mavorney“ — gdy Myles uprzedził jego zapal, dodając:

— A juźcić Molly! Ale ja mam plan, który musi się nam udać... słuchajcie!

Hessy, struchlała z przerażenia — gdyż na życie to jój własnego ojca gotowano tu zamach stanowczy — wyteżyła całą swą uwagę, by dosłyszeć i zrozumieć jak najlepiej wyrazy Mylesa... Tyle jednakże tylko zrozumiała z szeptów trzech „księżycowych“, że — ażeby zaskoczyć kapitana niespodzianie i bez eskorty — postanowiono najpierwszój nocy ciemnej podłożyć ogień pod stóg siana przed dworskimi stajniami, obok parku. Plenipotent musiałby — zaręczał Myles — spostrzedz płomień z okien biblioteki, w której zwykł przesiadywać do późnej godziny. Liczono więc, iż zapomni o środkach bezpieczeństwa dla siebie samego i wybiegnie do stajni... W furcie ogrodowej miała czekać na niego „Molly“ — i z gąszcza krzewów róż rodyjskich, tworzących tam wysoki szpaler, zadać mu śmierć amerykańskim *bowie-knife*... Kapitan nie powinienby wydać ani jęku, wśród popłochu stajennych i służących pałacowych, miała się „Molly“ oddalić śpiesznie, znana sobie drogą przez park do nadmorskiej kryjówki...

— Ano, kapitanie serduszko! — zawołał Mick Dawley, gdy Michał przestał mówić — kiedy tak, to już ci daruję twoje okrucieństwo téj nocy... zawieszenie wyroku nad jego honorem... bo póki Mick Dawley dysze w Munsterze, on tylko jeden wie,

begorra, gdzie szukać Molly mavorney!... Pst! Słuchajcie — kot miauczy... to nasz Sherlock! Do łodzi!...

Hessy nie dosłyszała już słów ostatnich. W całej jej istocie zaszła atoli wielka zmiana: — dziewczę w jednej chwili uczuło wyraźny wpływ nieznanych sobie dotąd czynników, przetwarzających jej serce i umysł. Podobnie, jak cała jej istota łągnęła do pamięci utraconej matki, nie tyle miłosnym dziecka przywiązaniem, ile litością... tak również zrywała się w tej chwili do nieszczęśliwego człowieka — w imię najświętszych uczuć przyrodzonych i w imię uroczystego obowiązku. Hessy, oddalając się spiesźnie z miejsca schadzki „księżycowych“ powtarzała sobie ostatnie słowa nieboszczki, której zwłoki czekały tylko pogrzebu.

Gdzież był Marcin O'Grady? Znał on dobrze skały pod Knyverton, bo między niemi to ukrywał się przed „emigracją Grubba“ młodszy syn jego, Tomasz, zanim go Myles namówił do szukania schronienia w chacie rybaka, po tamtej stronie zatoki...

Zaledwie starzec znalazł się u stoku tych złomów fantastycznych, gdy uszu jego doszedł świst, a równocześnie uczuł się pochwyconym w silne ramiona kogoś, kto napadł z tyłu.

— Nie tak prędko! — ozwał się piskliwy głos, znany Marciniowi — powoli! poczekajmy sobie, aż nadejdzie szanowny mój... Błogosławiony mężu!! (zawołał nagle wpatrując się w twarz fermera) — toż to najzaśniejszy pan Marcin O'Grady z Topoli!...

— Puście mnie, Trump, omyliliście się... któż to tu spieszy ku nam?

Był to Sherlock, kolega agenta i — nierozłączny w ostatnich tygodniach jego towarzyszy.

— Omyłka fatalna — rzekł do niego Trump, głosem naturalnym — ale nie traćmy czasu! Ja słyszałem z pod skały tej oto kogoś biegnącego górą i zdążającego do wybrzeża...

— Sądziacie więc — przerwał Marcin — że opryszki tu zejda? Czy stało się jakie nieszczęście?...

— Widzicie tę łódkę, panie O'Grady? — spytał detektyw, wskazując na czółno rybackie, opodal wyciągnięte na piasek do połowy. Ona to mnie zainteresowała okrutnie, kiedyś z panem kolegą moim wracał tego wieczoru z Dunmore — brzegiem zatoki, dla skrócenia drogi... Hm! wszak to jutro pogrzeb tój biednej Mitchellowej (dodał z naciskiem) — wdowiec pewnie poszedł do Knyverton... a chłopcy wiernych sług nie szanują!

— Cóż znaczą te wystrzały?... zapytał Marcin niecierpliwie. Miał on odrazę narodową do tajnych agentów władzy, a ostatnie zdanie Trumpa nagliło go do powrotu do chaty.

— Położyły psa kapitana — odrzekł Sherlock, który do tój chwili milezał, śledząc bystrym wzrokiem kończyny złomów i zarośla wzgórzy. Biedne zwierzę, ugodzone jedną kulą między same ślepie, a dwoma w brzuch, spadło po skałach, rozstrzaśkało się po ostrych złomach... leży tu blisko na piasku.

Wiadomość ta przeraziła Marcina. Przekonała go bowiem, że kapitan znajdował się w pobliżu Knyverton... a więc jemu to groziło największe niebezpieczeństwo — oju Hesterki, od którego zależała teraz przyszłość dziewczyny! Chciał więc skierować obu agentów ku wzgórzom, gdy wszyscy trzej usłyszeli tuż za sobą głośny bieg po żwirze nadbrzeżnym i... odwracając się, poznali Mitchella.

— Kroć set tysięcy kartaczy! — krzyknął stary wachmistrz, sapiąc i dysząc z trudnością. — A! to wy... cóż? macie ich?... czego tu stoicie! Na górze — kapitan sam... pies...

— Nie ma czego szukać ich na górze — rzekł Sherlock — policya jest w parku, tamtędy nie wyjdą; to czółno ma swoje zadanie i tędy najpewniejszy dla nich odwrót.

— Ale trzeba kogoś kapitanowi — i Mitchell objaśnił położenie swego pana. Zaczem Trump postanowił wrócić z kamerdynerem na wzgórze, a przy łódce zostawić Sherlocka. Tem chętniej zamiar ten wykonał, że to dało mu sposobność do działania niezależnie od amerykańнина, którego argumentom nie mógł nie ulegać, ani towarzystwa jego się wyrzec, gdy tenże nie odstępował go na chwilę i w niejednej trudnej sprawie dopomógł znakomicie — wynajdując genialnie (w opinii Trumpa) sposoby ułatwienia sobie i jemu wstępu między chłopców. Trump był już kilkakrotnie bliskim spełnienia swój misyi, zebrania dowodów przekonywających o istotnym charakterze Mylesa i jego przeszłości — zaareztowania go nawet — lecz Sherlock, w ostatniej chwili, namówił go jeszcze do zwłoki, wystawiając konieczność dojścia do jądra rzeczy, wyświecenia stosunków Mylesa z Dermottem. Sherlock był bowiem przekonany, że lada dzień uda mu się pochwycić samego herszta niezwycięzonych... z bezwiedną pomocą kapitana chłopców księżycowych.

Skoro tylko zamkowy detektyw zniknął z kamerdynerem między skałami, a O'Grady, okrążając łańcuch wzgórzy odszedł spiesźnie do Knyverton, amerykańnin zbliżył się do czółna, spuścił je silnem pchnięciem ramion na fale i, stojąc w wodzie i trzymając brzeg łódki, ściągnął usta, otworzył je cokolwiek i wydał głos przeciągły, naśladujący doskonale półgłósne miauczenie kota... Po chwili, powtórzył to samo, lecz z przydaniem kilku tonów głośniejszych — myślałby kto, niewidzący go, że w sąsiedztwie chaty Mylesa dwa wrogie koty dały sobie hasło do nieuniknionej walki...

Niebawem — między rumowiskiem stoku złomów ukazał się człowiek jeden — potem drugi — w końcu trzeci. Zanim opuścili jednak otaczające ich ukrycia, amerykańnin wskoczył do czółna i chwycił za wiosła. Wtedy, wszyscy trzej zeszli na żwir

i w parę sekund stanęli obok łódki. Myles siadł pierwszy na przyczajce; za nim wsiadł do czółna Mick Dowley — ostatnim był... ten sam rybak, do którego łepianki udał się był przed kilkunastu miesiącami Marcin O'Grady, szukając tam syna swego Tomasza.

— Dokąd? spytał Myles.

— Do pomostu w miasteczku! — odpowiedział amerykańczyk. Łódka zniknęła wkrótce wśród gęstej mgły, powstającej z morskich topieli.

O'Grady dochodził do chaty. Myśli jego podążały naprzód do izby pośmiertnej, gdzie pozostawił zwłoki siostry. Mogłoby być. myślał, izby plenipotent czuł żądło robaka, gryzącego mu sumienie?... i cóż pocznie teraz? ażali zechce naprawić ciężki występki wobec obojga, matki i córki, przywracając sierotę do nazwiska, do należących jej praw ślubnego dziecka?...

Starzec dziękował Bogu, iż z skuteczną pomocą Patryka, będzie mógł stanąć przed kapitanem na gruncie niezależnym, w charakterze rzecznika Hesterki — nikt nie będzie podejrzewał przymieszki choć nie wiem jak usprawiedliwionego interesu własnego! Lecz... Hessy! cóż ona? Porzuci więc przybranego ojca, który ją wypieścił i wychował enotliwą, czystą i bogatą w przymioty najlepsze sereca!...

— Cóż to?... czyj to głos?... Hessy!

Od progu chaty, O'Grady dosłyszał wyraźnie krzyk bóleści, czy przerażenia! Po raz wtóry pobiegł, ile mu pozwoliły siły prawie wyczerpane, w stronę zagajenia, na wzgórze. Biegając wołał:

— Het! Hessy! córko moja — Hessy, gdzie ty?...

— Tu! — ozwał się głos, którego Marcin nie poznał. Ale poznał człowieka, w którego objęciach znalazł dziewczynę.

— Kapitan! — zawołał starzec, cofając się mimowoli.

— Nie lękajcie się o nią, O'Grady — przemówił tenże poważnie — wraca już do siebie; przestraszyła się bezwątpienia, widząc mnie tutaj... nie poznała mnie (dodał z pewną goryczą) i téj saméj chwili potknęła się i upadła. Byłaby może poraniła się ciężko na tym stoku nieregularnym... szczęście, że tu był.

O'Grady nie śmiał uwolnić plenipotentą od ciężaru, który jemu starcowi, był najdroższym skarbem od lat siedemnastu!... Nie wiedział, co powiedzieć.

Z chwilowego zakłopotania wybawiło obydwóch przybycie Mitchella i Trumpa. Dziwném zrzędzeniem losu, tajny policyant, dowiedziawszy się od Mitchella o zachowaniu się brytana przed półgodziną i postępując dla zaspokojenia ciekawości znaną nam już ścieżką między zaroślami — doszedł do wydrążonego złomu, znalazł wązkie w nim przejście i dotarł do miejsca, z którego — jak się wyraził — „wyfrunęły wróble...“ Przy świetle zapalek, znaleźli obaj ludzie jedyny, lecz świeży ślad pobytu chłopców: zmiążdżone skorupy od jaj, cuchnące potyną.

Zstępując głębiej pod skałę, doszli do podobnego pierwszemu otworu i wydostali się na zewnątrz. Oczy Trumpa skierowały się z wysokości, na której stał, ku wybrzeżu... Mimo całej siły, z jaką starał się nad sobą zapanować — nieszcześliwy detektyw nie mógł powstrzymać wybuchu wściekłości:

— Złapał mnie! złapał! przeklęty podły zdrajca!...

— Kto? Sherlock? — zapytał Mitchell.

Ale Trump nie odpowiedział. Zaciął zęby i zawrócił tą samą drogą do ścieżki. Kiedy stanęli przed kapitanem, zdumiał ich widok Hesterki, wracającej do przytomności. W głębi skał, nie dosłyszeli krzyku dziewczęcia.

— Mitchell wam pomoże, O'Grady — rzekł kapitan — przeprowadzić dziewczę do chaty. Dobranoc O'Grady! Dobranoc... Hessa!... niech cię Bóg błogosławi... Idźmy, Mr. Trump.

XVII.

Jack Trump nie miał żadnej racji, dla którejby przerwał mileczenie swego towarzysza. Obaj jeden tylko wymienili z sobą wyraz w pobliżu bramy pałacu: dobranoc! Kapitan wrócił do siebie, a detektyw zwrócił spiesznie swe kroki ku stacyi policyjnej w miasteczku.

— Choćbyś w piekle siedział, jeszcze cię ztamtąd wyciągnę! — szeptał do siebie.

Na odgłos dzwonka, otworzył drzwi dyżurny policyjant.

— Jest inspektor? — spytał Trump gorączkowo.

— Nie ma go tu, p. Trump; ale pójdę po niego, jeżeli trzeba...

— Gdzie mieszka?

— Ot, o sto kroków — w tej uliczce na lewo, na rogu Pomostowej... mogę go sprowadzić w pięć minut.

— Nie potrzeba; ja sam pójdę.

I poszedł. Za gmachem policyjnym, skręcił w lewo w uliczkę. Za ledwie uczynił w niej kilka spiesznych kroków, uczuł coś na twarzy, na szyi... potem w oczach mu poczerniało — chciał wołać... uczuł knebel w ustach i silne szarpnięcie powrozem za obie związane ręce...

Chwilkę później, czterej ludzie zatrzymali się nad brzegiem morza, dźwignęli agenta między sobą i rzucili jak kłodę do czółna.

— *Begorra!* generale, aniołku najświętszy, a teraz juźci kamieni i... na dno! -- rzekł Mick Dowley, gdy wszyscy czterej odbili od brzegu.

— Trzymać się brzegu! — rozkazał szorstko amerykańczyk — okrążyć zatokę, zatrzymać pod chatą Cleary, a ztamtąd do turmy Kolumbana!

W bibliotece pałacowej, długo się téj nocy paliły światła. Kapitan — wbrew swemu nawyknienu — nie kroczył po pokoju, układając plany; na szafce pod świecznikiem nie było wina... Plenipotent siedział przy biurku i pisał.

Najmniej go kosztował pracy i namysłu list pierwszy, zaadresowany do żony... Kładąc na nim pieczętkę, rzekł:

— Horacya wybaczy mi wszystko — po mojej śmierci!... a przecież niczego nie żądam, jak zapewnienia... mojemu dziecku, córce tego kęsa méj własności, któryby Craigenfortom i Robertowi tylko kłopotu przysparzał... Zresztą, Hessay — z ludu — niech w ludzie pozostanie; Hessay!...

Imię to powtórzył kilkakrotnie, z rosnącym wzruszeniem.

— Pytała się mnie często, pamiętam, jakiebym imię dał synowi, lub córce... z nędznego łoża, w lepiance pod Clonmell... pytała się o imię méj matki... i tém imieniem nazwała naszą córkę... Może myślała, że spotkam kiedy sierotę, dosłyszę to imię... wyczytam 'w rysach twarzy pamięć matki i pamięć dni — niewielu, niestety! — kiedym i ja, Jan Leary, rwał się do szczęścia czystego, tego, co płynie z odrodzenia się moralnego i z pracy!... Ale — kończmy!

Drugi list, a raczej dokument, przeznaczony dla lorda Grosvenora, zawierał, że tak powiem, testament oficjalny plenipotenty, stwierdzający okropne położenie dzierżawców i osadników na dobrach waterfordzkich, a odwołujący rady i projekta, przedłożone lordowi przed kilkunastu dniami. Kapitan uwiadomił go przedewszystkiem o dobrej woli Marcina O'Grady i o jego decyzji spłacenia czynszu. Do tego listu plenipotent dołączył tabelę, wykazującą stan swego zarządu w ostatniej chwili.

— A teraz — rzekł, włożywszy obie koperty do trzeciej, noszącej wyrazy: „Odesłać natychmiast po mojej śmierci“ — teraz... obowiązek każe wytrwać na stanowisku, aż do końca! wzgląd i wyrozumiałość, a zarazem być bez litości,

gdzie się ukaże robota anarchii!... Proboszcz mi doniósł wczoraj, że rewolucjonista Nr. 1 ma się znajdować w hrabstwie...

Zadzwonił. Do biblioteki wszedł konstabler, uzbrojony od stóp do głów.

— Czy Mitchell wrócił?

— Nie, panie kapitanie.

Gandy spojrział na zegarek. Półtoręj godziny upłynęło od chwili, w której zasiadł do biura... Lecz w sieni odezwały się czyjeś kroki i Mitchell stanął w progu biblioteki.

— Możecie iść i przespać się kilka godzin w oficynie — rzekł kapitan do konstablera.

— *Your honour* — przerwał Mitchell, nie ruszając się z miejsca i nie pozwalając przejść policyantowi — tu jest ktoś, kto chce się widzieć z panem.

— Któż taki?

— Niech pan zechce sam zobaczyć... a ten kolega może tu zostać.

Konstabler popatrzał na kapitana i rzucił okiem do sieni; nikogo tam jednak nie dostrzegł. Gandy wyszedł sam jeden, bo Mitchell zamknął za nim drzwi natychmiast, pozostając w bibliotece z policyantem.

W obszernej i słabo oświetlonej sieni, siedziała blisko drzwi werandy młoda dziewczyna.

— Kto wy?... Hessy! zawołał kapitan — i nie pozwalając jej wymówić ani słowa, porwał ją w swe ramiona i pobiegł na górę... Zaniósł ją aż do apartamentów szlachetnej Horacyi i złożył na otomanie, pokrytą „staro-złotym“ atlasem. Poczém podniósł stopy w oknach. Dniało.

Odwracając się zobaczył dziewczę, stojące przed nim nieśmiało. Lecz i on nie mniej był zmięszany... Hessy pierwsza przemówiła:

— *Your honour*, niech się pan ratuje! — zawołała, wyciągając ku niemu ręce. Ubrana czarno, z czarną zarzutką na ramionach, z kruczymi włosami rozrzuconymi w nieładzie, z oczyma błyszczącymi z nadmiaru uczuć, któremi serce jęj było wezbrane, blada pomimo zmęczenia i obecnej nieśmiałości — Hessy uprzytomniła kapitanowi żywo postać, którą przed kilku tygodniami na tém samém widział miejscu.

— Usiądź tu, Hessy — rzekł łagodnie, odprowadzając ją do otomany — i odpocznij...

— O nie! nie! — zawołała, zrywając się — wasz honor...

— Nie mów tak do mnie, moje dziecko, moja córko!... czyż nie wiesz — czyż ci nie powiedziano!...

Gojący rumieniec oblał bladą twarzyczkę dziewczęcia. Spuściła oczy i z długich rzęsów spadły na lica jęj łzy — nieznanego smutku i nieznanj rozkoszy. Ojciec z córką stali tak naprzeciwko siebie — żadne słowo nie zdołałoby opisać, co się działo w ich duszach. Nakoniec Hessy podniosła oczy łez pełne i zwróciła je ku plenipotentowi... Gandy przytulił ją w milczeniu do piersi i na czystém jęj czole złożył długi pocałunek.

— Nie myśl źle o mnie, córko — mówił drżącym od wzruszenia głosem — gdybyś wiedziała wszystko... czy nie powiedziano ci wszystkiego?

Hessy dała główką znak zaprzeczenia.

— A!... jakże ci ja mogę odsłonić tę smutną przeszłość!... Kiedyś — dowiesz się, poznasz mnie, może się przekonasz, że ciężkie błędy moje nie miały źródła ohydy... Hessy, ja matkę twoję kochałem całym sobą! dla nięj pragnąłem z gruntu odbudować młodość i wszystkie jęj szlachetne ambieye ku nowym, prawym zwrócić celom! Dlaczego nie wytrwał — dowiesz się, Hessy; ale... córko, to jedno wiedz teraz, że przed laty siedemnastu, ś. p. matka twoja, a moja prawna żona schodziła do grobu, do którego jutro ją złożą... że się z nią rozstałem umiera-

iąca, że — nie płacz, córko, przebacz mi, przebacz nieszczęśliwemu ojcu, który stracił tyle, któremu niewiele może pozostać dni...

— Ojze! — zawołało dziewczę, uwalniając się gwałtownie z jego objęcia — muszę cię uprzedzić o okropnym niebezpieczeństwie, jakie cię otacza!... O słuchaj mnie, słuchaj!...

I Hessy opowiedziała plenipotentowi, co czytelnik wie już z poprzedniego rozdziału. Kapitan słuchał, nie przerywając — dopiero, gdy dziewczę wspomniało o jakiejś „Molly“, mającej czatować na niego w pobliżu pałacu, w chwili wybuchnięcia pożaru obok stajni — zapytał:

— Czy mogłabyś się domyśleć, kochanko, co to za człowiek tak mówił?

— Domyśleć... mogę się, ojze — odpowiedziała w wielkim pomięszaniu — ale powiedzieć... nie mogę.

— Czemu to, Hessy?

— Bo... nie uwierzyłbyś, ojze.

— Hessy!

— Da d O'Grady nie wie jeszcze o niczym, nikt nie wie, prócz nas dwojga, ojze — ale dad... gdyby wiedział, przyszedłby tu, tak jak ja i uprzedził cię, ojze...

— Ty bardzo kochasz Marcina, Hessy?

— O całym sercem!

Kapitan odwrócił się do okna i schylił głowę. Słońce właśnie wstawało z ponad wierzchołków parkowych sosen i krasidło tę stronę pałacu potokiem różowych promieni. W oknie stał plenipotent, pogrążony w smutnych myślach. Czyż mógł żądać miłości, przywiązania od tego anioła?...

— Da du! — ozwał się głos nieśmiały obok niego — tyś moim ojcem... ja ciebie kocham więcej, niż kogo innego w świecie, tatku... więcej niż — wuja Marcina i kochać cię będę zawsze, jeżeli mi pozwolisz. Ja was obojgu kocham... ca-

łém sercem, ale to biedne serce córki tylko do ciebie, tatku, należy, twojem jest...

— Dziecię moje! mój aniołku! — wołał Gandy, chwytając dziewczę w ramiona i tuląc do siebie. Łzy jego mięszały się ze łzami córki, a pełny majestat porannego słońca oblewał oboje i otaczał aureolą błogosławieństwa nieba.

Okolo téj samój godziny, inspektor policyi obwodowej siedział w swém biurze i kończył szczegółowy bardzo raport do władz dublińskich. Pracę jego przerwało wejście Sherlocka.

— I cóż? — zapytał amerykańnin, siadając przy stole.

— Jakby w ziemię zapadł! — odpowiedział urzędnik, rzucając pióro. Nikt go nie widział od chwili, kiedy wyszedł do swojego domu. Posłałem do Waterford, do jego oberży — tam go nie widziano od dwóch dni... tu, w miasteczku, ani śladu! Czego on chciał odemnie o trzy kwadranse na drugą téj noey, dlaczego nie przyszedł, gdzie się podział... wszystko to nie do wytłómaczenia!

— W samój rzeczy, inspektorze. Wiesz pan co — ta sprawa wcale mi się nie podoba!

— Añi mnie!.

— Coś tu nie jest *all right!*

— Coś tu jest *all wrong!*

— Ten... Trump, hm!

— Hm! Jack Trump...

— Zna się dobrze z chłopcami! Dobry lis z niego, musi być z niego Mallow zadowolniony...

— O i bardzo! Trump mi pokazał kilka listów generalnego inspektora — same komplementa!

— On tu długo siedzi, czy oddał wam zabójcę tego chłopca Jana O'Cleary?

— Nie jeszcze; ostatnią razą mówił, że musi poczekać, aż wytropi Nr. I.

— Ba! — parsknął śmiechem amerykańcini.

— Co? — zapytał inspektor, rzucając na Sherlocka bądawcze i nieco wystraszone spojrzenie.

— Nic. Tylko dziwi mnie cokolwiek jego procedura!... puścił z łańcucha jednego kundla, żeby znaleźć drugiego—bardzo to dowcipnie, jeżeli się kundle nie znają... ale w tym razie — no, ale to jego rzecz! Czy ci powiedział na kogo ma podejrzenie o zamordowanie Jana?

Napisał raport i złożył u mnie, aż do znalezienia „generała“. Raport jest zaadresowany do inspektora prowincyi... Trump mi coś mówił o Mylesie, podejrzewa go.

— Mylesa z Knyverton? toż to najlepiej szczywany lis zamkowy — ma kartę sekretarza, wierny sługa tutejszego sędziego pokoju, denuncyant Tomasza O'Grady po zabójstwie Grubba, płatny przez władze... Bardzo to dziwne! Hm!

— Co niby, panie Sherlock? — spytał inspektor błędąc.

— To tylko, iż wiedząc, że ja szukam Dermotta, który jest w hrabstwie, a nawet w baronii; Trump wam, inspektorze, śpiewa o swych staraniach jego znalezienia... z pomocą Mylesa, zdaje się — człowieka nam oddanego, choć od was tu niezależnego! Dermott do mnie należy! — dodał z dziwnym naciskiem.

— Czy masz pan jaką nadzieję?..

— W tej chwili właśnie — najlepszą!

— Czy mogę pomódz...

— Owszem, pomówimy o tém; tymczasem wypada mi znieść się z zamkiem... Ej! panie inspektorze — rzekł, uśmiechając się protekcyjonalnie — nie dziw, że władza prowincjonalna źle widzi, kiedy władza centralna... nie widzi wcale!

To powiedziawszy, wyjął z szuflady papier i pan inspektor policyi baronii tramorskiej zabrał się do pisania z flegmą, której nie można było nie podziwiać.

XVIII.

W trzech królestwach celtyckich wrzały obok siebie dwie potężne agitacye ludu przeciwko dwom, niemniej potężnym systemom represyjnym wroga. Naród irlandzki opierał się całą swą siłą tym połączonym czynnikom, które nazywa „brytanizmem“, które — choć między sobą rozdwojone i nienawidzące się wzajemnie — wzajemnie się wspierają w wojnie eksterminacyjnej... w imię „lojalności względem tronu“ i „obrony“ protestantyzmu. Te dwa czynniki — to oranżyzm i centralny rząd z a m k u d u b l i ń s k i e g o. Torysowski oranżyzm wypowiedział otwartą wojnę związkom narodowym, konstytucyjnym — gdyby się poważyły przekroczyć granice czwartego królestwa, Ulsteru; mając zaś słabe wprawdzie, lecz liczne gałęzie na zachodzie i południu, reprezentantów swych na wszystkich niemal urzędach sądownictwa, jak we wszystkich zarządach dóbr, oranżyzm rzucił żagiew pożaru anarchicznego w hrabstwa zachodnie i południowe, ścigając surowo agitatorów konstytucyjnych, a puszczając wodze rozmyślnie agitacyi rewolucyjnej.

Lud, oczekujący z dnia na dzień eksmisyi i głodu, garnał się do związków tajemnych, bo do powolnej walki stracił chwilowo energię, czasu nie miał i zubożył na wszystko, co mu albo doraźnej nie dawało ulgi, lub wymagało od jego natury gorącej, cierpliwości.

Oranżyzm przyspieszał eksterminacyą za pomocą „środków prawnych“ — ucisku, eksmisyi, podatków, domów pracy i tyle

sławionej „dobroczynności“, polegającej na wywożeniu setek i tysięcy ludności do innych części ziemi. Śpieszył się oranżyzm — bo nie ufał zamkowi, nie dowierzał polityce westminsterskiej, kierowanej przez męża głośnych podczas kampanii wyborczej obietnic. Możeby się koloniści nie kwapili z dodawaniem bodźca żywiołom anarchijnym, gdyby mogli byli przewidzieć, jak ten sam mąż stanu, w nowych interesach partii politycznych, wprowadzi do Irlandyi karne ustawy tak srogie, że ich to właśnie skutkiem, liga konstytucyjna miała odzyskać nad ludem przewagę i potęgę swoją utwierdzić na podwalinach — grożących podstawom brytańskiego imperyum!

Tymczasem, gdy oranżyzm walczył przeciw tajemniczój polityce gabinetu i zbezczeszczał agitacją posłów, członków Ligi agrarnej, agitacja walczyć musiała na każdym punkcie przeciwko anarchii. Okropny to był stan kraju, gdy wśród rozpasanego ucisku plenipotentów, wśród nędzy powszechnej, niemającej jutra, po miastach i parafiach odbywały się „olbrzymie mityngi“, zwoływane przez ligistów, demoralizowane przez anarchią, umiejącą korzystać z ciemnoty ludu. . .

Hrabstwa zachodnie, Sligo, Galway, Limerick, Clare i Kerry — dotknięte najcięższą klęską, stały się tém, czém były za czasów Cromwella — *hell* — piekłem. W Counaught bowiem zaległości dzierzawne nie były świeże; owszem, mało tam było włościan-osadników, którzyby byli zdolni spłacić czynsz od lat pięciu — a większość (zwłaszcza osiedlonych w zagrodach jedno- lub dwu-akrowych) winna była złożyć na wezwanie szeryfów sumy czynszów pięcioletnich i dawniejszych!

W chwili więc, do której doprowadziliśmy to opowiadanie, w wymienionych hrabstwach roily się drogi publiczne tłumami eksmitowanych rodzin, kończących pod gołém niebem, żyjących z miłosierdzia małomiasteczkowych przekupniów, duchowieństwa

i kwaków... póki ich to miłosierdzie zdołało wyżywić. Materiał gotowy dla „roboty“ bractwa rewolucyjnego.

W hrabstwach wschodnio-południowych — w Cork, Waterford, Kilkenny i Tipperary — opór ludu był dłuższy, bo włościństwo, żyjące tu głównie z hodowli bydła i z przemysłu nabiałowego, miało jakie takie inwentarze — ztąd kredyt. Jednakże, mając więcej nierównie do stracenia, aniżeli bracia ich w Connaught, organizowało między sobą środki skuteczniejszego oporu. W tych to właśnie okolicach wzrastała w siły liga agrarna — i tu też więc anarchia wyężyła wszystkie zasoby jawne i tajne, by... pozornie pod egidą ligi, rzucić całą ludność do obozu, na czele którego stał zamożny i ofiarny Clan na Gaël amerykański.

Przypominamy, że gdy Liga ogłosiła w manifestie swym, iż kto czynszu spłacić nie może, ten nie potrzebuje jeszcze z tego powodu wyrzec się praw swych do zagrody; Clan na Gaël, zawiadomił lud, iż wyzégłowały już ku brzegom irlandzkim okręty z zapasami... a zaklinał, by na całej przestrzeni kraju zaprzestano spłacać czynsze. Tym sposobem, z okrzyku: *No money — no rent!* rychło bardzo opuszczono część pierwszą i rozpoczęto przestrzegać, by nikt się z włościem nie ważył działać pod tym względem na własną rękę, słuchać własnego sumienia, lub osobistego interesu.

Marcin O'Grady powinien był w oczach naczelników ruchu rewolucyjnego, stanąć w pierwszym szeregu związku włościem przeciw właścicielom; on bowiem był, ze względu na obszar Topoli i na rodzaj swój tenuty, najzamożniejszym rolnikiem. Połowa hrabstwa waterfordzkiego i wielka część sąsiedniego Wexfordu oczekiwały decyzji Marcina. Kiedy przystąpił do ligi, a zwłaszcza kiedy wraz z sąsiadami ułożył swą odezwę farmerów do plenipotenta klucza Grosvenorskiego, włościństwo utwierdziło się w obraném stanowisku. Odtąd więc coraz ła-

twiejszém było zadanie tajnych agentów Bractwa... Lecz gdy się rozeszła pogłoska o zmianie decyzji dzierżawcy Topoli, o jego gotowości do spłacenia czynszu — gdy sąsiedzi nie zdołali wymódtz na nim tego, co nazywali „wiernością dla sprawy“ — główny emisaryusz fenianów amerykańskich, Dermott, który się znajdował w tych stronach, postanowił zmusić go do zaniechania decyzji, lub mu jój wykonanie uniemożliwić.

Po odbytym pogrzebie, starzec wracał z Hesterką do domu. Dziewczę opowiedziało mu swe spotkanie się z ojcem w pałacu, jako też i powód, dla którego spozczać w nocy nie chciała, póki by nie przestrzegła plenipotentą o spisku na jego życie O'Grady słuchał w roztargnieniu; jemu — jedna myśl ciążyła na sercu: rychłoli sam się zostanie w swój chacie!...

— Bogu dziękować, Het — rzekł — iż raczył zbudzić miłość rodzicielską w jego sercu!... I jużcié tyś mu winna poszanowanie i... posłuszeństwo i... przywiązanie enotliwego dziecka, Het, ale wszak i o mnie nie zapomnisz, moja kruszynko...

— O, d a d u, nigdy! nigdy! — zawołało dziewczę z uniesieniem — bo i jakżebym mogła zapomnieć! Zresztą, ojczulku O'Grady, d a d Gandy ułożył ze mną dziś rano, że ja pozostanę w Topolach, tak jak dotąd, aż dopóki on... jak powiedział, nie urządzi się na swoim gospodarstwie...

— Jakby to miało być? — przerwał Marcin zdumiony — przecież...

Zamilkł jednak, szanując obecność młodej dziewczyny. Tém mniej atoli wierzył, by popędliwy i namiętny charakter kapitana zdołał wytrzymać walkę ze światem. Czego nie powiedział głośno, to sobie powtarzał myślą: — Przecież dwóch domostw nie urządzi... ani też do rozwodu nie pójdzie, choćby ze względu na familią i na stanowisko, które jój zawdzięcza!

Ta myśl — samolubna! bezwątpienia, lecz naturalna i ła-
twa do zrozumienia, uspokoiła go nieco. Zmienił więc rozmowę
z dziewczęciem:

— Mamy wiadomości z Dublina — rzekł wesoło — lada
dzień spodziewać się Toma!...

Hessy podskoczyła z radości, lecz téj saméj chwili za-
wołała, błędna:

— Da d u, to go wezmą do więzienia!..

— O nie, Het! O. Dooley powiada, że się tego nie po-
trzebujemy wcale obawiać! Widzisz, ja tego dobrze nie rozu-
miem, bo to jakiegoś wielkiego adwokata robota... ale Tom
ma tu się stawić pod nadzorem policyi — pod tajnym nadzo-
rem. Biedne chłopczyko! Gdyby nie dobrzy ludzie, gdyby nie
pomoc ligi i opieka téj przezačnéj panny Farrell (niech jój Bóg
błogosławi!), dawnobyśmy go opłakiwali... choć niewinnego!
Teraz, chociaż jeszcze na nim ciąży podejrzenie, tyle dla niego
zrobiono, że będzie mógł dowieść na wolności, iż zerwał z tymi
szaleńcami...

— Ale, da d u — pytała Hessy — dla czegoż go mają
podejrzywać?

— Bo on jeden, a przynajmniej on najlepiej podobno-
wie, kto zamordował Grubba.

— To czemu Tom nie powie...

— Ha! czemu! — wyrzekł starzec w zamyśleniu... —
Ale rychlej czy później, Het, prawda wyjdzie na wierzch —
a wtedy Tom będzie mógł śmiało podnieść czoło między ludźmi.
Biedne chłopczyko!

— Zdrów Tom teraz, da d u?

— Chwała Bogu! wyleczony i zdrow. Rad będę widzieć
tego dzielnego Thady.

— Thady! — zawołała Hessy, płonąc się jak w ogniu. —
Czy p. Kennedy tu przyjedzie z Dublina?

— A jakże, razem z Tomem, któremu życie uratował i... więcej daleko niż życie: cześć i przyszłość uczeiwa.

Tu Marcju opowiedział wszystko, o czém mu doniósł Tomasz i co Thady pisał szczegółowo do proboszcza i do przyjaciela Jozeasza. Dr. Webb, ów wielki adwokat dubliński, złożył w imieniu ligi wysoką kaucyą, jako poręczenie za pobyt Tomasza w hrabstwie waterfordzkim i stawienie się na zwołanie przed sesyonalnym trybunałem Münsterskim. Czego zaś Marcju nie wspomniał, o czém sam nie wiedział, było, że Dr. Webb, — który nie znał skrupułów, a niby się nimi powodował — miał nadzieję naprowadzenia władz na ślady osławionego emisaryusza Dermotta. Tomasz, wróciwszy do zdrowia, odkrył Kennedyemu tajemnicę pobytu Nru 1-go — tajemnicę, znaną sobie z obrad „Niezwycięzonych“, odbywanych przed wiosną na ulicy Studziennj. Wiedząc zaś, że życiu jego zagrażało niebezpieczeństwo ze strony Dermotta i chłopców, pragnął nadewszystko, by główny emisaryusz otrzymał czempredziej szczegółowo sprawozdanie o dwoistych machinacyach Mylesa i swych własnych z nim stosunkach. Pomógł mu w tém — choć całkiem nieświadomie i bezwiednie — przyjaciel jego Thady. Dr. Webb, obeznany z treścią Tomaszowego zeznania, którego kopię otrzymał od ks. Dooley'a, rozumiejąc nadto położenie nieszczęśliwego młodzieńca — zatrzymał Tadeusza w gmachu ligi pewnego wieczora, i uwiadomił go, że ze strony władz nie będzie nic przeszkadzało Tomaszowi do powrotu do Waterford. Thady ucieszył się tą wiadomością... ale twarz mu pochmurniała natychmiast.

— Aha! — rzekł adwokat, śledząc tę zmianę — zapomniałem dodać, że władze, nie żądając od pańskiego przyjaciela żadnych informacji, będą go miały na oku — a tém samém, dadzą mu protekcyą...

— Żadna protekcyą nie obroni od...

— Ta, ta, ta! rozumiem, rozumiem to bardzo dobrze! Dlatego więc, mógłbym się postarać, by władze zgodziły się na pobyt pańskiego przyjaciela w jakimś bądź innym hrabstwie — lub i tu, w Dublinie, na wolnej stopie — gdzieby się uważał najbezpieczniejszym. . . .

— To chyba do Ulsteru poszedł! — rzekł Thady ze zniechęceniem.

— No, nie! gdzież zaś znów! — odparł Webb z dobrotliwym uśmiechem. Nie wiedząc, które hrabstwo byłoby mu najbezpieczniejsze. . . starajmy się poznać, gdzieby musiał być wystawiony na największe — niebezpieczeństwa!

— O! w Waterford! oczywiście — zawołał Thady bez wahania!

— Hm! — przemówił adwokat, kiwając głową niedowierzająco — mylisz się pan chyba! wiem ja to i owo. . . z gazet, z różnych raportów sesji prowincjonalnych i t. p. — otóż wiadomo mi, że w wymienionym przez pana hrabstwie, policya. . . hm! wodzi na pasku najglówniejszego herszta tych *quondam* kolegów Tomasza — jakiegoś Mylesa Michała. . .

— Mylesa! — zawołał Thady, lecz dodał — ale ten tam teraz drugą odgrywa rolę, Myles nie jest. . .

— Jest tylko. . . hm! Numerem drugim? — rzucił Webb od niechcienia, pytająco — Ot! ja panu coś powiem: namyślimy się nad tém!

I podając na pożegnanie palec młodzieńcowi, adwokat rozstał się z nim i zawołał na dorożkę. Wsiadając, rzekł sobie: Na jednym roźnie — dwie pieczenie: uwolnić tego. . . hm! durnia od zemsty jenerała — a ligę, od jego dyabelskiej pomocy!

— Dokąd? — spytał dorożkarz.

— Do redakcyi „Freeman’s Journal“ — rozkazał Webb — napędzimy i jego i policyą! . . . — szepnął, zapalając cygaro.

Nazajutrz rano — a było to w dzień pogrzebu Agnieszki — tłumy ludu grupowały się po ulicach Dublina, przed sklepami, gdzie sprzedawano poranne gazety i gdzie ogłoszone były zwykłe plakaty, oznajmiające o treści pojedynczych dzienników. Plakat z nagłówkiem: „Freeman's Journal“ miał wydrukowane, między innymi, olbrzymimi literami następujące wyrazy:

Arrest of Number One in Co. Waterford!

Administracya dziennika zmuszoną była odbić podwójną dnia tego liczbę egzemplarzy. A jednakże, cała wiadomość ograniczała się do tych kilku zdań:

„Telegram od naszego korespondenta. — Władze zaarrestowały człowieka, który, nie ulega najmniejszej wątpliwości, jest sławnym „jenerałem“, znanym pod tajemniczą nazwą: „N-ru I-go“. Szczegóły jeszcze nieznanne. Godzina 4-ta po północy“.

Wzburzenie w Dublinie było nie do opisania. Oranżystom twarze sposepniały. Narodowcy nie ukrywali swój radości — pospółstwo na przedmieściach i w zaułkach rozdzieliło się na dwa obozy: ligistów i stronników Bractwa rewolucyjnego; szynkownie stały się teatrem bójek, anarhisty zapadli pod ziemię i tam odbywali narady — *en permanence*...

Około południa, gdy dziennik doszedł do hrabstw południowych, administracya w Dublinie wyrzuciła z pod swych pras pół miliona biuletynów... odwołujących wieść nadzwyczajną, pod nagłówkami: „*Number One*. W tej chwili dowiadujemy się, że osobistość ta nie jest jeszcze w ręku władz. Policya jest atoli na tropie. Każdej chwili oczekujemy wiadomości. Specyalny korpus detektywów patroluje po hrabstwie, zwracając najbaczniejszą uwagę na ruchy osób podejrzanych w baroniach Cappoquin i Tramore“.

Pierwszą przestrożę otrzymał O'Grady od związków, gdy po pogrzebie wrócił do domu i wyszedł na podwórze, by znaleźć przyczynę, dla której bydło nie było na pastwisku, lecz ryczało w oborze. Jana nie widział nigdzie. . . . Otworzywszy drzwi obory, Marcin cofnął się przerażony — a widok, jaki go uderzył, wydobyl mu z piersi okrzyk zgrozy i boleści! Trzy jego własne krowy, między niemi Nina Hesterki i pięć głów bydła, należącego do tramorskiego rzeźnika, leżało uwiązane u kamiennych żłobów, obryzgane posoką krwi! Z okrucieństwem, którego zbyt częste są w Irlandyi przykłady, związkowi chłopcy, w nieobecności farmera, spędzili bydło z pastwiska, pobili starego niedołęgę Jana, i uwiązawszy biedne bydłeta na krótkich postronkach, poucinali im ogony przy korzeniu! . . . Na ścianach zaś obory namazali posoką trupie głowy, trumny, szubienice i groby, z dodaniem wyrazów, jak: Albo! Albo! — Długo nam czekać? — Przyjdziemy znowu!

I nie były to czeze pogróżki. Wiedział O'Grady dobrze, że opór byłby tu o tyle próżny, o ile wyzywający. Tego samego więc wieczora postanowił sprowadzić z miasteczka pomoc policyjną. W tym celu stawił się w biurze inspektora.

Zastał tam Sherlocka, dyskutującego z inspektorem o ważnej nowinie dublińskiego dziennika. Z wejściem starego Marcina ustała rozmowa. Marcin przystąpił odrazu do rzeczy, zdał sprawę z okrucieństwa spełnionego w Topolach i zażądał dwóch konstablerów — z tym atoli warunkiem, iż kosztą protekeyi sam podejmie, a obwód ich w podatkach płacić nie będzie.

Inspektor, podając mu formularz, według którego miał napisać podanie, odrzucił jednakże warunek, jako nielegalny. Rząd bowiem, składając ciężar utrzymania nadzwyczajnych sił policyjnych i t. zw. „służby protekeyjnej na zarządy podatkowe pojedynczych parafj, miał na celu wywołanie reakcyi przeciw

bezprawiu w łonie samychże mieszkańców. O'Grady trwał mimo to w oporze. Przeszedł mu w pomoc sam Sherlock:

— Wiesz pan co — rzekł do inspektora — ja dziś z moimi ludźmi (tymi samymi, którzy słuchali rozkazów Trumpa), muszę być w bezpośredniem prawie sąsiedztwie Topoli: więc tej nocy p. O'Grady może być zupełnie spokojnym. Możeby dobrze było wysłać podanie jego do szeryfa, tak jak jest — i poczekać na odpowiedź.

Zadowolony O'Grady odszedł. W zapadłym zmroku nikt go nie poznał w miasteczku, a przynajmniej nikt go nie widział przy gmachu policyjnym. Mijając Mount-Horeb-House, posiadłość Jozeasza Peeta, spotkał się z rzetelnym kwakrem, prowadzącym żywą rozmowę z proboszczem Dooley'em.

— A co? — zawołał tenże, ściskając dłoń Marcina — wrócili już chłopcy z Dublina?

— Nie jeszcze, ojeze Dooley'u...

— Jakto nie? — spytał, przerywając, proboszcz — przecież powinni byli być w Topolach około 5-tój popołudniu! wyjechali z Dublina pociągiem południowym...

— Ja nie o tém nie wiedziałem — rzekł starzec, a radość okraśniała mu mu twarz stroskaną.

— Nie otrzymałeś, przyjacielu O'Grady, pośpiesznego pisma? — zapytał kwakier.

— Telegramu? — dodał proboszcz...

— Nie.

— A to wam chcą niespodziankę sprawić! Trochę prędka ta ich decyzja — widać wpłynął na ich postanowienie ktoś. kto... w Ameryce nauczył się...

— Boże w niebie! ojeze Dooley'u — zawołał starzec — czy Patryk jest z nimi?...

Ksiądz zaledwie zdołał odpowiedzieć na to pytanie po-

twierdząco, gdy wszyscy trzej zobaczyli śpieszącego pod górę chłopca z biura telegraficznego.

— Do kogo to, chłopcze? — spytał proboszcz, wołając.

— Do waszój wielbności! pani Agata tu mnie przysłała. Książd rozdarł kopertę.

— Słuchajcie — rzekł i odczytał głośno te słowa: „Zatrzymałem ich do nocy. Wedle wskazówki posłałem zeznanie *T.* do *K.—D.* odbierze w nocy, jeżeli macie racya. *Webb*“.

— Cóż to znaczy, ojeze Dooley'u? — spytał O'Grady. — A proboszcz odpowiedział:

— To znaczy, że nasz zaeny Dr. Webb, wyperswadował waszym synom i Kennedy'emu, by poczekali aż... Nr. I (tu zniżył głos) otrzyma zeznanie Tomasza, to samo, któreście widzieli na probostwie. Ponieważ jednak nikt nie wie, gdzie ten Nr. I...

— Podobno zaaresztowany...

— Gdzie tam! Marcinie — to tylko pogłoska, umyślnie rozpuszczona... Więc, ponieważ jeden człowiek z pewnością wie, lub każdej chwili wynaleść może, gdzie szukać N-ru I-go, jemu radziłem posłać ten pakiet... pod dwoma adresami. Wewnętrzny — rozkazuje mu, w imię wierności i t. d. wręczyć przesyłkę generałowi. Człowiek ten, który już musiał pakiet odebrać, nie wie oczywiście, kto go wysłał... a już my przecież znamy „chłopeów“ dość dobrze, by się nie obawiać przeniewierstwa podwładnego, zwłaszcza gdy szefem jest Nr. I-szy.

— A któż to ten człowiek? — spytał O'Grady.

— K. znaczy Knyverton — odpowiedział proboszcz.

— Mylles!!

— Pst! On sam — boć jeżeli kto, to, jak wiemy z listów Tadeusza, on jeden zna ruchy swego zwierzchnika.

W ciągu tych wyjaśnień, gruby kwakier pozostał na uboczu. Choć to on bowiem w pół zakrytymi słowami radził pro-

boszczowi walczyć z podstępami bronią odpowiednią, teraz jednak chciał zachowaniem się swoim zaprotestować przeciw nieotwartéj akcyi. Odwracając się więc do Marcina, rzekł z namaszczeniem :

— Przyjacielu, gdy synów weźmiesz do łona, ozwij się do nich, a do młodszego mianowicie, słowy Pisma, mówiącego: W prawdzie Twój zbawisz mnie i zbawion będę!... Jakże z pokarmem pod twoim dachem? Gdy niedostatek zbliżać się będzie, a nieprzyjaciele twoi palcem na cię wskazywać nie przestaną — przyjdź zasię do przyjaciela Jozeasza. Filipie Doolley'u, niech cię Duch strzeże! i ciebie Marcinie O'Grady z Topoli... bo ja czasu nie mam i żona czeka z kolacją.

Został jednak dobrą chwilę, by wysłuchać opowiadania farmera o brutalnéj zbrodni, spełnionej tego dnia na bydłétach.

XIX.

Po wyjściu Marcina ze stacyi policyjnéj, inspektor ciągnął dalej przerwana rozmowę z amerykańninem :

— Ta sprawa Trumpa może mnie kosztować grubo — mówił — ale tém się pocieszam, że sam Mallow widzi w niéj bliskie rozwiązanie zagadki... Dermotta! Pod tym względem dzisiejsza jego do mnie depesza jest identyczną z tą, którą tu wysłał dla was p. Sherlock...

— Bezwątpienia, inspektorze — rzekł wysłannik jeneralnego szefa, dobywając z zanadrza gruby pakiet — jesteśmy bardzo bliscy wyświecenia niepewności; w jednym tylko punkcie nie zgadzam się z Mallow'em: on bowiem sądzi, że Trump, jak kret, zakopał się w ziemię za Dermottem — a ja... z ode-

branych tu oto relacyi moich dublińskich pomocników widzę jasno — całkiem coś innego!... No — ale na mnie czas!

— Cóż myślicie robić téj nocy?

Sherlock rozwinął pakiet, umaczał pióro i na jednej z czystych kart papieru napisał pośpiesznie słów kilka. Potém, złożwszy wszystkie papiery pakietu w wielką kopertę biurową, opieczętował je i rzekł:

— Macie tu gdzieś relacyą Trumpa, nieprawdaż?

— Mam, u siebie...

— Otóż, inspektorze czeka mnie téj nocy niebezpieczna wyprawa... być może, że się już nie zobaczymy na tym świecie...

Inspektor przerwał tak smutne proroctwo protestującym gestem obu rąk, a Sherlock, w którego przymkniętych oczach ukazał się na chwilę pobłysk szyderczej złośliwości, ciągnął dalej:

— Jeżeli więc nie będzie mnie tutaj jutro rano, o godzinie... ósmój, to otwórz pan ten pakiet najprzód i przeczytaj go uważnie, mianowicie wyrazy przeze mnie tam dodane; a następnie, otwórz relacyą Trumpa... Informacye, jakich ci te papiery dostarczą, rozwieją i rozproszą ci wszelkie niepewności i... co więcej jeszcze znaczy: pocieszysz się po méj stracie — niechybnym awansem! Nie! Nie! (dodał na uspokojenie inspektora) — życiu memu nie zagrozi żadne niebezpieczeństwo... choć wyprawa jest z natury swój arcy-delikatna, ale... być łatwo może, że ze wschodem słońca pociąg mnie poniesie do Dublina...

— Jakże tedy z ludźmi? — spytał inspektor, pełen podziwu dla genialnego agenta...

— Ja wezmę... z Ballytullagh moich czterech i będę, akem powiedział, w sąsiedztwie Topoli; więcej nas tam nie potrzeba, ani być nie powinno żadną miarą, by nie zwrócić

podejrzeń... Postawcie jednego na czatach nad zatoką, gdzie teraz zbyt często pojawiają się statki fenianów... niby to z żywnością i t. d., a w samą rzecz z amunicją i bronią. Ot wszystko — w miasteczku trzymajcie silne patrole, mianowicie po stronie wschodniej, ku osadom... będzie ludzi dosyć?

— Musi być; a jakże z pikietą w Knyverton? Kapitan nalega na nią, mówił dzisiaj, że...

— Ba! kapitan chyba stehórzył po wczorajszej awanturze!... On sam ma w parku sześciu ludzi, dwóch przy pałacu — no! ale żeby go uspokoić, odstąpię jednego z moich i zostawię w Knyverton...

Rozstając się z inspektorem, Sherlock szepnął mu przed gmachem policji:

— Śpijcie sobie spokojnie... aż do ósmój!

Było już blisko północy, kiedy pięciu ludzi, idąc wybrzeżem krokiem regularnym, doszło do zakrętu, z kąd wznosiła się droga, prowadząca mimo zagrody Knyverton do Dunmore. Czterech z nich było umundurowanych, uzbrojonych w karabiny i rewolwery; piąty był w ubraniu cywilnym, broni nie pokazywał żadnej, w rękę miał grubą laskę dębową.

— Stój! — zawołał ten ostatni; niebo, pokryte gęstymi chmurami, nie dozwalało rozeznąć przedmiotów żadnych dookoła. Cywilny świsnął. Zpod skał wychyliły się trzy postacie. Skoro tylko doszły do drobnego oddziału nad brzegiem morza, dowodzący wyjął z kieszeni ślepa latarkę i skierował na nowoprzybyłych. Promienie światła padły na dwóch konstablów, trzymających między sobą szczupłą postawę człowieka, mającego ręce związane w tył, opasanego szerokim rzemieniem, przewiązanym po obu bokach sznurami, które trzymali konstablerzy. Głowę miał całą zakapturzoną przyrządem dziwaczej formy, mianowicie w miejscu, gdzie należało się domyślać ust.

— Screw i Pinch! wy teraz bierzcie sznury — rozkazał cywilny, zwracając się do dwóch konstablów ze swego oddziału — a wy dwaj pójdziecie ze mną. Screw i Pinch! powiem wam to samo, com dziś rano powiedział tym dwom: pod karą degradacyi i pozbawienia pensyi nie przemówicie do więźnia ani jednego słowa! pod karą sroższą jeszcze, jakaby was spotkała niechybnie — nie zdejmiecie mu knebla, maski, pasa — nie rozwiążecie go! za osobę więźnia odpowiadacie — życiem! Naprzód — marsz!

Oddział, złożony teraz z ośmiu ludzi, udał się w dalszą drogę. Przyszedłszy do zagrody Mylesa, dowódca partyi zatrzymał się, lecz ludziom swym kazał iść naprzód. Podeszedł do jednego z okien, poza którym ciemność panowała zupełna i rzucił na szyby garść piasku. Okno otworzył ktoś natychmiast:

— Dawno się rozeszli? — spytał przybyły.

— We dwie godziny po stypie, o dziesiątej, jenerale.

— Ilu z Ballytullagh?

— Wszyscy chłopcy Piotrowej — dziewięciu.

— A z Bonmahon?

— Czterech.

— A z Newtown, z Portlaw, z Kilkee. . . .

— Wszystkich razem jest trzydziestu i dwóch, jenerale.

Powiedziałem im, że narada będzie w turmie. . . .

— Dobrze, ale narady nie będzie; będą rozkazy i — roboty. Mój czas się kończy — dziś musimy dać naukę hrabstwu, bo jutro może być zapóźno.

— Gdzie będzie roboty, jenerale?

— Milez! W turmie wszystko gotowe?

— Gotowe.

— Weź z sobą dwa szczekacze, dobrą pijawkę i knoty!

Śpiesz się!

To powiedziawszy, odszedł. Złączył się ze swym oddziałem na najwyższym wzniesieniu gościńca i ztąd go rozdzielił.

— Wy, Screw i Pinch, czekajcie tu w rowie z więźniem, aż was minie farmer z Knyverton, który tędy przejdzie najdalej za dziesięć minut; skoro go stracie z oczu, idźcie do jego chaty — drzwi będą otwarte — sprawujcie się cicho, nie budzić kobiety, co tam śpi po prawej stronie domu... Jak myszy wejdźcie do izby na lewo, zamknijcie drzwi i okno, i siedźcie cicho — jeżeli wam skóra i życie miłe. Przyjdzie pod okno konstabler Bosh i da wam dalsze rozkazy. Rozumiecie? W rów!

I niezadowolony z pośpiechu niefortunnego więźnia, pomógł mu kopnięciem go kolanem...

Z pozostałymi ludźmi poszedł przez pola dalej. Po półgodzinie stanął na zarosłym bujnymi wrzosami pagórku, na którego szczycie wznosiła się w ciemności czarna i posępna turma św. Kolumbana.

— Położyć się tu, żeby was nie widziano. Ja pójdę do turmy i wyjdę z niej później z trzydziestką ludzi. Nie ruszać się z miejsc. Jak daleko ztąd do Topoli?

— Ówieré mili będzie z okładem — odpowiedział jeden z konstablów — w dzień widać je ztąd, jak na dłoni... ale w takiej nocy, chyba światło tylko z okien.

— Skoro ja z ludźmi wyjdę z turmy i zejść na gościńiec, wy wszyscy czterej pójdziecie do turmy, przeszukacie ją i zostanieie w niej, póki nie ułyszycie wystrzału. Jak tylko usłyszycie, wybiegniecie i ile sił puścicie się do Topoli... kto pierwszy będzie (dodał uśmiechając się łaskawie) ten może zarobić 500 funtów... zabrać Nr. I-szy!

Oczy konstablów zajaśniały.

— Bliżej być Topoli nie możecie i tu nawet niebezpiecznieby wam było pozostać, bo Nr. I-szy nie prostak! Ja tych trzydziestu ludzi odprowadzę jak najdalej od Topoli. Czuwajcie!

Uzbrojeni konstablerzy pokładli się w wysokim wrzosi-wisku, a dowódca ich zniknął pod cieniem okrągłej turmy.

Po odejściu noenego przychodnia, Michał Myles, schwy-cił się oburącz za głowę, a z piersi wyrwał mu się jęk okropny. Stał tak czas jakiś, lecz, jakby potężną siłą tajemniczą party, otrząsł się w końcu ze swych uczuć, zapalił drzazgę i począł szukać przedmiotów, jakie miał z sobą zabrać: dwa pistolety, nóż i knoty, nasyczone naftą...

Kiedy już był gotów i stanął w sieni, ręka jego dotknęła mimowoli klamki drzwi przeciwnych. Na pół bezprzytomnie nacisnął klamkę i drzwi otworzył... coś jednak nie pozwoliło mu postąpić naprzód...

— Matko! — zawołał, poznając po schyleniu się skuloną postać staruszki — wy nie śpicie!...

— Modłę się, aniołku mój, modłę! — wyrzekła słabym i drżącym głosem — bo to, widzisz Michałku, właśnie dziś rocznica śmierci twojego błogosławionego ojca... mojego Pietra! Pietra z Ballyglanu, co śpi na ementarzu ztąd daleko... pamiętasz, Michałku...

— Idźcie spać, matko! — zawołał niecierpliwie — zdrowiu to waszemu nie posłuży!

— Ha! pójdę spać, pójdę, aniołku... tylko do ciupki mojej po tej drabinie nie trafię, żeby tak światła...

Michał przyniósł zapaloną drzazgę i podał matce. Zbolałe jej oczy padły na ubranie syna.

— A ty spać nie idziesz, Michałku? — spytała... nagle drżąc poczęła na całym ciele — dostrzegła kolby rewolwerów pod pasem i wystające luf końce. — O! chłopuńciu mój! moje złotko — wołała — zostań w chacie, zostań tej noey przy mat-tusze starój! nie wychodź! nia wychodź!

Dreszcz zimny przeszedł po kościach Mylesowych — zatonął się ku ścianie. . .

Téj saméj chwili, w oknie po téj stronie domu ukazała się rozczochrana głowa starego Micka Dawley'a i odezwał się głos brata-odźwiernego :

— Hallo! kapitanie pieszcotko, a jużcić i czas na was, kiedy mi nasz błogosławiony jenerał kazał tu zaleść po drodze i wprosić się do waszój kompanii, *mavorney!* To już razem sobie powędrujemy do roboty!

Staruszka Julia upuściła drzazgę na ubitą z ziemi podłogę i wyciągając drżące i wyschłe ramiona ku synowi, rzuciła się mu do nóg.

— Synalku! jedyny mój! zostań! o! chodź. . . zmówimy Zdrowaś Maryo! za duszę biednego tatusia! . . . A!!!

I. . . drugie, okropne, dzikie A!!! wtórzyło temu wykrzykowi boleści. Miał ten ryk zwierzęcy, rzucony przez nieszczęśliwego człowieka, zagłuszyć wszystko — głos matki, głos zmarłych, głos ofiar, głos sumienia, głos Boga. . . .

Michał Myles wypadł jak szalony z chaty i pobiegł, pozostawiając za sobą straszliwe echo swego głosu. Ono to błąkało się pod strzechą, po jego ucieczce od matki — nad trupem biednej Julii Mylesowój!

Pierwszym promieniem szczęścia i wesela, który rozdarł ciemności żałoby i smutku pod strzechą Topoli, była przyniesiona przez Marcina wiadomość o niespodziance, jaką zamierzali sprawić trzej młodzieńcy, przybywając z Dublina ostatnim pociągiem nocnym.

— Kiedy tu będą? — pytała Hessy, rzucając się w objęcia starca.

— Pociąg dochodzi do Waterford o 1-szój rano — odrzekł, uszczęśliwiony tym mimowolnym objawem dawnego jój

do przybranych braci przywiązania; — jeżeli znajdą podwodę, to mogą tu być około 3-ój; w przeciwnym razie, poczekają pewnie do wschodu słońca — chyba by puścili się piechotą.

— A może oni, da d u, nie czekali aż na ostatni pociąg w Dublinie? . . .

— W takim razie będą tu na 10-tą, Het.

— O dla Boga! *wisteru*. . . *master*, a co wy mówicie! — zawołała Maryanna, wychodząc z przybocznego alkierza z ogromnym pękiem bielizny w obu rękach — jużcie i po dziewiątej teraz, *makusza!* i jakże ja biedna dziewczyna pokończę w izbach na górze. . . kiedy i wyszorowane być muszą, i przygotowane, i pościel dać trzeba na łóżka! Chociaż znowu, z drugiej strony, są i wyszorowane, i gotowe. . . od kiedy *mistress* Julia ustąpiła panience alkierzyk — ale, gdyby nie były, to coby ja biedna, *acharu*, poczęła! a tu placki upiec trzeba. . .

— Ja ci pomogę, Maryanno! — zawołała Hessy, zrywając się z kolan Marcina i przepasując się szerokim fartuchem. Ale O'Grady ostudził znacznie zapal obojga, zakazując im robić zbyt kowny użytek z zapasów, jakie liczniejszej teraz rodzinie na długi może czas będą musiały wystarczyć. Słowa jego zwróciły rozmowę na grożące im niebezpieczeństwo. . .

Tój nocy i kilka następnych — mówił starzec — nie nam nie zagrozi; pewnie też i popróbują znowu namowy. . . bo taki to ich obyczaj. Jakże tam Janowi, Maryanno?

— Ha, no! leży sobie w oborze, przy tém biedném bydle, *wejrasthru*. Weterynarz, co opatrzył krowy i woły, wysmarował i jego, *begorra*, jakimś paskudztwem — to i jużci mu lepiej ojeze O'Grady, i nie ma się czego kłopotać, kiedy się jeszcze wódki nie wyrzekł, jak to on zawsze obiecywał, że kiedy tylko przyjdzie na niego ostatnia godzina, to i pewnie, jeżeli nie tą trędowatą gębą swoją, *dhu ishla*, to choć myślni się wpisze do świętego bractwa wstrzemięźliwości! . . . A ot,

kiedym mu zniosła pełen kubek kartofli, to jeno jęczał i jęczał, *acharu* — razem z tą niewinną Niną, coby mu dać kilka kropel na język.

— To może o wodę prosił!... — wtrąciła Hessy.

— Wodę! *makushla, mavorney* — jużćie *missy* wie przecie, że nieszczęsnemu Janowi woda — to śmierć nagła i niespodziewana, uchowaj św. Patryku! Bo i pewnie, co zrobił nad wieczorem, kiedy weterynarz zostawił fiaskę z terpentyną podle niego, jeno złapał, do gęby przysadził i możeby wypił do dna, gdyby mnie tam nie było koło niego, com mu legowisko poprawiła i pięścią w łeb go trzasnęła, żeby więćej jak kwaterkę nie wciągnął na tę żułkową wątrobę swoje, *musha!* Chociaż znowu z drugieji strony...

Dziewczyna folgowała sobie swobodnie, bo O'Grady wyszedł na podwórzec, a Hessy, pomagając jęj w uporządkowaniu izby i alkierza, zajęta była własnymi myślami. Ileż razy zadawała sobie pytanie: czy p. Thady przyjdzie do Topoli razem z Patrykiem i Tomaszem! Lecz, skoro tylko bijące serduszko upewniło ją w szczęśliwei nadziei — inny głos uroczystszy, wyrzuciał dziewczęciu chwilowe zapomnienie spoczywającei w zimnym grobie matki — lub jęj na pamięć przywoływał godzinę jutrzni dnia tego, spędzoną w pałacu...

— Kiedy ja go znowu zobaczę — pomyślała — i czy rozumie on dobrze, że go kocham... z całego serca!... i co Thady powie!...

Obejrawszy starannie każdy zakątek podwórca i chaty, O'Grady wrócił do izby i poradził rychłe udanie się na spoczynek.

— Chwała Bogu — rzekł — choć nie ma się czego obawiać, jednak mi przysłali z miasteczka jednego konstabla... ot, co dopiero przyszedł i siedzi przy pługach pod szopą. Dobrze i to, że przyszedł tak późno — nikt go nie widział —

a jutro, da Bóg doczekać, Patryk z Tomaszem starczą mi za pół tuzina policyantów! Chodźcie, zmówmy pacierz za duszę nieboszezki.

W godzinę później, ciemność zapanowała w koło chaty Marcina. Starzec znużony czuwaniem nocy ostatnich i po raz pierwszy od dawna czujący ulgę w swych troskach, rzucił się na posłanie, częściowo tylko rozebrany.

— Będę na nogach przed wschodem słońca, zanim moi chłopcy dojdą do zagrody!... Bogu chwała i dzięki za wszystkie łaski i błogosławieństwa Jego!...

Maryanna, która nie przestała spodziewać się „młodych dżentelmanów“ każdej chwili przynajmniej aż do północy — swoją własną izbę na górze przygotowała dla „master Kennedy“, przekonana, że „jużci pewnie nie pójdzie do stariej Piotrowej Dogherty, kiedy tu pod oném okienkiem, do którego przed dwoma laty chętnie śpieszył Thady i z którego chętnie był widziany“.

— Wiesz co, Maryanno... odezwała się Hessy z poza swych białych firanek.

— Szsz! *missy* — przerwała dziewczyna — spać, spać, *missy*, żeby się oczy naprawiły po tyła płakaniu, *weirasthru!* i trochę... .

— Ja już spałam — rzekło dziewczę — ale czegoś się zbudziłam i wiesz, com zaraz pomyślała?

— Ano, jużcić pewnie, że *master* Thady... .

— O nie, Maryanno! — przerwała Hessy poważnie — myślałam, jak to dobrze, żeśmy obie były z d a d e m wczoraj w kościele i u spowiedzi! bo teraz może trudno to będzie, kiedy nie można być bezpiecznym za domem — a nikt nie wie godziny!

— Bóg błogosław! *missy mavorney*, a na co tak myśleć! *missy* śniła sobie pewnie... .

— O nie, Maryanno — rzekło dziewczę, zabierając się do snu — ale ja zawsze tak sobie marzę, że... kiedy się spodziewamy... wielkiego szczęścia, tośmy powinni bać się czegoś... albo ja wiem? — niełaski Pana Boga! Dobranoc, Maryanno! a obudź mnie w czas!...

XX.

— Mitchell!!

Kamerdyner zerwał się z materaca przed sypialnią pleni-potentą i przetań oczy.

— Mitchell!!

Wierny sługa chwycił za rewolwer, otworzył drzwi i wbiegł do sypialni. Kapitan stał rozebrany, przy otwartém oknie... którego szyby lśniły się odblaskiem czerwonawym.

— Patrz! łuna! gdzie ten pożar?

— To w stronie Dunmore, *your honour!*

— Ale nie w Dunmore — to ztąd niedaleko... Mitchell! dawaj rewolwer!... zbudź ludzi!... konia! Topole się palą, Topole!!

Sześć strażów jeden za drugim dał kapitan i rzucając dymiący rewolwer na posadzkę, wciągnął na siebie jakie takie ubranie! W minutę już był na dole — ściągnął ze ściany broń nabita i rozkazał Mitchelowi przynieść sobie swój pałasz oficerski. Kamerdyner chciał mu wręczyć pistolety... ale on już wypadł na ganek. Dwaj pałacowi konstablerzy czekali rozkazów.

— Konia! konia! — wołał Gandy — Mitchell ze mną! Wszyscy konstablerzy do Topoli! Kto z ludzi nie pójdzie temu łeb rozsądę.

Ze stajen wybiegły dwa wierzchowce, prowadzone kłusem przez masztalerzy.

— Koni konstablerom! — krzyknął kapitan z siodła — Mitchell! pędź, choćby koń miał paść, w pięć minut do Topoli!

Skry się posypały z pod kopyt na bruku dziedzińca — wyciągniętym galopem przeleciały konie puste ulice miasteczka — brzuchami niemal dotykając ziemi, z rozwartymi nozdrzami wdarły się na tramorski pagórek i ztąd jak nadziemskie stworzenia, rzuciły się gościńcem na dół, do stoku przeciwnego pagórka. . . z kąd wiatr lekki, lecz stały — wiatr morski — spędział ku nim swędne kłęby dymu, gdzie okropny żywioł niszczący szalał z wściekłością, wyrzucając wysoko ku niebu iskier snopy, potworne języki ogniste i chmury, niby krwią przesycone, czerwone.

Jeźdźcy, skuleni do grzyw, podobni do upiorów, lecieli przez pagórek do Topoli.

— Mitch! . . . — chrypiał jeździec pierwszy — wpaść. . . puścić konie. . . przy ehacie! Słysz. . . — Salwa strzałów padła z wierzchołka, z pod zagrody. . . Okrzyk dziki, choć ludzki, był jej echem! Jeźdźcy dopadli do zagrody, nie widząc, nie rozeznając niczego przed sobą w gorącej chmurze, którą ich wiatr otumanił.

— Z koni! . . .

Oba zwierzęta rzuciły się zadem uwolnione od swych kątów, a chwytając powietrze rozgrzanemi pierściami popędziły z płonącej Topoli. . .

Z karabinem przewieszonym przez plecy, z dobytą szablą, kapitan obiegnął zagrodę. Lecz zaledwie z Mitchellem stanęli na straszliwej scenie pożaru i ogarnęli wzrokiem szatańskie postacie bandytów. . . obaj, pochwyceni z tyłu, napadnięci z przodu i z boków, o własne musieli walczyć życie. Wśród zaś tej walki rozpaczliwej z przemagającą liczbą napastników, szukających spo-

sobnej chwili do użycia nożów, obaj, kapitan i Mitchell, słyszeli wyraźnie głos dowodzącego zbrojcy... niebawem dostrzegli jego samego!

Sherlock stał w ogrodzie; w oślepiającym świetle pożaru budynków gospodarczych po jednej stronie — a chaty, ze strony przeciwnej, amerykanin stał z rewolwerem w rękę, otoczony pięciu bandytami. On jeden miał twarz odkrytą — wszyscy inni byli zamaskowani. Naprzeciw niego, pod jedną z topoli stał Marcin O'Grady, na pół rozebrany, przywiązany do drzewa, z twarzą surową, lecz przymkniętymi oczyma. Tuż obok niego, przy pobliskiej topoli, leżał... trup starego Jana. Opodal czterech bandytów trzymało między sobą związaną Maryannę — dwóch innych, Hesterkę, mającą ręce splątane w tył, w łokciach. Dziewczę było bezprzytomne — zbrojcy trzymali ją stojącą... bo taki usłyszeli rozkaz. Maryanna napełniała powietrze krzykami, póki jeden z „księżycowych“ nie kazał jej zakneblować usta.

Dlaczego dowódzca przerwał egzekucyą? Nie spostrzegł on jeszcze przybycia dwóch potężnych przeciwników. Z szatańskim okrucieństwem odzywał się on w tej chwili do sędziwej ofiary, czekającej śmierci. Co mówił, nikt z dalej się znajdujących nie słyszał wśród trzasku płonących zabudowań pękania i walenia się murów. Nakoniec krzyknął:

— Numer piętnasty! mierz w sam łeb!

Jeden z pięciu zamaskowanych podniósł rewolwer, lecz go opuścił natychmiast...

Tymczasem kapitan walczył, jak tygrys rozjuszony, opadnięty przez chmurę szakali. Wysoka jego postać i potężna budowa ciała kryły iście siłę herkulesową — ale wściekłość zalewała mu wszelką rozagę... Rzucił się na swych przeciwników, chcąc sobie zdobyć możność użycia szabli — karabin zdarto mu z pleców... a rewolweru nie miał! Zamaskowani księżycy-

wi napróżno dotąd się z nim borykali — poranili mu ramiona i ręce, lecz noża w piersiach nikt mu dotąd utopić nie zdołał. Mitchell, spokojny twarzą, lecz błyskawiczny ruchami, zastał swego pana plecyma, by mu zostawić swobodę z frontu, a sam, trzymając w obu rękach rewolwery przez pół, tak, żeby zakryć cyngle — zadawał kolbami i lufami razy okrutne... zwlekając z daniem ognia do chwili stanowczój. Chwila ta zapadła, gdy usłyszał komendę Sherlocka.

Huk dwóch wystrzałów równocześnie, zwrócił uwagę amerykańszyna na rozruch blisko chaty. Poznał on odrazu plenipotentę — lecz zawołał tylko:

— Śpiesz się Leary! po błogosławieństwo szwagra! Twoja córka tam stoi, pod naszą opieką! — A zwracając się do stojącego obok siebie opryszka, krępego, niskiego, o barkach szerokich — krzyknął:

— Numer piętnasty! pal!!

Lecz powtórnie zbój podniósł rewolwer i opuścił... Wtedy Sherlock, zdejmując maskę z jego twarzy i odkrywając Michała Mylesa własną mu lufę rewolweru przyłożył do ucha:

— Michał Myles! Zdrajco związków, zdrajco rządu, zdrajco własnych dobroczyńców, raz trzeci rozkazuję i ostatni.

Lecz w tej chwili, wśród bezustannego huku wystrzałów, między zgrają księżycowych powstało straszne zamięszanie... Kapitan wsparty czynną pomocą Mitchella, siał śmierć przed sobą, torując sobie drogę ku starcowi pod drzewem topoli. Już, już zbliżał się ku niemu, gdy Sherlock — który w tej chwili dostrzegł zbliżających się konstablów — skoczył do Marcina i byłby mu dobytym nożem niechybnie pierś przebił... gdyby mu kapitan jedném uderzeniem szabli nie wytrącił *bowieknife*, i nie ubezwładnił ramienia! Rzucił się wtedy między niego i kapitana Michał Myles... jakaś dzikość piekielna ściągnęła mu czoło i nadała oczom wyraz straszliwy! Myles wymierzył

pistolet w pierś plenipotenty... sam Sherlock zwrócił go atoli na Marcina.

— Morduj tamtego! — wołał — holla! chłopcy! Ja tu *Number One!*

Krzyk dziewczęcy zagłuszył to hasło... w zgiełku chaotycznej okropności, Hessy oprzytomniała i rzuciła się przed Marcina i kapitana. Mitchell ją odsunął w tej chwili gwałtownie, przerażony błyskiem noża przy jej piersiach!... Cios tego noża zmierzony był w Marcina — lecz przebił pierś plenipotenty...

— Ojciec mój! ojciec! — krzyknęło dziewczę i padło na martwe już ciało kapitana.

Nagle w płomieniach, które już dosięgły do topoli, zasycało — strumienie wody zalały pęk ludzi waleczących! Była to późna, bo niechętna pomoc sikawek tramorskich, przybyłych nakonieć pod wodzą proboszcza, zaprzęzonych... nie końmi pałacowymi (bo tych stajenni dać żadną miarą nie chcieli), lecz należącymi do kwakra Jozeasza. Na głos Dermotta, pasującego się na śmierć z Mitchelem, Myles przypadł do bezprzytomnego starca pod topolą i raz jeszcze rzucając się na niego z nożem dymiącym krwią przelaną, krzyknął jak potępieniec:

— Teraz wszystko mi jedno! *I must!*

Lecz tej samej chwili uczuł się pochwyconym niby w żelazne kleszcze trzech świeżych przeciwników...

— Zdrajco podwójny! podpalaczu! morderco! — wiąż go Pat! weź mu ten nóż z ręki, Maryanno! Thady!

Thady przeciął postronki, którymi Marcin był przymocowany do drzewa i wzięwszy starca w silne ramiona, wyniósł z pośrodku piekielnej sceny, nad którą teraz zagrzmiała nowa salwa i posypał się grad kul karabinowych. Piętnastu konstabli przybyło w ostatniej chwili — wezas, by rozproszyć chmarę „księżycowych“... lecz zapóźno, by ocalić plenipotentę,

lub by ująć Dermotta! Owszem — jeden z czterech wprzód przybyłych, widząc wielkie niebezpieczeństwo, w jakim się znajdował amerykańczyk, party przez Mitchella — dobył palkę i rzucił się z nią między obydwóch. Mitchell, źle rozumiejąc ruch policyanta, nie miał się na bacności i uderzony silnie w głowę, ogłuszony, padł między zajęte płomieniem krzaki, poruszając dokoła myriady iskier.

W półtoręj godziny później, w przepelnionej konstablerymi kancelaryi inspektora, stało trzech więźniów okutych w kajdany. Czwartry szamotał się z policyantami, usiłującymi daremnie spętać mu ręce. W zamkniętej klatce żelaznej, pod strażą Serew'a i Pinch'a, znajdował się więzień piąty, mający głowę i twarz zakryte skórzonym workiem, zdradzającym knebel w ustach. . . .

— Zmierzyć tamtych trzech — rozkazał inspektor — zrewidować ich i odprowadzić do cel, każdego z osobna! Przy drzwiach, po jednym na straży! . . . John Mitchell! spokojnie, mój stary! jeżeli nie chcesz spróbować kamizelki!

— Precz, kundle! — ryknął stary żołnierz, chwytając za gardła dwóch najbliższych policyantów i rzucając ich pod przeciwległe ściany — słuchaj, inspektorze! ja poczekam tu i dwie doby. . . ale do rąk moich wara! co — wy szpice, będziecie hańbić wachmistrza z królewskiej gwardyi konnej! A! kapitanie! — dodał, wznosząc oczy — coby *your honour*. . . .

Wejście proboszcza z Jozeaszem Peet, przerwało ten wybuch żalu i położyło koniec położeniu Mitchella. Inspektor go wprawdzie nie puścił na wolność, ale zostawił mu swobodę ruchów i obiecał przyjąć kaucyę, jakąby za niego poręczyli nowo-przybyli. Nie potrzebujemy wspominać, iż ci ostatni pragnęli przedewszystkiem naocznie się przekonać o uwięzieniu Dermotta, o którym wieść się w téj chwili rozchodziła po całej baronii.

— Constable Bosh! — zawołał inspektor głosem uroczystym oficjalnej powagi. . . .

Z pomiędzy cizby wysunął się przed biuro młody policyant, z baranią fizyognomią twarzy.

— Odpowiadaj na pytania, a ani się waż dodać pół słowa, nie będąc pytany.

Bosh salutował.

— O której godzinie stanąłeś przy Pomoście?

— Pięć minut do północy, *your worship*.

— Kto cię tam postawił?

— *His worship* Mr. Sherlock, *your worship*.

— Długoś tam stał?

— Do trzech kwadransów na drugą, *your worship*.

— Cóż tam widział?

— Front — woda; z lewego i z prawego boku — piaski; z tyłu — pomost, *your worship*.

— I nie więcej?

— Rychtyk o 1-szej, czerwone światło na wodzie, niby sygnał ze szkuty. . . .

— Stul pysk! głupi! . . . i nie więcej?

— Llll. . . Hhne — na lewo, *your worship*.

— Przyszedł kto do ciebie?

— *His worship* Mr. Sherlock, o trzech kwadransach na dr. . . .

— I cóż ci rozkazał?

— Maszerować do Knyverton i iść z ludźmi z Knyverton do stacyi.

— Zrobiłeś to?

— Jużcie, *your worship*.

— Uff!! . . . — sapnął inspektor, przeświadczony o ważności niniejszej swej funkcyi. — Bosh! przy wypłacie, w so-

botę, zgłosisz się po... uf! szylinga nagrody. szylinga, Bosh! Screw! Pinch!

Indagaeya tych dwóch, prowadzona równie uroczyście, jak poprzednia (i jak tainta, spisana w protokóle przez sekretarza), wykryła tylko, że więzień miał swoje momenta desperacyi, zanim doszedł do żelaznej klatki — i że, wychodząc z izby w Knyverton, konstablerzy spostrzegli nieruchomą kobietę, leżącą w otwartój izbie przeciwległej, na środku podłogi...

— Zdjąć mu knebel! — zakomenderował inspektor... co też uczyniono natychmiast. Ilu było ludzi w izbie, wszysey — kwakra nie wyjąwszy — skoczyli, by się przypatrzeć Numerowi Pierwszemu...

— Głupi, ośle, cymbale, dudku malowany! — wycodził więzień zwolna, patrząc w oczy inspektora z niewysłowioną pogardą — gdy osłupienie bez granic odjęło przytomność wszystkim...

— Kajdany! łańcuchy! knebel! do celi z nim! — krzyczał inspektor, porywając się z krzesła i sam biorąc ze ściany najcięższe „bransolety“ — to on, on sam jest „Number One“!

Rzuciło się na więźnia kilku rostrych konstablerów...

— Szaleńcze! brzuch ci cięży! chcesz schudnąć w Kilmainham? Gdzie *Habeas Corpus*? — Jack Trump odzywał się z lodowatym spokojem.

Rozjuszyło to inspektora... tém więcej, że, choćby wobec największego zbrodniarza, popełnił błąd fatalny: oskarżony nie schwytyany na gorącym uczynku, może być ujęty jedynie na mocy mandatu! Skoczył więc do biura, otworzył je i wy dobył pakiet, odebrany poprzedniego wieczora z rąk Sherlocka — rozerwał pieczęcie, wyrzucił papiery, poszukał karty na wpół tylko zapisanéj...

I oto, co tam przeczytał:

„Jenerał Dermott („Number One“), opuszczając zatoką

tramorską, poleca łaskawym względom pana inspektora policyi tramorskiej, swego przyjaciela, p. Jacka Trump, i życzy obydwom najspieszniejszego awansu“.

W kancelaryi zapanowało milezenie — nikt nie pojął przyczyny nagłej słabości inspektora... Nikt też nie miał czasu do robienia przypuszczeń.

— Pięciu ludzi do łodzi! — zawołał Jack Trump, siadając do stołu i porywając papier — do strażaków nadmorskich! rozkaz: ścigać statek z banderą amerykańską! Koni!... jeden do biura telegrafów! do Waterford!...

„*Number One*“ jest dotąd na wolnej stopie. W r. 1881 służył on pod nazwiskiem Sheridan'a w ochotnikach windsorskich. Przed rozgłoszonym morderstwem ministrów w parku Feniksa, znajdował się w Dublinie; ztamąd znaleziono po nim poszlaki w hrabstwie Tipperary, gdzie żyje staruszka jego matka. Lecz wszelkie usiłowania władz, by go ująć, jak wszelkie obietnice i wysokie nagrody nałożone na jego głowę pozostały dotąd bez skutku.

XXII.

Pięknego popołudnia sierpniowego — we dwa lata po opowiedzianych wypadkach — gościńcem waterfordzkim toczył się zwolna pod pagórek kocz skromny, zaprzężony w dobrze wypasionego gniadosza. Na szerokim koźle siedziało dwóch mężczyzn; jeden — wysoki, z twarzą jakby zaszuszoną, ozdobioną wąsem sumiastym — powoził, choć na stangreta nie wyglądał jakoś, z wojskową furazerką, zasadzoną na bakier, w ubraniu pół cywilnym, pół żołnierskim, lecz nie zdradzającym wcale,

by właściciel jego chwilowe swe funkcyje za stałe życia swego uważał powołanie.

Siedzący obok niego towarzysz wyglądał zupełnie inaczej: dobrej tuszy, rumiany, z białymi faworytami, bez wąsów, ze złotemi na nosie okularami, z cylindrem na głowie — był widocznie obywatelem jakiegoś większego miasta, nadto, człowiekiem niepośledniej w świecie pozycyi i zupełnie z niej zadowolony.

— Teraz więc, mój kochany panie Mitchell'u — rzekł ów jegomość — kiedyś wam opowiedział wszystko, co wiem o moim przyjacielu dublińskim, p. Patryku O'Grady — o jego pomyślności i upartym stanie kawalerskim — kolej na was. I najprzód, cóż mi powiecie o sobie samym?

— A cóżbym ja Wam o sobie gadał, panie Webb! — odpowiedział Mitchell. — Ot tak człek życie klepie z dnia na dzień, ze starymi i z młodymi przyjaciółmi — pewien, że póki Bóg da, nigdzie już się ztąd nie przetransportuje, aż zaapelują do wiecznego garnizonu!

— I życie w pałacu?

— W pałacu? A cóżby my tam robili? Nie, *your honour*, państwo Kennedy, jak się przenieśli do odnowionej kwatery starego. . . . niby p. Jozasza Peet (i nazwali ją Topoiami, choć topoli tam nie ma większych od łoccia), zaniósłem tłumok swój na zimowe leże, do chaty w parku, gdzie za życia ś. p. kapitana mieszkał dozorca zwierzyny parkowej, i tam też sobie siedziimy i strzeżemy pałacu i parku, póki kto pieniędzy nie weźmie to w arendę.

— To pałac więc próżny?

— Próżny i nie próżny, *your honour*; pani — niby. . . . druga pani, przysłała tu koczod. . . chce powiedzieć: swoją damę od kompanii, i zabrała wszystko, co do niej należało; nikt jéj nie przeszkadzał. Ano, tedy pani Kennedy kazała na-

stawić w pokojach mebli i nam zawierzyła wynajmowanie kwatery rzetelnym gościom przez lato. Tego lata mamy tam kilkoro—ano, to i pałac płaci na swoje i parku utrzymanie.

— Mówicie, że pani Kennedy wam zawierzyła... to niby wam samemu?

— Ano... — stary żołnierz chrząknął i świsnął gniadosza pod brzuch — a jużcie też i pani Mitchellowej!

— Jakto? toście się ożenili! winszuję! winszuję... hm!

— Nie ma czego, *your honour*, ale dziękuję panu w każdym razie... tak bo to, widzi pan doktor, człek zawsze kogoś słuchać musi!... bez komendy, coby ja robił? Miałem zamiar iść do milicyi krajowej, ale... pani Kennedy mnie tu zatrzymała i... człek też był chętny, takem więc się zameldowałem pannie Maryannie Mac Ghurrydhurry... no i zaraz mi było lepiej, *your honour*, bo ta zaena pauna, co więcęj, niż cały szwadron francuskieh brygadyerów... wypchnęła mnie za drzwi z kuchni na probostwie i kazała iść do księdza proboszeza dać na zapowiedzie!

— Nie może być!

— A tak jednak było, *your honour*... bo niby tak: panna Mac-Ghurrydhurry myślała, że ja, stary, do niej tak na fortel celowałem, albo dla sportu... więc mnie w ten sposób zdegradować chciała! Ale ja — marsz! do O. Dooley'a, raport złożył i już z nim razem do kuchni wrócił, a ksiądz za mnie mówił. Panna Maryanna, że to rądel w ręku trzymała, zakryła się nim w panieńskim respeckie... aż wielebny skończył. Wtedy w rądlu rzekła: Niech tak będzie, Mitchell, stary... *mavorney*! i zaraz mi rądel na łeb rzuciła, a sama uciekla do miss Hessy, niby teraz pani Kennedy.

Dr. Webb słuchał tego opowiadania z cyniczną rozkoszą.

— No i kiedyście się pobrali? — zapytał.

— Zaraz po Nowym roku, tój zimy — odpowiedział Mitchell — w tydzień po ślubie państwa Kennedych... ale ot stare Topole, *your honour!*

Kocz dojechał do wierzchołka pagórka. W miejscu, gdzie przed z górą dwoma laty stała obszerna chata Marcina O'Grady, i gospodarska zagroda dla dobytku i inwentarza, o staję od gościńca, widać teraz było tylko lepiankę, niedawno skleconą, otoczoną dokoła rumowiskiem z poprzednich budynków kamiennych. Nieco dalej, sześć starych topoli kazało się domyślać, że one to osłaniały od wschodu zburzone dziś ściany. Naokół i po stoku pagórka grunta osady były zarosłe wrzosami i ostem, zaniedbane, opuszczone.

— Któż tu teraz mieszka? — spytał Webb.

— Lord Grosvenor, a raczej nowy plenipotent, co mieszka w Dunmore, zostawił tu człowieka, niby na warcie, *your honour*, aż się kto nie trafi, co osadę weźmie w dzierżawę...

— A jakże z prawami O'Gradych?

— Plenipotent powiedział, że wszystko się skończyło... po stracie budynków, których nie chce stawiać na nowo. Pan Marcin postawiłby je własnym kosztem, gdyby był pewien utrzymania kontraktu; cała sprawa poszła do sądów, gdzie pewnie leżeć będzie aż do ustanowienia parlamentu w Dublinie... Lord Grosvenor chciał wszystkie grunta oddać na sport... królikarnią, czy też plac wyścigowy — ale na to farmerzy nie pozwolili i bronią ich, jak mogą, widłami i cepami przeciwko angielskim trenerom i dżokejom... Pan Tomasz O'Grady też z Knyverton ma oczy obrócone na stare gniazdo i słucho rady Michała Davitta: płaci czynsz za stare Topole do banku, odciągając ile się należy, według prawa, za niemożność mieszkania w nich i uprawiania roli.

— Aha! rozumiem — czynsz nominalny! wtrącił — adwo-

kat, potakując głową. — Podobno — dodał — powodzi się panu Tomaszowi nieźle w Knyverton?

— A jakżeby nie! *your honour*, kiedy nie potrzebuje pytać o landlorda i plenipotentę, jest swoim własnym panem i gospodaruje jak chce z poradą starego pana Marcina. Pani Kennedy ani słuchać nie chciała o wzięciu farmy tego zbója Mylesa — niech mu tam lucyfer smoły nie żałuje! więc przepisała Knyverton na własność wieczystą p. Tomaszowi, a sama sobie z testamentu świętej pamięci mojego kapitana tylko pałac i park zatrzymała, póki ich kto nie kupi!

Gwarząc w ten sposób, wjechali na drogę, wiodącą do dawniejszej rezydencji Jozeasza Peeta, Mount-Horeb-House. Niebawem stanęli przed otwartą bramą, z której obu słupów zniknęły nazwy kwakerskie; w pośrodku zaś żelaznego nad bramą łuku umieszczona nowa tablica, nosiła nową nazwę posiadłości — „*The Poplars*“.

Dr. Webb wysiadł tu z koczka, chcąc — według obyczaju swego — zjawić się w dworku bez żadnej „sceny (jak mówił) ceremonialnej“... a może zająć mieszkańców niespodzianie. Tymczasem z ganku odnowionego domu wybiegł ku niemu przystojny mężczyzna, młody, urodny — wołając:

— Otóż i jest Dr. Webb, Het! Ojeze O'Grady, to jest Dr. Webb!

— *How d'ye do?* — rzekł tenże, podając palec gospodarzowi. Ale Mr. Thady, nie zadowolnił się tym razem indeksem prawnika-profesora; uchwycił obie jego ręce i wyrażając radość z jego przybycia, ścisnął je nielitośnie, póki go w tej serdecznej operacji nie wyręczył Marcin O'Grady.

Starzec był szczęśliwy — świadczyły o tém zarówno oczy jego, jak wypogodzone rysy twarzy, ruchy i cała jego postawa.

Obok niego stanęła teraz Mrs. Thady Kennedy. Kto ją widział przed dwoma laty, ten nierychło stracił z pamięci pełną

dziewczęcego wdzięku piękność córki kapitana i biednej Agnieszki. Lecz kwiatek był wtedy pączkiem, który teraz rozwijając się zaczął i odsłaniał wszystkie swe powaby. Hessy zarumieniona, podała gościowi rączkę, jakiejby się żadna nie powstydziała księżniczka i podnosząc ku niemu swe modre oczy, rzekła:

— Mąż mój i Tom tyle mi o was, panie, mówili i z takim zapałem, że równie z nimi oczekiwałam pana z wielką niecierpliwością!

— Jestem im za to głęboko wdzięczny — odparł Webb, zatrzymując w dłoni (nie śmiemy powiedzieć: po raz pierwszy) uścisk tak serdeczny. Ciężkie moje obowiązki — dodał — każały mi zwlec aż dotąd wycieczkę do Tramore; ale pomógł mi nareszcie przyjaciel nasz Jozeasz Peet.

— Jakże się ma pan Jozeasz? — spytał Thady.

— Wyśmienicie! odkąd dzieli z bratem Achazyaszem funkę religijnę, spekulacye przemysłowe i literackie rekreacye. Ale... hm! otóż on mnie tu wyprawił wcześniej niż moжебym mógł się wydostać z Dublina. Panie Kennedy, musimy odbyć konferencyą nad... hm! sprawą wielce doniosłą...

— Cóż to za sprawa? — przerwał Thady.

— Przyjaciel Jozeasz, idąc w tém za radą Achazyasza, pragnie wiedzieć, czyby ci było dogodnym, panie Kennedy, zmienić kontrakt dzierżyciela Góry Horebu (bo bracia inaczej téj posiadłości nie nazywają), na akt własności... pod wcale nie zbyt uciążliwymi warunkami? Ale pomówimy o tém szczerogółowo.

Thady nie myślał ukrywać swéj radości.

— Panie Webb — rzekł, obejmując wiotką kibić żony i zwracając się do adwokata — nie jestem ja romantykiem, ale... są chwile, kiedy własnemu szczęściu uwierzyć nie mogę! Nie raz kiedy sam jestem, w polu, albo w ogrodzie — zapytuję samego siebie, czy to sen... czy rzeczywistość? Żebym ja sie-

rota, był w posiadaniu najdroższego skarbu, jaki świat ten pokazać może, mojej Hessy! Żeby świat mi dał wszystko, co to szczęście nasze utrwała i podsyca: szacunek u ludzi, pomysłność... a we wszystkiem — błogosławieństwo Boże!

Hessy przytuliła się do mężowskiego serca.

— Boś też i wart i godzien, mój chłopcze — odezwał się Marcin O'Grady, wprowadzając adwokata na ganek, gdy młodzi małżonkowie ustąpili pierwszego kroku starcowi, którego uważali i kochali za ojca.

W ciągu obiadu — z którym czekali adwokata i do którego zasiedli także Tom i ks. proboszcz tramorski — rozmowa toczyła się o jednym przedmiocie przeszłości. Dr. Webb, siedzący między panią domu i ks. Dooley'em, skorzystał z chwilowej nieobecności gospodyni i szepnął sąsiadowi:

— A wiesz proboszcz co? W Galway pokutuje duch Mylesa!

— Co?

— Duch Mylesa! — powtórzył adwokat. — Ponieważ w trzech trybunałach sędziowie przysięgli, drżąc o swoje skórę, nie zgodzili się na uznanie go winnym... a ponieważ w trybunale czwartym, aż w Galway udało się rządowi otrzymać wyrok na mordereę — „chłopczy“ tamtejsi rozgłosili tymi dniami, w dwanaście miesięcy po egzekucyi, że exkapitan „księżycowych“ chodzi po murach więziennéj cytadeli każdéj księżycowéj nocy i przepowiada zemstę nad vice-królem i ministrami!...

— Bóg miłosierny — rzekł proboszcz — podobno nie-szcześliwy pojednał się ze swym Stworzycielem...

Po zachodzie słońca całe towarzystwo wyszło na ganek, by użyć wieczornego chłodu i słuchać śpiewnego szmeru fal morskich w zatoce. Zostało tam panią Mitchellową, niemogącą oprzeć się ciekawości zobaczenia sławnego prawnika — który,

jak zwykła mówi: „jużcie i pewnie w sam czas wysłał młodych dżentlemenów z Dublina i jeżeli nie innego w życiu nie sprawił, to jednak ojcu Marcinowi życie ocalił“!

Dr. Webb słyszał o wyprawie Maryanny do Kilkenny i jej manewrze z nieboszczką Kirwanową, od której wydostała świadectwo małżeństwa kapitana — tak potrzebne do uprawnienia jego testamentu. Prosty jej a zdrowy rozum zainteresował przebiegłego jurystę; dlatego chcąc położyć tamę jej gadatliwości, a zarazem zrobić eksperyment, do którego w towarzystwie dublińskim nie miał sposobności, zapytał ją nagle:

— Hm! *mistress Mitchell*, a cóż wy myślicie o położeniu spraw w tym kraju?...

— Ano, *begorra your honour*... jużcie pewnie nie się w stariej Irlandyi nie położyło, ale chwala Bogu i św. Patrykowi, wszystko stoi i my stoimy na nogach i *musha!* przed nikim się kłaść nie będzie tak dalece potrzeba, tylko, jak to jego wielebność O. Dooley, co tu w tej kompanii obecny, mówił wczoraj na świętém kazaniu: trzymać głowy do góry przed Panem Bogiem miłosiernym i św. Pat. . . *acharu*, i przed ludźmi, nie dać się niby nikomu! Chociaż znowu z drugiej strony — dodała, zwracając energicznie do swój pani — kiedy już o położeniu mowa, to jużcie pewnie, jakem to właśnie mówiła, *begorra missy*, dla tej błogosławionej kompanii zdrowia niech nie psuje, ale sama się do snu położy i pamięta też o tym gościu, maleństwie niewinném *mavorney*, co jeszcze nie przyszedł, ale jużcie pewnie i przyjdzie na pożytek i chwałę całego świata i stariej Irlandyi!

— Bravo! Maryanno! — zawołali równocześnie Thady i adwokat. Hessy znikła.

K O N I E C.





WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH

BIBLIOTEKA

201869

Biblioteka WSP Kielce



0070049